

V KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA

**Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
Kielce 27 – 29 maja 2016 roku**

Jak stwierdził Adam Skwarczyński, „Żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w głębę życia w jego organizm...” Tą dewizą stara się kierować Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Nasze działania nie były by możliwe bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców.
Dziękujemy!

V Konferencja została dofinansowana
przez Sejmik Województwa Świętokrzyskiego



W imieniu Instytutu gorąco dziękujemy!

SPIS TREŚCI

DR BOHDAN URBANKOWSKI	
„Polska, czyli kłopoty z tożsamością”	5
Dyskusja	52
DR KORNEL MORAWIECKI	
Ordynacja wolnościowa	94

DR BOHDAN URBANKOWSKI

„POLSKA, CZYLI KŁOPOTY Z TOŻSAMOŚCIĄ”



I. Teoretyczny wstęp – pochwała gadulstwa

Mam dla Państwa dwie wiadomości dobrą i złą: dobra jest taka, że żyjemy nie w jednej ale w trzech a może nawet w czterech rzeczywistościach, zła – że przynajmniej dwie z nich nie są do końca prawdziwe, tylko sztuczne zaś o jednej nie jesteśmy w stanie powiedzieć prawdy. Zanim to wszystko wytłumaczę parę zdań o metodzie.

Wbrew temu, co się nam wydaje dalej żyjemy na wieży **Babel** i mówimy pomieszanymi językami, wziętymi z różnych nauk, spełniającymi różne funkcje. By umożliwić porozumienie będę się starał bardziej kontrowersyjne terminy definiować w biegu, a Państwo nie macie innego wyboru, jak z moimi – podkreślam roboczymi – definicjami się zgodzić. Osobiście uważam, że używając takich języków na pewno wiedzieli, że nie uwzględniają emocji, ani tego, że każde słowo, każdy znak językowy ciągnie za sobą całą swoją historię, czasem historię całej swojej kultury.

Uważam, że taka metoda jest lepsza, niż silenie się na opis rzeczywistości w jednym tylko języku, bo taki konsekwentny opis byłby strasznie jednostronny, by nie powiedzieć kaleki. Jeśli ludzie prości i naukowcy, wymyślali różne języki – widocznie czuli trudność i niewystarczalność takich rygorystycznych, pojedynczych języków. Wygłaszam więc tu pochwałę pluralizmu metodologicznego, pochwałę mówienia różnymi językami, ów, można to nazwać eklektyzmem czy synkretyzmem metodologicznym, a jeśli ktoś to uzna za gadulstwo – wygłaszam pochwałę gadulstwa metodologicznego. Oznacza ono używanie większej liczby modeli i zwiększa prawdopodobieństwo, iż któreś z nich będą pasować do sytuacji, w naszym przypadku do rzeczywistości kulturowej, historycznej a najkonkretniej – polskiej.

W określeniu „model” zawarte jest przekonanie, iż każde słowo, czy ciąg słów – zdanie, teoria – pełni przede wszystkim funkcję **informacyjną** tzn. zastępowania jakiejś rzeczy czy zjawiska, by informować o rzeczywistości. Zanim dowiodę, że tak nie jest i dlaczego być nie może, – dygresja o człowieku, który jest podmiotem wszystkich metod i wszystkich wypowiedzi we wszystkich możliwych językach¹.

¹ W tym miejscu czas na dygresję. Znamy różne definicje człowieka: *zoon politikon*, po łacinie *animal sociale*, z innych równie łacińskich *animal rationale*, *homo sapiens homo erectus*, *homo faber* etc. etc.; każda zwraca uwagę na inny aspekt bycia człowiekiem. Od siebie chciałbym dopisać *homo creator* – ale to tylko dorzuca kolejny obszar problemowy. By sprowadzić wszystko to do wspólnego mianownika, trzeba wskoczyć na wyższy poziom abstrakcji, sięgnąć po język cybernetyki społecznej, która używa określenia **układ** – jeszcze bardziej bezbarwnego niż forma Arystotelesa. Wprowadzili je do polszczyzny twórcy, czy może raczej odnowiciele polskiej cybernetyki społecznej – Marian Mazur i Józef Kosecki (obydwaj należeli do najwybitniejszych uczonych, obydwu zgubiła pycha – wierząc, że poprzez manipulowanie informacjami mogą sterować układem państwowym – obydwaj zostali współpracownikami MSW. Użyłem już kilku pojęć z ich arsenału, warto jednak parę słów dopowiedzieć. Więc: z punktu widzenia logiki człowiek jest układem, (nie jest ani jednością, ani zbiorem przypadkowym jak np. wysypisko śmieci), jego elementy (podukłady) są powiązane, układ ma charakter zhierarchizowany, w miarę trwały, w miarę elastyczny.

1/ układ jest tylko **względnie izolowany** (składający się z wielu układów – kostny, mięśniowy, krwionośny, oddechowy, nerwowy etc), poddawany permanentnym presjom, dzięki nim zresztą realizujący się jako człowiek. W przypadku społeczeństwa możemy mówić o układzie wyższego rzędu, albo o zbieraniu („społeczeństwo zatomizowane”, „tłum le Bona” – połączony nietrwale emocjami).

2/ Człowiek (społeczność) jest układem – to znaczy wyodrębnia się spośród z otoczenia lub pomiędzy innych układów, tworzących **margines** mniej lub bardziej połączony z **centrum**.

Deformacja jest koniecznością

Mówimy tu o świecie znaków – słów, ale także kropek, kresek, cho-
ragiewek, tablic drogowych, symboli religijnych i wszelkich innych zna-
ków – podobnych, aluzyjnych bądź całkiem konwencjonalnych. **Mi-
niatura** byłaby doskonałym pomniejszeniem z zachowaniem proporcji
– ale trzeba by także miniaturyzować jej otoczenie, margines a poza tym
zawsze wkrada się czynnik emocjonalny, coś bardziej kogoś interesuje,
coś mniej – a model właśnie uwypukla to co jest przedmiotem zaintere-
sowania badacza – inne elementy lekceważy. Nie ma modeli obiektyw-
nych, bezinteresownych, prawdziwych – bo tego rodzaju prawdziwość
oznaczałaby powtórzenie świata w skali 1: 1, nie są możliwe doskonałe
miniatury a to znaczy, iż każdy model jest hipotezą, że nawet jeśli chce-

3/ Układ łączy się z otoczeniem, albo izoluje, **działa** – bo jest wyposażony w 2 rodzaje **funk-
torów**: w receptory i w efektory, czyli bierne zmysły i czynne narządy. (co nie znaczy, że jedne są
całkiem bierne, a drugie tylko czynne). Przedłużeniem narządów są narzędzia.

4/ by działać korzysta z **zasilania** (wewn. lub zewn).

Rozwińmy 1 punkt. Człowiek (społeczeństwo) jest **układem** tzn.: siły dośrodkowe przewa-
żają nad odśrodkowymi, jakieś centrum decyduje o całości i może mieć problemy z marginesem.
W przypadku człowieka – układ nerwowy problem co się nim posługuje. W przypadku spo-
łeczeństwa – rządzi jakiś układ decyzyjny – aparat polityczny (oparty na sile, groźbie, prawie)
władca + dwór, albo kapłani (bramini) działający przez informacje (także emocje) na decyzje
dotyczące zachowań, czasem oni zarządzają zasilaniem, czasem korzystają z zasilania zewnętrznego.
Ważne, by wszystkie decyzje były suwerenne, tzn. podejmowane w interesie danego układu.

Można też wyciągnąć kilka wniosków: naród, który nie posiada państwa traktowany jest jak
materia wmontowana w obcy układ, państwo, które nie posiada własnych zasilaczy i funktorów
jest w istocie podukładem.

Wracając do przywołanego przed chwilą Arystotelesa: drogą abstrakcji można wydzielić
w układzie **materię** i organizującą ją formę, także w człowieku i społeczeństwie. Wynalazca scho-
lastyki Arystoteles – wyróżnił także **duszę bierną i czynną, materię** (tę uformowaną) i **materię
pierwszą** (nieuformowaną, nawet Arystoteles jej nie widział, to jedynie abstrakty). Współczesna
cybernetyka dorzuciła z przydatnych terminów najpierw **nośnik i informację**, potem dwa ro-
dzaje pamięci (czynną i bierną) – i w ten sposób wróciła do Arystotelesa.

Funktorami łączącymi ze światem są przede wszystkim zmysły, sposób łączenia jest czasem
bezpośredni (dotyk, styk), częściej zapośredniczony przez znaki, których system nazywamy języ-
kiem. Te znaki różnią się więc proveniencją (słowa – słuch, rysunki -wzrok, etc.), ich wspólną
cechą jest ograniczenie. I to właśnie ta zła wiadomość: każde odzwierciedlenie rzeczywistości
skazane jest na ograniczenie, każde musi być zdeformowane. Dotyczy to zarówno jednostki jak
społeczeństwa, w którym rolę funktorów spełniają wyspecjalizowane jednostki. W tym przy-
padku także można mówić o deformacji – mimowolnej (suma deformacji jednostkowych) lub
dowolnej – opozycja, agentura etc.

my stwierdzić prawdę lub fałsz – mówimy w języku supozycji mniej lub bardziej prawdopodobnych.

Do tych niedobrych informacji możemy dołączyć jeszcze więcej:

deformacje mogą pojawić się w każdym miejscu nieizolowanym, narażonym na kontakt; ich źródło może być wewnętrzne lub zewnętrzne, w tym drugim przypadku może być zapośredniczone przez wiele układów. Źródłem ich może być obcy lub własny ośrodek decyzyjny, wcielany może być korzystny lub niekorzystny program – a umożliwia to wszystko **fundamentalna wielofunkcyjność** języka łączącego układy, lub ich części. Prócz funkcji informacyjnej, spełnia inne, takie jak **ekspresja**, **perswazja** czy wręcz **manipulacja**, ważną funkcją jest tworzenie wspólnoty – wspólnoty jakiejś wiedzy czy wiary, wspólnoty śpiewającej piosenkę, składającej przysięgę czy odmawiającej modlitwę. Język spełnia też funkcję **estetyczną** – reprezentuje siebie i nic więcej i nie należy mu niczego wmawiać.

Języki tworzą zatem rzeczywistość zastępczą, rodzaj kokonu, namiotu tlenowego, poza którym nie moglibyśmy istnieć. Żyjemy w takim kokonie, to znaczy wewnątrz rzeczywistości znaków naklejonych przez nas na rzeczywistość, a czasem wiszących w pustce. Pamiętać jednak trzeba, iż nie cała rzeczywistość została przez nas oklejona.

Anatomia rzeczywistości

Więc: znaki używane przez człowieka do orientacji w świecie są zarówno reakcją na świat, jak i pochodnymi receptorów (zmysłów) i narzędzi. Są to znaki pisane, mówione, węchowe, dotykowe.² – wszystkie one tworzą jakąś pośrednią rzeczywistość, izolują i łączą ze światem. Scholastycy nazwali je kiedyś bytami intencjonalnymi. Jak dotąd jednak nie stwierdzono istnienia takich bytów bez materialnego oparcia tzn. istnienia informacji / wartości bez nośników ale początkiem i końcem tego łańcucha jest jego twórca i adresat: człowiek. Nawet jeśli istnieją jako zapisy (na papierze, na żółwiu, na taśmie czy na płytce) – odczytującym jest człowiek. Na koniec wreszcie wiadomość trochę lepsza: każdy znak

² Znak a oznaka – może być mimowolna: zapach gazu sygnalizuje niebezpieczeństwo, spuchnięty pysk Stańczyka miał oznaczać ból zębów etc

składa się z części odbijającej, niejako wymuszonej przez rzeczywistość i z części stanowiącej nasz wkład; tę pierwszą można nazwać **faktem**, drugą – wartością dodaną, krócej: **wartością**. Pierwsza mniej, druga jednak bardziej zależy od nas samych i właśnie zbiór wartości tworzy nasz świat. Najpierw i w mniejszym stopniu nasze sztuczne środowisko materialne, potem i w większym – sztuczne środowisko duchowe.

Każda z tych rzeczywistości jest oczywiście układem (podukładem), ma swoje centrum i margines, ośrodek decyzyjny i układy podporządkowane, etc. etc.

Powoli zbliżam się do tematu.

Świat znaków to właściwy świat człowieka, jego rzeczywistość, otulina, kokon. Oczywiście istnieje inny, materialny a może i duchowy świat – ale kontakt z nim jest zapośredniczony przez narzędzia, znaki i ich nośniki, przez sferę i atmosferę symboli, przez szeroko rozumianą kulturę. To także układ częściowo izolowany.

Roboczo wyłania się nam taki oto podział:

NSM (naturalne środowisko materialne),

SSM (sztuczne środowisko materialne),

SSD (sztuczne środowisko duchowe),

NSD (?) – ostatnie ze znakiem zapytania. Jest wymogiem elegancji, piękna, symetrii – ale czy jest? – O to toczą się spory, których tu nie będziemy podejmować. Tak czy inaczej: żyjemy co najmniej w trzech rzeczywistościach, optymiści twierdzą że w czterech.

Każda z tych rzeczywistości została – mówiąc metaforycznie – stworzona przez człowieka, tego 7 dnia, gdy Bóg odpoczywał, a człowiek dorwał się do materii. Z tej swojej roli człowiek nie zawsze sobie zdaje sprawę – przeczuwali trochę poeci (np. Horacy, Sarbiewski), czasem bał się odpowiedzialności – co uwypukla opowiadanie o miotle czarnoksiężnika. Tak czy inaczej od początku przejęcia roli twórcy sztucznych środowisk – człowiek zaczął stawać się człowiekiem. Nie cechowała go już czworonożność, ale poczwórność.

II Cywilizacja

Człowiek będąc w swoim odczuciu jest mieszkańcem i nośnikiem tych czterech rzeczywistości, *de facto* – nie wychyla się poza dwie środowiskowe, które możemy nazwać cywilizacją, a jej części **infrastrukturą** i **kulturą**, albo **bazą** i **nadbudową**. Od czasów Nostradamusa funkcjonuje określenie *matrix*³, z tym że u braci Wachowskich znaczy coś odwrotnego: – dla niego była to idealna macierz, coś jakby rzeczywistość samych idei Platona – u nich świat wymyślony przez polityków. Przydatne jest też przeciwstawienie i świat realny – świat wirtualny (real – virtual) pretendujące do obiektywności i znane nam z młodości prawda i propaganda, co górale nawet opisali subtelniej, z podziałem na 3 wersje (prowda, tyż prowda etc). Nazwy są drugorzędne, ważne by wiedzieć o czym mówimy.

Żeby ten podział ukonkretnić:

Sztuczne środowisko materialne

to układ najróżniejszych układów (właściwie podukładów), będących uczłowieczonymi (więc sztucznymi) mikrośrodkami takimi jak leśnictwo, sadownictwo, rolnictwo, rybołówstwo, hodowla – jednym słowem gospodarka leśna i wiejska, bo wieś jest tym sztucznym środowiskiem najbardziej zbliżonym do materialnego. To ostatnie przypomina o sobie czasem nastrojami, dla których nie mamy nazwy, czasem – katalizmami.

Na podłożu przyrody wybudowane są miasta, fabryki, drogi – które czasem łączą odległe wyspy sztucznych środowisk – w archipelag. Drogi te prowadzą przez naturalne środowisko materialne – oglądane przez okno i humanizowane przelotnie spojrzeniami. Właściwie nie da się wskazać miejsc zetknięcia człowieka ze środowiskiem naturalnym, bo człowiek – gdziekolwiek się zjawi – wnosi ze sobą ludzką percepcję, czyli – gdziekolwiek się zjawi – przerabia naturalne środowisko w sztuczne.

³ A przy okazji: ten francuski myśliciel (lekarz, prorok etc) wylansował też określenie *simulacra* – używał go m. in. w odniesieniu do papierowych zastępników złota (weksle, pieniądze papierowy) i przepowiadał czas, kiedy te *simulacra* stracą wartość i zostaną wrzucone do morza.

Wyjątek stanowi naturalne środowisko w samym człowieku – jego badanie polega jednak na zastępowaniu owej natury modelami.

Ludzki świat ma charakter heterogeniczny – powstawał w różnych miejscach i czasach, tworzyły go różne grupy. Dotyczy to zarówno rzeczywistości materialnej jak duchowej. Kopalnie wyrywają ze środowiska naturalnego surowce dla przemysłu stalowego, fabryki wytwarzają produkty metalowe lub maszyny będące kolejnymi środkami produkcji – a przy okazji wszystkie te układy modyfikują działających w nich ludzi, zmuszają do autokreacji w określonym kierunku. Mówiąc metaforycznie fabryki produkują robotników, kopalnie wydobywają górników, okręty wywożą w morze zwykłych mieszczuchów, ale przywożą marynarzy. Ludzie zyskują dodatkowe osobowości, do dotychczasowych ról dołączają nowe. Tak jak aktor – człowiek gra wiele ról, i jest to konieczne w świecie ludzkim, który jest modelem świata rzeczywistego – czyli teatrem. (Jak kto woli: matriksem). Dotyczy to jednostek, ale i całych grup – połączonych tym samym programem działań zapisanym punktowo w informacjach, a de facto wartościach. Czyste informacje, stanowiące dawki prawdy, jak się rzekło, nie są możliwe. Każda jest w jakimś zniekształcona – z jakiegoś powodu i w jakimś celu. W każdej jest więc domieszka dobra albo zła, piękna albo brzydota. (ten mechanizm działa w obie strony, na zasadzie sprzężenia zwrotnego – każde dobro czy piękno zawierają domieszkę prawdy, piękno – dobra i odwrotnie.)

Sztuczne środowisko duchowe

W momencie, gdy uwidacznia się przewaga wartości informacyjnych (duchowych/ idealnych/znaczeniowych etc) nad samą materią – przekraczamy granicę między SSM a SSD. Parametry materialne przedmiotu nie muszą zostać zmienione – zmienia się wartość duchowa. Dwie deski zamieniają się w krzyż.

SSD to także wielość rzeczywistości: sztuczne środowisko polityczne, prawne, oświatowe, naukowe, światy tworzone przez różne dziedziny literatury i sztuki, także mity, także religie – choć te ostatnie nasycone

są specyficznym rodzajem duchowości: sakralnością. Nośnikami tych wartości są dzieła sztuki, przedmioty kultu ale – w ostatecznej instancji – to człowiek potrafi je zapisywać i odczytywać. To człowiek odgrywa role kapłana i nauczyciela, sędziego i uczonego, pisarza i architekta, bo rola budowniczych tego duchowego świata podzielona jest na wiele ról. A nie można zapominać o rycerzach, którzy bronią tych sztucznych, to znaczy będących dziełem ludzkiej sztuki światów: SSM i SSD.

Cywilizacja, a zwłaszcza jej wyższa część zwana kulturą może być traktowana jako rodzaj **wspólnego języka**, który służy opisowi świata, porozumieniu jego mieszkańców i przetwarza władających nim ludzi we wspólnotę. Większą lub mniejszą, na formie rodziny lub państwa, nurtu literackiego, czy członków wspólnoty narodowej bądź religijnej. Wyznacznikami takiej wspólnoty są łączące ją wartości informacyjne, estetyczne, religijne i inne – bo wszystkie informacje łączą, zamieniają elementy w układ.

Jednak niezależnie od wielkości:

zniszczenie łączącego języka jest zniszczeniem wspólnoty. Na zewnątrz takiej wspólnoty zorganizowanej przez wartości (ale też wspólne funkcje, cele etc) pozostaje jakiś margines – ludzie zorganizowani inaczej lub wcale nie zorganizowani, albo nie ludzie a przedmioty. Czasem jest to środowisko wrogie, czasem sprzyjające całej kulturze, czy częściowemu układowi. Troska o przetrwanie (instynkt samozachowawczy) – to jeden z podstawowych obowiązków każdego układu.

Powyższy opis to wyabstrahowany podział poziomy, warstwowy, podkreślam: wyabstrahowany, jak forma i materia, czy ogólnik (idea, gatunkowość) i przedmiot konkretny. Ludzkie rzeczywistości są bardziej skomplikowane, czasem są oddzielone jak kolumny, czasem się przenikają. Dla ich istnienia ważne są takie cechy jak **trwałość** ale i **elastyczność**, żeby zachować **spoistość**. W tym miejscu warto wprowadzić także układy zabezpieczające (**izolatory, zderzaki**), służące do neutralizacji zagrożeń, ich wydrażoną odmianą są np. grodzie wodoszczelne na statkach – analogiczne grodzie i zderzaki potrzebne są w kulturze, ekonomice, religii.

Nie ma jednej kultury – lecz przy okazji każdej można powiedzieć to samo: każda ma te same elementy: materialny i duchowy, każda ma swe centrum i margines, ma twórców i konsumentów, każda jest układem układów uporządkowanym przez jakieś informacje – to wartości tworzące hierarchię od biologicznych przez ekonomiczne po sakralne, każda musi mieć jakieś zasilanie. Zniszczenie systemu informacji – anihilacja wartości lub zburzenie ich hierarchii – niszczy całą kulturę, czasem całą cywilizację. Ale – powtórzmy raz jeszcze – ostatecznymi nośnikami kultury są ludzie, którzy borykając się z materią wokół siebie ale także z materią w sobie – tworzą swój ludzki świat. I to w nich trzeba zniszczyć wartości, by te światy uległy zagładzie.

Dygresja o produkcji matriksa.

Ludzkie nośniki (ciała) są nietrwałe – od początku ważne było przenoszenie informacji – na inny ludzki, lub nieludzki nośnik.

Do naszych czasów dotrwały nośniki, zapisy i ich treści utrwalone w różnego rodzaju materii, nie zawsze potrafimy je odcyfrować. Poprzedzały je zapewne opowieści nigdzie nie zapisywane. Nośniki ludzkie nie przetrwały, lecz zawdzięczamy im niezwykle dar: Mumie egipskie owinięte były w modlitwy i inne dzieła literackie, które przetrwały do naszych czasów.

Z jeszcze wcześniejszego okresu ocalały zapisy na tabliczkach glinianych sprzed 7,5 tys. lat, tzw. kultura Vinča (dziś przedmieście Belgradu). Zachowały się z tamtego czasu dzieła sztuki, np. słynna „pani z Vinči”, amulety, naczynia pokryte napisami (pismo staroeuropejskie), przetrwały także elementy sztucznego środowiska materialnego (SSM) – już wtedy budowano domy, wytapiano miedź.

Tabliczki pokryte pismem odnajdziemy też w Mezopotamii, wyrafinowani Chińczycy preferowali pisanie na skorupkach żółwi Tabliczki gliniane, skorupy żółwi (Chiny), zwoje miedziane (jeden ze zwojów w Qumran jest z miedzi), papirusy. Opowieści mówione zamieniały się w pisane, Egipcjanie nie tylko owijali zmarłych w modlitwy, utrwalałi także opowieści na papirusach i na murach świątyń.

A u nas?

Można założyć, że sztuczne środowisko duchowe od początku, od czasów „pogańskich” i wcześniejszych odpowiadało na zasadzie analogii sztucznemu materialnemu, powiedzmy, że z nim „korespondowało” – ale nie mamy pojęcia na jaki temat. Po prostu nie zachowały się nośniki. Dlatego niewiele wiemy o poglądach naszych słowiańskich przodków – pierwszym znanym nam przodkiem, pierwszym naszym sztucznym środowiskiem duchowym, ale przecież i materialnym jest cywilizacja chrześcijańska. Tę zaczynają jakieś resztki świątyni na jez. Lednickim, potem ilość znaków z dziedziny sztuki się zwiększa, dochodzą przekazy pisane – manuskrypty⁴, inkunabuły – początkowo było tego mało, a rola nośników jest ogromna. To – mówiąc językiem cybernetyki społecznej – przechowalniki i rezonatory (multiplikatory). Nie było tego wiele, ale było – o czym w przypisie. Cały czas chodziło o zwiększenie pojemności nośników, o zwiększenie dostępności i ułatwienie operowania nimi. Produkcją i powielaniem matriksu zajmowali się w chrześcijańskiej Europie wyspecjalizowani mnisi. Do 1500 roku wyprodukowali 35 tys. wydań, w sumie 15 – 20 mln egzemplarzy⁵. Potem nadejdzie era książek drukowanych, gazet, informacji nagrywanych i filmowanych. XX wiek radio, film, telewizja, Internet. Zmieniają się nośniki – niby nadal są materialne, ale w rzeczywistości są to nie tyle taśma czy płyta, ile elektryony, czy jeszcze drobniejsze cząstki; czasem w grę wchodzi zakłócenie

⁴ Wydajność mnicha: 3-6 kart formatu in quarto dziennie, więc 1 Biblia na rok, w ciągu życia – 40 ksiąg. W Kalabrii istniało nawet Vivarium – miasteczko mnichów – kopistów, założył Kasjodor kanclerz króla Ostrogotów Teodoryka; funkcjonowało od 555 – do jego śmierci w 583. Biblia Gutenberga kosztowała 100 dukatów, manuskrypty – 3 razy tyle. Ile to było realnie można dowiedzieć się z biografii Karola Straube.

⁵ 1474 – Almanach Cracoviensae Łaciński Kalendarz Karola Straube (z Bawarii). Czcionki z Augsburga – nie wiadomo czy dostał zamiast pensji czy wykradł i przyjechał do Krakowa, bo daleko. Pozostałe wydruki to Franciszka de Platea „Opus restitutionum” (O odszkodowaniach, lichwie i kłótwach kościelnych), Wykład psalterza Jana Turrecrematy i „Opuscula” – Drobniejsze dzieła teologiczne św. Augustyna. Dopiero w roku 1910 profesor Bolesław Ulanowski natrafił w aktach krakowskiego sądu biskupiego na informację pochodzącą z roku 1476, że „Kasper z Bawarii, drukarz ksiąg, obecnie w Krakowie zamieszkały” zobowiązuje się płacić alimenty Marcie z Czarnej Wsi w wysokości 16 groszy rocznie.

Równolegle z krakowską drukarnią Straubego rozpoczęła działalność drukarnia w Chełmie. To był początek polskiego matriksu. Składał się z ksiąg religijnych i prawniczych.

ich porządku i struktury – więc niemal nic materialnego. Informacje można kopiować, przemontowywać, łączyć w nowe układy – tworząc kopie których oryginały były tak różne, że można mówić o kopiach bez oryginałów. Jest to niezwykle ważne i niebezpieczne bowiem w XXI wieku następuje Wielka Przeprowadzka do IV wymiaru, z rzeczywistości realnej do wirtualnej; jesteśmy bardziej mieszkańcami matriksu, niż świata materialnego⁶.

Wnioski po drodze

Wniosek o rosnącej roli nośników i rezonatorów informacji to tylko jeden z nasuwających się w tym momencie. Oczywiście jest także rzeczą, że manipulacja informacjami skutkuje manipulacją zachowaniami, utrwała się w charakterach – więc w predyspozycjach do zachowań. Z tezy o sztuczności sfer, w których żyje człowiek wynika nieuchronnie wniosek o rosnącej roli sztukmistrzów i innych manipulatorów – przekładając na język praktyki: kto ma media ten przetrwa choćby był brzydki jak Venus z Vinči bo kto ma media ten ma władzę przekraczającą czas i przestrzeń. A jeszcze precyzyjniej: kto ma lepszych łgarzy – ten zwycięży – jak już zostało powiedziane 100 – procentowa prawda jest ontologicznie i logicznie niemożliwa. Do dyskusji można pozostawić, co znaczy „lepszy” – czego nie da się określić, bez opisu środowiska w którym mają łąć, poziomu wiedzy i skojarzeń manipulowanych (informowanych, wzruszanych) celu który manipulujący chcą osiągnąć.

⁶ Podobną tezę do skrajności doprowadził Jean Baudrillard, w pracy *Symulakry i symulacja* (1981, przekład polski r. 2005), twierdząc, iż nie żyjemy już w rzeczywistości, a w hiperrzeczywistości. Według niego znaki żyją już własnym życiem, korespondują ze sobą, jeżeli coś skrywają, to jedynie to, że nic nie istnieje. Jako przykład Baudrillard podał telewizyjną relację z wyborów, która w I etapie odzwierciedla rzeczywiste zdarzenie w kolejnych – coraz dalej odchodzi, staje się faktem telewizyjnym, symulacją rzeczywistości. Symulacja jest pozbawiona oparcia w realności, tu – jak powie paradoksalnie – piękno staje się piękniejsze od piękna, prawda staje się prawdziwsza od prawdy). Początek tego procesu datuje na 1959 rok – pierwsze wybory telewizyjne w Anglii. Jeszcze dalej posunie się w pracy *La Guerre du Golfe n'a pas eu lieu I* (1991; pol.: *Wojny w Zatoce nie było*, Warszawa 2006) twierdząc prowokująco, iż wojna w Zatoce istniała tylko w telewizji.

2. Kłopoty z kulturą w skali makro.

Znamy ze szkoły lekcje przypominające baśnie: te o zamierzchłych cywilizacjach, tajemniczych bóstwach. Egipt, Indie, Mezopotamia, Chiny, Grecja może nawet Atlantyda – nie ważne czy istniały, ważne, że były piękne. Patrząc do tyłu można było wierzyć w Raj i Złoty Wiek, patrząc w przyszłość – w Elizjum i Królestwo Boże. To były kopie – wiara w oryginały była – właśnie ... kwestią wiary. Najwięcej kłopotów sprawiała teraźniejszość, jednak nawet i w Europie można odnotować kilka udanych projektów. O zasięgu lokalnym – greckie miasta-państwa wraz z koloniami, z większych – na pewno Imperium, a dokładniej jego projekt zwany: *Pax Romana*. Jak wiadomo upadł on pod naporem barbarzyńców. Pamiętamy o najazdach zewnętrznych. Najazdy Hunów, w 452 zdobycie – jeszcze nie Rzymu, na razie Akwilei przez Attyłę (i opowieść o jego wycofaniu się na prośbę papieża; rok później umarł wskutek pijaństwa⁷), wiemy, że w 410 Rzym został zdobyty przez Alaryka, ale jeszcze na trochę ocalał – za koniec pięknej starożytności uznajemy rok obalenia Romulusa przez Odoakra (476). Można i tak. Ale warto pamiętać, że nie było to to samo Imperium. Upadek został poprzedzony przez wewnętrzny rozpad, którego wykładnikiem było zniszczenie sfery sakralnej.

W 313 roku Konstantyn zwany potem Wielkim wydał edykt mediolkański zrównujący religie, przed śmiercią przyjął chrzest z rąk ariańskiego biskupa Euzebiusza z Nikomedii. Warto odnotować, że miał bardziej ambitny plan: chciał się ochrzcić w Jordanie, to znaczy zostać nowym Chrystusem. Na ogół tego nie doceniamy, a przecież poprzednik Konstantyna Dioklecjan próbował załatwić sprawę prześladowaniami – było za późno. Chrześcijaństwo, które było religią marginesu, religią „dołów społecznych” stało się religią panującą. Sacrum marginesu zastąpiło dawne sacrum elit. Od tego momentu nic już nie pasowało do niczego, próba dopasowania układów wiary, prawa, obyczajowości nie mogła dać rezultatów, próba przywrócenia starego paradygmatu przez Juliana Apostatę – spóźniona i połowiczna.

⁷ Pośrednio: pijany w trupa zadławił się pawiem, lub krwią z nosa – różne wersje.

Europa chrześcijańska to od początku układ rozlatujących się a nawet niszczących nawzajem układów – podzielonych granicami państwowymi i językowymi. Łączy ją słaby w istocie układ informacyjny (SSD) – chrześcijaństwo stanowiący reliktowe odwzorowanie Cesarstwa – w rzeczywistości wirtualnej. Wyniszcza ją konflikt układów w rzeczywistości materialnej: kasta kapłanów zarządzana przez papieża walczy o prawo decyzji z kastą urzędniczą, której przewodzi a to król Anglii czy Francji, a to cesarz Niemiec. (te hinduskie określenia są tu akurat przydatne). Podziały są oczywiście bardziej skomplikowane, obie kasty mają swych dworaków i rycerzy. Europy nie zjednoczyło nawet zagrożenie islamem – krucjaty zakończyły się krótkotrwałą wegetacją Królestwa Jerozolimskiego, Zachód pozostał politycznie rozdrobniony, tereny Cesarstwa Bizantyjskiego utracone. Po wiekach eksperymentów projekt odbudowy Świętego Cesarstwa Rzymskiego (Narodu Niemieckiego) w oparciu o świecki aparat wojskowy i urzędniczy upadł. Próba zjednoczenia przez Francję była de facto podbojem i mimo że Napoleon poszedł na ugodę z Watykanem – katolickie kraje Europy wołały się sprzymierzyć przeciw niemu z prawosławną Rosją. Próby budowy utopii rezygnującej z religii i opartej na niepełnym, okaleczonym SSD – w Niemczech hitleryzm odwołujący się do darwinizmu w Rosji stalinizm odwołujący się do Marksa – zakończyły się ludobójstwem. Mordowano zarówno przeciwników, jak i tych, których miano zbawiać.

Pamiętać jednak trzeba, że przez wiele wieków istnieje (po części materialne a po części niemal niematerialne) Civitas Christiana – religijna resztówka po Cesarstwie Rzymskim, działająca początkowo w jego dawnych granicach, potem tracąca niektóre swe obszary (Anglia, płn. Europa) ale pozyskująca inne (Ameryka). Jego językiem jest łacina, zawiaduje systemem oświaty, szerzy kulturę materialną i duchową poprzez klasztory. To imperium zaczyna się chwiać po upadku łaciny jako języka łączącego, teraz jesteśmy świadkami rozkładu głównego spoiwa – religii.

Jak na tle tych wydarzeń toczyły się losy Polski?

2. Kłopoty w skali Prowincji i Przedmurza.

Polska powstawała w puszczy, rozwijała się na rozdrożu, budowała na polu bitwy.

Początki państwa (także narodu, a więc i tożsamości polskiej) toną we mgle hipotez. O **chrzcie** wiemy, że był ale nie jesteśmy pewni daty, o znaczeniu i skutkach tego aktu możemy sobie dedukować. Np., że klęska buntu 1038 była zwycięstwem opcji chrześcijańskiej. Ale w tym czasie Brzetysław zajął południe Polski kronikarz zauważył, że kościoły nie były tam zniszczone. Gdzie byli przeciwnicy chrześcijaństwa? co burzyli – jeśli burzyli?

Potem wrócił Kazimierz – ale przecież przy pomocy Niemców, co rzutowało na suwerenność naszego państwowego układu.

Pewne rzeczy dorabiamy sobie przez analogię (właściwie całe myślenie oparte jest na analogiach...) – wiemy na przykład, że w Czechach też było antychrześcijańskie powstanie (ok. 921, na czele stała regentka Drahomira, matka Wacława) ale miało ono przede wszystkim charakter antyniemiecki. A Wacław po objęciu władzy zaczął przywracać chrześcijaństwo.

Na pewno znakiem **suwerenności** państwa (czyli nowego układu – narodu) była koronacja Bolesława Śmiałego (1076); poczucie tożsamości wzmacniały też wojny z sąsiadami. Zakłóci ten proces śmierć Krzywoustego i rozpad Polski na dzielnice. Walka książąt nie pozwoliła na wytworzenie feudalizmu według wzoru zachodniego ale paradoksalnie stworzyła początkową formę demokracji rycerskiej.

Polska – jako układ państwowy – straciła jednak suwerenność i spójność, zaczęła tracić podukłady na rzecz sąsiadów (Śląsk, Pomorze) – trzeba byłoby cudu, by to wszystko naprawić. No to cud się stał – było to dzieło zbiorowe dokonane wspólnie przez żywych i umarłych, co podsuwa kilka pomysłów do definicji takich pojęć jak naród, państwo, tożsamość czy patriotyzm.

Anatomia cudu

O dramatycznym sporze między królem a biskupem Stanisławem wiemy tyle, ile zachowała legenda. To jednak wystarczyło, w matriksie liczą się bowiem ostatecznie **interpretacje** a nie **fakty, teorie** oceniamy w zależności od tego, na ile przekonają i do jakich działań popchną ludzi. Historia św. Stanisława mogła obrócić się przeciwko Polsce. Duchowieństwo niemieckie (a i czeskie) używało jej jako argumentu, iż kraj nasz stał się pogański, morduje nawet biskupów, jednym słowem wymaga „nowej chrystianizacji”. By udowodnić, że tak nie jest biskup krakowski (z rodu śląskich Odrowążów) Iwo rozpoczął starania o kanonizację, kontynuował je jego następca Jan Prandota. Ostatecznie Stanisław został kanonizowany 8 września 1253 w Asyżu, w roku następnym odbyły się uroczystości kanonizacyjne w Krakowie. Ten kult zaczął promieniować na całą Polskę – wraz z nim jego przesłanie:

tak jak zwłoki biskupa się zrosły – tak zrośnie się Polska. Kult biskupa był kultem tyleż politycznym, co religijnym.

Podobną rolę odegrał kult św. Wojciecha. Jakby zazdroszcząc Krakowowi również Poznań zaczął rozwijać kult kanonizowanego już w 999 roku św. Wojciecha, który przecież był patronem Polski. Przyczynił się do tego arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka. Objął on swe stanowisko w 1283 roku, jedną z jego pierwszych, może najważniejszych decyzji było polecenie *ażeby we wszystkich kościołach prowincji naszej, katedralnych i klasztornych, była na piśmie historia św. Wojciecha i ażeby przez wszystkich była używana i śpiewana*. Uroczystości odbywano dwa razy w roku 23 kwietnia (rocznica śmierci) i 20 października (translacja relikwii).

Rola jaką odegrał Jakub Świnka nie została doceniona w historii. To on zwołał na

6 stycznia 1285 do Łęczycy synod, na którym wystąpił z antyniemieckim przesłaniem, którego najważniejszy politycznie fragment warto przypomnieć:

Ale i inne nieszczęścia pomnożyły się w kraju przez napływ tego narodu (Niemców), albowiem naród polski jest przez nich uciskany, znieważany, nękaný wojnami, pozbawionych chwalebnych praw i zwyczajów ojczystych.

Z jego też inspiracji wydano ustawy, nakazujące wygłaszanie kazań w języku polskim. Walcząc z niemieckimi wpływami. W ten sposób, prócz pozytywnego celu wskazano wroga – negatywny układ odniesienia. Jeśli wziąć pod uwagę rozbięcie Polski na niszczące się wzajemnie układy, jeśli dodać podbój ekonomiczny a nawet demograficzny przez Niemcy i permanentne najazdy tatarskie – akcja Świnki była zbawienna. Do scalenia układów użyta została przede wszystkim kasta kapłańska – Świnka wprowadził regularne zwoływanie **synodów** – z udziałem duchownych z całej Polski. Książęta często w tym czasie przeważnie toczyli ze sobą walki.

Największą zasługą Świnki było doprowadzenie do koronacji Przemysła II w roku **1295** – pierwszej po przeszło 200 latach. Odbyła się mimo braku akceptacji papieskiej. Jej znaczenie podkreślał napis na pieczęci używanej po koronacji: „Reddidit ipse pronis victricia signa Polonis” („Sam wszechpotężny zwrócił Polakom ich zwycięskie znaki”).

Wprawdzie królowanie to trwało tylko 8 miesięcy, Przemysł został zamordowany przez brandenburskich siepaczy, ale przynajmniej w matriksie zjednoczenie się odbyło i trwało – jako wartość informacyjna, jako program. Drogi historii zostały wytyczone, po śmierci Przemysła biskup Jakub naturalnie

poparł Łokietka. Wbrew temu, co na ogół pamiętamy historia jeszcze trochę grymasiła, Łokietek, który objął panowanie nad Wielkopolską nie sprawdzał się jako władca, większym poparciem cieszył się walczący z nim Henryk Głogowski – i Świnka ... poparł Głogowczyka. Potem doszedł do wniosku, że ten też nie będzie dobrym władcą i dokonał niezwyklej wolty. Uznawszy, że tylko Wacław Czeski, dysponujący silną władzą zdoła przywrócić ład – koronował go w katedrze gnieźnieńskiej na króla Polski (1300). Po jego śmierci i niespodziewanej śmierci jego syna – poparł znowu Łokietka. Nie on go wprawdzie koronował, lecz na pewno jemu się należy miano architekta odrodzenia Królestwa Polskiego.

Przerwijmy w tym miejscu historię i wypunktujmy wnioski najważniejsze. Bycie Polakiem oznaczało w tym momencie:

1/. Bycie mieszkańcem Królestwa dość ciasnego geograficznie i kulturowo; kresy północno – wschodnie zamieszkiwali Prusowie i Jadźwin-

gowie. Można było być polakiem w sensie czynnym – działać na rzecz Królestwa, lub biernym, konsumpcyjnym, w pierwszym przypadku można mówić o ojczyźnie i o narodzie, w drugim – o kraju i zamieszkującym go ludzie.

2/. Używanie języka polskiego i (dodatkowo) łaciny – przez elity obowiązkowo.

3/. Bycie katolikiem – wyznawanie tych samych wartości najwyższych – sakralnych, w założeniu przynajmniej motywujących do działań.

4. Bycie szlachcicem tzn. należenie do elity podejmującej decyzje, budującej, ale także broniącej, odpowiedzialnej,

5/ Podporządkowanie własnemu centrum decyzyjnemu (królowi, księciu).

6. Przeszłość do której sięgano, była przeszłością ubogą: sięgała dynastii piastowskiej i zaczynała się od przyjęcia religii chrześcijańskiej. Nieznana tradycja „pogańska” została zastąpiona historią świętą – biblijną.

6. Misja historyczna zapewne dotyczyła połączenia ziem, reszta była wpisana w gorliwość⁸ ale mgliście pojmowaną historię świętą.

Zbiór wartości, z którymi zaczynamy się utożsamiać, które tworzą charakter, decydują o postępowaniu w skrócie nazywamy tożsamością. Myślę, że wyliczone wartości tworzyły charakter narodu Polaków tamtego czasu, miały charakter homogeniczny, skupiony i nadawały Polakom nieco monotonną wyrazistość. Polska nie była jeszcze Przedmurzem, była raczej Prowincją chrześcijaństwa. I nie zapominajmy: ta polskość była tożsamością elity, części kasty kapłańskiej i rycerskiej, miasta były w dużym stopniu zniemczone po wyróżnieniu mieszkańców przez Tatarów, wieś zamieszkiwał „lud” – ciemna masa etniczna, nierzadko wywodząca się z jeńców.

Ten wstępny projekt polskości „piastowskiej” skończył się z upadkiem dynastii. Polska przejściowo zawiera unię z Węgry – co być

⁸ Tę gorliwość należałoby opatrzyć znakiem zapytania. Polscy rycerze nie biorą udziału w krucjatach (wyj.: Henryk Sandomierski), walczą tyleż w obronie wiary, co ojcowizny z Tatarami, Litwinami, Jadrangami – tzn. zmuszani najazdami. Z drugiej strony są kształtowani przez szkolnictwo kościelne i obrzędowość chrześcijańską.

może przekona Polaków do tej formy politycznej – jako że oznacza słabą władzę centralną i duże swobody dla szlachty (przywilej koszycki ograniczający podatek). Warto mieć na uwadze nową jakość: potencjalną, zwolna narastająca wielokulturowość i wielojęzyczność tego projektu: prócz Polaków i Węgrów obszar pierwszej Unii zamieszkiwali Rusini, Słowacy, Niemcy, napływali Ormianie i Żydzi. Projekt tej unii nie został wprowadzony w życie, w roku 1385 wprowadzono podobny – w Krewie zawarto Unię z Litwą. Z Litwą toczyliśmy wojny, rywalizowaliśmy na ziemiach ruskich – unia to za jednym ruchem zlikwidowała, połączyła oba państwowe układy polityką i ideologią antykrzyżacką. W pewnym sensie odwracało to Polskę o 180 stopni: tyłem do Niemiec i popierającego Krzyżaków cesarstwa – przodem do wrogich potęg: Moskwy i Turcji. Państwo polskie stanie się obszarem Przedmurza.

Anatomia następnego cudu, czyli kto zrobił Unię?

– Zaczniemy od odpowiedzi: **panowie małopolscy**. Tak najczęściej się o nich mówi. Albo: regenci. W 1380 Ludwik Węgierski powołał 4 regentów: Jan Radlica (prawdopodobnie spod Kalisza), Sędziwój z Szubina (właściwie Pałuka – założyciel Szubina), Domarat z Pierzchna (też Wielkopolska) i Dobiesław z Kurozwęk (Świętokrzyskie). Ten ostatni wsławił się dodatkowo tym, że w 1386 roku przegonił z Krakowa Wilhelma, który chciał skonsumować związek z Jadwigą (która wtedy miała 12 – 13 lat) – za co dostał Szczepczyszyn od Jagiełły...

Regenci okazali się politykami dalekowzrocznymi, elastycznymi, obdarzonymi wyobraźnią. To było kolegium 4 geniuszy. Taką wyobraźnią odznaczy się Piłsudski zawierając traktat z Petlurą.

Unia rozpada się i jest ponowiona w 1413 w Horodle, potem jeszcze kilkakrotnie – w sumie zawarto 6 (słownie: sześć) unii.

Kryzys w 1440 – unia nie działa. W 1447 Zbigniew Oleśnicki ofiarowuje koronę Kazimierzowi Jagiellończykowi. Od tej pory oba człony zaczynają się zrastać – czego wyrazem stanie się Konstytucja 3 Maja.

W roku 1812 Konfederacja Generalna Królestwa Polskiego ogłasza wskrzeszenie Polski i wskrzeszenie Unii.

Myślę, że do kolekcji wniosków możemy dodać cechujące elitę po-

czucie **racji stanu**, poza tym umiejętność tworzenia hierarchii wartości – i przedstawiania tych wartości w razie potrzeby.

3. Sarmatyzm – jedyny (prawie) dokończony projekt

Następny wielki projekt kulturowy łączy się z państwem unijnym, wielonarodowym. Zaczęto go tworzyć po zawarciu unii z Litwą – właściwie nigdy nie ukończono. Obszar eksperymentu wynosił 990 tys. km kw. w roku 1634 zamieszkiwało go około 11 milionów. (ten rok to data pokoju z Moskwą w Polanowie).

Historia tego okresu jest bardziej znana, więc wypunktujmy tylko sprawy najważniejsze. Na **tożsamość sarmacką** składały się takie punkty:

1. **Elitaryzm**. Poczynając od faktu, iż była to unia elit szlacheckich, nastąpiło nawet formalne zrównanie przez przyjęcie do herbów – ale to były mniejszości. Niemniej i w Koronie i na Litwie narodami były mniejszości. Przez naród rozumiemy tutaj ludzi posługujących się tym samym kodem kulturowym, kierujących się tymi samymi wartościami, odwołujących się do tej samej tradycji i – poważniejsze – dążących do realizacji tych samych celów.

2. **Chryścianizm**. Środowiskiem duchowym Sarmatów była kultura chrześcijańska, językiem byłaby łacina – gdyby elita litewska lepiej ją znała i białoruski – gdyby miał jakąś bazę w postaci literatury. Język polski oferował coraz większy zasób informacji i wartości – z biegiem lat stał się drugim, obok łaciny, językiem unii, w końcu – pierwszym. Ponieważ wspólna historia polegała na bitwach i najazdach – tradycję oparto o wspólną historię walk z Krzyżakami, potem z Tatarami i Rosją, wreszcie z Turcją. Subtelności eschatologii bliższej dalszej wyjaśniała religia chrześcijańska ona także określała sferę sacrum, oddzielała ją od profanum, naznaczała obrzędami i świętami, najważniejsze z powtarzalnych wydarzeń (chrzest, ślub, odejście ze świata) podnosząc do rangi sakramentów.

3. **Republikanizm**. Korzeniami sięgał może do Polski Dzielnicowej, na pewno do czasów bezkrólewia Ludwika Węgierskiego. Powoli ujed-

nolicany system prawny wzorowany na Rzymskim został podbudowany artykułami henrycjańskimi i umowami Konfederacji Warszawskiej, postać prawie skończoną zyskał w Konstytucji 3 Maja. Lokalne społeczności (np. żydowska) cieszyły się często własnym prawem. System „republikański” w istocie łączył zalety demokracji arystokratycznej (dla wybranych) z zaletami monarchii; parlament był obieralną reprezentacją ziem („małych ojczyzn”) nie zaś reprezentacją partii („małych narodów”), stał ponad władzą królewską – lecz nie do końca: ta przewyższała go sakralnością. Możliwość nadawana sakry królowi, zwykłym ludziom i wydarzeniom (mianując je niezwykłymi) wzmacniała i czyniła niezbędnym duchowieństwo. Na rozwój republikanizmu wpłynęły dodatkowo elekcje *viritim* i sejmy, które elita szlachecka traktowała tak poważnie. Z pewnością tylko przesadą rzec można, że to szlachecka demokracja wymusiła przeniesienie stolicy do Warszawy.

4. Tolerancja. Była to luźniejsza forma religijności od chrześcijaństwa Polski Piastowskiej. Przez Polskę przeszły wojny husyckie, by zapobiec podobnym – w

I Rzeczypospolitej wdrożono wiele wynalazków – umów. W ramach unii obowiązywała równość wyznań i wyznawców Litwy i Polski, sprawy skomplikował czas Reformacji. Po buncie Lutra nastąpił bunt Kalwina, przeciwko kalwinistom wystąpili jeszcze bardziej radykalni Bracia Polscy – arianie. W roku 1570 obydwie kościoły protestanckie, luteranie i kalwini zawarli Zgodę Sandomierską – niestety wyłączyli spod jej ochrony arian. Początkowo nie pociągnęło to za sobą poważniejszych następstw. Wydarzeniem, które nas rozślawiło na Europę była Konfederacja Warszawska. W 1573 pierwszy sejm konwokacyjny przyznawał swobodę wyznania szlachcie – zapis ten został włączony do tzw. Artykułów Henrycjańskich, każdy nowo wybrany monarcha musiał go akceptować.

W roku 1596 zawarto unię między cerkwią prawosławną a kościołem katolickim, po 1620 nastąpiły próby nieformalnej restytucji prawosławia (od 1633 formalnej) nie uznającego Rzymu – ziemie z dużą liczbą prawosławnych odpadły w czasie buntu Chmielnickiego, na pozostałych powoli zwyciężał kościół unicki.

Trzecim i czwartym co do znaczenia były kościoły protestanckie: kalwiński („szwajcarski”) i luterński (mniej popularny, bo „niemiecki”). Wzlot i upadek przeżył ruch polskich arian – w 1658 dano im jednak do wyboru albo przejście na któreś z uznanych wyznań chrześcijańskich, albo banicja. Była to represja za udział w traktacie rozbiorowym w Radnot.

Rok 1658 wpisał się do historii także Ugoda Hadziacką, która przekreślała skutki tzw. Rady Perejsławskiej. Ugoda przewidywała trzeci człon Rzeczypospolitej w postaci księstwa ruskiego (z ziem województw: czernihowskiego, bractawskiego i kijowskiego) rządzonego przez własnego hetmana – zatwierdzanego przez króla. Ugoda zrównywała prawosławie z katolicyzmem, metropolici i biskupi wchodzili w skład senatu, Księstwo miało takie same instytucje (urzędy, trybunały) jakie działały w Polsce i na Litwie. Ugoda została zatwierdzona przez sejm i króla, jej efektem było wspólne zwycięstwo nad interwencyjnymi wojskami Rosji 8 lipca 1659 pod Konotopem.

5. **Tradycja.** Sarmatyzm był wyrazem poszukiwań wspólnej tradycji – ostentacyjnie różnej od rzymskiej w rzeczywistości opartej na filarach, takich jak prawo rzymskie podtrzymujące organizację życia (z językiem łacińskim) i kultura chrześcijańska w wersji również łacińskiej. Trzeci filar stanowiła codzienna praca Polaków w kulturze – praca owocująca dziełami, tzw. kulturą materialną i zamieniającą się w udokumentowaną przeszłość, to znaczy w tradycję. Brakująca Polakom historia dalsza (przedchrześcijańska) zastąpiona została chrześcijańską i rycerską.

6. **Misja.** Jeśli można mówić za Norwidem o „addycji” – historia była wpisana w mitologię Przedmurza a potem – w historię świętą. Postępowało nasycaenie życia pierwiastkiem sakralnym, na co miały wpływ wydarzenia historyczne – np. „cudowna” obrona Jasnej Góry. Obszar Polski był nasycony miejscami świętymi, dodatkowo – miejscami kultu cudownych obrazów, posągów itp. Tak pojmowana misja zamieniała Sarmatów automatycznie w hufce Boże, albo w Rycerstwo Maryi. Dlatego kultura – obyczaje, literatura – zostały nasycone wartościami

religijnymi i rycerskimi. Częścią narodowego charakteru miały stać się religijność i patriotyzm oraz takie cnoty jak odwaga, poświęcenie, bohaterstwo, szczodrość, opiekuńczość. Te wartości składały się na tożsamość narodową Polaków.

Do listy wniosków dopisać warto jeden: otóż: tożsamość musi stać się więzią, musi być akceptowana, ostatecznym decydentem w tej sprawie jest oczywiście psychika, dusza, sumienie – określenia mają wartość przybliżeń, chodzi o ten żywioł suwerenny, który wpływa na nasze działania, który może pewne bodźce blokować, unieszkodliwiać w wodoszczelnych grodziach pamięci, pewne wzmacniać. Niszczyć można tożsamość nawet nie niszcząc jej nośników, manipulując wiedzą, emocjami – i w ten sposób przejmować układy by wyposażyć je w inną pamięć.

Kultura sarmacka była właściwie **dwujęzyczna**, w zasadzie używano polskiego, do kontaktów europejskich służyła łacina. Spełniała więc warunek częściowej **otwartości** (i częściowej izolacji), włączała różne nowinki – religijne, artystyczne, obyczajowe – co nadawało jej **elastyczność**. Temat wart jest osobnych opracowań, w tym miejscu musimy je zastąpić hasłami: dworek Kochanowskiego i Zamość jako miasto idealne, Pałac w Wilanowie i barokowe świątynie Kresów, poezja Sarbiewskiego, „Wojna Chocińska” Potockiego i jezuickie uczelnie na których ciągle królowała scholastyka. W żadnym kraju genialny Grubas z Akwinu nie miał tylu wyznawców – bo i elity były w Polsce liczniejsze. Projekt ten nie został dokończony, jego baza (że użyjemy słów niemodnych, ale przydatnych) została rozbita przez sąsiadów, nadbudowa zaczęła trzeszczeć już wcześniej – projekt sarmacki został zaatakowany od środka przez kulturę „Oświecenia” – początkowo opartą na modzie na francuszczyznę (pierwsza monarchia Europy!) – potem nieco pogłębioną, lecz nadal elitarną, co rozdzielało ośrodek władzy od podporządkowanej jej reszty układu. „Oświecenie” było budowane przez dwór królewski i kilka dworów magnackich, opierało się na racjonalizmie, na micie demokracji „ludowej” (u nas szlacheckiej) i tradycji francuskiej. Została zachwiana równowaga pomiędzy tradycją a awangardą. Zwolennicy

„oświeceniowego” projektu połączyli się z zaborcami w walce z Konfederacją Barską. Wielu dawnych konfederatów połączy się w przyszłości z Rosjanami przeciw reformatorom 3 Maja.

Ostatecznie obydwa projekty upadły wraz z upadkiem Rzeczypospolitej.

Kultura i margines

W każdej społeczności istnieją ludzie mniej albo bardziej utożsamiający się z kulturą, nie brak takich, którzy są jej obcy, lub znają ją powierzchownie. Można mówić o Centrum i Marginesie kultury. Kultura Rzymu upadła, gdyż nie był on w stanie poradzić sobie z naporem marginesu, o buncie marginesu można mówić też podczas Rewolucji Francuskiej. Ostatecznie jednak kultura chrześcijańskiej Europy poradziła sobie z problemem. Nastąpiła Restauracja, Rewolucje 1830 i 1848 były dość powierzchowne Europa Centralna scementowała się Świętym Przymierzem zawartym na gruzach Polski. Dopiero w II połowie XIX wieku Europa nie dała sobie rady z problemem jaki stanowił wielkoprzemysłowy proletariatus. Francja poradziła z nim sobie za cenę rozluźnienia struktur wewnątrz – politycznych i religijnych, Niemcy i Rosja upadły pod naporem zbuntowanych mas. Ten nowy margines nie był już tak bezbronny jak kiedyś – to była rezerwowa armia mająca rezerwowych przywódców i ideologów. Ideologią zdolną konkurować z religią okazał się marksizm obiecujący to samo co chrześcijaństwo, ale tu i teraz, natychmiast, nazajutrz po rewolucji. To złudzenie podtrzymywano czas jakiś, jeszcze podczas zjazdu III Międzynarodówki Lenin obiecywał, iż młodszy uczestnicy dożyją komunizmu. Potem górnołotne obietnice zastąpiono terrorem. W gruncie rzeczy chodziło tylko o to, by centrum i margines zamieniły się miejscami.

4. Odbudowa II RP.

Jeśli chodzi o **polityczną**, formalną koncepcję odbudowy początkowo rywalizowały **dwa projekty**:

minimum – trochę rozbudowanego Królestwa z manifestu 2 cesarza (gdzieś w tle jako wzorzec funkcjonowała Polska Piastów, potem Księstwo Warszawskie) oraz

maksimum – Rzeczpospolita Federacyjna.

Byliśmy blisko realizacji programu maksymalnego – napotkał on jednak opór zewnętrzny (najazd bolszewicki) i wewnętrzny („Polska etniczna” ND, hasło „powrotu nad Wisłę” części lewicy, m. in. Krzywickiego).

W rezultacie – jak to w historii – wyszło coś, czego nikt nie chciał. Po dłuższym okresie oczekiwań – zlikwidowano Litwę Środkową, powstała Rzeczpospolita kontynuująca tradycje państwa federacyjnego, unijnego ale w jednolitym układzie państwa etnicznego, rządzonego przez polską elitę.

Polskę – jako II Rzeczpospolitą – sklecano z ziem 3 zaborów łącząc 3 systemy komunikacyjne, prawne, obyczajowe. Był to obszar 388 tys. km kw. zamieszkały przez około 27 milionów Polaków, w znacznym procencie wygnańców z Kresów – ofiary wojny bolszewickiej i Pokoju Ryskiego. Cywilizacja takiej Polski musiała być nastawioną na siebie, do wewnątrz, nie na ekspansję. Sztukowano także kulturę – łącząc 3 niedawne przeszłości i z teraźniejszością i z przeszłością bardzo daleką – za to wspólną. Łączono jednocześnie przeszłość z teraźniejszością, bo rzeczywistość 3 prowincji łączono z wspomnieniami dawnej, wspaniałej Rzeczypospolitej.

Tożsamość oparto na podobnych regułach – kultura chrześcijańska, sytuacja Przedmurza (znów aktualna po najeździe bolszewickim i po powstaniach w Wielkopolsce i na Śląsku), kult wolności wyładowywał się w partyjnictwie ale i w pracy samorządowej.

A teraz trochę szczegółów:

Zwiększyła się baza: dawny naród szlachecki stał się nową elitą, można przyjąć, że elita narodotwórcza była procentowo liczniejsza niż w czasach I RP.

W ostatnich latach Rzeczypospolitej obszar wynosił 733 tys. km kw. (1771), ludność – wynosiła około 9 mln⁹. Do ówczesnej elity za-

⁹ Dla porządku: na początku państwowości: 700 – 1 000 000, 1370 – 1,9 mln
1582 – 7 500 000; 1634 – 11 000 000, 1750 – 12 000 000 (potop), 1800 – 9 000 000
1846 – 11 107 000, 1911 – 22 110 000, 1921 – 27 177 000; 1931 – 32 107 000
1938 – 34 849 000;

liczyć można 10 – 15 procent populacji Polski – szlachty, bogatszego mieszczaństwa i nielicznych chłopów. Były to elity rozproszone – im bardziej na wschód kultura (więc i narodowość) z lądu stałego przemieniała się w archipelag. II RP zarówno gospodarczo, jak duchowo przypominała swoją poprzedniczkę – Rzeczpospolitą Sarmacką, tyle że skondensowaną. Elitę tworzyła tradycyjnie dawna szlachta, inteligencja pochodzenia szlacheckiego i mieszczańskiego, ale także nowa, ponadklasowa elita zasługi – wojsko. Dynamicznie rozwijały się młode, powstałe w XIX wieku elity, które tworzyło najbogatsze chłopstwo i robotnicy wielkoprzemysłowi – zahartowani w związkach i partiach. Część robotników (zwłaszcza ci z pierwszego pokolenia), większa część chłopstwa (zwłaszcza prawosławne) i prawie wszyscy Żydzi pozostawali jednak na marginesie. Ważnym zadaniem dla II RP stała się inkulturacja – więc walka z analfabetyzmem, wspieranie organizacji społecznych i samorządowych, zwiększyła się też rola wojska.

Rozbudowa

Rozbudowywano tę Polskę nie na solidnych fundamentach ekonomii, lecz na ruinach i pustkowiach – ale z rozmachem, wyprzedzając inne narody w wyścigu ku przyszłości. Parcelacja włączała do produkcji mniejsze i średnie gospodarstwa, na kresach pojawiły się żołnierskie działki, po całym kraju zaczęły rozkwitać spółdzielnie – jako wspólnoty i jako przedsiębiorstwa. W miastach, zwłaszcza na Śląsku – postępował wykup przemysłu z obcych rąk i budowa nowych zakładów; od zera budowano Gdynię i COP, rozbudowano Katowice. Można powiedzieć, że równoległe do świata natury tworzone od nowa sztuczne środowisko naturalne – tym razem polskie.

Nad sferą kultury wciąż jeszcze ciążył analfabetyzm, lecz przeprowadzono reformę oświatową, rozbudowywano sieć bibliotek i świetlic. Problem był ze sferą najwyższą – z wartościami, które decydują o tożsamości. Wciąż istniało kilka trudnych do zharmonizowania układów –

1946 – 23 930 000, 1950 – 25 008 000, 1960 – 29 776 000, 1970 – 32 642 000
1978 – 35 061 000, 1995 – 38 610 000, 2000 – 38 654 000, 2005 – 38 191 000,
2009 – 38 167 329, 2014 – 38 484 000. Cyfry nie obejmują ok. 2 mln emigrantów III RP.

sacrum patriotyczne i sacrum narodowe na ogół nakładały się na siebie – niestety pogłębiając podziały. Uwidoczniają to dane statystyczne na temat wyznań:

katolicy 62% (1921) – 64% (1938); grekokatolicy – 12% – 10, 4, wyznanie prawosławne – 11% – 11, 9; wyznanie mojżeszowe – ok. 11% – 9,5 wyznania reformowane (protestanci) – ok. 2,6 % – 2,5 obywateli.

Biorąc pod uwagę fakt, że żaden z istniejących modeli religijnego sacrum nie zapewniał spójności całego układu państwowego – tym bardziej docenić musimy wysiłek Piłsudskiego by spajać te rozchwiane układy „od góry”, nasączać materię społeczną wartościami sacrum państwowego, niepodległościowego a nie przy pomocy sacrum religijnego czy narodowego.

Wynalazkiem i programem piłsudczyków była ideologia państwo-twórcza: kult państwa traktowanego jako dzieło wspólnego wysiłku i kultywowanie postaw twórczych jednostek realizujących się w pracy dla tego państwa. Sfera pracy otoczona została ochroną poprzez stworzenie Państwowej Inspekcji Pracy. 23 listopada 1918 Piłsudski wprowadził 8 godzinny dzień i 46 – godzinny tydzień pracy – dekret ten był najbardziej postępowym na świecie aktem prawnym w tej dziedzinie. Naczelnik zadbał także o wprowadzenie praw chroniących bezpieczeństwo i higienę pracy, zakazujących pracy dzieci, czyniących lżejszą pracę kobiet – były to echa dawnych, socjalistycznych jeszcze pomysłów PPS na Polskę.

Ograniczenie czasu pracy dawało jednocześnie czas wolny – na korzystanie z kultury, na „sportowanie” i świętowanie. Sport nie miał być celem w sobie, chodziło o zdrowie, które było warunkiem korzystania z kultury, i w ogóle z życia. Dlatego Piłsudski wołał zabawowe „sportowanie” od niszczącego organizm sportu wyczynowego. Dzięki niemu zaistniał w Warszawie CIWF – jedna z pierwszych tego typu uczelni w Europie. Popierał także rozwój spółdzielni i różnego rodzaju towarzystw, zwłaszcza regionalnych. W sferze socjalnej chodziło o odbudowę więzi wspólnotowych, w kulturowej – o zapewnienie możliwości realizowania człowieczeństwa, o bezkonfliktowe korzystanie z wartości. Nie

mogła temu służyć ani jedna jedyna religia, ani program jednej jedynej partii. Nie przypadkiem jedynym ruchem politycznym którego powstanie Piłsudski zainspiruje, będzie paradoksalny ale przecież obywatelski Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem...

Symbolicznym zakończeniem wieloletnich walk o niepodległość stały się uroczystości 5 sierpnia 1921 roku na Cytadeli. W rocznicę stracenia Traugutta i czterech członków Rządu Narodowego odbyła się wspólna defilada żołnierzy różnych formacji, także peowiaków i legionistów. Piłsudski, który już wcześniej wydał rozkazy oddawania honorów uczestnikom Powstania Styczniowego, teraz udekorował krzyżem *Virtuti Militari* 10 weteranów tamtych walk, wśród nich Mariana Dubieckiego, Benedykta Dybowskiego, Bolesława Limanowskiego i Aleksandra Kraushara. To święto kończyło historię nieudanych walk o niepodległość, przykrywało je zwycięskimi sztandarami.

Nazajutrz, 6 sierpnia 1921, odbyły się obchody rocznicy wymarszu I Kompanii Kadrowej. To święto przypominało początek walk prowadzących do zwycięstwa. Potem do rocznic tych zwycięstw dojdzie jeszcze Święto Żołnierza obchodzone 15 sierpnia, na pamiątkę zwycięstwa pod Warszawą. Ogólnopaństwowy charakter miały także obchody Święta Niepodległości – 11 listopada i Konstytucja 3 Maja, a także... Święto Morza (28 czerwca).

Piłsudski zauważył kiedyś, że *w Polsce za mało obchodzi się rocznic wielkich zwycięstw odniesionych w naszej historii, a za dużo sentymentalizmu łączy nas z rocznicami tragicznymi*. Próbując naprawić to skrzywienie, wprowadził w życie cywilne zwyczaj uroczystego obchodzenia świąt pułkowych – daty tych świąt przeważnie upamiętniały zwycięstwa tych pułków. Programowo apolityczne wojsko (może nie tyle apolityczne co apartyjne) miało być spoiwem społeczeństwa, piłsudczycy zaszczeplali Polskę kult wojska i kult wartości wojskowych – niezależnych przecież od religii czy partii – wartości takich jak honor, patriotyzm, lojalność, wierność słowu itd.

Ważnymi momentami w procesie budowy państwowego sacrum były święta nadawania orderów – **miastom-bohaterom**: Lwów otrzymał *Virtuti Militari*, Płock – Krzyż Walecznych. W tym samym ciągu wspo-

mniej trzeba zorganizowane 5 maja 1921 obchody stulecia śmierci Napoleona i ogólnonarodowy, powtórny pogrzeb Słowackiego zakończony 28 czerwca 1927 uroczystością złożenia na Wawelu prochów Słowackiego – poety, który – jak powiedział Piłsudski w wygłoszonym wówczas przemówieniu – *królom był równy*.

6 października 1933 roku odbyły się największe w naszych dziejach obchody rocznicy zwycięstwa: 250-lecie Odsieczy Wiedeńskiej. Na Błoniach odbyła się głośna na cały świat defilada 12 pułków kawalerii¹⁰, następnie udano się do katedry, by złożyć hołd Janowi III. Pół żartem, pół serio Piłsudski mówiąc o grobach wawelskich wspominał, że może i dla niego znajdzie się wśród nich miejsce.

Elementem państwowego sacrum stała się także postać samego Marszałka. Piłsudski pojawiał się coraz rzadziej na najważniejszych jedynie uroczystościach – przemawiał, dekorował zasłużonych. Roli wodza dodał odcień roli arcykapłana. Wystąpienia Marszałka stawały się świętami, wręczane przez niego orderzy traktowano też jak świętość – takie zresztą były jego intencje od czasu ustanowienia orderów I Brygady. Półoficjalnie, ale jako święto państwowe, obchodzono Imieniny Marszałka, podobizny Piłsudskiego zaczęły ozdabiać ściany szkół, srebrne monety, także znaczki pocztowe.

6 sierpnia 1934, rozpoczęto na krakowskim Sowińcu budować Kopic Piłsudskiego – jeszcze za życia, choć już blisko śmierci. Piłsudski umarł 12 maja. Po jego śmierci znaleziono kartkę, którą wypadło potraktować jako ostatnią wolę. Znajdowały się na niej słowa: *Nie wiem czy nie zechcą mnie pochować na Wawelu...Niech!*

Projekt II RP został zniszczony wspólnymi siłami Niemców i Rosjan, elity wymordowane.

¹⁰ Przypominam, że obowiązywał jeszcze Traktat Wersalski, który nakazał Niemcom zmniejszenie liczebności wojska do 100 tys. i zniszczenie fortyfikacji, zakazał przeprowadzania poboru, zakazał wyposażania armii w czołgi i samoloty, ograniczał marynarkę wojenną. To rozbrownienie Niemiec stanowiło przesłankę projektu wojny prewencyjnej. Niemcy zaczęły łamać postanowienia traktatu już po śmierci Piłsudskiego – remilitaryzacja Nadrenii – 1936, Anschluss Austrii – 1938.

5. Po „wyzwoleniu”.

Tzw. „Polska Ludowa” nie była podukładem ZSRR, ale była układem zależnym, sterowanym w interesie sowieckiego suwerena. By to sterowanie usprawnić usuwano resztki dawnego układu sterowniczego i pamięć umożliwiającą jego odtworzenie. Niszczono więc zarówno środowisko materialne jak duchowe.

Na poziomie biologii – zlikwidowane zostały elity gwarantujące wcześniej suwerenność układu, wymordowana kasta rycerska (AK, NSZ, Żołnierze Wyklęci), także przedwojenna policja i większość kasty urzędniczej. Część zmuszono do emigracji.

Zablokowano dostęp na studia dla dzieci „wrogów ustroju”; awans na wyższe stanowiska zarezerwowany był dla członków PZPR i dla tajnych współpracowników (Współpraca z UB / SB stała się czymś w rodzaju testu poprawności politycznej).

Ekonomicznie – wprowadzono kapitalizm państwowy a właściwie partyjny, własność grupowa, liczebność grupy (w pewnym momencie ponad 2 mln) nie pozwalała dostrzec tego fenomenu. W rzeczywistości rządziła sama nomenklatura – oceniana na 80 – 100 tys. osobników wpisywanych na specjalne listy, dzięki czemu w komunistycznej PRL odbywało się krążenie elit. Zlikwidowano własność prywatną w przemyśle zaś wielką własność ziemską w rolnictwie – poprzez reformę najpierw podzielono, następnie połączono w spółdzielnie.

Z punktu widzenia **socjologicznego** nastąpiło paradoksalne odwrócenie przypominające w miniaturze i w karykaturze czasy Rzymu: barbarzyńskie elity stanowiące przed wojną margines objęły władzę, dawne elity – wyniszczone i spauperyzowane, stały się marginesem. Część z nich zachowała dawne sacrum...

Władzę objęła ekipa przygotowana we Lwowie – kierowana przez wyszkoloną agenturę. Socjalnie byli to Żydzi, powierzchownie doksztalчени chłopci i robotnicy – raczej bez przedwojennych działaczy związkowych czy członków PPS. Resztki przedwojennego aparatu PPS włączono do agenturalnej PPR

Zainstalowane z nadania zaborców (nie drogą doboru naturalnego) ersatz – elity, były – bo miały być – mniej sprawne, niezdolne do sa-

modzielnego sterowania państwowym układem (co zemści się po roku 1989). Nie znaczy to, że elity te nic nie robiły.

Od końca lat 50 przygotowywano kadry „następców tronów” – służyły temu szkoły (np. Gottwalda w Warszawie), obozy „walterowskie”, elitarne kluby (Klub Poszukiwaczy Sprzeczności).

Atak aparatu komunistycznego prowadzony był w trzech kierunkach:

rodzina, dwór i Kościół. Dwory zlikwidowano, Kościół został spacyfikowany, ba, potępiony przez lokajskie elity kulturalne (tzw. list krakowskich literatów). Porozumienie z 14 kwietnia 1950 było aktem kapitulacji.¹¹

W kulturze: rozpoczęto trwający do dziś proces desakralizacji kultury.

niszczona była tradycja szlachecka i chrześcijańska a to znaczyło także likwidację etosu rycerskiego, etyki i stopniowo – obyczajowości chrześcijańskiej.

Rdzewienie sowieckiego nadukładu

W historii PRL wyodrębnia się okres po 1955 – 1956 roku gdy kontrola moskiewskiego Centrum słabnie. W lipcu 1955 zaczęła działać amnestia. Z więzień wypuszczono niedobitki dawnych elit, dotychczasowa elita jest wewnętrznie skłócona, o łaski suwerena wciąż walczą „Chamy” i „Żydy” (według znanego określenia Witolda Jedlickiego).

Polska unika losu Węgier (wymordowanie lub zmuszenie do emigracji elit), pozostaje układem zależnym w ramach Paktu Warszawskiego – jednak bardziej izolowanym niż frontowe NRD czy tzw. republiki radzieckie, stanowiące de facto podukłady rosyjskiego imperium. W Polsce – jeszcze przed 1960 rokiem – widzimy próby ożywienia środowisk niepodległościowych przez gen. Romana Abrahama, który wraz z gen. Mieczysławem Borutą – Spiechowiczem rozpoczyna kampanię w obronie Cmentarza Orląt. W Łodzi mają miejsce pierwsze próby zmobilizowania b. akowców, ok 1965 zaczyna działać grupa braci Czumów i Mariana Gołębiewskiego, z której powstanie „Ruch”.

¹¹ Patrz aneks

Stabilność układu naruszają wstrząsy 1968, 1970 i 1976.

1968 – wybucha zryw pokoleniowy, zainicjowany przez studentów, zdominowany w II fazie przez młodzież robotniczą. Ujawnia się (w małym wymiarze) podział opozycyjnego marginesu na niezbyt liczny neokomunistyczny, który tworzą przemalowani „następcy tronów” (200 – 300 osób na kilkadziesiąt tysięcy) i autentycznie niepodległościowy, którzy tworzą studenci z akademików, młodzież szkół średnich i młodzi robotnicy. „Niepodległościowcy” nie wytworzyli elity, pojawiły się i zniknęły jednostki które powrócą za lat parę – student prawa Stefek Melak, student historii, poeta Jerzy Tomaszewicz i inni.

Przy okazji marcowego zrywu frakcja „Chamów” ostatecznie rozbija frakcję „Żydów”. Pomysłowo wykorzystuje fakt, że wielu „następców tronów” angażuje się po stronie studentów, wsadza ich do aresztu i traktuje jak zakładników. Po wypuszczeniu większość młodzieżówki „puławian” emigruje, zostają nieliczni których komunistyczna propaganda przez analogię do izraelskich komandosów określa też tym mianem. Termin miał wymyślić „Bonagentura” Chojnacki, skądinąd ostatni przewodniczący ZMP i wieloletni adiutant prof. Schaffa.

Większość aparatu z frakcji „Żydów” pozostaje w PRL – na nieco gorszych warunkach, odsunięta od decyzyjnych stanowisk – w to miejsce jednak przekupiona innymi, równie lukratywnymi. Część nadal działa w propagandzie (Urban, Passent), część w kulturze (Szurmiej, Edelman, Morgenstern, Hoffman,) – przejmując władzę nad środkami wytwarzania nowego matriksu (*Pan Wołodyjowski* – 1969, *Bitwa Warszawska* – 2011 w reż. Hoffmana).

W nurcie niepodległościowym zarysowuje się sojusz pokoleń, coraz wyraźniej daje o sobie znać młodzież. W styczniu 1969 odbywa się IV już Zjazd „Ruchu” na którym przyjęto deklarację programową *Mijają lata*. Autorami byli Czuma, Gołębiewski, Morgiewicz i Niesiołowski.

Również w 1969 ukazują się „Wspomnienia wojenne znad Warty i Bzury” generała Abrahama, dyskusje nad jego książką stają się jednym

z czynników ożywiających środowisko. (Podobną rolę odegra na przełomie 1971 / 72 „Wojna Polska” Moczulskiego – książka została pocięta przez cenzurę, każde spotkanie zamieniało się w uzupełnianie białych plam – aż władze wycofały książkę i zakazały spotkań).

1970. Bunt klasy robotniczej zostaje wykorzystany do zmiany władzy, zgodnie z regułą „gdzie dwóch się bije” – do głosu dochodzi marginalizowany dotąd aparat „śląskiej Katangi”. „Odwilż” Gierka to próba przekupstwa społeczeństwa na wzór Węgier Kadara), partia przekupuje też młodą literaturę („Nowy Wyraz”, tzw. Nowa Fala), potem przykręca jej śrubę.

Na przełomie lat 60/70 ożywają się środowiska niepodległościowe w Łodzi i Krakowie, gdzie zostaje reaktywowany nieformalnie Związek Legionistów Polskich.

6 sierpnia 1974 grupa ok. 100 legionistów wybierze na prezesa honorowego Związku

gen. Borutę – Spiechowicza, prezesem zostanie major Józef Herzog. Nieformalnym kapłanem ZLP był o. Adam Studziński.

Łódzki w zasadzie „Ruch” nawiązuje kontakty ze środowiskiem gen. Abrahama, próbę zorganizowania „Ruchu” w Warszawie podejmuje Emil Morgiewicz (Wilniuk), który działa też w Amnesty International a w 1976 odnajdzie się na krótko w KORze. Gdy grupa zmieni profil i nazwę na KSS KOR – wystąpi i przejdzie do ROPCiO.

Nasilają się działania gen. Abrahama – uzyskuje poparcie parlamentarzystów Kanady i Anglii, w kraju. Już od 1973/4 w środowisku gen. Abrahama pojawiają się działacze z Łodzi, m. in.: Andrzej Ostojka – Owsiany. W 1975 odbywa się wmurowanie tablic „lwowskich” na Jasnej Górze i w katedrze św. Jana.

W Warszawie ożywią się także środowiska dawnych Akowców, którym przewodzą Trzy Damy: Zofia Idziakowska (łączniczka płka Tumidajskiego), Irena Rowecka (córka geberała „Grota”) i Elżbieta Prądyńska. (ostatnia łączniczka generała). Męską część dawnej i nowej opozycji skupia Stefan „Porawa” Matuszczyk, wiele spotkań odbywa się w mieszkaniu p. Prądyńskiej przy ul. Hynka w Warszawie.

Przełom 1975 / 1976

Wydarzeniem międzynarodowym, które wstrząsnęło Europą była Konferencja KBWE (Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie) zakończona ogłoszeniem Wielkiej Karty Pokoju

(1 sierpnia 1975). To było wydarzenie dekady, zmienił się nawet język polityki i propagandy. Podpisany przez PRL ale i ZSRR i przez mocarstwa zachodnie dokument zawierał deklarację dziesięciu zasad:

punkt 1, mówił o suwerennej równości, 7 zapewniał poszanowanie podstawowych praw i wolności człowieka, w tym wolności myśli, sumienia, religii i przekonań.

We wrześniu 1975 roku, pod wpływem podpisania Aktu Końcowego KBWE odbyło się zebranie „Konwentu” (Moczulski, Szeremietiew, Szomański) postanowiono powołać jakąś polską agendę jawnie działającą mającą na celu przestrzeganie praw człowieka w PRL – ostatecznie ROPCiO formalnie zaistniał 25 marca 1977. Wcześniej, bo już w 1976 powołano pismo „U progu”, w którego redakcji byli Morgiewicz, Krystian Brodacki (piłsudczyk), Jacek Wegner (dziś Ronin), Adam Wojciechowski. Pismo wychodziło do 1977 roku¹².

1976.

„Odwilż” kończy się w 1976 – podwyżki cen rewoltują Radom, Płock i Ursus. Wycofanie się władzy z podwyżek kończy sprawę w sferze ekonomii i mas robotniczych ale kontynuują a nawet ożywiają swą działalność elity niepodległościowe i tzw. rewizjonistyczne; ubocznym produktem wydarzeń będzie KOR.

KOR powstał z inicjatywy „Gromady Włóczęgów”, (której przewodził Antoni Macierewicz) działającej przy „Czarnej Jedyńce” (Drużyna im. Traugutta).

11 września 1976 roku Antoni Macierewicz, Piotr Naimski i Wojciech Onyszkiewicz opracowali wstępną wersję dokumentu powołującego Komitet Obrony Robotników, poprawki robił Jan Olszewski.

¹² Miałem w ręku, ale nie pisałem. Pisałem dopiero do „Opinii”. (17. 12. 75 premiera „Białych Ogrodów”).

22 września 1976 dokument ogłoszono jako **Apel do społeczeństwa i władz PRL**, podpisało go 14 sygnatariuszy¹³.

W okresie 1977–1979 powstanie jeszcze kilka grup opozycyjnych: Lubelska Grupa Ludowa, Ruch Porozumienia Polskich Socjalistów, Siedlecko-Podlaska Grupa Ludowo-Narodowa i Związek Narodowy Katolików. Grupy te wraz ze środowiskiem skupionym wokół wydawanej przez Moczulskiego „Drogi” połączą się w Konfederację Polski Niepodległej. Akt powstania KPN (w zastępstwie aresztowanego Moczulskiego) ogłosiła 1 września 1979, pod Grobem Nieznanego Żołnierza Nina Milewska

6. W III RP.

Nim przejdę do następnego okresu pozwolę sobie na wspomnienie.

Anekdota: Jest rok 1989 lub 1990, w każdym razie mój pierwszy pobyt we Francji. Zwiedzając Paryż trafiam na dziwną paradę: kolorowe platformy, na nich kolorowo poubierani młodzi ludzie kilku płci, transwestyci, jakiś związek dziwek, lecz ton nadają roztańczeni, wdzięczący się od tyłu pederasci. Wtem z piskiem opon podjeżdża platforma pełna esesmanów, włosy stanęły mi dęba, będzie rzeź, oni robią klasyczny abordaż, wskakują do tych pederastów – a ci ich serdecznie oblapiają, nawet bardziej niż serdecznie, korzystają cwaniacy z okazji, potem wznoszą hasła antyrządowe, rząd ich prześladowuje, potem dojeżdżają Indianie Amerykańscy, albo może Amerykanie poprzebierani za Indian, dołączają jacyś Francuzi, którzy krzyczą, że są francuski-mi Indianami, jacyś Beduini z Maghrebu, którzy zaczynają skandować wszyscy jesteśmy Indianami, tłum podchwytuje, najradośniej – ci pederasci. Chwilę trwało, zanim pojąłem, co ja właściwie widziałem.

¹³ Sygnatariusze oświadczyli, że w związku represjami wobec uczestników protestów w Radomiu, Ursusie i in. konieczna jest „solidarność i wzajemna pomoc” – dlatego zawiazali Komitet Obrony Robotników. Celem Komitetu będzie inicjowanie pomocy prawnej, finansowej i lekarskiej dla ofiar oraz informowanie o prześladowaniach. Podpisali:

Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Ludwik Cohn, Jacek Kuroń, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Antoni Pajdak, Józef Rybicki, Aniela Steinsbergowa, Adam Szczypiorski, ksiądz Jan Zieja, Wojciech Ziemiński. Jerzy Andrzejewski przekazał apel Marszałkowi Sejmu PRL

Otóż: widziałem jeden z pierwszych aktów jednoczenia się francuskiego marginesu. W ciągu kilkunastu lat ten sojusz doprowadził Francję do zapaści kulturowej

Teraz czas na dygresje.

Zaczyna się Zmierzch Zachodu.

Objawy nasilają się od połowy lat 60 – tych. Wyliczmy je w punktach:

1. Degrengolada USA (Multi – kulti, politpoprawność, palenie kart powołania). Obrona Wietnamu była ostatnim aktem wielkodusznej demokracji – została przerwana przez media, które stały się głosem społeczeństwa konsumpcyjnego.

2. Berlin zrewoltowany od lata 1967 roku manifestacjami ... przeciwko przyjazdowi szacha.

3. Paryż – zaczęło się w lutym 1968 w Nanterre, gdzie studenci demonstrowali przeciw podziałowi akademików na męskie i żeńskie, można powiedzieć, że była to pierwsza w dziejach rewolucja seksualna¹⁴ – gdyby ruch nie został upolityczniony, gdyby nie włączyła się masa działaczy marksistowskiej centrali związkowej CGT. Zaczęły się rozruchy na ulicach – spacyfikowane dopiero 30 maja. Temat wart osobnej opowieści, ale nie przebieg tamtych zdarzeń nas tu interesuje. Ważne jest co innego: po pierwsze: te zrewoltowane pokolenia wkrótce obejmą władzę, dziś w wielu krajach ja trzymają. Po drugie – z biegiem lat zaczęło wychodzić na jaw, że młodzież – czasem szlachetna a przeważnie naiwna – była manipulowana. Zamieszki w Berlinie były dziełem wschodnioniemieckich służb, paryski maj rozdmuchali komunistyczni związkowcy, z których połowa była agentami. Okazało się też, że większość „lewicowych” tytułów gazet – więc wytwórni i powielarni lewicowego matriksu, była dyskretnie finansowana przez ZSRR.

Tyle o niejawnej historii lat ostatnich.

Czas powrócić do jawnej.

Najważniejsze zjawisko przełomu stuleci i tysiącleci było tak jawne,

¹⁴ Historia powtarza się dwukrotnie: nie wiadomo, czy atak matrosów na Pałac Zimowy byłby tak brawurowy, gdyby nie bronił go batalion kobiety...

że niemal nie zostało dostrzeżone właściwie dwa połączone zjawiska: **desakralizacja kultury Zachodu i jej barbaryzacja.**

W większości krajów Zachodu władzę objęło „Pokolenie '68”, które postawiło na socjalizm, złośliwie ale słusznie nazwanym przez socjologów „kawiorowym”. Wrogami dla lewicy, były tradycyjnie religia i nacjonalizm. Odbiło się to na wychowaniu i wykształceniu, na wycofywaniu się z ogromnych obszarów humanizmu, w których mogło się czaić widmo „nacjonalizmu”. Jednocześnie społeczeństwa Zachodu nie chciały wykonywać „gorszych” prac, wołały zatrudniać obcokrajowców – nie będących chrześcijanami¹⁵. To stworzyło połączenie na pozór niezwykle korzystne (nowi niewolnicy stanowiący zarazem elektorat lewicy, dwa w jednym), które okazało się śmiertelnie groźną mieszanką wybuchową. Niewolnicy nie chcieli pracować, trzeba ich było utrzymywać, co rujnowało państwa dobrobytu, do tego stali się barbarzyńskim i kryminogennym marginesem. Efekt znamy, to dzieje się na naszych oczach: powolny zmierzch Zachodu: poprawność polityczna, tchórzostwo, barbaryzacja życia, namiastkowe reakcje magiczne zamiast czynów: marsze protestu, znicze na chodnikach... Przy pomocy poprawności politycznej stworzono matrix, sztuczną Europę dostatku, tolerancji a właściwie już permissywizmu. Ten matriks trzaska na naszych oczach. Islam przeżywa renesans: morduje chrześcijan, opanowuje tereny, zyskuje wyznawców i bojowców, nawet samobójców.

Reasumując: desakralizacja i barbaryzacja życia. Problem czy cały ten proces powtórzy się w Polsce.

¹⁵ Dorobiono do tego poprawną ideologię, a nawet dwie: po pierwsze „dług” wobec dawnych kolonii, po drugie „schronienie” dla uciekających przed bombami. Nie chciano zauważyć, że „uciekinierni” są przeważnie młodzi mężczyźni w wieku produkcyjnym i że większość z nich przybywa z obszarów odległych od walk. Zresztą; nawet jeśli były gdzieś walki to fakt, że uciekali zostawiwszy na pastwę wrogów żony i dzieci nie rokował dobrze na przyszłość. Sprawa przerosła rządy Zachodu, gdy za transport „migrantów” wzięły się wyspecjalizowane gangi z cichym poparciem i wielkiego kapitału i Rosji – używającej nowych barbarzyńców jako broni do rozbicia Zachodu.

Polska. Nowy początek

16 października 1978 Karol Wojtyła zostaje wybrany na tron papieski. Jeżeli Wyszyńskiego nazywano czasem interrexem – Wojtyłę przyśługuje pełny tytuł: Rex Poloniae.

W 1979 Wojtyła przybywa do Polski – następuje cud powstania z kłęczek – lepiej tego nie można nazwać. Zmienia się duchowość, męźniejają charaktery – latem 1980 wybuchają strajki, których efektem będzie powstanie „Solidarności”. W pewnym sensie jest to **bunt marginesu**, nieomal następuje zmiana miejsc – komuniści ratują się stanem wojennym. Ale nawet to nie zmienia sytuacji na szczytach władzy: rząd dusz sprawuje Wojtyła, odwiedza kraj, teatry grają jego sztuki, jest obecny jako najwyższy autorytet. Na kilka lat zmienia się polska kultura – zostaje nasycona sakralnością, lecz nie tylko, także wysokimi wartościami etycznymi: patriotyzmem, dumą, godnością.

Po 1989.

Politycznie i organizacyjnie. Symbolem nowego ustroju stał się „Okrągły Stół” – sojusz elit pod dyskretnym nadzorem służb. Chodziło o powtórzenie farsy z roku 1947 (częściowo wolne wybory, koncesja dla Mikołajczyka), ale proces wymknął się spod kontroli.

Pierwszy sejm, ze względu na nasycenie „tewulcami” (TW) był wg znanego określenia Kiszcza „do śmiechu”, nie do rządzenia: poprzedni aparat władzy nie został zlikwidowany do końca (zwłaszcza w tzw. „terenach”), budowy nowego do końca nie doprowadzono. Zachowano decydującą część władzy – resorty siłowe (w rządzie Mazowieckiego), sądownictwo. Połowiczna likwidacja służb specjalnych (większa w SB, bliska zeru w wojsku). W końcu ... zlikwidowano wojsko, co zostało podbudowane „humanistyczną” frazeologią.

Biologicznie – zaczął się kryzys demograficzny połączony z emigracją ok. 2 mln Polaków. Odbiło się to również na sferze wartości gdyż wyjeżdżał element najbardziej rzutki, równocześnie nastąpiła blokada powrotu emigracji patriotycznej (andersowcy, b. ZSRR) przy rekolonizacji Polski przez b. stalinowców i ich potomków z pokolenia '68.

Ekonomicznie: Osłabienie własności średniej na rzecz zachodnich koncernów – proces długofalowy, trudno dostrzegalny, połączony z wyprzedzą majątku narodowego, na horyzoncie zarysowuje się niebezpieczeństwo wyprzedzaży ziemi.

Socjalne: (kontynuacja natarcia) dworaków już nie ma ale trwa atak na rodzinę i Kościół.

Jako ideologia lansowany jest genderyzm, propagowany (nie tylko tolerowany!) jest homoseksualizm, pojawiają się próby obrony pedofilii zarówno po stronie elit kulturalnych (przy okazji sprawy Polańskiego) jak i po stronie Kościoła. Dodać jednak należy, że w tym ostatnim przypadku zjawisko marginalne (rzadsze niż w społeczności poza kościelnej) przedstawiane jest jako powszechne, mnożą się oskarżenia o „molestowanie” sprzed lat kilkudziesięciu. Są one nagłaśniane przez „lewy margines” kulturowy, który wciąż rządzi mediami, to znaczy rządzi polskim matriksem.

Kultura polska stała się podkładem zachodniej „poprawności”, zamiast spodziewanych utworów rozliczających się z komunizmem powstały utwory rozliczające się z polskim antysemityzmem, ksenofobią i homofonią. Działo się to w ramach tzw. „pedagogiki wstydu”, która zaczęła niszczyć również nasz system oświatowy. Generalnie: kulturę zastępowano rozrywką, klasykę polską – kosmopolityczną papką na niskim poziomie¹⁶. Zagrożona została ciągłość narodowej kultury.

Testem o wymiarach skandalu był fakt, że na niedawnym Biennale Sztuki w Wenecji Polskę, za polskie pieniądze reprezentował „projekt” – składankę trzech filmów ... *and Europe will be stunned* /...i zadziwi się Europa”, którego autorka Yael Bratana opowiadała o powrocie młodych kolonistów żydowskich do ciemnej Polski i o zamordowaniu Sierakowskiego, który wspierał tę inicjatywę.

Tego rodzaju płynne i płytkie środowisko duchowe („postmodernistyczne” SSD) wychowuje typy uległe, „poprawne” i pełne poczucia

¹⁶ Nieliczne wyjątki: „Norymberga” Tomczyka, „Ukryty” Wildsteina, i „Ślady krwi” Polkowskiego, do tego eseistyka J. M. Rymkiewicza, kresowa poezja i publicystyka Marcina Hałasia.

winy – więc dające się manipulować mniejszościom – o ile te są energiczne i konsekwentne w swoich kłamstwach. Margines polskiej kultury pełen jest takich mniejszości. Do władzy wciąż pretendują spadkobiercy a nawet reprezentanci ersatz – elity pracującej dla poprzednich okupantów – tzw. „resortowe dzieci”. Robotnicy zostają po raz kolejny oszukani i ubezwłasnowolnieni – „Solidarność” zostaje zneutralizowana, po części znika wraz ze zniszczonymi zakładami, w nowych – rządzonych przez prywatny, najczęściej zagraniczny kapitał – w ogóle nie może powstać. Partie „lewicowe” stają się grupami interesu, z ich szeregów wywodzi się wielu bohaterów afer. Nie sprawdza się też tzw. „Młoda lewica” – za jedyny cel stawia władzę, wroga upatruje w „nacjonalizmie” i „religianctwie”. Uchodząca za awangardę lewicy grupa „Krytyki Politycznej” zawiera sojusz z lewicą niemiecką – czego efektem jest wspólne rozbijanie Marszu Niepodległości. (Za rozruchy aresztowano 95 lewicowych bandziorów – w tym 92 Niemców). Zza grobu kieruje tym ruchem Gramsci, który wymyślił przejmowanie władzy nie od buntu w przemysłowej bazie, ale od nadbudowy – („marsz przez instytucje”), grunt intelektualny przygotowuje Bauman propagując skrajny relatywizm i „płynność”, tropiący jako sprzeczne z postępem konserwatyzm i nacjonalizm, co wygląda na odgrzewanie poglądów Róży Luksemburg. Politycznie Bauman reprezentuje te same środowiska, co ruch Yael Bratany – Żydów myślących o budowie Judeopolonii, w której mogliby się narzucić jako nowe elity.

Podjejrzenia budzi partia „Zmiana” i związane z nią związki. (Tzw. Wolny Związek Zawodowy „Zmiana” – Jedność Pracownicza, jako lider występuje Piotr Kret) program tej partii tkwi korzeniem w poglądach Dugina – w euroazjatyckiej wizji świata. (Liderzy „Zmiany”: Mateusz Piskorski, Tomasz Jankowski, Bartosz Bekier). Pojawiają się w tym programie także jakieś elementy neopogańskie, jest pocziwy, prawicowy antysemityzm, ale – jeżeli wiemy, że Rosja popiera siły odśrodkowe w państwach Europy, to rzeczą mało prawdopodobną byłoby, gdyby nie popierała ich w Polsce.

Niebezpiecznym marginesem jest także Ruch Autonomii Śląska, którego lider fotografuje się z karabinem i niemieckiej czapce. Ten ruch to

element tej samej układanki, co przejmowanie lokalnych gazet na Śląsku i hoteli w północnej Polsce, co dotacje od niemieckich ziomkostw, dla różnych instytucji i zapraszanie prominentnych działaczy polskich na „wykłady” i „integracyjne spotkania” do Niemiec.

Podobnych przykładów można znaleźć więcej, nie chcę jednak przedłużać wykładu, który ma być w zasadzie wstępem do dzisiejszej dyskusji.

Kończąc więc chciałbym zasugerować dwie sprawy do wspólnego przedyskutowania, pierwszą bardziej związaną z praktyką, drugą bardziej teoretyczną.

Sprawa pierwsza to ocena sytuacji: czy Polsce grozi przejście sterowania układem państwa przez dotychczasowy margines? Przykładem nowych barbarzyńców wydaje się skrzykująca się pod znakiem KOD (Komitet Obalenia Demokracji) zbieranina różnego rodzaju „malkontentów” (to nie przypadkiem termin z czasów Targowicy!) od lewicowych mniejszości poprzez odsuniętych od władzy urzędników do wiecznie żywych marksistów i innych następców tronów.

Sprawa druga, wiążąca się z tytułem naszego spotkania: czy można mówić o tworzeniu się na naszych oczach nowej jakościowo tożsamości Polaka ... bez tożsamości. Jej odniesieniem nie jest już Polska jako wspólnota tradycji i misji, nie jest system wartości najwyższych, nie jest język ani literatura. Jest to właściwie kontrakt socjalny na czas nieokreślony, który można rozwiązać gdy staje się niewygodny. Nie ma w nim klauzuli obowiązku, nie wiąże go uczucie wspólnoty. W takie rozumienie wpisuje się i „mikro patriotyzm” premiera Tuska, dla którego najwyższą wartością jest ciepła woda w kranie, dopełnia je antypolonizm publicystów „Gazety Wyborczej” głoszących iż „patriotyzm jest jak fašyzm”. W tym klimacie możliwa była wypowiedź byłej p. premier Kopacz „metr w głąb”, w której modelem patriotycznego zachowania była ucieczka i zaryglowanie własnych drzwi.

I nie chodzi mi o to, że jest to zachowanie pozbawione godności, tylko że jest to już patriotyzm bez patriotyzmu, że to egoizm podstawiony w miejsce patriotyzmu, bo układem odniesienia dla patriotyzmu jest wspólnota a nie jednostka, praca pokoleń a nie wygoda rodziny. Nie

rokuje to dobrze dla kraju, gdy jego premier nie rozumie pojęcia patriotyzmu. Rokuje dobrze – gdy przestaje być premierem.

ANEKS

1. Ten prawie nieznany dokument warto zacytować w całości (za Wikipedią,

Porozumienie Państwo-Kościół 1950, nazwiska autora brak.)

1. Episkopat wezwie duchowieństwo, aby w pracy duszpasterskiej zgodnie z nauką Kościoła nauczało wiernych poszanowania prawa i władzy państwowej.

2. Episkopat wezwie duchowieństwo, aby w swej działalności duszpasterskiej nawoływało wiernych do wzmożonej pracy nad odbudową kraju i nad podniesieniem dobrobytu Narodu.

3. Episkopat Polski stwierdza, że zarówno prawa ekonomiczne, historyczne, kulturalne, religijne, jak i sprawiedliwość dziejowa wymagają, aby Ziemie Odzyskane na zawsze należały do Polski. Wychodząc z założenia, że Ziemie Odzyskane stanowią nieodłączną część Rzeczypospolitej, Episkopat zwróci się z prośbą do Stolicy Apostolskiej, aby administracje kościelne, korzystające z prawa biskupstw rezydencjalnych, były zamienione na stałe ordynariaty biskupie.

4. Episkopat w granicach sobie dostępnych będzie się przeciwstawiał wrogiej Polsce działalności, a zwłaszcza antypolskim i rewizjonistycznym wystąpieniom części kleru niemieckiego.

5. Zasada, że Papież jest miarodajnym i najwyższym autorytetem Kościoła, odnosi się do spraw wiary, moralności oraz jurysdykcji kościelnej, w innych natomiast sprawach Episkopatu kieruje się polską racją stanu.

6. Wychodząc z założenia, że misja Kościoła może być realizowana w różnych ustrojach społeczno-gospodarczych, ustanowionych przez władzę świecką, Episkopat wyjaśni duchowieństwu, aby nie przeciwstawiało się rozbudowie spółdzielczości na wsi, ponieważ wszelka spółdzielczość w istocie swej jest oparta na etycznym założeniu natury ludzkiej, dążącej do dobrowolnej solidarności społecznej, mającej na celu dobro ogółu.

7. Kościół – zgodnie ze swymi zasadami – potępiając wszelkie wystąpienia antypaństwowe będzie przeciwstawiał się zwłaszcza nadużywaniu uczuć religijnych w celach antypaństwowych.

8. Kościół katolicki, potępiając zgodnie ze swymi założeniami każdą zbrodnię, zwalczać będzie również zbrodniczą działalność band podziemia oraz będzie piętnował i karał konsekwencjami kanonicznymi duchownych, winnych udziału w jakiegokolwiek akcji podziemnej i antypaństwowej.

9. Episkopat, zgodnie z nauką Kościoła, będzie popierał wszelkie wysiłki zmierzające do utrwalenia pokoju i będzie się sprzeciwiał, w zakresie swych możliwości, wszelkim dążeniom do wywołania wojny.

10. Nauka religii w szkołach. a) Rząd nie zamierza ograniczyć obecnego stanu nauczania religii w szkołach; programy nauczania religii będą opracowane przez władze szkolne wspólnie z przedstawicielami Episkopatu; szkoły będą zaopatrzone w odpowiednie podręczniki; nauczyciele religii świeccy i duchowni będą traktowani na równi z nauczycielami innych przedmiotów; wizytatorów nauczania religii władze szkolne będą powoływały w porozumieniu z Episkopatem. b) Władze nie będą stawiały przeszkód uczniom w braniu udziału w praktykach religijnych poza szkołą. Aneks. W niedzielę i święta oraz na początku i na końcu roku szkolnego będzie odprawiana dla uczniów Msza święta; zgłaszającym się uczniom do rekolekcji i Komunii św. władze szkolne zapewnią – w okresie wielkopostnym lub wielkanocnym – trzy dni wolne od zajęć szkolnych; władze szkolne ustalą godziny dla młodzieży szkolnej zgłaszającej się do bierzmowania w czasie wizytacji biskupiej; władze szkolne nie będą stawiały przeszkód w odmawianiu modlitwy przed lekcjami i po lekcjach tym uczniom, którzy sobie tego życzą. c) Istniejące dotychczas szkoły o charakterze katolickim będą zachowane, natomiast Rząd będzie przestrzegać, aby te lojalnie wykonywały zarządzenia i wypełniały program ustalony przez władze państwowe. d) Szkoły prowadzone przez Kościół katolicki będą mogły korzystać z praw szkół państwowych na ogólnych zasadach, określonych przez odpowiednie ustawy i zarządzenia władz szkolnych. W razie tworzenia lub przekształcenia szkoły zwykłej na szkołę bez nauki religii, rodzice katoliccy, którzy będą sobie tego ży-

czyli, będą mieli prawo i możliwość posyłania dzieci do szkół z nauczaniem religii.

11. Katolicki Uniwersytet Lubelski będzie mógł funkcjonować w obecnym zakresie.

12. Stowarzyszenia katolickie będą korzystały z dotychczasowych praw po zadość uczynieniu wymogom przewidzianym w dekrete o stowarzyszeniach. Te same zasady dotyczą sodalicji mariańskich.

13. Kościół będzie miał prawo i możliwość prowadzić w ramach obowiązków przepisów akcję charytatywną, dobroczynną i katechetyczną.

14. Prasa katolicka i wydawnictwa katolickie będą korzystały z uprawnień określonych przez odpowiednie ustawy i zarządzenia władz na równi z innymi wydawnictwami.

15. Kult publiczny, tradycyjne pielgrzymki i procesje nie będą napotykały na przeszkody. Obchody te dla zachowania porządku będą uzgadniane przez władze kościelne z władzami administracyjnymi.

16. Duszpasterstwo wojskowe będzie uregulowane specjalnym statutem, opracowanym przez władze wojskowe w porozumieniu z przedstawicielami Episkopatu.

17. W więzieniach karnych opiekę religijną będą sprawowali kapelani powołani przez odpowiednie władze na wniosek biskupa ordynariusza. Aneks. W niedzielę i święta będzie miała miejsce Msza święta, kazanie, spowiedź i Komunia święta.

18. W szpitalach państwowych i samorządowych opiekę religijną nad chorymi, którzy sobie tego życzą, będą wykonywali kapelani szpitalni, wynagradzani w drodze specjalnych umów. Aneks. Zostanie powołana odpowiednia liczba kapelanów zabezpieczających potrzeby chorych; kapelan będzie miał zarezerwowaną dyżurkę; kapelan będzie miał możliwość odwiedzania chorych.

19. Zakony i zgromadzenia zakonne, w zakresie swego powołania i obowiązujących ustaw, będą miały całkowitą swobodę działalności.

Protokół wspólnej komisji Rządu Rzeczypospolitej Polskiej i Episkopatu Polski w związku z zawartym porozumieniem.

1. Wobec uzgodnienia stanowiska przedstawicieli Rządu Rzeczypospolitej Polskiej i Episkopatu Polski w sprawie działalności Caritas i w celu normalizacji stosunków między Państwem a Kościołem, organizacja kościelna Caritas przekształca się w Zrzeszenie Katolików dla niesienia pomocy biednym i potrzebującym. Zrzeszenie oprze swą działalność na oddziałach odpowiadających podziałowi administracyjno-terytorialnemu kraju. Episkopat – w myśl założeń charytatywnych Zrzeszenia – umożliwi, zgodnie z zasadami oraz praktyką Kościoła katolickiego, działalność duchownym pragnącym pracować w tym Zrzeszeniu. Aneks. W sprawie własności nieruchomości kościelnych użytkowanych przez Caritas, Rząd rozważy możliwość załatwienia wynikłych strat w drodze kompensaty z Funduszu kościelnego lub w drodze postanowienia prawa własności Kościołowi, z zabezpieczeniem użytkowania Zrzeszeniu Caritas.

2. Rząd Rzeczypospolitej Polskiej realizując ustawę „o przejęciu przez Państwo dóbr martwej ręki” w ramach art. 2, p. 3 i art. 7, p. 1 ustawy, rozważy potrzeby biskupów i instytucji kościelnych celem uwzględnienia tych potrzeb i przyjscia im z pomocą. a) Ordynariuszom będą pozostawione ogrody i „gospodarstwa rolne do 50 ha wraz z inwentarzem. b) również seminarium duchownym będą pozostawione ogrody i gospodarstwa rolne do 50 ha wraz z inwentarzem, c) gospodarstwa domowe do 5 ha, związane bezpośrednio z terenem domów zgromadzeń zakonnych oraz inwentarz martwy i żywy wykorzystywany w tym gospodarstwie, jak również budynki gospodarcze, znajdujące się na tej ziemi, nie będą przejęte przez Państwo.

3. Fundusz kościelny będzie przekazywał odpowiednie sumy do dyspozycji ordynariuszów diecezji.

4. Realizując ustawę o służbie wojskowej, władze wojskowe będą stosowały odroczenia dla alumnów seminariów duchownych w celu umożliwienia im ukończenia studiów, zaś księża po wyświęceniu i zakonnicy po złożeniu ślubów nie będą powoływani do czynnej służby wojskowej, lecz będą przeznaczani do rezerwy z zakwalifikowaniem do służby pomocniczej.

Ze strony rządowej umowę podpisali: minister administracji publicznej

Władysław Wolski, wiceminister obrony narodowej Edward Ochab, poseł na Sejm Ustawodawczy Franciszek Mazur. Ze strony Episkopatu: bp Zygmunt Choromański, bp łódzki Michał Klepacz i bp płocki Tadeusz Paweł Zakrzewski.

Według Antoniego Dudka biskupi z Kielc, Opola, Lublina i Białegostoku i Katowic byli przeciwnikami porozumienia, wysuwa on tezę, że jedynym członkiem Episkopatu, który głosował przeciwko zawarciu porozumienia, głoszący jawnie poglądy antykomunistyczne był biskup kielecki Czesław Kaczmarek. Przebywający w czasie jego podpisywania w Rzymie abp Adam Sapieha opowiadał się przeciwko jego szybkiemu ratyfikowaniu. Na pierwszej Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski po podpisaniu porozumienia, odbytej w Gnieźnie 21-22 kwietnia 1950 roku prymas Wyszyński wezwał księży i biskupów do niepodpisywania żadnych apeli i deklaracji. Duża część księży i zakonników wykazywała jednak niedowierzanie i nieprzychylnie komentowała porozumienie z władzami. Abp Adam Sapieha uznał ugodę za „niegodną i pozbawioną realizmu”, niegodną bo szerzącą defetyzm i zgorszenie, nierealistyczną, gdyż przewidywał, że porozumienie będzie przez władze łamane a rządowi da zyski propagandowe. Prymas Wyszyński był pierwszym w historii Kościoła katolickiego hierarchą, który zdecydował się na układy z państwem rządzone przez komunistów. Sam przyznał, że „sprawcą porozumienia od strony episkopatu byłem ja”, „episkopat nie mógł powiedzieć nie” oraz że „gwarantowało ono wzajemne bezpieczeństwo”.

Prasa katolicka w zasadzie poparła porozumienie. „Znak” w numerze 2 z 1950 roku uznawał je za „zwycięstwo ducha tolerancji i dojrzałego poczucia odpowiedzialności za Polskę.” „Gość Niedzielny” z 20 kwietnia 1950 roku pisał: „Episkopat stanął na gruncie przemian rzeczywistości polskiej.” Jeszcze dalej w gloryfikacji tego aktu posunęła się prasa katolików „postępowych” – „Dziś i Jutro” oraz Tadeusz Mazowiecki na łamach „Słowa Powszechnego” z 24 kwietnia 1950 roku. **(Za Wikipedią)**

Kondensując: kościół zgadza się na „nieprzeszkadzanie”, w kolektywizacji, potępia „bandytyzm” – jakby dodatkowo wyklinał Żołnierzy Wyklętych, obiecuje skłonić Watykan do ustanowienia diecezji na Ziemiach Odzyskanych. Państwo obiecuje tolerować nauczanie religii

w szkołach, zachować istniejące jeszcze szkoły katolickie oraz resztki prasy katolickiej. Oczywiście – poddanej cenzurze.

2. Tekst rezolucji literatów: 8 lutego 1953:

W ostatnich dniach toczył się w Krakowie proces grupy szpiegów amerykańskich powiązanych z krakowską Kurią Metropolitarną.

My zebrani w dniu 8 lutego 1953 r. członkowie krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich wyrażamy bezwzględne potępienie dla zdrajców Ojczyzny, którzy wykorzystując swe duchowe stanowiska i wpływ na część młodzieży skupionej w KSM działali wrogo wobec narodu i państwa ludowego, uprawiali – za amerykańskie pieniądze – szpiegostwo i dywersję.

Potępiamy tych dostojników z wyższej hierarchii kościelnej, którzy sprzyjali knowaniom antypolskim i okazywali zdrajcom pomoc, oraz niszczyli cenne zabytki kulturalne.

Wobec tych faktów zobowiązujemy się w twórczości swojej jeszcze bardziej bojowo i wnikliwiej niż dotychczas podejmować aktualne problemy walki o socjalizm i ostrzej piętnować wrogów narodu – dla dobra Polski silnej i sprawiedliwej.

Rezolucję podpisały 53 osoby należące do ścisłej elity literackiej Polski: Kazimierz Barnaś, Wł. Błachut, Jan Błoński, J. Bober, Władysław Bodnicki, A. Brosz, B. Brzeziński, Karol Bunsch, B.M. Długoszewski, Władysław Dobrowolski, Kornel Filipowicz, Ludwik Flaszen, Józef Andrzej Frasik, Zygmunt Greń, Leszek Herdegen, Roman Husarski, J. Janowski, Jan Jaźwiec, Andrzej Kijowski, Ryszard Kłyś, W. Krzemiński, J. Kurczab, Jalu Kurek, Tadeusz Kwiatkowski, Jerzy Lovell, J. Łabuz, Władysław Machajek, Włodzimierz Maciąg, Henryk Markiewicz, Bruno Micugow, Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Sławomir Mrozek, Tadeusz Nowak, Stefan Otwinowski, Adam Polewka, Marian Promiński, Julian Przyboś, E. Rączkowski, E. Sicińska, Stanisław Skoneczny, Maciej Słomczyński, Karol Szpalski, Wisława Szymborska, Tadeusz Śliwiak, Anna Świrszczyńska, Olgierd Terlecki, Henryk Vogler, Jan Wiktor, Adam Włodek, Jerzy Zagórski, Marian Załucki, Witold Zechenter, A. Znamierowski.

Trzeba dodać, że rezolucja została podpisana po zakończeniu procesu księży kurii krakowskiej, gdy trzech skazanych oczekiwało na wykonanie wyroków śmierci. Rezolucja literatów miała legitymizować te wyroki.

3. Konferencja KBWE (Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie) zwana Wielką Kartą Pokoju (1 sierpnia 1975), była uwieczniona deklaracją dziesięciu zasad rządzących stosunkami międzynarodowymi:

- 1/ suwerenna równość
- 2/ powstrzymanie się od użycia siły lub jego groźby
- 3/ nienaruszalność granic
- 4/ integralność terytorialna państw
- 5/ pokojowe rozstrzyganie sporów
- 6/ nieingerencja w sprawy wewnętrzne
- 7/ poszanowanie podstawowych praw i wolności człowieka, w tym wolności myśli, sumienia, religii i przekonań
- 8/ prawo do samostanowienia i równouprawnienie narodów
- 9/ współpraca między państwami
- 10/ wykonywanie w dobrej wierze zobowiązań wynikających z prawa międzynarodowego



Dr Andrzej Zapałowski

Ja mam takie pytanie wybiegające w przyszłość. Niezależnie od tego, jak się ułożą dla Polski relacje geopolityczne na XXI wiek, tak czy inaczej staniemy przed problemem, w jakiś sposób reintegracji części Ukrainy – z Białorusią może być różnie – może też coś się stać w przyszłości na Litwie ze względów – tak jak mówiliśmy wcześniej – demograficznych. Czy według Pana istnieje szansa i co należałoby zrobić żeby u obywateli Polski wzbudzić jakieś elementy, które by były magnesem, czymś, z czym by się utożsamiali z wielką wspólną Rzeczypospolitą. Ja myślę, że te procesy do których dojdzie po jakimś fermencie na Ukrainie ma szansę przyjąć jakąś część dorobku wspólnego I Rzeczypospolitej. Na Białorusi może się okazać jeszcze bardziej żywotne, ponieważ tam się nie ukształtowała białoruskość. Jakich czynników i działań powinniśmy jako kraj użyć, żebyśmy kreowali na tamtych terenach tożsamość Rzeczypospolitej?

Dr Bohdan Urbankowski

Widzę kilka szans i kilka niebezpieczeństw. Szansą natury formalnej, jest np. to, że angielski zaczyna pełnić rolę łaciny i to, co mogło odrzucać od takiej Unii, to znaczy obcość językowa, staje się czynnikiem drugorzędnym. Ale szansą największą warunkiem sine qua non, jest jakaś wspólna praca, wspólna misja historyczna. To, co łączyło Polaków z Wielkim Księstwem Litewskim, miało charakter z jednej strony pozytywny, chodziło o szerzenie chrześcijaństwa, ale z drugiej strony spoiwem był strach wobec Niemców i wobec Tatarów – Złotej Ordy. W tej chwili argumentem za połączeniem sił jest groźba idąca ze wschodu. Na naszą korzyść działa nienawiść Ukraińców do Rosji. Jeżeli ta nienawiść będzie rozbudowywana, to, na zasadzie normalnych odruchów psychicznych, Ukraińcy będą chcieli też kogoś pokochać i nikt lepszy od nas im się nie trafi. Białorusini są zbyt nijacy, a z Mołdawianami to lepiej nie zaczynać, bo okradną, jest takie stare porzekadło historyczne. Żartuję, ale mówiąc poważnie: Rosjanie popełnili historyczny błąd. Nasz błąd polega na tym, że nie potrafimy tego wykorzystać, ale póki Ruscy wgryzają się w Donbas – mamy szansę. Natomiast co jest niebezpieczne – to, że

naród dążący do niepodległości, jeżeli nie ma bogatej kultury, jeżeli nie ma tradycji, którą się żywi i napędza, żywi się nienawiścią i niechęcią. Inaczej słabnie z głodu i sam stanie się pożywieniem. Ukraińcy są na tym etapie, zwłaszcza w obszarach przygranicznych ukraińskość będzie budowana na nienawiści – podobnie jak litewskość. To sprawa psychologii zbiorowej, sprawa tożsamości i mamy to jak w banku. Jest też sprawa tradycji. W okresach walk konieczne są wzorce heroiczne – i tu jest źle. W pamięci żywych zakodował się Bandera, zakodowała się UPA, głębiej pamięć nie sięga. Zresztą takich wydarzeń, do których mogliby się odwołać to jest niewiele. Historia Ukraińców kończy się na bitwie pod Konotopem, na wspólnym zresztą, pobiciu Rosjan – razem z nami ba, razem z Tatarami. No ale potem to już tylko dostają w skórę, więc nie ma na czym budować. Jedyne co pozytywne z ich punktu widzenia, to z punktu widzenia prawa i moralności – zbrodnie. Od Koliwyszczyzny Żeleźniaka i Gonty – po Wołyń. Potem jeszcze jakieś małe ruchawki, nazwisk przywódców nie znamy, więc znów nie ma na czym budować, ot udało im się wyróżnić iluś tam Polaków, spalić ileś tam polskich wsi i zgwałcić ileś tam polskich kobiet... A poza tym step i metafizyka z wódką zamiast Boga. No i potem ludobójstwo na Wołyniu, o którym młode pokolenie, właśnie pokolenie Majdanu i Doniecka nic nie wie. Dla nich Szuchewicz nie był w Nachtigallu, nie był w 201 batalionie Schutzmannschaftu, tylko zginął z rąk NKWD, ciało spalono i prochy wsypano do Zbrucza. To jest ich legenda, na rzecz wspólnej sprawy może i musi działać edukacja. Tu trzeba obudzić ich pamięć. Muszą zrozumieć, że mogą wejść do jakiejś Unii, czy Jagiellonii ale pod jednym warunkiem: nie będą nieśli ze sobą trupów Bandery, Szychewycza czy Klaczkiwskiego – tak jak Niemcy musieli porzucić trupa Hitlera. Dobrze byłoby, gdyby udało im się w miejsce kolaborujących z Niemcami UPowców podstawić kult „niebiańskich sotni”, ja to mówiłem w „Gazecie Polskiej”, żeby im tych nowych bohaterów podpowiadać. Wytłumaczyć, że już – za straszną cenę krwi – zaczęli wypełniać swoje narodowe niebiosy prawdziwymi świętymi i bohaterami, takimi którzy budzą podziw całej tej „parazywienkiej” jak mawiał Marszałek i tchórzliwej i wygodnickiej Europy. Wtedy mogą zrezygnować z UPA. I tu zaczyna się nasz problem. Bo

nawet zmiana ich stosunku do UPA, o ile w ogóle nastąpi, nie zmienia niczego w naszym stosunku do nich i do naszych pomordowanych. Bo dla nas UPA to nie Hrubieszów a zbrodnie na Ukraińców na Wołyniu. Czy możemy wybaczyć? Tu jest głębszy problem: kto ma prawo wybaczyć, pod jakimi warunkami. Mamy zobowiązania wobec umarłych, ale mamy też zobowiązania wobec przyszłych pokoleń. Nie łącząc się – być może i Ukraińcy i my narażamy przyszłość swych narodów.

Pozwólcie, że się nad tym jeszcze zatrzymam, bo nie daje mi to spokoju jako Polakowi, któremu część rodziny wymordowali jedni, część drudzy zaborcy, i jako filozofowi, który chciałby uwierzyć w jakieś wartości, najlepiej etyczne, a nawet tchnąć taką wiarę w innych.

Ja już o tym mówiłem, tu w czekają na nas pytania, które Dostojewski zaliczał do „przeklętych”. Po pierwsze: kto ma prawo przebaczać. Jeżeli ci, którzy mogli – nie żyją, to my jesteśmy uzurpatorami. Owszem, mogę wybaczyć zburzony dom, bardzo skromne dzieciństwo, ale śmierć, ale męki w obozie – mógłby tylko sam ojciec. Podobnie żona – która urodziła się w łagrze w Komi. Może wybaczyć Rosjanom to koszmarnie dzieciństwo – ale chyba nic więcej. Nikt z nas nie ma prawa wybaczać w imieniu pomordowanych. A jeśli nie ma wybaczenia, to jak możliwe jest pojednanie, czy nie zamieni się w cyniczną komedię?

I drugi problem: sprawiedliwość. Źle, że cofnęliśmy się przed powiedzeniem głośno: Wołyń to ludobójstwo, źle, że wycofaliśmy się z budowy tego strasznego pomnika ofiar, nie wolno lakierować pamięci, zwłaszcza, gdy pod lakierem jest krew.

Podobno nie wolno liczyć trupów, podobno wszyscy zmarli są równi. Ale przecież tam gdzie więcej pomordowanych, tam pozostało więcej ofiar, wdów, sierot, więcej cierpienia. teraz problem: Niemcy, Rosjanie w czasie ostatniej wojny wymordowali po kilka milionów Polaków, a w całej historii – cyfry te jeszcze bardziej urastają. Tu były i niemieckie stodoły śmierci od Cecylówki Głowaczowskiej, Jasieńca i Henrykowa do Gardelegen, był i Michniów i Auschwitz. Ale także Litwini – przypominam Góry Ponarskie miejsce koszarnej współpracy litewsko – niemieckiej i 20 tysięcy pomordowanych Polaków, mniej widowiskowe, ale równie okrutne zbrodnie popełniali nawet Czesi – przypominam

zbrodnię na jeńcach w Stonawie, także Żydzi – przypominam UB. To fragmenty jednego, wielkiego i krwawego fresku. Taka była historia. Jeśli eksponujemy tylko zbrodnie Ukraińców, a wychwalamy Niemców jako nowych przyjaciół to dokonujemy zafałszowania proporcji, nie faktów ale proporcji i prowokujemy do pytania: dlaczego? w czym interesie? czy ktoś nami manipuluje?

To problemy dla starych moralistów, problemami młodych polityków powinny być sprawy przyszłości, w tym wypadku sprawa wydaje się oczywista: warunkiem, by ta przyszłość nie zamieniła się w niewolę, warunkiem by zniechęcić Rosję do agresji jest połączenie sił. Próby dogadywania się z Rosją kosztem Ukrainy skończą się tak, jak skończyło się dogadywanie z nią Litwy – kosztem polski. Litwini dostali Wilno i stracili całą Litwę. Rzeczą najbardziej wspólną, która by się nasuwała, która powinna być zrobiona, aczkolwiek jest niewykonalna, to jest wspólna walka przeciwko Rosjanom. Nie jesteśmy w stanie im pomóc, bo po pierwsze nie mamy armat. Jeszcze w PRL mieliśmy drugą armię w Układzie Warszawskim, oczywiście pod radziecką komendą, ale jednak 350 tysięcy – potem, dokonaliśmy czegoś, czego nie mogliby zrobić ani Gorbaczow, ani Jelcyn – zniszczyliśmy swoje własne siły zbrojne. Jesteśmy rozbrojeni. Na szczęście Rosjanie prowadzą wojnę udając, że jej nie prowadzą, w to jakoś możemy się wpasować. Można pomagać Ukraińcom udając, że nie pomagamy, w sposób humanitarny, akcentując a nawet przeakcentowując propagandowo własną obecność. Właśnie wszelkiego rodzaju misje, jakiś Czerwony Krzyż, jakieś dary, jakieś białe konwoje z odpowiednim nadzieniem, i co ważne: zapraszanie młodzieży, wymiana młodzieży. To jest rzecz przyszłościowa, młodzież współczesna jest zupełnie inna niż my. Młodzież współczesna jest ze względu na materializację świata, na jego komercjalizację, mniej idealistyczna, rzeczy konkretne do nich przemawiają, dla nich jednak Polska jest Zachodem, i tutaj gdyby udało się doprowadzić do sojuszu przynajmniej elit młodzieżowych, to już byłby to ogromny krok do przodu. Tyle tylko, że na Ukrainie mamy oligarchów, którzy handlują z Rosją. W Polsce mamy polityków, którzy no przede wszystkim kłócą się między sobą, tu nie ma polityki tylko wciąż jest walka o władzę. Po żadnej stronie granicy nie ma wizji przyszłości. Jeszcze Lech Kaczyński

miął pomysł na coś co było takim neoprometeizmem, na zjednoczenie tych państw dawnego ZSRR. Było by to może wykonalne tylko że Polska cały czas jest zbyt uboga, zbyt szybko chciałaby konsumować owoce transformacji – nawet bez prawdziwej transformacji. To praca na pokolenie, może na dwa. Tu trzeba dokonać wysiłku jakościowego, dokonać skoku w przyszłość w sensie technologicznym, obyczajowym, kulturowym – żebyśmy niejako naturalnie byli postrzegani jako lider regionu, żebyśmy byli atrakcyjni dla potencjalnych sojuszników. wtedy będzie można pomyśleć także o testamentalnej idei Piłsudskiego, idei Międzymorza. Bo teraz to nawet najbiedniejsi i najbrudniejsi islamiści do nas nie chcą przyjeżdżać.

Kazimierz Wilk

Jak Ty widzisz na dalszym etapie – w dłuższej perspektywie – współpracę z Rosją? Rosja z bolszewickiej, przekształca się powoli idzie w kierunku budowania zarządzanego autorytarnie imperium. To jest jednak nasz sąsiad, nie możemy tego nie zauważać jak i tego co się tam dzieje. Po drugie jeżeli nie znajdziemy jakiegoś sposobu na współistnienie i współpracę to będziemy rozgrywani przez innych.

Dr Bohdan Urbankowski

Ja to trochę inaczej oceniam, raczej uważam, że Rosja jest w dalszym ciągu imperialna, że w dalszym ciągu dąży do zbierania ziem i że w tej chwili władcą duchowym Rosji staje się coraz bardziej Putin, więc ten Projekt Euro-Azjatycki ze spacyfikowanym zapleczem przeznaczony jest, aby traktować Polskę jako państewko satelickie, nic więcej nam nie dadzą. Niestety ciśnienie historii jest takie, że myśmy byli skazani na konkurencję, to nie tylko konkurencja Polska – Rosja, to konkurencja Europa – Azja, demokracja – totalitaryzm. Ta konkurencja w tej chwili odbywa się na terenie Ukrainy, odbywa się gdzieś na Kaukazie, ale dopóki Rosja się nie zdecyduje na Azję, na kolonizację i humanizację Syberii na wzór kanadyjski, dopóki nie zauważy Chińczyków – będzie to co jest. Nie widzę żadnej demokratycznej Rosji, owszem, były grupki demokratów, które skruszone wracały na łono cara i mordowały Polaków, czy Czeczenów już w XIX wieku, widzę tzw. białych Rosjan, którzy za

normalnej carskiej Rosji ochoczo działali w zaborczej machinie represji, a po klęsce tzw. kontrrewolucji uciekli do Polski. Mówię tak zwanej, bo i rewolucja też była „tak zwana” – to był pucz za niemieckie pieniądze. To jest kwadratura koła. Rosja ma to dalej swoje imperialne interesy i będzie miała. Jak jesteśmy to w stanie zneutralizować? – Rosja rozumie tylko siłę, ale siła przybiera różne formy. chodzi o jakość życia, także jego technologiczne uzbrojenie, także wolność jako forma życia, organizacji życia, także czasu wolnego. Kulturowo byliśmy bardziej atrakcyjni, jeśli urzędnik miał z Rosji jechać na ambasadę do Ułan Bator, czy nawet Pekinu – to było zesłanie, do Warszawy to był już awans. Ale teraz tak nie jest. Czeka nas ogromna praca we wszystkich sferach na raz, wyścig pracy – jeśli chcemy uniknąć wyścigu żelaza i krwi. Gdyby te prace wykonywać wspólnie z Ukraińcami, Litwinami, Węgrami i tak dalej – to byłby dobry grunt pod przyszłą integrację. Unia się sypie, zamiast przyłączać tereny, zwłaszcza Ukrainę – Unia próbuje wygonić Anglię, zamiast wyrównywać nierówności socjalne wprowadza dwie prędkości. Jesteśmy w stanie przynajmniej na terenie postsowieckich państw Europy stworzyć bardziej dynamiczną – bo w budowie, bardziej sprawiedliwą – a było tu wiele niesprawiedliwości, jednym słowem bardziej atrakcyjną Unię, taką nawiązującą do unii Jagiellońskiej. Jeżeli to się uda, taka ucieczka do przodu, to jesteśmy chronieni, jeżeli nie, to Rosjanie wprowadzą za jakiś czas rząd podległy sobie. Oni nie muszą nas podbijać, to może być formuła właśnie Królestwa Kongresowego, rządzi namiestnik, rządzi Ambasada, kontrolują wojsko. W tej chwili już kontrolują energetykę – a to jest w tej chwili krwiobieg naszych państw.

Mariusz Olszewski

Jest Pan w tej chwili, jedną z osób, które tworzą kulturę polską. Zna Pan środowisko, czy są tam jakieś pomysły, zamierzenia z których możemy na przyszłość wyciągać wnioski? Czy istnieje szansa, że powstanie coś atrakcyjnego do zaoferowania, czy ten język kultury, na który przekładamy naszą rzeczywistość jest w stanie jeszcze raz zafunkcjonować, jakimś współczesnym projektem sarmackim, czy jakimkolwiek projektem, który byłby naszym projektem?

Dr Bohdan Urbankowski

Mści się na nas wyróżnienie elit przez zaborców, myśmy nie odbudowali elit, takich na zasadzie selekcji naturalnych, takich, że zostają najwybitniejsi i coś tam dyktują. Mści się na nas brak mecenatu państwowego do dzisiaj. Jeżeli zostawia się w kulturze wolny rynek, a u nas to się stało, znaczy że zostawia się kulturę nie demokratom, nie społeczeństwu obywatelskiemu, bo to są wszystko takie modne wymysły, tego naprawdę nie ma, tylko zostawia się kulturę gangom, które robią na tym pieniądze, lansują swoich ludzi i w tej chwili w kulturze dzieje się to samo co dzieje się na ulicy, znaczy jest festiwal marginesu kulturowego. Jest preferowanie mód, preferowanie tego co wtórne, kultura ma charakter imitacyjny, bazarowy i rozrywkowy. Natomiast twórców oryginalnych i jednocześnie wybitnych już prawie nie ma. Nie ma bo albo zabrakło im charakteru niech starczy przykład Wajdy, albo byli wyrzucani poza obręb kultury chociażby Królikiewicz, mówię w tej chwili o filmie, a sytuacja w dramaturgii jest jeszcze gorsza. Nie ma wzorca, który nazywa się tradycją, bo próbowano i dość skutecznie ośmieszyć Sienkiewicza, dzieła Reymonta, Żeromskiego w powszechnym obiegu nie istnieją. Zastąpiono to imitacjami. Nie przypadkiem Gombrowicz był lansowany w PRL, nie przypadkiem w PRL był ciągle festiwal Mrożka. To były wentyle dla koncesjonowanej opozycji. Jeżeli coś Mrożka się czasem nie podobało, było to na zasadzie wyjątków, permanentnie nie podobała się literatura emigracyjna, to jasne, nie podobała się Kossak-Szczucka, nie podobał się Gołubiew, ta tradycyjna literatura katolicka, duża część literatury Międzywojnia – ona zniknęła z pamięci PRLu. Przy czym ja nie chcę tutaj specjalnie namawiać do czytania Gołubiewa, aczkolwiek „Chrobry” to jest arcydzieło, chodzi mi o to, że wraz z książkami zniknęli bohaterowie, zniknęły wzorce do naśladowania i myśli do przemyślenia. Dziś naśladuje się komercyjną literaturę zachodnią i to jest główny nurt, nie romantyzm, nie pozytywizm nawet a małpizm. Owszem są jeszcze resztki z PRL, jest Myśliwski, Rymkiewicz, Łysiak, Ryłski, którego wylansował jeszcze Putrament. A w III RP co mamy? No mamy Olę Tokarczuk, która zaczęła od wątych wierszy i opowiadań w PRL, ale jako powieściopisarka zadebiutowała już w III RP. W 1996 wydała niezłą powieść „Prawiek i inne czasy”, w tej prozie znala-

zło się sporo poezji, tej, której zabrakło w tomiku, ale potem idzie autorka na modę, na koniunkturę i kończy na słabych opowieściach oraz na superkobyle o Jakubie Franku – bo to jest chodliwe, w tej chwili się dobrze sprzedaje. Sprzedaje się Holocaust oczywiście, sprzedaje się Żydów. Taka uszlachetniona wersja szmalcownictwa. W tym miejscu warto przypomnieć, że słowa „Holocaust” użył papież w odniesieniu do Powstania Warszawskiego. Wtedy to słowo weszło w obieg kultury i myśmy to oddali, zawłaszczyli sobie Żydzi, którzy uważają, że nikt inny nie ma prawa używać tego słowa. Norwid u nas używał przecież i to w bardzo wielu tekstach. No a teraz na tym zmonopolizowanym holocaustie różni koniunkturaliści wjeżdżają do kultury jak kiedyś na Leninie czy Nowej Hucie. Ważne, żeby to był holocaust antypolski. W filmie „Pokłosie” i „Ida”, w teatrze „Nasza klasa” Słobodzianka, mnóstwo kiepskiej literatury faktu. I to kupują, to zamawiają prywatni mecenasi rządzący naszym rynkiem. A państwowego mecenatu nie ma. Nie ma także państwowej, a to znaczy wspólnotowej, ogólnonarodowej i ponad podziałami prasy literackiej, nawet pisma poświęcone poezji opatrzone są znakiem partyjnym. Mamy „Zeszyty Literackie”, które pitrasi sympatia, czy też praprasympatia Michnika pani Toruńczyk i „Poezję Dzisiaj”, którą wydaje były konsultant MSW „Aleksander” – Aleksander Nawrocki. Po stronie prawicy – zero, pisma ogólnopolskiego finansowanego przez rząd – nie ma. W Internecie wciąż bryluje jako krytyk TW „Jan” – Żuliński. W ZLP rządzi były konsultant Wawrzekiewicz, autorytem moralnym SPP jest były współpracownik Ryszard Gapień, czyli Walczak. Literaturą dla dzieci do niedawna rządziła Marta Tomaszewska – też TW. W filmie jest równie źle. Mamy bardzo ugodowe środowisko filmowców, gdzie czasem coś powstaje na zasadzie przekory, ale to jest środowisko nastawione na sukces na Zachodzie i to jest pierwsza rzecz niedobra, że myśmy sukces i wartość umieścili na zewnątrz naszej kultury, tzn. liczy się sukces w Hollywoodzie, liczy się sukces, jeżeli będą tłumaczenia na języki obce, natomiast nie liczy się rzeczywista wartość. W teatrze jest podobnie, Wojciech Tomczyk, maturzysta z tej samej szkoły co ja, ma już 56 lat a jest autorem właściwie jednej liczącej się sztuki, „Norymbergi”. W jego wieku ja miałem już kilka wygranych konkursów i kilkanaście sztuk zdjętych przez cenzurę, czy wywalonych z te-

lewizji. On jest mimo wszystko zbyt uczesany. Dorota Masłowska, wciąż wierzę, że się rozwinie, ma potencjał, ale na razie zamiast się rozwijać ona tylko zaczęła się starzeć i to brzydko. Kiedyś dostała dodatkowe punkty za młodość, jakby dostać kilka lat od losu. Wojna polsko – ruska to był fajerwerk głównie językowy, myślowo miałki ale ujawniał wielki talent narracyjny. Dramat o dwojgu Rumunach był już niezły – ale zamiast przeznaczyć czas na doksztalt, to ona zaczęła brylować, komponować i śpiewać piosenki, pisać felietoniki, recenzyjki, które ujawniały że jest po prostu niedouczona a z pustego to i Salomon nie da rady. Mamy festiwal sztuk, które walczą o kasę, a walczy się najlepiej na zasadzie skandalu i prowokacji. Banalna pułapka, w którą dał się złapać minister Gliński we Wrocławiu. Przecież wiadome było, każdy, kto ma do czynienia z teatrem wiedział, że tam są przygotowywane scenariusze rezerwowe, Glińskiego się ośmiesz, a jak będzie za dużo hałasu to zamiast na nagusa wystąpi baba w cielistym kostiumie. Tak się robi w teatrze. Tak a propos, moja sztuka „Teatr Kaliguli”, to była pierwsza sztuka, w której był wykorzystany strip-tiz – tylko to było wmontowane w całość snu i tak przedstawione, jak akt w malarstwie tyle że ożywiony. Jeżeli akt kobiecy funkcjonuje tak jak Leda z łąbędziem, to pokazuje piękno, no, trochę dokładniej je pokazuje – ale zostaje w sferze estetyki a nie w dziale pomocy naukowych dla onanistów. Natomiast w naszej kulturze trwa inwazja brzydkiego, bo ograniczonego do spoconej fizjologii seksu. Seks staje się i towarem i dodatkiem do towaru, reklamą wódki, co jeszcze rozumiem, ale także tarki i kleju, co już mniej rozumiem. A to jest sprawa poważniejsza niż się sądzi. rozwój człowieka, rozwój kultury zachodniej to rozwój kultury miłości – ponad seksem. Zachód stał na kilku miłościach – do kobiety, żony, kochanki, matki naszych dzieci, do matki i do ojczyzny. Miłość podniesiono do rangi sakramentu. W PRL sakrament ten nie był dobrze widziany – więc miał wartość zakazanego owocu. A teraz to się niszczy, plugawi. Od początków III RP seks niszczy sferę tak delikatną, jaką jest sztuka, literatura miłosna, poezja, pociąga się ją w dół w sferę profanum, w biologię. Pisarz nie wyobraża sobie książki, gdzie bez względu na temat, nie byłoby co paru stron jakichś ciekawszych numerków, nie wyobraża sobie scenariusza filmowego, gdzie nie byłoby przynajmniej dwóch zakochanych pederastów –

choćby w kącie, choćby na drugim planie, bo to jest wymóg poprawności, poza tym dobrze się sprzedaje. No, z zoofilią to jeszcze tam nie wszyscy ryzykują, ale to jest przyszłościowy temat, jak ktoś chce odnieść sukces w literaturze to już powinien mieć to na uwadze. Zwłaszcza, że jest to prawie niewyczerpywane, bo jest kilka tysięcy gatunków zwierzęcych, od mrówek począwszy, a na słoniach skończywszy. Natomiast sprawy poważne wciąż czekają na przeniesienie z realnej ale przecież niszczącej historii do wieczności jaka tworzy sztuka. i tu znowu wracamy do sprawy tożsamości, do wzorców do naśladowania i problemów do przemyślenia. Czekają cały czas na opisanie rok 1920, na ten temat wciąż żyjemy się jakimiś resztkami scenariusza Bitwy warszawskiej Jerzego Hoffmana. Czekają na swoją wielką powieść Powstanie Warszawskie – w jego opisie zatrzymaliśmy się na pułapie „Kolumbów”, literatura faktu nie doścignęła „Przemarszu przez piekło” Podlewskiego. W to miejsce nasi literaci wlewali energię w martyrologię Żydów, w zmyślanie powstania w Getcie. Bo to powstanie w $\frac{3}{4}$ jest zmyślane. pamiętam, jak sam Marek Edelman zwracał uwagę, że to nie było powstanie, jednak powstanie musi mieć jakiś front, jakieś walki muszą być, dowództwo, a tu pierwszym i ostatnim wyczynem dowództwa Anielewicza było popełnienie zbiorowego samobójstwa, więc może nie należy przesadzać. Edelman chyba nie lubił Anielewicza. Ale potem sam Edelman uwierzył, że tam było wielkie powstanie a on jego wodzem. A ponieważ on był w tej grupie komunizującej, Anielewicza – pomija się i krzywdzi Żydowski Związek Wojskowy. Więc połowa działań przekłamana, za to druga w ogóle nie opisana. Zniknęły z zainteresowania literatów heroiczne momenty Powstań Śląskich, nie dowartościowane literacko są Kresy – mamy poprawną politycznie „Syberiadę” stalinowskiego prokuratora Zbigniewa Domino. On wie, ile można, żeby się nie narazić. Takie rzeczy to i w ZSRR puszczali. W kulturze masowej jest jeszcze gorzej. Kultura masowa jest kulturą jakby popłuczynami tego co jest na zachodzie i im bardziej ktoś małpuje, im są to brudniejsze, czyli bardziej treściwe popłuczyny, tym zyskujemy większe nagrody i uznanie.

Reasumując w biegu: mecenat państwowy ma jeszcze parę lat, ale niewiele, jeżeli nie weźmie się do roboty, to przy zalewie angielszczyzny kultura polska będzie cały czas drugorzędna, będzie kulturą dla prymityw-

nich mas, spełni się marzenie Hitlera, damy Polakom piosenkę masową, burdele im damy, gazetki porno im damy i mamy podludzi, którzy mogą pracować przy sprzątaniu ulic.. Jest jeszcze, niestety ostatnie lata do wykorzystania, Rymkiewicz. Jest Myśliwski, który jest tak jak wszyscy z PSL-u, ja nie wiem czy on jest z PSL-u, ale on też jest obrotowy i on da się obrócić, żeby dostać jakąś nagrodę. Ale to już zadanie dla ministra Glińskiego, ministerstwo to nie same przyjemności, to czasem poświęcenie, nawet misja. Pojawiło się w naszej kulturze, na razie jeszcze na marginesie, wielu młodych ludzi, którzy wierzą w sens powtarzania historii, mam na myśli grupy rekonstrukcyjne. One powinny dostać ogromne dotacje. One powinny mieć po prostu takie pieniądze żeby robić widowiska, światło i dźwięk w najlepszym stylu, lepszym, niż na Zachodzie.

Nie ma, wciąż nie ma, o czym już wspominałem, Polskiej Akademii Literatury. To jest instytucja, który pokazuje, że jest własna elita, która zabezpiecza tę elitę i dba o jej ciągłość. To jest zbiorowy mózg, a jeszcze bardziej sumienie i zbiorowy smak, w sensie herbertowskim. Bardzo często taki akademik już sam nie pisze, bo jak to się mówi „wypisał się”. Ale ma taki dorobek i tyle może opowiedzieć, że on powinien jeździć po szkołach, po różnych miastach i to jest zaszczytem dla takiego miasta. To już świetnie funkcjonowało przed wojną. Nie było łatwo to powołać ten PAL, literaci wciąż się kłócili, więc Piłsudski powiedział, że mają w takim a takim terminie to powołać, bo inaczej cofnie poparcie. Bo zapomniałem powiedzieć, że on najpierw obiecał im poparcie, był dobrze zorientowany w literaturze dzięki Kadenowi, dzięki Sieroszewskiemu z którymi się przyjaźnił. Zrobił dokładnie to samo zrobił powołując CIWF, czyli późniejszy AWF. Czyli walnął pięścią w stół, zagroził że kasy nie będzie jak natychmiast się nie dogadają – no i szybko tę Akademię Literatury powołali. A potem jeszcze władze wpadły na genialny pomysł, chyba minister Jędrzejewicz, żeby nie płacić akademikom co miesiąc, bo oni wtedy nic nie będą robić, tylko na akord, od konkretnych prac i spotkań. Jak ta Akademia ruszyła w Polskę, tam Lwów, tu Wilno, do Poznania nawet dwa razy, ożywiła literaturę, no bo dla młodych to był wzór, to był wspaniały pisarz, to był Sieroszewski – Syberia, Legiony, to był Tuwim, wspaniałe erotyki, wspaniała poezja taka żywiołowa, ta cała biblia cy-

gańska, to był Leopold Staff, dziś już nie wiem dlaczego zapomniany, on był wtedy najlepszy. To był jeszcze cały magiczny Leśmian. No i przede wszystkim Kaden Bandrowski ostatni z wielkich – z następców Żeromskiego czy Sienkiewicza. I oni potrafili wylansować pisarza – mądrego pisarza patriotę i moralistę jako wzór warty naśladowania, oni przywrócili literaturze rangę taką, jak miała w Romantyzmie. To między innymi dzięki ich pracy, ludzie trochę więcej czytali, dzięki temu, że literatura miała taką rangę, to potem mieliśmy Sztukę i Naród – w cudzysłowie i dosłownie, jako pismo i jako element, żywioł rzeczywistości. Mieliśmy Gajcego, Baczyńskiego, mieliśmy, tę niesamowitą kulturę okupacji, dzięki której Polska okupację przetrwała. To było także tajne nauczanie. I to tajne nauczanie było atrakcyjne. Bo tam uczono po polsku i tam uczono wybitnej literatury. Także tutaj jest problem atrakcyjności tej kultury, ale problem propagowania i finansowania. Ja tutaj zapuszczałem się w te analogie cybernetyczne, mówiłem o informacjach, o nośnikach i o zasilaniu. U nas wszystko to jest leży! Nośniki to nie tylko ludzie, to jest duplikacja wszystkich informacji dzieł sztuki. Tego nie ma. Utwór dramatyczny powinien być grany na 10-ciu scenach, powinien być w radio, w telewizji, a nawet w kilku i potem puszczone gdzieś na płytach, tego nie ma. Książki – powinno być to samo, wydania internetowe, tego nie ma. Co jest w to miejsce? W to miejsce są tłumaczenia literatury albo amerykańskiej, czy w najlepszym razie angielskiej, trochę bardziej ambitnej. Natomiast każde tłumaczenie, nawet jeśli nie jest to denne dzieło, jednak wywołuje szkodę, bo zajmuje jakieś tam miejsce. Bo w to miejsce nie powstanie, czy nie zostanie kupione dzieło polskiego twórcy. Inaczej mówiąc zapominamy o tym, że twórczość to nie jest tylko wytwór, którym się handluje, ale to jest także twórca i odbiorca. Nie ma zasilania do tego, bo zasilaniem w kulturze jest forsa, po prostu. Państwo, które nie ma własnego organu kulturalnego, nie ma własnej gazety informacyjnej, typu Rzeczpospolita, nie ma własnego programu telewizyjnego w sferze kultury nie istnieje. A to znaczy, że nie istnieje poza sferą administracji i opresji. Zamiast stworzyć program odpowiadający polskiej racji stanu – nowa władza próbuje dogadać się z pseudopozycyjnymi elitami, mówię pseudo bo to niedawni dworacy. Nowa władza próbuje ich przekupić, ale

nie ma tyle forsy, poza tym ludzie zaangażowani w tamten reżim dalej liczą na jego powrót. Władza zamiast ich uczciwie kupić, albo pogonić – mówię nie o prawdziwych twórcach, tylko o tych do wynajęcia – próbuje ich kokietować. Zaczęto oczywiście od zaproszenia do telewizji jednego Żyda i jednego pederasty, żeby pokazać, że my też jesteśmy tolerancyjni. Potem obmyślono nagrodzić medalami twórców z SPP – ci publicznie odmówili przyjęcia i ośmieszyli rząd. I tak to będzie. Podlizywanie się tym pseudoelitom, które w gruncie rzeczy się narzuciły, to elity samozwańcze – nic nie da. A nie robimy nic by wychować nowe elity, ba by ujawnić te istniejące, tylko rozproszone gdzieś na prowincji. Więc po tej niby naszej stronie grasują samozwańcze elity, tyle że patriotyczne. To przeważnie ci gorsi, których poprzednia ekipa nie kupiła. Czasami słucham radia TOK FM i tam czasem latają ich teksty, jak oni puszcza pierwszorzędną literaturę patriotyczną lansowaną w kościołach, to nawet ja się śmieję, nie tylko oni. Oni to robią żeby się pośmiać, a ja żeby się nie rozpląkać. Ale dlaczego tu rządzi grafomania? dlaczego tzw. pravicowa kultura nie wzniosła się ponad filmiki na dyskietkach? Bo państwowa machina kulturotwórcza nie działa, nie dała kindersztuby, nie wyrobiła smaku. Ci ludzie zostali skazani na amatorszczyznę, nasza literatura patriotyczna jest chałupnicza. Tworzą trzy babcie siedzące pod kościołem na wzór piosenek które śpiewają w niedziele. Jest w młodszym pokoleniu kilka nazwisk, które rokują nadzieje. Tylko, że to już nie jest takie młode pokolenie, bo jeżeli ja do niego zaliczę Wildsteina, zaliczę Polkowskiego, zaliczę Dakowicza, zaliczę Wencla i Hałasia, no to są ludzie, którzy mogliby a nawet powinni być dziadkami. Oni, mimo że jest już III RP wciąż nie mogą się przebić przez przysłowiowy szklany sufit. Natomiast ci co się przebili prowadzeni są jak na smyczy przez korytarze i salony różnych nagród i promocji, są sterowani przez mechanizm przyznawania Nagrody Polityki i Nike i korumpowani są przez platformerskie media i instytucje z pogranicza kultury i polityki. Robi się dla nich zjazdy, turnieje poetyckie, święta, gdzie oni nawet będąc bardzo trzeciorzędnymi nawet pisarzami są traktowani i to jest chwyt rodem z PRL-u, traktowani są jak drużyna samych wieszczów. Sam Michnik im podaje rękę. Przepraszam, że zająłem tyle czasu, ale właściwie zażądaliście ode mnie audytu

współczesnej literatury, a audyt musi być dokładny. Więc i tak za krótko mówiłem.

Jerzy Wawrowski

Na temat kultury moje obserwacje są podobne do Twoich. Biorąc pod uwagę, że całość systematycznie obniża poziom, aczkolwiek wydaje się, że już dalej nie można, to jednak idzie w dół. Ten obraz, to co ja na swój prywatny użytek nazywam „niekulturą”, kulturę zastąpiło coś, co można tylko nazwać niekulturą. Na ile to jest tutaj produkt nasz miejscowy, a na ile to jest produkt i pochodna od w ogóle regresu kultury, tego kręgu kulturowego w którym my istniejemy i funkcjonujemy? Na ile ta nasza jałowość jest pochodną tego ogólnego zjawiska, a na ile jest tworem naszym, własnym. Bo te wszystkie zjawiska występujące u nas które nam opisałeś wydają się odpryskiem tego co w ogóle się dzieje w kulturze europejskiej, czy szerzej – w kulturze zachodniej. Czy to nie jest tak, że cała cywilizacja zachodnia przeżywa kryzys i idzie w dół, a my razem z nią? Tylko może u nas jest to w bardziej widoczne i drastyczne, ponieważ jesteśmy kulturą – jak to zaznaczyłeś – peryferyjną w stosunku do tych stolic mądrości -jak to określiłeś – a poza tym przeżyliśmy tragedię, że naszą rzeczywistą elitę kulturową bądź dosłownie biologicznie wyróżnięto, bądź jak to ujął komunistyczny pisarz Andrzejewski, „wykastrowano ją z talentu”.

Dr Bohdan Urbankowski

Kultura jest systemem naczyń połączonych, jak Zachód zaczęły niszczyć reguły politpoprawności – to i u nas się to odbija. Z tym, że np. Francuzi umierają na wyższym poziomie, stąd wniosek, że mogą umierać i dłużej i szczęśliwiej. Podobnie Anglicy – mając system tych szkół elitarnych. U nas początkowo było – pomimo sowytyzmu – całkiem nieźle. Zapaść nastąpiła dopiero w III RP, z utworzeniem tzw. szkół społeczno-sciowych i uczelni prywatnych, które w 90 % były warsztatami do robienia pieniędzy. zasłonę dymną stanowiły różne programy eksperymentalne i autorskie, które pozwalały trzepać kasę pomysłowym cwaniakom. Ja w tej chwili nie bardzo mogę ze względu na zdrowie obserwować, co się

dzieje na świecie, ale póki jeździłem to widziałem, że jeżeli chodzi o poziom szkolnictwa, to do pewnego okresu, powiedzmy do początków lat 90. nasze szkolnictwo stało wyżej niż francuskie, angielskie, niemieckie czy amerykańskie. Ich niszczył kapitalizm, mieli kilka szkół dobrych, elitarnych najczęściej wyznaniowych i tysiące zakładów produkujących tysiące różnokolorowych debili. Poziom szkół publicznych drastycznie obniżali uczniowie z rodzin emigranckich, zwłaszcza arabskich a w USA – Murzyni i Latynosi. Pomieszkowałem u różnych rodzin, rodziny miały dzieci, dzieci chodziły do szkoły, przeglądałem książki, miałem jako poeta, czasem jako filozof spotkania na uczelniach, to poszerzało pole obserwacji, i parę razy z mieszanymi uczuciami widziałem, że mam do czynienia z młodymi ludźmi, którzy są głupszy od swoich polskich rówieśników. Problem jest wciąż z tym, co się nazywa polityką kulturalną. Te kraje to mają, szkoły prywatne robią to spontanicznie, by nadrobić zaniedbania szkół państwowych. Kiedyś jak walczyłem o polską filozofię to tłumaczyłem, że Francuzi przede wszystkim wykładają w szkołach średnich filozofię francuską, Niemcy niemiecką, a Polacy jak się wezmą do roboty to też będą wykladać francuską i niemiecką. Dlatego, że nikt nie zna Polskiej. Po prostu jest to niedoceniane, a przecież mieliśmy też paru geniuszy jak Wroński, czy Cieszkowski czy Trentowski. No i kończąc tę przydługą odpowiedź, ale muszę to powtórzyć: komercjalizacja. Wszystko się zaczęło przeliczać na pieniądze, pieniądź i status życiowy są miernikami wartości twórcy, nawet poetów próbuje się przeliczać na złotych, ba, na euro, i to jest upowszechniane przez media. Więc wracamy do punktu wyjścia: cały czas wraca problem, wraca obowiązek spełnienia mecenatu przez państwo. Tu trzeba zmienić stosunek do państwa w ogóle. Upowszechnić odczucie, że jest ono nasze, że tonie żadni „oni” lecz aparat z naszego wyboru, mający pracować dla nas – także w sferze kultury. A jak nie – wybieramy do tej roboty innych kolegów.

Dr Andrzej Anusz

Mam pytanie dotyczące państwowotwórczej roli kultury, widzę to jako jeden z głównych elementów. To jest de facto kwestia budowy państwa, konsolidacji struktur państwa, to jest ten przekaz z którym w 2015 roku

PiS wyszło do Polaków i dzięki temu wygrało wybory. Tak to w dużym stopniu odbieram. Niezbędny jest – moim zdaniem – taki mechanizm, że państwo powinno być mecenasem kultury, a kultura elementem budowy państwa, wzajemny związek państwo-kultura, kultura-państwo. To jest nawiązanie w dużym stopniu do tego co się sprawdzało w II Rzeczypospolitej. Moje pytanie jest takie, czy nie jest to jeden z tych elementów, który może dać nadzieję i dać tą szansę? Na ile to jest w ogóle możliwe?

Dr Bohdan Urbankowski

Ja bym się cofnął jeszcze o szczebel niżej i rozwinę to, co zacząłem przed chwilą. Problem jest chyba w edukacji, w rozumieniu takich prostych pojęć jak państwo, naród, patriotyzm, nacjonalizm, wspólnota. Bo co u nas nastąpiło? To nie jest chyba dzisiejszy wynalazek, to trwa przez wieki, ale nastąpiła alienacja państwa. Dla nas ta alienacja była w pewnym momencie dobrodziejstwem, bo przecież to było państwo zaborców, a potem państwo PZPR-u, czy PRL-u. Jak ja sobie przypominam swoje początki knucia i działania na szkodę socjalistycznego państwa, to myśmy zaczynali od Klubu Artystów-Anarchistów. Przy czym my nie byliśmy anarchistami, takimi od bomb, prawdziwego anarchisty nikt z nas nie znał, nie czytał, znaliśmy go z poemaciku Broniewskiego o Bakuninie. Natomiast ten nasz anarchizm, z którym wychodziliśmy do ludzi to był taki, żeby nie zapisywać się do partii, żeby nie chodzić do sekretarza po interwencje, nie zwracać się do miejskiej rady narodowej, tylko samemu, samemu, samemu. W najgorszym razie do proboszcza Porwoła, albo do profesora Cygana, przedwojenny, ze Lwowa, albo do Studenckiego, też ze Lwowa. No i taki był ten nasz anarchizm, ale przecież ustawiał nas po jasnej stronie mocy jak to się dziś mówi, przecież wtedy zaliczyłem pierwsze przesłuchanie., tam się to wszystko zaczęło. No więc teraz, gdy już my mamy suwerenność i władzę, państwo nie powinno być traktowane jak obce, urzędnicy to nasi koledzy wybrani do prac, na których się znają a jednak państwo wciąż jest przez obywateli traktowane jako obce a przez samych urzędników – jako łup a obywatele jak poddani. I to jest błąd edukacyjny, to znaczy my nie rozumiemy w dalszym

ciagu, że państwo to my, że to są nasi reprezentanci. To co rozumieli ci w Pierwszej Rzeczypospolitej w tym sarmackim projekcie, bo oni się spotykali, wybierali, no tego nie wybierzemy bo się zaraz upije, ten to jest za głupi, ale ten to ma taki łeb i jeszcze dobrze mówi, to my go wysyłamy na Sejm, i to był nasz człowiek w stolicy, który tam jedzie coś załatwia i na tym polegała władza. W tej chwili wciąż trwa ten mechanizm, że jeżeli ktoś się załapuje do Państwa to jest to co było w Sowietach, on już jest w szeregach zwycięskiej armii, on podbił społeczeństwo, a reszta to są „trofije”. Jeżeli PIS traci tyle czasu, który już powinien poświęcać na reformy to dlatego, że obawiam się, że oni na razie dzielą łupy i wciąż za dużo łupu a za mało cwaniaków. Jak podzielią, to może to jakoś ruszy do przodu, no chyba, że już zajmą się konsumpcją.. A poważnie: ważna jest wciąż edukacja, a nie propaganda. Wiele konfliktów jest sztucznych. Sztuczny jest Ruch Autonomii Śląska, sztuczny jest konflikt ‘patriotów’ z narodowcami. Zniknąłby, gdyby się dało upowszechnić nieantagonistyczne rozumienie na przykład patriotyzmu i nacjonalizmu. Etymologicznie to nie jest antagonistyczne. Nacjonalizm, to natio – naród, ludzie, patria – ojczyzna, ojcowizna, ziemia ojców. Ktoś tą ojczyznę robi ze zwykłego kraju, robi z pola, a czasem z polany, tu zaorze, tam wybuduje dom dla siebie, albo dla Boga. A te największe prace, tego nie robi jednostka, to już robi zbiorowość, naród, to naród jest w roli twórcy, zbiorowego rzeźbiarza a ojczyzna jest wytworem tej twórczości. Potem oczywiście na zasadzie sprzężenia zwrotnego rzeźby rzeźbią rzeźbiarzy, to jest normalne. Idzie się ulicą pięknego miasta i to miasto nas kształci. Tym, że są piękne budowle, że rzeźby jakieś ładne obrazy, a nie bilbordy z gołymi zakonnicami. Mnie na szczęście rzeźbiły secesyjne kamienice Bytomia, a nie puste ściany blokowisk. ale to dygresja. to co powiedziałem o alienacji dotyczy teraz takich pojęć jak Państwo, czy Kultura, mówię to dużymi literami. Bo Państwo jest to sposób organizacji narodu, czasem kilku razem jak w Szwajcarii. Można sięgać po teorię umowy, można sięgać po teorię podboju, ale tak czy inaczej jest to sposób w jaki ludzie sami sobą rządzą – żeby nie być rządzonymi przez innych. I dobrze jest jak naród ma własne Państwo inaczej ten naród jest ciemniony, staje się v-ce narodem w imperium. Staje się materiałem etnicznym do

przerabiania i my cały czas zapominamy o tym, że jednak te procesy germanizacji, czy rusyfikacji miały sukcesy. Iluś tam Polaków w Rosji się zrusyfikowało. Chociażby genialny Ciołkowski, genialny Czajkowski, jeszcze paru można wymienić. W każdym razie ja nie widzę innego sposobu jak mądra edukacja. Bo jeżeli to nie będzie zrobione mądrze, to będzie zrobione głupio, chałupniczo, z najlepszymi chęciami i potem jestem zaproszony do jury, każą mi wysłuchiwać patetycznego poematu o księdzu Popiełuszcze w niebie, czy o Janie Pawle II, trochę niżej, ale za to a Tatrach. Ja słucham i wiem, że oni się w tym momencie przewracają w grobach. Ale dlaczego? Dlatego, że ci młodzi poeci nie mieli dobrych wzorców, nie zostali wychowani. Gorsza kultura jest tańsza, gorsza kultura jest łatwiejsza do przyswajania. Ja pamiętam jak byłem w Stanach. Tam mnie zaskoczyło jedno, mianowicie grupa znajomych miała wciąż pootwierane telewizory. Latały filmy po pierwsze po hiszpańsku, bo to była Arizona, ale prawie nie było tekstu. Owszem, walili się po mordach cudownie. Gwałcili się na tyle sposobów, że ja, który miałem przetłumaczyć Kamasutrę na polski doszedłem do wniosku, że jest za wcześnie, bo nie mam odpowiedniego słownictwa i doświadczenia, patrzę i nie rozumiem. Ale czułem, że patrzę na powierzchnię, że wciąż nie wiem o co naprawdę chodzi. Dopiero mi znajomi wytłumaczyli, że chodzi o gasterbeiterów z Meksyku. Chodziło o to, żeby oni nie wychodzili na ulicę, bo ich ulubioną rozrywką jest rżnięcie nożami, a w modę wchodziły już maczety nie tylko gasterbeiterów, ale także białych, protestanckich Anglosasów. Więc chodziło o to, żeby przywiązać ich do miejsca zamieszkania. Amerykańscy decydenci serwowali im tych telewizji od cholery, kilkadziesiąt stacji, wszystko za darmo. No i znów wracamy do punktu wyjścia, czyli do mecenatu państwa i do polityki kulturalnej. Jeżeli państwo nie wytłumaczy czym jest, a czym nie jest, jaka jest racja stanu, jakie plany – powiedzmy eschatologia bliższa i dalsza – to sami siebie okradniemy, i pozbawimy szansy. Ja już mówiłem o alienacji państwa, ale ono wyalienowało nam się w czasie PRL-u, a alienacja wciąż trwa. Państwo to „oni”, którzy podbili „nas”. Każdy urzędnik przede wszystkim chce zaspokoić siebie i rodzinę, a dopiero potem myśli o zaspokojeniu tych, którzy go wybrali. Nie pamiętamy, że to myśmy go wybrali,

nie korzystamy z mechanizmu odwoływania. Dlaczego? Wszystkich esbeków, wszystkich propagandzistów, wszystkich sędziów, którzy sądzili w stanie wojennym, powinno się było odwołać. A jeszcze lepiej skazać na roboty. Trzeba używać więźniów do budowania, no nie marnować ich energii, siły fizycznej. Cegły niech lepią, albo drogi niech robią. PO się nie wyrobiła z szosami i kolejami na Euro, brali łapówki za przemykanie oczu na nieróbstwo, albo po prostu kradli. To zamiast hodować ich w więzieniu z kolorową telewizją – zagonimy ich do roboty, niech robią te szosy i niech spłacają co nakradli. To będzie i logiczne i pożyteczne.

Michał Janiszewski

W czasach naszej młodości to się rozmawiało, albo się pisało. Teraz się SMSuje, albo twittuje a koniecznie trzeba być na Facebooku. Doszły narzędzia, którymi – na przykład – ja bardzo słabo się posługuję. Natomiast nasze dzieci, nasze wnuki tymi narzędziami posługują się na co dzień. Mówisz słusznie, trzeba sięgnąć i rozwijać element edukacji. Ale jak tę edukację przełożyć na te współczesne narzędzia?

Dr Bohdan Urbankowski

Specjalnie mówiłem w swej gawędzie o zmianie nośników w dawnych wiekach, bo to nigdy nie stało się tak, że pewne dzieła upadły, gdy zamiast przepisywania przez mnichów były stukane przez drukarzy. Nie mylmy nośników, nie mylmy narzędzi z tym co mamy przekazywać, bo jeżeli przekaz jest atrakcyjny, to sama technika przekazu może tylko zadziałać dobrze, bo przekaże szybciej, przekaże łatwiej, przekaże na większy obszar. Także myślę, że to jest kwestia chciałoby się powiedzieć cenzury, ale cenzurę wprowadzili Hindusi w Bollywoodzie. I to zrobili w sposób zaskakujący, akurat byłem wtedy w Indiach i mogłem tam z nimi trochę pogadać. Mianowicie, tam jako cenzorów powołano, to było duże kolegium, nawet dwa czy trzy, to byli przede wszystkim ludzie z kasty braminów, ale bynajmniej nie duchowni. To byli filozofowie, to byli literaturoznawcy i oni działali jak gdyby na rzecz podnoszenia poziomu nawet tej kultury masowej. Bo to nie znaczyło, że oni całe filmy odwalali, przeciwnie, żadnego nie odwalili. Ale mogła być jakaś

głupia scena, która psuje to, co się nazywa pięknem miłości. No to tylko jedną scenę taki profesor brał i wycinał. Miałem jako zwolennik demokracji pewne zastrzeżenia, ale potem doszedłem do wniosku, że nie jestem aż takim zwolennikiem demokracji i niech oni sobie cenzurują, bo to jest nie cenzurowanie a doskonalenie dzieł, by doskonalili ludzi. Oni w ten sposób podwyższają poziom kultury masowej. Ale kwestia jakości tej kultury jest rzeczą także technicznego wykonania. Jeżeli popatrzymy na Dostojewskiego na „Zbrodnię i Karę” to jest kryminał. Są dobre, mądre kryminały, nie wszystkie oczywiście, Agathy Christie – owszem Chestertona – owszem, ale nie powieści milicyjne z PRL. Teraz jest dużo literatury, która odwołuje się tylko do samej zbrodni, epatuje dokładnym opisem jak to on tam rżnie tę ofiarę tkanka po tkance, zatrzymuje mu się scyzoryk na kręgosłupie, no to musi się tam jeszcze bardziej naprężyć, scyzoryk zgrzyta itd. itd. To oczywiście jest bzdura i tu by się o takiego hinduskiego bramina człowiek prosił. Ale mogło być nawet rzecz na pozór literatury czy kultury drugorzędnej mądre i na to oglądanie ja dopiero nie tak dawno odkryłem serial „Ranczo”. Jeden z najlepszych polskich, najinteligentniejszych, z bardzo dobrymi dialogami i bardzo inteligentnie podpatrzone mechanizmy polityczne naszego życia. Kariera tego Wójta, ten cyniczny Czerepach, nastroje tej całej wiochy, ale jednocześnie niezwykle optywizm, mimo wszystko ta wieś cały czas idzie w górę i jak to się mówi, „Pan Bóg pisze prosto po liniach krzywych”, coś tam się dobrego dzieje, nawet gdy Wójt chce zrobić jakiś paskudny przekręt – przeważnie z tego wychodzi coś dobrego. Kłóci się z księdzem, ale dzięki temu cała wiocha robi się bardziej kulturalna, itd. Doskonałość może się trafić w ramach gatunku uchodzącego za drugorzędny, to może być piosenka masowa, dla mas była we Francji i Edith Piaf, i Juliette Greco niestety w Polsce były „Majteczki w kropeczki”. Ja tu nie mówię o poezji śpiewanej przez Demarczyk i Niemna, to zupełnie co innego, to problem upowszechniania literatury wysokiej i doskonalenia odbiorców. Na tym polega edukacja, żeby do poziomu dobierać narzędzia wychowawcze, podręczniki, dzieła sztuki. Tylko że tu jest jeszcze jeden problem. Istniała i to jeszcze nawet w PRL-u kasta zawodowych krytyków. Oni oczywiście byli powoływani przez władzę, znakomicie

opłacani. To był stary Matuszewski, to był młody „Tomburek”, Tomek Burek i 60. innych Burków. Przeważnie koniunkturaliści, przeważnie czujni politycznie, innych nie tolerowano – ale jednak fachowcy. W tej chwili urząd krytyka, który może być przewodnikiem dla czytelników, dla nauczycieli, dla młodzieży zniknął. Nie ma, po prostu nie ma. Bo albo każdy ma te ambicje własnego tworzenia. Był w czasach PRL-u taki krytyk Sandauer. Znakomity krytyk. Dlaczego? Dlatego, że zaczynał jako poeta, tylko mu nie szło a był na tyle inteligentny, że potrafił ocenić własne twory jako denne i zająć się właśnie krytyką. Dużo czytał, porównywał z tym co kiedyś i co u sąsiadów, porządkował ten straszny chaos, ten szum informacyjny. Dziś nie ma Nawet takich krytyków. To znaczy są, ale nie w kulturze. Pamiętajmy, że człowiek to jest zwierzę nasączone kulturą, oddychające kulturą, także pisarz czy krytyk – jako pisarz czy krytyk – żyją tylko w kulturze. Poza nią Havel jest tylko nocnym stróżem, Leśmian kiepskim rejentem, Rilke utrzymankiem jednej pani i tak dalej. U nas są mądrzy, znający literaturę krytycy – i to w znaczeniu jakie tej funkcji nadawał Brzozowski. Jest Świegocki w Mławie, Smaszcz w Białymstoku, Biskupski w Łodzi, Ewa Dunaj – Kozakow w Lublinie, są na Śląsku Iza Mikrut i Marcin Hałas, jest w Płocku dwóch dobrych poetów, którzy mogliby być jednocześnie krytykami – Marek Grała i Maciej Woźniak, jest – sam nie wiem gdzie tajemniczy Ebenezer Rojt – ale właśnie ich nie ma. Zauważcie, że to sama prowincja, nikt z warszawskiego salonu, Krakówek pomijam. Tym fachowcom nie pozwala się funkcjonować w kulturze, czyli po prostu uśmierca ich się jako krytyków właśnie. Ci, którzy są uznanymi krytykami w gruncie rzeczy są agentami propagandowymi wydawnictw. W kulturze trwa wyniszczająca i podstępna walka między wydawnictwami, walczą gangi, tego blokujemy, tego lansujemy, na tym zarobimy, na tamtym nie... Problemem nie jest napisać książkę, bo tam genialną książkę to i ja potrafię napisać, tylko potem problem jak to sprzedać, jak ją przenieść z bazy jaką jest drukarnia, do nadbudowy jaką tworzą choćby media.

I tutaj jeżeli nie mecenat państwowy, no to cóż, to pozostaje Kościół, ale Kościół ma po pierwsze swoje wymogi ideowe, a wiadomo, że każde wybitne dzieło musi przekraczać dotychczasowe horyzonty.

Także i horyzonty filozoficzne, ideologiczne, poznawcze, bo na tym polega postęp. Muszą być ci, którzy idą przodem i pierwsi dostaną w łeb. Ale torują drogę następnym. My mamy kościół niestety wycofany po odejściu Wojtyły, który próbował nawet zreformować język teologiczny wprowadzając elementy fenomenologii, przecież on studiował Schellera i te jego teksty się czyta zupełnie inaczej, one wciągają, ożywiają dyskutujących, ożywiają najwyższe rejony religii ale z tego się wycofano. Więc mamy Kościół pozbawiony ambicji reformatorskich, to znaczy ambicji dotrzymywania kroku pędzącemu czasowi i wrócił dosyć konserwatywny tomizm. Szansą było przejście na język narodowy, lecz tej szansy też nie wykorzystano. Zamiast sacrum i tajemnicy – rzeczy staroświeckie, banalne, bez polotu. A sacrum nie może być nudne! Jakie mity o swoich bogach stworzyli Grecy i Rzymianie!

A poza tym Kościół dał się sterroryzować przez poprawność polityczną. KUL to już nie jest dawny KUL. „Tygodnik Powszechny” jest niedzielnym dodatkiem do „Gazety Wyborczej”.

Być może jedyną zasługą Kościoła będzie w tej chwili, że księdzu Rydzykowi uda się wychować ileś tam mądrych ludzi. Bo to jest jednak środowisko, w którym nawet jeżeli będą głupi wykładowcy, to tam w tym akademiku w salach wykładowych spotykają się młodzi, żądni wiedzy ludzie. Oni wymieniają między sobą informacje i każdy student potrafi odróżnić głupiego wykładowcę od mądrego bez względu na to czy jest w sutannie, czy w slipkach. Więc tutaj jest jakaś nadzieja, że na rynek wejdzie iluś tam nauczycieli, może nie pisarzy, studia nie wychowują na ogół pisarzy, ale krytyków – i owszem. Tych pieniędzy, jakie ma „Agora” na promocję, jeszcze dostaje z banków, dzięki czemu przyznaje nagrodę Nike, takich pieniędzy zwykły wydawca nie będzie miał. A bardzo często warunkiem jest „no dobra, my ci damy Nike, ale tu wystąpisz, ale tam to już nie wolno”. A przed imprezą powiemy ci, co masz mówić. I w takiej sytuacji, nie ma rady – trzeba stawiać na uczciwość.

Krzysztof Laga

W trzech elementach chciałem się wypowiedzieć. Po pierwsze to coś w rodzaju ludobójstwa, w głównym nurcie swojej wypowiedzi tego na-

pisu, tego co ja nazywam „kodem historycznym”, co jest tożsame z narodem polskim i z Polską. Brakuje mi ambitnej wypowiedzi, takiego elementu konstytucji 3 maja, nie tyle samej konstytucji jako aktu prawnego, ile obchodów święta 3 maja. Pierwsze poważne gigantyczne obchody 1891 rok, stulecie konstytucji, pierwsze głębokie polityczne doświadczenie Romana Dmowskiego, który za organizację tej manifestacji spędził parę miesięcy w więzieniu. Druga potężna demonstracja z okazji uchwalenia konstytucji 3 maja rok 1916, kiedy za zgodą niemieckich władz okupacyjnych doszło do potężnej, naprawdę pięknej demonstracji, manifestacji w centrum Warszawy. Trzecia – 3 maja 1921 roku też była piękna demonstracja, manifestacja związana z tym, że zakończyliśmy wojnę z bolszewikami Traktatem Ryskim. Święto 3 maja 1946, kiedy najpierw pałowanie, a potem pacyfikacja przez bezpiekę i KBW środowisk, dla których to święto było istotne i ważne. Takie wypłukiwanie z naszej świadomości, tego co II Rzeczypospolita stworzyła, to zmiażdżymy. Ja bym zrobił jeszcze coś innego. Tutaj kolega Wawrowski mówił o kastrowaniu, o wybijaniu naszej inteligencji. PRL zrobił coś takiego: on zabił nie tylko kulturę tworzenia, ale zrobił jeszcze coś gorszego, zabił kulturę odbioru kultury. To co pan doktor Urbankowski mówił o Polskiej Akademii Literatury. Ci ludzie jeżdżąc umownie w tzw. teren jeździli do miast które były albo ośrodkami akademickimi, albo ośrodkami w których istniały inne szkoły wyższe bądź średnie, gdzie odbiorcami byli uczniowie lub studenci. Uczniowie ci często byli z gimnazjów i liceów o profilu klasycznym, oni już na tym etapie swojego wykształcenia byli przygotowani do pewnego rodzaju dyskusji o sztuce. Inaczej się rozmawia z literatem piszącym książkę, a inaczej rozmawia się z poetą. Inaczej się ich słucha, inaczej się odbiera. Ten wysoki poziom odbioru kultury wynikał z tego, że zarówno osoby, które przedstawiały swój dorobek były na najwyższym poziomie jak i odbiorcy też już w pewien sposób ukształtowani na wysokim poziomie. PRL to zniszczył – a współczesny odbiór – to co mówiliśmy o mediach elektronicznych, one nie są w stanie dokonać przekazu na takim poziomie. To są krótkie, zdawkowe informacje, które mogą nas poinformować o jakimś zdarzeniu lub o wydarzeniu kulturalnym. Na przykład: ja z przyczyn technicz-

no-organizacyjnych już nie kupuję książek, ponieważ nie mam gdzie ich trzymać, więc rzeczywiście przerzuciłem się na e-booka. Robię taki manewr, wchodzę na Gandalfa, przeglądam wszystkie nowości z działu, który mnie interesuje, a potem staram się szukać recenzji. Jeżeli wiem co to jest, to chcę to przeczytać i sobie ściągam, ale jak nie to czytam te recenzje. Oczywiście nie są one tworzone przez krytyków, ale zawsze ktoś napisze „to mi się podobało”, „to mi się nie podobało”, i staram się w ten sposób funkcjonować, bo nie ma w tej chwili żadnej poważnej literatury fachowej, żadnego takiego periodyka, który by poważnie pisał o literaturze. Teraz obserwuję TVP Kultura, to jest chyba jedyny program pod rządami polskiego rządu którego poziom moim zdaniem podskoczył wyraźnie do góry. Podskoczył, bo nowy szef tego programu jest wyjątkowo rozgarniętym człowiekiem. Przynajmniej udaje mi się tam obejrzeć kilka filmów z lat 50-tych, 60-tych, francuskiego kina czy też włoskiego, których już nie oglądałem 20-30 lat i chętnie do tego wracam. Ja nie mam aż tak negatywnego stosunku do współczesnej polskiej literatury. Ostatnio, wracając do biskupa Świnki i do Przemysła II przeczytałem sobie „Koronę ze śniegu i krwi”. I pod wrażeniem tej książki sięgnąłem po „Przełom” Karola Bunscha. Elżbieta Cherezińska pisze innym językiem, treść przekazywana przez nią jest naprawdę dobra. Ale jest to język zupełnie inny niż Bunsch. Język Bunscha moim zdaniem nie trafi do 17-18-latków. Cherezińska przez swoją taką dynamiczną konstrukcję książki, poprzez używanie różnych sformułowań, na przykład nigdy w naszej tradycji literatury historycznej nie mówiło się o panach małopolskich czy wielkopolskich baronach, a ona używa „baronowie wielkopolscy”, pisząc o możnowładcach. I to są sformułowania takie świeże. Jestem święcie przekonany, że jakby TVP – niestety nie ma pieniędzy – zamówiła autentyczny scenariusz o pierwszych Piastach, a taki serial powinien powstać, tylko pytanie – czy się Kościół zgodzi żeby pokazać prawdę o pierwszych Piastach? Teraz telewizja chce zrobić na podstawie „Legionu” który napisała Cherezińska serial, ale, co z tego, słyszałem to już ma być obcięte tylko do świętokrzyskiej brygady NSZ.

I bardziej optymistycznie, powiem szczerze, że ostatnio czytam wszystkie współczesne kryminały. Zaraziłem się Katarzyną Bondą i tak

przez Bondę, przez jej wywiady w różnych periodykach i na Internecie trafiłem na piękną książkę „Okularnik”, którą ona napisała. Akcja książki dzieje się w czasach współczesnych ze wspaniałym odniesieniem się do lat 40-tych. Źródłem współczesnych zdarzeń są wydarzenia z 1946 roku i pokazanie Łupaszki i Burego w takim sporze ideowym w którym ona pokazała, że Łupaszka zabrania strzelania do ludzi, jednocześnie mówiąc Buremu „rób jak ci mówi sumienie”. Istnieje grono młodych twórców, którzy ulegają takiej amerykańskiej, bo przy pisaniu zaczynają działać na wzór kryminałów szwedzkich, czy norweskich zwanych skandynawskimi, kiedy pisze się 3-4 pozycje i cierpi na tym jakość poszczególnych części całej trylogii czy czterech tomów, czteropaków jak to się mówi. Ale myślę, że istnieje szansa, że ci ludzie mogą zacząć stanowić o obliczu polskiej współczesnej literatury. Natomiast jeżeli chodzi o filmy to myślę, że problem polega na tym, że chcielibyśmy zrobić film, który my byśmy odebrali jako nasz film, zrobiony o naszych problemach z naszego punktu widzenia Warszawy powiedzmy, a który by odniósł sukces w Hollywood. Moim zdaniem takiego czegoś nie da się zrobić i nie zgadzam się z ministrem Glińskim, że taki film powstanie, nie da rady. Albo będziemy robić filmy, które rzeczywiście będą mieć charakter uniwersalny i nie będą dotyczyć bezpośrednio naszych spraw, a Polska bądź pewne zachowania Polaków będą tylko jakimś punktem odniesienia. Albo będziemy robić filmy na użytek wewnętrzny i tyle.

Dr Bohdan Urbankowski

Spróbuję się odnieść do historii i do mitu 3 Maja. Na początek w trzech punktach.

Co nam mówi Konstytucja 3 maja? Czym była.

Po pierwsze bez względu na to co by zostało wpisane – była aktem suwerenności.

Po drugie była aktem zwycięstwa moralności nad formalnym prawem. Bo była z pogwałceniem prawa, bo tych co sobie pojechali na wakacje mówiąc precyzyjnie i adekwatnie zrobiono w wała i pospiesznie zrobiono tę konstytucję.

Po trzecie Konstytucja wprowadzała pewne elementy z których dzisiaj

byśmy się za bardzo nie cieszyli, nie wiem czy dobre było przywrócenie dynastii na przykład, ale ważne było to na co zwróciłem w pierwszym punkcie uwagę: to się działo już nie pod kuratelą Rosji, to działo się przeciw tej kurateli i to było najważniejsze. Dlatego lepiej tę konstytucję czcić, niż czytać, czytanie zostawmy historykom. Zresztą głowę daję, że 90% czczących nigdy w życiu tej konstytucji nie przeczytało, bo nie po to są obchody.

Dlatego mimo zastrzeżeń nie wyobrażam sobie podręcznika w którym by konstytucji 3 Maja nie było. Bo jeżeli coś nie jest powtarzane, przypomniane to znika z kultury, znika poza horyzontem. Problem czasem jest w nadmiarze, ale akurat tak się składa, że z XVIII wieku to tam za dużo rzeczy do czczenia nie mamy, no bo to byli Sasi, którzy w gruncie rzeczy zrobili całkiem niezłe państwo, one sobie funkcjonowało tak dobrze, że bez Sasów. Oni siedzieli w Dreźnie, a myśmy coś robili, pijarzy wprowadzali reformę oświaty, pojawiły się nowe podręczniki, a przede wszystkim stopa życiowa nam się podniosła, mimo że karmiliśmy pół Europy naszym zbożem – a może dlatego. Czy Konarski, czy Wiśniewski, to były już umysły klasy europejskiej, zresztą kontaktowali się z Europą przy pomocy łaciny. W każdym razie jeżeli tu nagle ta konstytucja, która jest celowo i programowo antysarmacka, prozachodnia itd., jest jednocześnie odbierana jako manifest niepodległości, wolności, polskiego myślenia, to znaczy że ona preferuje te wartości, ona je podsuwa do uszanowania, a to czy ktoś tam to przeczyta czy nie, lepiej żeby nie czytał bo się okaże, że legenda tej konstytucji trochę od całej konstytucji odstaje. W każdym razie jakby co to ja jestem oczywiście za. Tak samo jak jestem za Insurekcją Kościuszki czy Legionami Dąbrowskiego – to musi być w programach. Po prostu z tego się składa nasza tradycja, powinniśmy być z niej dumni i teraz przechodzę do rzeczy, którą poruszyłeś, a która jest moim zdaniem ważna. Mianowicie, młodzi nie czytają, bo po pierwsze nie zostali nauczeni czytać. Po drugie nie ma głodu czytania i nie ma dumy z czytania. Po prostu gdzieś kiedyś czytanie „Trylogii” Sienkiewicza, na przykład w grupie „Spójnia” Piłsudskiego, to było coś ważnego, niemal bohaterskiego. Wtajemniczenie w wielką kulturę w polski wkład w tę kulturę, nauka patriotyzmu i to dumnego,

zwycięskiego a nie płacznego. A pokażcie mi dzisiaj taką książkę, na którą się czeka jak się ukaże kolejny odcinek. Odbioru kultury też trzeba uczyć. Przy czym odbioru kultury jest łatwiej nauczyć niż tworzenia kultury, bo jednak przy twórczości można nauczyć kogoś robienia średnich kryminałów. Takim idealnie średnim i kulturalnym serialem jest na przykład serial „Ojciec Mateusz”. Dobry, ogląda się, inteligentny, bo do tego zagonili paru kulturalnych Włochów, którym dali tyle spaghetti i pizzy, że będą mieli do końca życia i oni siedzą i piszą, a my tylko przerabiamy włoskiego księdza na polskiego, włoskiego złodzieja na bardziej swojskiego, tamtemu ukradli samochód jakiejś lepszej marki, nasz to ukradnie traktor powiedzmy, ale tak czy inaczej ten serial się kręci i tutaj myślę, że coś podobnego, to znaczy ten chwyt to się teraz tak modnie mówi ten „myk” co przyciągnie, przywabi, trzeba umieć to rozstawiać, ukrywać w dziele. Najlepszym sposobem jest przerywanie rozdziałów w jakimś tam miejscu. Słyszałem o jednym z pisarzy przedwojennych, któregoś z tych większych pism płaciło mu za powieść w odcinkach – ale on doszedł do wniosku, że za mało. No i wykombinował, że ich już tak wpuści w maliny, że ten główny bohater to znajdzie się w płonącym samolocie lecącym w dół w morze i wiadomo, że nie ma prawa przeżyć i oni będą musieli podwyższyć stawkę. I redakcja już chciała się poddać, ale jeszcze poproszono Gałczyńskiego, który też pisywał prozą, tyle że pod pseudonimem. I kiedy ten pierwszy, ten pazerny odszedł zostawiając bohatera spadającego do morza następny odcinek napisał Konstanty Ildefons. I ten zaczął prosto a genialnie, a tak, że publiczność to kupiła z uczuciem ulgi. Zaczął mianowicie od słów „Wydobywszy się nadludzkim wysiłkiem z tarapatów nasz bohater etc. etc. No i już. Ten chwyt był stosowany też po wojnie i w sferze politycznej. Na przykład jak czytamy życiorysy różnych bonzów partyjnych, ubeków i innych takich to dla ocieplenia wizerunku czytamy, że każdy z nich cudem ocalał z Holocaustu. No ile Pan Bóg narobił tych cudów? Dlaczego dla nich, tych wynarodowionych ateuszów, a nie dla tych pobożnych Żydów, których SS-mani palili w piecu w Birkenau? Wracając do tematu promowania wzorców. Ważne jest aby stworzyć szlachetny snobizm, nawet modę. To można, sam brałem udział kilkakrotnie w takich przedsięwzięciach. Na

przykład w Świebodzinie, dziura, ale malarska, z pięknym rynkiem, ratuszem, kupieckie miasteczko. Stworzyliśmy konkurs literacki dla młodzieży szkolnej. To trwa już ileś tam lat i początkowo było robione w ten sposób, że sami fundowaliśmy nagrody, bo nikt z oficjeli nie chciał dać. Po cichu nas wpuszczała dyrektorka szkoły, co rozwiązywało problem wynajęcia Sali. I jechaliśmy tam jakimś nocnym pociągami, wracaliśmy też nocnym, bo nie mieliśmy na hotel. Teraz to się rozkręciło, ktoś tam zaczął dawać pieniądze, bardzo ładnie włączyło się tam miejscowe koło Kresowian, kręci tym taki społecznik jak z Żeromskiego Jerzy Różycki, opiekę nad konkursem przejęła warszawska poetka Marta Berowska, ona robi to lepiej ode mnie, poświęca więcej czasu, większy zespół zorganizowała, w każdym razie nawet w czymś takim można było nauczyć młodzież miłości do... I nie zgadniecie państwo, do Norwida. Po prostu są zakochani w Norwidzie, także w Żeromskim, ostatnio prezentowano ich w radio „Wnet”. I sprawa kolejna, którą tu zanotowałem, mianowicie kwestia tych produkcji dla Hollywoodu, dla Zachodu, dla obcej kultury w gruncie rzeczy. Jakie dwa polskie spektakle odniosły w ostatnich latach taki sukces wymierny i stały się na zachodzie modne i miały znakomite recenzje? Pierwsza to była w dziedzinie teatru „Nasza klasa” Tadeusza Słobodzianka, drugi to – jak oni to nazwali „projekt” – to był montaż trzech filmów zatytułowany „...i zadziwi się Europa” Yael Bartany. Imię biblijne, nie przypadkiem – jest to żydowska autorka z Izraela. Słobodzianek oparł swoją sztukę na opowieści o Jedwabnem, napisał dokładnie tak jak chciałby Gross, jak chcieliby Żydzi na Zachodzie, nałgał ale z talentem, więc dostał „Nike”, od razu mu to przetłumaczono na angielski, wystawiano na kilku festiwalach, facet jest ustawiony do końca życia. Jak to mówią pierwszego miliona nie da się zarobić uczciwie. Natomiast Yael Bartana stworzyła film o powrocie Żydów do Warszawy. Film zaczyna się właśnie od takich młodych Żydów, którzy chcą z powrotem do Polski, bo nie chcą tam być na wschodzie, tam zresztą jest niebezpiecznie, dlatego wracamy do Warszawy. W Polsce usiłuje przygotować grunt do powrotu lewica, między innymi młody lewak Siemakowski, typ autentyczny i osobiście, występuje z poświęceniem, mimo braku urody i talentu. Ci Żydzi przyjeżdżają nieomal chyłkiem, tyłkiem,

budują kibuc w pobliżu muzeum i pomnika bohaterów Getta w ciągu jednej nocy, tak że rano on już jest gotowy i nowoczesny. No ale na tym się rzecz nie kończy, Polacy to są antysemickie świny i tego Sierakowskiego na końcu zastrzelili z antysemityzmu. I jak nie dać nagrody. I ten film reprezentuje Polskę na Biennale w Wenecji. Nie polski film, ale za polskie pieniądze więc powinniśmy być dumni.

Dr Marek Albinia

Szanowni państwo, wydaje mi się, że pewnego rodzaju trudność w propagowaniu naszych racji wynika stąd, że główne ośrodki – tak to nazwijmy – kształtowania kultury masowej w tej chwili leżą poza granicami Polski, poza obszarem istotnego wpływu czy to polskich instytucji czy to chociażby polskiej opinii publicznej. W dodatku – są to ośrodki działające w warunkach wielkiej skali inwestycji, dysponujące znacznymi środkami kapitałowymi.

Ta kultura masowa jest dziś kształtowana w dużej mierze ze Stanów Zjednoczonych, ale też w pewnym stopniu, mniejszym, z innych dużych państw. Zauważmy, że również w Rosji jest taki ośrodek, który kreuje pewien przekaz historyczny. W Rosji cały czas kręcą bardzo dużo filmów z przesłaniem propagującym rosyjską wizję historii i polityki, powstaje też dużo takiej popularnej literatury i za każdym razem mamy do czynienia tak naprawdę z propagandą imperialną. To jest propaganda budowania pewnego porządku, gdzie przekaz polega na tym, że oto my tutaj, w imperialnym centrum, wiemy jak ma być ukształtowana rzeczywistość i przenosimy to na cały świat.

W ten sposób działają Rosjanie, to samo robią Amerykanie, to samo robią też inne duże potęgi regionalne o aspiracjach globalnych – można doszukiwać się również takiego chińskiego czy islamskiego ośrodka kształtowania kultury masowej.

Ten przekaz jest o tyle atrakcyjny, że pokazuje się rzeczy, które są odpowiedzią na naturalne ludzkie potrzeby psychoemocjonalne. To są przede wszystkim obrazy zwycięstw, oczywiście zwycięstw najróżniejszych, na ogół bardzo trudno wywalczonych, dzięki dzielności, odwadze, ofiarności i bohaterstwie jednostek i na tych jednostkach sfokusowane.

I z tymi jednostkami widz albo czytelnik może się bardzo łatwo identyfikować, zarazem identyfikując z ich celem walki – budową określonego światowego porządku, światowego ładu zgodnego z zaprezentowaną wizją imperialną, że oto my, imperium, narzucamy światu coś, co jest dobre, nasze. To jest podwójnie atrakcyjne dla odbiorcy, bo identyfikuje się nie tylko z wybraną postacią, ale też z takim całościowym zwycięstwem pewnego rodzaju ideologii imperialnej.

Natomiast Polska jest w troszeczkę innej sytuacji. Polska jest w takiej sytuacji, że w zasadzie polski przekaz historyczny powinien się wiązać z oporem wobec wszelkiej imperialnej doktryny czy porządku narzucanego zewnątrz. Po prostu my, nasza historia, nasze położenie geopolityczne, nasze interesy narodowe wskazują na to, że powinniśmy umieć powstrzymać imperium. Powinniśmy wiedzieć, jak zachować własną tożsamość, jak budować swoje państwo, jak prowadzić suwerenną politykę. W konsekwencji – powinniśmy zwycięstwa upatrywać w tym, że nam się udało stawić skuteczny opór, że jest jakaś przestrzeń, którą my wypełniamy zgodnie ze swoją wolą i potrzebami, jakaś przestrzeń, którą my budujemy na swoją modłę. W podobnej sytuacji jak Polska są tak naprawdę głównie narody Środkowej Europy, być może Turcja, Bałkany, być może jakieś państwa azjatyckie.

Ta sytuacja powoduje, że ten polski przekaz musiałby być konstruowany w taki sposób, żeby – poszukując korzyści skali – odbiorcę do niego znajdować nie tylko w Polsce, ale także wśród tych państw, które są w podobnej sytuacji. Wydaje się, że my nie mamy zbyt wielkich szans w rywalizacji z głównymi ośrodkami kultury masowej w wyścigu o ukształtowanie nowego porządku światowego. Nie powinniśmy też zbyt walczyć o to, żeby nas zaakceptowano, żeby nas podziwiano, dajmy na to, Stanach Zjednoczonych. Tam nas podziwiać oczywiście nie będą z tych względów, że oni mają inny kierunek narracji, oni chcą po prostu tak jak każde imperium wszędzie wprowadzić swoje wartości, jakie by one nie były. Taka jest imperialna logika. Logika panowania. Natomiast nasz paradygmat, to jest logika powstrzymania, to jest logika zachowania. Więc pytanie czy jesteśmy w stanie, czy nie dobrze było znaleźć sojuszników dla takiego przekazu, jaki byłby zgodny z tą

logiką powstrzymania. Zapewne obecnie w Europie będzie o tyle trudno, że państwa zachodnioeuropejskie już w zasadzie w małym stopniu dbają o ten przekaz tożsamościowy. Zdaje się, że zachodnioeuropejscy decydenci już definitywnie zrezygnowali z obrony swojej tożsamości. Uważam też, że wyraźnie widać, do czego to doprowadzi, że w perspektywie lat, czy dziesiątek lat doprowadzi do załamania kultury łacińskiej, w efekcie czego najprawdopodobniej nie będzie już tych państw, z którymi obecnie mamy do czynienia, czyli nie będzie takich państw zrówniętych z cywilizacją łacińską. Natomiast my jeszcze w naszym regionie Europy mamy szansę i z tej szansy dobrze by było skorzystać, działając regionalnie. Nie tylko po polsku, ale regionalnie, żeby ta nasza narracja kształtowała politykę historyczną nie tylko w Polsce, ale powiedzmy w Czechach, na Białorusi, na Węgrzech, Litwie. Warto poszukać, czy możemy się tutaj w jakimś wspólnym mianowniku historycznym i politycznym odnaleźć, czy jest coś, co nas pokazuje razem, spójnie, co formułuje nasze problemy w podobny sposób. Wydaje mi się, że wtedy ten wspólny rynek narracji historycznej, czyli docelowy odbiorca, byłby odpowiednio liczny, żeby być efektywny ekonomicznie i opłacalny w kategoriach inwestycji kapitałowej. Po prostu co innego jest budować i adresować przekaz do 100-200 mln odbiorców, a co innego jest adresować do 30. Może to by była dobra droga dla polskiej kultury.

Dr Bohdan Urbankowski

- Myśmy próbowali robić coś takiego, wiele lat temu, była kiedyś tzw. dyplomacja pingpongowa, myśmy robili dyplomację poetycką. Polegało to na tym, że na przykład mieliśmy zjazd poetów krajów demokracji ludowej w Budziszynie a zajmowaliśmy się polityką – oczywiście od strony poezji. Najpierw wymyśliliśmy takie coroczne zjazdy. A Budziszyn się sprawdził, dlatego, że był mały, nikomu nie zagrażał, Łużyce nie miały własnej państwowości, więc ten element rywalizacji o przywództwo został od razu wzięty w nawias. Natomiast udało się zainspirować w ten sposób dość podobne imprezy, najpierw w Czechach i na Słowacji, raz na Węgrzech, w zasadzie na tym się kończyło, plus jeden wyjazd do Lwowa. Myślę, że jest to dobra droga, gdy Niemcy czy Ukrainę albo

Litwę uosabiają nie politycy, a ludzie kultury, mądrzy, z autorytetem, mówiliśmy ludziom o tym, o czym nie mieli odwagi mówić politycy – o przyszłym Międzymorzu, to brzmiało trochę jak z Tolkiena. i teraz, po latach, to, co w tej chwili roboczo się nazywa „Międzymorzem” jest i celem i sensem dla polityków. Zaczęliśmy mówić o Hollywoodzie, o tym sukcesie. Hollywood to był wynalazek żydowski, który polegał na tym, że oni się narzucili nagle Amerykanom jako elita. Dlatego, że ze względu na antysemityzm Amerykanów, Żydzi tam specjalnie brania nie mieli, i nie bywali zapraszani na salony. Więc oni wynaleźli ten Hollywood i ten festiwal, to było ruchem samozwańczym, ale zadziało, zwłaszcza, że nikt inny tego nie robił. Więc myślę, że coś, co określa się, ruchem samozwańczym, może być wspaniałą taktyką. Skoro nikt tego nie robi, no to róbmy my. Na tym polega na przykład ruch KOD-u – to są samozwańcy, tyle że starsi to nieudacznicy, a młodszy – entuzjastyczni, ale przygłupiaci. A taki ruch samozwańczy to jest czasami ruch starych cwaniaków, skok na kasę, ale może być jak przejęcie dowództwa jakiejś opuszczonej placówki, bo oficerowie wyginęli, albo pouciekali i ktoś musu się tego podjąć. Po co to wszystko mówię. Bo chcę namówić do takiego samozwańczego ruchu – oczywiście w tym drugim sensie. Bo widzę i tu, i w ogóle w różnych miastach wielu wspaniałych działaczy, z wiedzą, ideowych i wiem, że nikt się po was nie zgłosi. Ale też teraz jest taki moment, tyle pracy do zrobienia, że nikt nie będzie przeszkadzał jeśli ktoś z was samorzutnie się podejmie. Albo jakaś grupa samozwańców powoła stowarzyszenie, fundację, co potrzeba i gdzie potrzeba. Musimy postawić pytania, gdzie ten polski statek przecieka i jakie prace trzeba wykonywać. Gospodarka, wojsko, kultura i kto z rządzących ma dobre chęci, ale się nie zna i trzeba biedakowi pomóc nim wlezie w szkodę. Prościej mówiąc:

czym my możemy się mianować w różnych dziedzinach. Ja usiłowałem wczoraj namówić Kornela Morawieckiego, żeby kawalerów Krzyża Wolności i Solidarności zebrać, zrobić z tego jakieś gremium autorytetów moralnych, zrobić jakiś zjazd w Sejmie z telewizją, z chorągwiami, może być z pokropkiem, bo nie chodzi o to, żeby tych starszych panów nakarmić, ale póki jeszcze coś kapują wykorzystać ich wiedzę, kontakty,

w najgorszym razie skłonić do podpisania poważnych pomysłów i apeli. Taki Krzyż to nie za wysługę lat, nie da się wycygnąć, jest za konkretną pracę, poświadczają go akta IPN, jest wymierzalny jak rekord sportowy, więc to są niekwestionowane autorytety. Póki mogą – powinni występować jako głos Polski moralnej, jako rząd tych najlepszych, którzy jednocześnie są doradcami, nie pchają się do koryta, nie muszą, a często już nie mogą sprawować funkcji jakiegoś dyrektora, czy innego kierownika, ale mogą doradzić, coś dobrego, mogą zapobiec czemuś złemu. I to jest jeden z takich pomysłów. Takich pomysłów może być dużo. Na razie mamy jeden już zrealizowanych – Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoi Owsianego, za tym ruszyło pismo, kilka książek chroniących pamięć, ważnych, nikt spoza tych bezpośrednio walczących by tego nie napisał. A działamy już w ostatniej chwili, ci ludzie powiem brutalnie już wymierają. Ja mam prawo tak mówić. Więc to jest świetna inicjatywa trudna – biorąc pod uwagę wiek, choroby i kłopoty materialne większości działaczy. Świetna inicjatywa – ale jeszcze nie dorobiona, kto na Boga w Polsce wie kto to był Ostojka Owsiany i że jest taki instytut. Tutaj promocja znów nawala, tu znowu ten mechanizm autopromocji, bo inni takich promocji za nas nie robią. Ktoś musi porozsyłać publikacje po różnych redakcjach, bibliotekach, nawet po celebrytach, choć to przeważnie debile, ktoś powinien zjawiać się z książkami jak Szymański, nie ma patriotycznej imprezy, na której by nie był ze stoiskiem, odczyt – rozstawia stolik przed salą odczytową, pogrzeb rozstawia na sąsiednim grobie ale jest. Tego nikt za nas nie robi. Po latach PRLu społeczeństwo było chociaż wkurzone, po III RP jest tylko odmóżdżone, wykastrowane z ochoty do inicjatyw, pozbawione wyobraźni politycznej, że ileś tam rzeczy, które wiszą w powietrzu, które są konieczne trze baza nich po prostu zrobić. Przeważnie społecznie, ale do tego jesteśmy przyzwyczajeni. Tylko kwestia znalezienia aparatury, znalezienia wykonawców, znalezienia narzędzi, znalezienia protez bo nasze ręce są już słabe.

Marek Michalik:

Powracając do kultury chciałbym zapytać o pozytyw, czy rzeczywiście ten dzisiejszy obraz jest aż taki przygnębiający, będzie przygnębia-

jący i już nic dobrego się zdarzyć nie może? Czy też można – o czym mówił Marek Albinia – a nawet trzeba szukać sojuszników chociażby poprzez działanie wśród krajów i narodów Międzymorza. Bo chyba warto by porozmawiać właśnie o pozytywach, nie powinno być tak, żeby z tej naszej dzisiejszej dyskusji wynikało, że dużo lepiej było przed wojną w dwudziestoleciu międzywojennym, aniżeli jest teraz. Żyjemy tu i teraz i już się nie cofniemy do tamtych lat.

Drugie pytanie, które chciałem zadać: „Czy jesteśmy w stanie dla naszej kultury, czy też dla jej oprzyrządowania, implementować coś z rozwiązań które są w Europie?”

Dr Bohdan Urbankowski

Już pozytywnym jest to, że wygraliśmy wybory. W ten sposób zbudowany został pewien klimat, wywołane oczekiwania. No tyle tylko, że to wszystko zaczyna się ulatniać. Po prostu działalność wybranych przez jest dość nieudolna, jest powolna i być może za jakiś czas ten kredyt zaufania zostanie im odebrany. I żeby była jasność: to nie całkiem jest ich wina. Mamy wyjątkowo głupią i egoistyczną opozycję, głupia – więc nie potrafi rywalizować na pomysły, prymitywna – więc potrafi tylko psuć, hałasować, przeszkadzać, co chwila ociera się o Targowicę. Ich trzeba karać, za bumelanctwo, za marnowanie czasu pracy całego sejmu, za przeszkadzanie w pracach – odbierać diety, wywalać ze stanowisk – oni tylko to rozumieją. Mnóstwo energii jest przez nich marnowane. Tak głupiej opozycji nie ma żaden inny kraj na świecie, przynajmniej w czymś przodujemy. A czas płynie. Niedługo ten pozytywny efekt, który wywołuje projekt 500+ zostanie już wchłonięty niejako przez rynek, zniknie parasol a społeczeństwo mamy roszczeniowe. Limit poświęceń został wyczerpany przez nasze pokolenie i ruch „Solidarności”, młodzi są inni. Jeżeli za 500 + nie pójda następne reformy, to zacznie z tego wszystkiego uchodzić powietrze. Zwłaszcza, że niektóre projekty są dodatkowo obciążone finansowo, chociażby sprawa rent, emerytur, wcześniejszych emerytur. Wciąż brak ludzi z jajami, którzy powiedzą twardo: odbieramy emerytury ubekom, dajemy zwykłym ludziom, obniżamy gaże urzędnikom i posłom do średniej krajowej. i sprawa wręcz tragiczna:

wciąż mamy nierozwiązany problem Polaków poza granicami, do dzisiaj nieściągnięci i oni wymierają po prostu, za czas jakiś ten problem sam się niestety rozwiąże, a będzie obciążał sumienia nas wszystkich, także i najnowszej władzy dla której jest to ostatni dzwonek, żeby cokolwiek w tej sprawie zrobić. Tu chcę zwrócić uwagę na jedno, że zablokowanie powrotu emigracji polskiej to było bardzo celowe posunięcie dawnego KOR-u, który się wtedy dostał do władzy i oni zablokowali ściąganie emigracji patriotycznej, tej andersowskiej, powrześniowej, dlatego żeby z powrotem zaimplantować w Polsce tą ersatz – elitę, która wyjechała w 1968 roku, a nawet w 1955. Bo z emigracjami Żydów to było inaczej niż w mie, w 68 nie było żadnej kulminacji prześladowań, każda z fal emigracji tak z fali na falę, była 5 razy mniejsza od poprzedniej. Pierwsza, tuż po wojnie wyjeżdżają ci prawdziwi Żydzi do Izraela, tam walczyć z Arabami to jest ich 250 tys. mniej więcej. 1948 rok koniec tej fali. W 1955 już tylko 50 tys. wyjeżdża i to jest głównie jak ktoś określił „emigracja z ulicy Rakowieckiej”, z krainy MBP. W 1968 – 5 tys., potem jeszcze drugie tyle – ta ostatnia partia to już jest emigracja właściwie ekonomiczna. Poprzednia partia też w dużym stopniu, bo myślę tak jak dzisiaj patrzę na marzec, to jednak moczarowcom się jedna rzecz udało. Oni potraktowali całe tzw. pokolenie następców tronu jako zakładników i tą całą akcję, którą przygotowała część ekipy stalinowskiej, ta z kręgu „puławian” a która polegała na wychowywaniu młodzieży przez obozy walterowskie, przez szkoły typu szkoła Gottwalda, przez Klub Poszukiwaczy Sprzeczności moczarowcy wysadzili w powietrze. wszystko było przygotowywane starannie, korepetytorzy, opiekunowie młodych w rodzaju Schaffa, Brusa, Kołakowskiego, wysyłanie młodych na Zachód, Michnik jeszcze nie ma 18 lat jak wyjeżdża, dostaje paszport, mimo, że teoretycznie nie powinien dostawać, bo dostawało się z ukończeniem pełnoletniości, a wcześniej to się było wpisywaniem do paszportu rodziców. Oni dostają paszporty, oni dostają lekcje z wiedzy tajemnej jaka jest polityka, oni są przygotowywani do objęcia władzy i co/ – Większość młodych wołała wyjechać na Zachód. Akcja moczarowców była prymitywna, ale skuteczna. miała też efekt uboczny. By załatwić „puławian” moczarowcy musieli przestawić dzieci tej frakcji jako nieomal jedynych

buntowników, tych, którzy robili „marzec”, przymknąć przynajmniej liderów jednego na miesiąc, drugiego na 5 miesięcy, itd. I tamci wiedzą, że przegrali. a niedoszli następcy tronów pospiesznie zmykają z Polski. Wyjeżdżają na emigrację. Zostaje paru najtwardszych, może też patriotycznie nastawionych nie wiem, myślę, że Michnik i Szlajfer, każdy z nich został z innego powodu. Michnik chciał jeszcze coś ugrać, może miał poczucie misji, a Szlajfer był już tajnym współpracownikiem SB ksywa „Albin” i miał na Michnikowców donosić. Chyba na tym nieźle zarabiał, w Izraelu by takiej fuchy nie dostał. Ale potem, po 1989 gdy opozycja spod znaku Michnika i Geremka dogadała się z Jaruzelskim i Kiszczakiem i było dużo łupów, dużo stanowisk do podziału – oni na gwizdek wrócili. A ci żołnierze od Andersa i Maczka, ci prawdziwi niepodległościowcy powoli wyzdychali na emigracji. W ten sposób byli partyjniacy z „Puław”, Byli ZMPowcy od Kuronia i byli zetemesowcy od Michnika, jednym słowem postkomuniści dostali wzmocnienie personalne i dostali dodatkowe zasilenie finansowe. Bo każdy z tych byłych prześladowanych przyjeżdżał z jakąś forszą, w najgorszym razie z kredytami, które dzięki koleśiom z kraju szybko spłacał. Natomiast nurt antykomunistyczny nie potrafił się zjednoczyć i przejąć władzy, przelotnie – pierwszy rząd Olszewskiego, przelotnie – rząd PiSu – ale przelotnie, w ograniczonym zakresie. My jesteśmy najlepsi w kłótniach i plotkach, to nasze sporty narodowe. Dzięki temu postkomuniści nawet nie mając poparcia większości, nawet sami nie dysponując siłami mogli nas łatwo wykańczać. Zaczęli od wykończenia KPN-u. a z kolei Centrum myślało, że na tym zyska, nie wsparło KPNu, to centrum zostało wykończone w następnej kolejności. I tak to idzie zgodnie z zasadą, że dziel i rozkaj, po prostu. Jeżeli w tej chwili uda się naszym przeciwnikom podzielić środowiska prawicowe z powrotem na Kukiza, na Gowina, na tych od Ziobry etc to oni znów wygrają. Jeżeli nie podzielą, to nie, bo mimo powrotu tej ekipy z 1968 roku, to dalej jest mniejszość, bo to zawsze była mniejszość. Ja próbowałem w jednym, w drugim artykule ostrzegać i przewidywać co będą robili ci, którzy chcą wykończyć tą ekipę. I to się sprawdza, bo te techniki stosowane są zawsze. Napuszcza się partię na partię, przyjaciela na przyjaciela, męża na żonę, tajemnicze telefony,

podstawione kochanki, rzekomo zdefraudowane pieniądze, próby korupcji, itd. I to wszystko się dzieje i to znaczy, że to robią fachowcy. I ci fachowcy w tej chwili gdzieś z tyłu są, są znów aktywni, a zawsze byli sprawni. Nie jestem w stanie ich wskazać palcem, natomiast czuję się ich robotę. Myślę, że o tym też powinno się wciąż przypominać. W dalszym ciągu szukam jakiś tych pozytywów i ciężko mi to idzie, ale myślę, że dopóki mamy mimo wszystko aparat władzy, jeśli ich się przekona, że to jest ich jedyna szansa, bo inaczej to powylatują wszyscy na zbitą mordę z pocuciem, że „miałeś chamie złoty róg”.

W każdym razie mimo wszystko upieram się przy mecenacie państwowym w kulturze, kontrolą państwowa w gospodarce – bo państwo jest tym jedynym przedsiębiorcą, kapitałistą, wydawcą, sponsorem, który jest w stanie wygrać z mafijnymi funkcjonującymi w Polsce przedsiębiorstwami, wydawnictwami, itd. Bo jest od nich większe. I tutaj pamiętam, kiedyś w latach 90-siątych była taka akcja wśród rzekomych „intelektualistów”, bo to trzeba tego słowa w cudzysłowie użyć, żeby zlikwidować Ministerstwo Kultury. Zresztą oni o niczym innym nie marzyli, bo wtedy okazuje się, że nie minister kultury jest największym sponsorem, tylko Gazeta Wyborcza i Agora. I o to chodzi cały czas. To jest ta sytuacja w której dla Amerykanów sycylijskiego, żydowskiego i całkiem żółtego pochodzenia w pewnym momencie idealnym ustrojem okazała się demokracja. Bo jeżeli jest demokracja, podział, kłótnia, partyjki, to dobrze zorganizowana mafia sobie z tym poradzi. Druga sprawa: implantacja. implantacja różnych wynalazków, a jak trzeba to i wynalazców. To robiono w czasach renesansu, gdy wysyłano naszą młodzież zagranicę, na podróże, nie tylko żeby studiowali, ale żeby popatrzyli co jest na świecie, żeby coś z tego w Polsce zaprowadzić. Nawet robiono coś takiego w czasach PRL-u. No wiadomo, PRL było państwem zależnym, satelickim, ale to nie znaczy, że wszyscy jak jeden mąż byli zdrajcami, świętym PRL-u był jednak Konrad Wallenrod, to był ten najważniejszy moim zdaniem święty i każdy tam próbował jakoś coś tam mimo wszystko ugrać chociaż na tym terenie, który nie był kontrolowany przez sowietów. I parę różnego typu rozwiązań się dawało wprowadzić już tak ze swojego życia dramaturga, wiem jak mimo

wszystko ratowano polską dramaturgię, jak teatry dostawały nakaz żeby grać lektury szkolne, a wiadomo, że jak lektury szkolne no to jak nie Dziady, no to może Kordian, może Mazepa, Balladyna.

Omijano indoktrynację sowiecką w ten sposób, że nie było festiwalu sowieckiego, ale był w Katowicach festiwal sztuk rosyjskich i radzieckich i można było puścić jakąś adaptację Dostojewskiego, czy Czechowa, czy Gogola nawet „Rewizora”, który zawsze był jakoś tam antypartyjnie i antyrosyjsko przyprawiony. Wszystko to była kwestia jak to zostanie zagrane, facet zostanie ucharakteryzowany, czy będzie w stroju XIX-wiecznym, czy może w stroju XX-wiecznego aparaczyka partii radzieckiej, bo takie numery też były. W ten sposób graliśmy też kiedyś „Onych” Witkacego w Płocku. Wiadomo było od razu kim są „Oni”, no bo można było poznać po numerach, po mundurach. I takich sposobów było dużo, tak samo jak zadbane wtedy o system stypendialny, a to znów mówiono jako ktoś komu można zarzucić, że w czasach PRL-u brałem stypendium. Brałem, bo wygrałem konkurs, a nagrodą w konkursie było stypendium. A stypendium polegało na tym, że się jechało do jakiegoś teatru na prowincję i można było tam samemu wyreżyserować swoją własną sztukę. Oczywiście były potem przepychanki z cenzorem. Pamiętam jak to było w Wałbrzychu, bo tam akurat tam jedno z tych wygranych stypendiów odbywałem. Cenzura zdjęła mi sztukę o Grocie Roweckim. Ta sztuka potem była zdjęta wcześniej w telewizji a potem jeszcze w Płocku i w Krakowie, najbardziej znana moja sztuka, bo ją z kilku teatrów zdejmowano. W pewnym momencie myślałem, że w Wałbrzychu, to puszcza. Nie puścili jednak. Ale mieli w ten sposób na nas haka, bo sztuka została zdjęta w ostatniej chwili, są mundury, są dekoracje, inaczej mówiąc chcieli wyrzucić nas wszystkich na zbity łeb za marnotrawstwo. Nie za politykę, broń Boże. Tylko prawda wydali forszę na kostiumy, a sztuka nie była grana. No to myśmy zagrali w tych samych kostiumach „Balladę o Hubalu”, moją zresztą. I co się dzieje. Znów jest interwencja cenzury dość ostra, a mianowicie pierwsza część, tam gdzie jest jeszcze o pułkowniku Dąbrowskim, tym pierwszym i prawdziwym Łupaszce, no bo Łupaszka – Szendzielorz po nim wziął pseudonim. Tamten Łupaszka – Dąbrowski był dowódcą Hubala, do-

wódcą pułku, tam jest ten moment antyradziecki. Niestety cenzura to zdjęła, ale reszta poszła. I w ten sposób gdzieś tam w Polsce poszedł przekaz, że był ktoś taki jak Hubal. Za cenę, za jakąś tam daninę, ale jednak coś się robiło. Natomiast sprawę Grota Roweckiego żeśmy dokończyli w inny sposób, wykorzystaliśmy, że sztukę nam zdjęto nam nieformalnie. Po interwencji Jaroszewicza, który wykonał telefon do komitetu wojewódzkiego, wtedy Wałbrzych był województwem, że robimy reklamę za państwowe pieniądze, antykomunistom z Armii Krajowej, dlaczego ten Urbankowski nie pisze o Armii Ludowej na przykład, jeszcze tam coś. Byłem chyba jednym z nielicznych pisarzy, których nazwisko Jaroszewicz znał. Ale to było nieformalne. Bo jak to, po linii partyjnej? Myśmy się odwołali wiedząc, że z tego odwołania nic nie wyjdzie. A doradził nam Janek Siekiera. nie wiem czy ktoś znał Janka. Prawie wszyscy znaliśmy Andrzeja Szomańskiego, to był jego przyjaciel, byli razem na studiach. Gdy Andrzeja wzięli do więzienia, podobno wprost z wykładu dla postrachu, to Jasiowi było jakby przykro i czuł się winien trochę. No bo dlaczego jego nie wzięli I potem jakoś tam nas wspierał, inaczej mówiąc był to nasz człowiek w ministerstwie. I ten Jaś Siekiera nam poradził co robić. Najpierw wystąpiliśmy do ministerstwa, że sztukę zdjęto, ale dykcja jest skłonna wprowadzić jakieś poprawki, że autor jest otwarty na dyskusję, no ale że musimy wykonać jakieś próby, żeby móc to pokazać ministerstwu. Dzięki Jankowi dostaliśmy zgodę na 10 prób. I wtedy autokary jechały z Warszawy, jechały z Wrocławia i kto miał obejrzeć, ten sztukę o Grocie Roweckim obejrzał. Gdybyśmy dostali zgodę, to ja nie wiem, czy mielibyśmy potem publiczność na następne, bo oni tak się pchali, siedzieli na schodkach, na parapetach, na żyrandolach nawet. Tutaj akurat przydała się instytucja dramaturga rezydującego podpatrzona u Szwedów i zaimplantowana u nas.

Teraz jest sytuacja znacznie lepsza i wyzwanie większe, mianowicie nowe technologie. Cała elektronika, która wchodzi do sfery kultury. W tej chwili myśmy musieli się strasznie męczyć jak robiliśmy do Katowic „Mistrza i Małgorzatę”, bo tam trzeba było robić jakieś filmy, jakieś radio nagle puszczać. Jedną z naszych czołowych amantek jak miała lecieć nad Moskwą, to musiała lecieć na takim wyciągu, jak kolejka li-

nowa. Teraz to wszystko poszło daleko do przodu, można to wszystko zrobić i my nawet nie zdajemy sobie sprawy jak. Mówiliśmy tutaj o filmie. Filmu zachodniego przez lata nie mogliśmy dogonić, dlatego że wystawa filmu była funkcją rzuconych kosztów. To znaczy wielkie sceny, pogoń dwóch samochodów przez New York, czy dwóch motorówek na kanale La Manche, wymagały posiadania samochodów, rozwalenia tych samochodów, 10 kaskaderów, którym się potem płaci za złamane nogi, itd. Myśmy tej forsy nie mieli. Ale teraz jak wchodzi elektronika, jak wchodzi obróbka komputerowa, to już jest kwestia wyobraźni. Był jeden znakomity film, „Katedra” to robił Tomasz Bagiński według prozy Dukaję i to się już sprawdziło, to było nagradzane, bo nie zdecydowała forsa tylko talent. A przecież takich ludzi jest znacznie więcej, trzeba ich tylko znaleźć, trzeba im dać warunki, myślę, że ten system stypendialny jest wręcz konieczny. Po prostu dlatego, że ludzie muszą mieć swobodną głowę, muszą mieć czas. Tylko znów, stypendia nie mogą być za duże. Bo inaczej to oni to wydadzą gdzieś tam na Hollywood albo na Wyspy Kanaryjskie. Tak dawać jak mieli ci najwybitniejsi pisarze, że oni się utrzymywali nieomal z głodowych pensji, a jak wspomina Anna Dostojewska w swoim pamiętniku, oni nie zawsze mieli na służącą. Czasem ona sama musiała zamiatać. I to jest to właśnie minimum, bez luksusów ale bez nędzy. Twórca nie jest przeżarty, jeszcze by coś zjadł, no ale żeby dostać to następne stypendium no to trzeba go tak potraktować jak tych akademików z przedwojennej PAL. Jak gdzieś tam pojedzie, odbędzie spotkanie, wykład, no to dostanie 3 stowy dostanie, 5 stów dostanie, mniej więcej tyle dostawali, także czasem się napracowali tak jak no nie przymierzając Kurylak. Nie wiem czy wam to kiedyś mówiłem. Był jednym z tych „tewulców”, którzy mnie otaczali, a zawsze tam paru było. To materiał na kilka książek, nie tylko na Pierścień Gygesa. Dziś to nawet okazuje się przydatne, dzięki Leszkowi Żulińskiemu TW „Jan” wiem kiedy zacząłem pisać „Czerwoną Mszę”, kiedy pierwszy raz wystąpiłem w Klubie Pietrzaka, na zupełnie nielegalnym i nigdzie nierejestrowanym spotkaniu. A z Kurylakiem to tak było, że jak on zaczął współpracować SB, to oni mu najpierw płacili miesięcznie. No to Kurylak tam przynosił z łaski jakiś jeden donosik, podawał w którym pokoju w akade-

miku mieszkam, a kto u mnie bywa, w którym pokoju się odbywają spotkania, tak sączył im te donosy po kropelce. No to SB-cy wkurzyli i zaczęli mu płacić od sztuki. No to on dostał przyspieszenia, co tydzień przynosił ze 2-3 donosy, potem parę razy w tygodniu. Ale to dykteryjki, a sprawa naszej wciąż chorej kultury to sprawa poważna. Stypendia nie rozwiążą problemu, ale mogą być bardzo pomocne. Tu trzeba wziąć pod uwagę dwie rzeczy. Jedna to jest dobry poziom kultury, a druga to geniusz. Geniusz to cholera wie co to jest i skąd to się bierze, jakiś mutant. Natomiast dobry poziom kultury można wyprodukować. I wtedy ten dobry poziom kultury jest punktem odbicia, jest trampoliną. Poza tym ogarnia masy. A więc ci, którzy się wychowują w kulturalnym społeczeństwie już startują z wyższego poziomu. Poza tym geniusz to nie tylko jest mutantem, ale on też ma ogromną wiedzę, on już pracuje na prefabrykacjach, na materiałach już obrobionych. Popatrzcie na Fausta. Ilu było Faustów przed Goethem. Popatrzcie na Dostojewskiego. On miał jako materiał prawie każdej swojej powieści już opowieści, które czytał w „Wiadomościach policyjnych” w Petersburgu. Popatrzmy na Dickensa, prasa angielska z tamtej epoki. Balzak. Większość materiałów po prostu z francuskich gazet, z naszych arcydzieł: „Krzyżacy” Sienkiewicza, a „Krzyżacy” Kraszewskiego. Sienkiewicz tylko dlatego nie był oskarżony o plagiat, że napisał dzieło na ten sam temat, ale lepsze, wtedy się wtórność nie liczy. Dobrze zerznąć książkę to znaczy nie spisywać jak idiota fabuły, nie kraść postaci, jeśli już to problemy. A to już Kraszewski Sienkiewiczowi przygotował i autor „Trylogii: napisał jak to się mówi, lepszy wiersz na ten sam temat. Ważne, żeby temat rajcował czytelników. A wracając do stypendiów i do kształcenia: to co nazywamy tym dobrym poziomem kultury, ten skład prefabrykatów można po prostu urządzić. Wcześniej czy później jakiś geniusz przyjdzie. reasumując: jeżeli by się udało stworzyć ileś tam fundacji, inicjatyw, zmusić ministerstwo do właśnie zaopiekowania się twórcami i różnymi cudownymi dziećmi to efekty przyjdą. To robiła w ostatnich latach trochę Szwecja, trochę Norwegia, oni potem odchodzili od tego pomysłu, wracali do niego, ale to tak jak Rosja w pewnym momencie, w czasach chyba Mikołaja II zrobiła z profesorami. To oni wprowadzili to, że profesor był

dożywotni i mało tego był w randze generalskiej, bo oni całe państwo organizowali na wzór military. Ale sam fakt, że profesor był generałem o czymś świadczy przecież. A u nas to stoi wszystko na głowie. Nieusuwalni są sędziowie, których już dawno powinno się wsadzić do pierdła, nieusuwalni są prastarzy profesorowie na uczelniach, bo mają tam dwory i są feudalnymi władcami. A powinni być nieusuwalni tacy młodzi, pyskaci asystenci, nieprzystosowani geniusze, wolni strzelcy, nieusuwalni właśnie ze stypendiów. Nawet jeśli parę lat nie robią wynalazków, albo nie piszą, bo taki jak nie pisze to i tak pisze, zbiera materiały, prawdziwy twórca nie ma czasu wolnego.

DR KORNEL MORAWIECKI – MARSZAŁEK SENIOR

„ORDYNACJA WOLNOŚCIOWA”



Zewsząd słyszymy hasła innowacyjności, nowoczesności, zmiany. Ale ustrojowy klimat, w jakim tkwiliśmy i jaki kształtowaliśmy przez ostatnie 27 lat, hasłom tym wyraźnie nie sprzyjał.

Szczytne zadanie

Polacy, twórcy „Solidarności”, po przełomie 1989 roku nie zaproponowali sobie i innym niczego oryginalnego. Rządzące autorytety i środki przekazu nie zdobyły się nawet na elementarny namysł. Czy wychodząc z realnego socjalizmu, byliśmy materialnie i mentalnie gotowi do skoku w realny kapitalizm? Koszty powszechnie przyjętej doktryny naśladownictwa płacimy do dziś.

Oczywiście wdrażanie nowych społecznych rozwiązań wiąże się z ryzykiem. Winno być dyskutowane, testowane. Jednak rozpowszechniony pogląd, że eksperymenty są dobre tylko na szczurach, przyniósł więcej szkody niż pożytku.

Nie da się twórczo uczestniczyć w wyścigu jedynie małpując zastane

metody. Nowości zweryfikowane przez nas mogą przydać się też innym. To szczytne zadanie naszej narodowej wspólnoty.

Ordynacje stosowane

Od lat toczy się w Polsce spór o ordynację wyborczą. Cały czas spieramy się na bazie tradycyjnych ordynacji; proporcjonalnej, większościowej (JOW) i mieszanej. Ordynacja proporcjonalna jest upartyjniona. Obecność i miejsce na liście zależy od władz partii. Niezależni nie mają szans. Głosy są oddawane praktycznie na liderów list. Jeśli oni zbiorą ich wystarczająco dużo, to poza nimi do parlamentu wchodzi kandydaci z niewielkim poparciem, ale wystawieni przez słabsze ugrupowania. Demokracja zamienia się w partiokrację. Blokuje to dostęp nowych ludzi i idei do sceny politycznej.

Stosowanie ordynacji większościowej zwłaszcza w wersji wyborów w jednej turze (JOW), doprowadza do dominacji dwóch ugrupowań, które okresowo wymieniają się władzą. Szanse kandydatów spoza takiego układu – i bez olbrzymich pieniędzy – są minimalne. Choć nie ma progów wyborczych to istotne elektoraty nie uzyskują reprezentacji w parlamencie. Wyjście na scenę polityczną jest bardzo trudne. Głosy na kandydatów spoza głównych partii są marnowane. Kandydaci niezależni się nie liczą.

Ordynacja mieszana, w których część posłów wybierana jest proporcjonalnie, a część większościami próbuje neutralizować niedostatki obu systemów.

Kwestie te były teoretycznie i publicystycznie szeroko omawiane. I co z tego? Niedawno Irlandia wprowadziła własny, gdzie indziej nie stosowany kodeks wyborczy. Po co? Żeby uniknąć wad jakimi obarczone są powszechnie przyjęte warianty.

Ordynacja wolnościowa

Jednym z naczelných duchowych dążeń ludzi jest zwiększenie zakresu wolności. Czyli poszerzenie możliwości wyborów. Im większy masz wybór, tym większa jest twoja wolność.

Od paru lat próbuję się przebić z moim pomysłem ordynacji wolno-

ściowej. Ostatnio specjalista z Politechniki Wrocławskiej prof. Zdzisław Ilski zwrócił mi uwagę w dwutygodniku „Obywatelska”, że podobne idee przedstawili w latach siedemdziesiątych XX wieku amerykańscy politolodzy Steven J. Brams i Peter C. Fishburn.

Rdzeń pomysłu polega na tym, że wyborca nie jest zmuszany do głosowania na jednego wybranego kandydata, ani na jedną opcję polityczną. Może swe poparcie udzielić tylu ilu chce kandydatom zarejestrowanym na liście wyborczej. Taka ordynacja daje każdemu więcej wolności. Ten sposób wyboru można stosować tak w wielu jak i w jednomandato- wych okręgach wyborczych.

Możesz stawiać krzyżyki przy wszystkich tych kandydatach których uważasz za godnych twego poparcia. Jednych możesz cenić osobiście, z innymi możesz identyfikować się poprzez ich partyjną czy grupową przynależność. Przy tym jeśli częściowo zgadzasz się z poglądami jednej, a częściowo z poglądami innej partii, możesz głosować na kandydatów obu czy więcej partii. Zawsze możesz głosować na kandydatów niezależnych.

Wybrani zostają ci kandydaci, w ramach liczby mandatów w okręgu, którzy dostali najwięcej krzyżyków. W okręgu jednomandato- wym ten, na którego zagłosowało najwięcej wyborców. Tak jak w tradycyjnej ordynacji większościowe odpadają ci, którzy dostali mniej głosów od wybranych.

Jest oczywiste, że głosując w takiej ordynacji na wielu kandydatów każdemu z nich udzielasz swego poparcia. Daje to możliwość uwzględnienia w akcie wyborczym twych subiektywnych sympatii i preferencji.

Bez ograniczeń

Powszechnie używana ordynacja każe głosować na jednego kandydata, albo co najwyżej na tylu ile jest mandatów w okręgu. Unieważniają twój wybór będący w niezgodzie z takimi wymaganiami. Dlaczego mamy poddawać się takim ograniczeniom? Co stoi na przeszkodzie żebyśmy je zwyczajnie odrzucili?

Głosowanie na tych wszystkich, których uważasz za godnych poparcia, pozwala w efekcie na zwiększenie reprezentatywności wybranych.

Otrzymują więcej głosów niżby mieli w ordynacjach ograniczających możliwości wyboru. Ordynacja wolnościowa pełniej wyraża zbiorową wolę i wyłania wierniejszą tej woli reprezentację społeczną. Przy tym wejście do politycznej gry w parlamencie do tworzących się ugrupowań i ciekawych ludzi jest znacznie łatwiejsze niż w obecnych ordynacjach. Nie ma też głosów nieważnych. Ważny jest głos oddany na jednego kandydata, na wszystkich na liście, jak i na żadnego z nich.

Ale najważniejsze; ten prosty system wyborczy poszerza obszar wolności każdego z nas.

Po tym zarysie pomysłu nowego rozwiązania w ordynacji wyborczej przedstawionym przez autora, posła Kornela Morawieckiego, uczestnicy

V Konferencji Świętokrzyskiej przeprowadzili kilkugodzinną dyskusję. Padło wiele uwag i pomysłów jak usprawnić prawo wyborcze i uczynić go prostszym i bardziej odzwierciedlającym wolę wyborców. Temat nie został wyczerpany i warto do niego wrócić by zakończyć go konkretnymi wnioskami.



Po obradach, tradycyjne ognisko.

SPIS TREŚCI

ADAM SŁOMKA	
Wspomnienie o Tadeuszu Burakowskim	117
ADAM STEFAN LEWANDOWSKI	
Miłe Miasto	126
DR KAROL CHYLAK	
Kryptonim „Sympatyk”. Krótka historia aktywności działacza Konfederacji Polski Niepodległej Wojciecha Szostaka.	129
ADAM STEFAN LEWANDOWSKI	
Józef Piłsudski znów u sterów państwa	140
KRZYSZTOF TURKOWSKI	
Krzysztof Turkowski rozmawia ze Zbigniewem Błażyńskim.	148
DR ANDRZEJ ANUSZ	
„Kurier Akademicki” środowiskowe pismo podziemne	185
ŁUKASZ PERZYNA	
Dla zasad nie dla posad	226
ADAM SŁOMKA	
Sędziowie recydywiści	242
MACIEJ RYSZARD GIELECKI	
Świt	251

HISTORIA NN

ODZNACZENIA DLA DZIAŁACZY NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W INSTYTUCIE PAMIĘCI NARODOWEJ

W Centrum Edukacyjnym Instytutu Pamięci Narodowej im. Janusza Kurtyki

25 czerwca 2016 roku w Warszawie, w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy, Prezes IPN dr Łukasz Kamiński wręczył Krzyże Wolności i Solidarności działaczom niepodległościowym, którzy walczyli o wolność w latach 80-tych. W uroczystości wziął udział p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, który udekorował byłych działaczy Medalami „Pro Patria”.

Odznaczonymi Medalem „Pro Patria” zostali: **Marian Banaś, Lech Jęczy-myk, dr Jan Parys, Waldemar Pernach, Tadeusz Stański, prof. Romuald Szeremietiew.**

Krzyżem Wolności i Solidarności odznaczono;

1. **Andrzej Wincenty Cieplak**
2. **Andrzej Adam Cybulski**
3. **Jolanta Gorczycka**
4. **Waldemar Górski**
5. **Andrzej Stefan Janczak**
6. **ks. Kazimierz Jandziszak**
7. **Bożena Jaworowska**
8. **Tomasz Karpiński**
9. **Grzegorz Klementowski**
10. **Iwona Kondratowicz**
11. **Władysław Korowajczyk**
12. **Leszek Kacper Kosakowski**

- 13. **Edward Mizikowski**
 - 14. **Krzysztof Mordziński**
 - 15. **Wiesław Piątkowski**
 - 16. **Jerzy Rot**
 - 17. **Stanisław Sakwa**
 - 18. **Andrzej Snarski**
 - 19. **Jarosław Zdrojkowski**
- Pośmiertnie;
Andrzej Marek Biliński



Przemawia Jan Józef Kasprzyk – szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Andrzej Wincenty Cieplak

W listopadzie 1980 r. będąc starszym inspektorem nadzoru budowlanego w Elektrociepłowni „Siekierki” był jednym z założycieli NSZZ „Solidarność” w zakładzie pracy, a następnie został członkiem Rady Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Po wprowadzeniu stanu wojennego nie zaprzestał działalności opozycyjnej, m.in. uczestniczył w marszach i manifestacjach opozycyjnych. 9 maja 1982 r. Pan Andrzej Wincenty Cieplak podczas przygotowań do akcji protestacyjnej z okazji kolejnego, piątego miesiąca wpro-

wadzenia stanu wojennego, został zatrzymany przez KSMO i internowany w ośrodku odosobnienia Warszawa-Białołęka. Podczas internowania odmówił sporządzenia zobowiązania o niepodjęmowaniu żadnej działalności sprzecznej z obowiązującym prawem. Z internowania został zwolniony 23 lipca 1982 r.

Andrzej Adam Cybulski

Marynarz w Wydziale Usług Żeglugowych Morskiego Portu Handlowego w Gdańsku. Od 1980 r. był działaczem NSZZ „Solidarność”, natomiast od października 1982 r. działaczem „Solidarności Walczącej”. W dniu 3.09.1986 r. podczas przeszukania jego mieszkania znaleziono nielegalne ulotki i wydawnictwa sygnowane przez NSZZ „Solidarność”. W tym samym dniu Pan Andrzej Cybulski został zatrzymany i aresztowany. W dniu 25.04.1987 r. Prokuratura Wojewódzka w Gdańsku wydała postanowienie o uchyleniu aresztu tymczasowego wobec Pana Andrzeja Cybulskiego. Postanowieniem Sądu Najwyższego – Izby Karnej w Warszawie z dnia 23.10.1987 r. postępowanie karne przeciwko zostało umorzone. Od 1987 r. Pan Andrzej Cybulski był działaczem Polskiej Partii Niepodległościowej. W ramach tej organizacji zajmował się m.in. drukowaniem nielegalnych pism, takich jak „Orlik” czy „Polonia Restituta”.

Jolanta Gorczycka

Od połowy lat 80. ściśle współpracowała z działającą w Warszawie organizacją Grupy Oporu Solidarni. W ramach działalności konspiracyjnej kolportowała ulotki, przenosiła podziemne wydawnictwa do punktów kolportażu. Jednocześnie pełniła funkcję łącznika pomiędzy członkami organizacji. W tym samym okresie wykonywała podobne zadania w ramach współpracy z Międzyzakładowym Robotniczym Komitetem „Solidarności”.

Waldemar Górski

Od 1980–1989 r. współpracował z NSZZ „Solidarność” i Solidarnością Walczącą w Warszawie. Kolportował wydawnictwa bezdebitowe i uczestniczył w manifestacjach ulicznych. 8 czerwca 1987 r. w Warszawie podczas wizyty papieża demonstrował transparent z napisem „Solidarność Region Mazowsze”.

Został za to skazany przez Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Naczelniku Dzielnicy Warszawa Śródmieście na 50000 zł grzywny, przepadek dowodów rzeczowych i pokrycie kosztów postępowania, a także wniesiono mu z tego powodu zastrzeżenie prawa wyjazdu za granicę do 10 czerwca 1989 r. (ostatecznie odwołane 20 grudnia 1988 r.)

Andrzej Stefan Janczak

Od 1982 r. prowadził aktywną działalność w ramach Grup Oporu „Solidarni”. Był członkiem tzw. grupy grochowskiej, którą kierował Piotr Rzewuski. Uczestniczył w akcjach ulotkowych na ulicach Warszawy i innych miast, akcjach ustawiania tzw. „gadał”, drukował i kolportował nielegalną prasę i znaczki. W dniu 13.06.1982 r. został zatrzymany za nalepianie emblematów z napisem „Solidarność”. W dniu 1.11.1982 r. brał udział w akcji stawiania 7-metrowego krzyża z tablicą poświęconą ofiarom stanu wojennego w okolicach Dolinki Katyńskiej na Powązkach. Uczestnicy akcji zostali zatrzymani przez SB, a Pan Andrzej Janczak był jednym z nielicznych, którzy uniknęli aresztowania. W sierpniu 1983 r. uczestniczył w akcji umieszczenia na Powązkach tablicy z napisem „Pamięci ofiar stanu wojennego”. W 1985 r. pomagał przy składaniu pirotechnicznych wyrzutni ulotek, przeznaczonych dla Grup Oporu „Solidarni”.

ks. Kazimierz Jandziszak

Jako proboszcz parafii rzymsko-katolickiej w Przyłęku (od 1976) a następnie od 1983 r. w Świdnicy – od 1980 r. wspierał czynnie działaczy opozycyjnych Konfederacji Polski Niepodległej i Polskiej Partii Niepodległościowej (m.in. Tadeusza Stańskiego, Romualda Szeremietiewa oraz swojego brata Tadeusza Jandziszaka) w wymiarze organizacyjnym, logistycznym i finansowym. Po wprowadzeniu stanu wojennego przechowywał w swoim mieszkaniu archiwum PPN. Ksiądz Kazimierz Jandziszak był łącznikiem pomiędzy opozycją w kraju a działającymi w Szwecji członkami KPN. W latach 1980–1984 pozostawał w zainteresowaniu Służby Bezpieczeństwa (założono podsłuch pokojowy i kontrolę korespondencji) w związku z budową kościoła w Świdnicy.

Bożena Jaworowska

Od 1979 r. prowadziła aktywną działalność w ramach Konfederacji Polski Niepodległej. Zajmowała się m.in. kolportowaniem ulotek oraz malowaniem haseł antykomunistycznych. W latach 1979 – 1981 była również działaczką Komitetu Budowy Pomnika Katyńskiego. Zbierała pieniądze na fundusz budowy pomnika, a także organizowała różne akcje na terenie Cmentarza Wojskowego na Powązkach, m.in. warty przy tzw. „symbolicznym grobie katyńskim”. Po wprowadzeniu stanu wojennego nadal utrzymywała kontakty z działaczami KPN. W dniu 8.01.1982 r. została zatrzymana i doprowadzona na przesłuchanie do Komendy Stołecznej MO w Warszawie. Następnego dnia wydano decyzję o internowaniu. Początkowo skierowana do Aresztu Śledczego Warszawa – Grochów, a następnie przewieziona do Ośrodka Odosobnienia w Gołdapi. Zwolniona z internowania w dniu 21.07.1982 r.

Tomasz Karpiński

Od 1982 r. współpracownik Grupy Oporu „Solidarni” w Warszawie. We wrześniu 1982 r. brał udział w akcji malowania haseł na murach na warszawskiej Starówce. 1.11.1982 r. uczestniczył w akcji ustawienia na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie krzyża upamiętniającego ofiary stanu wojennego. Z tego powodu został zatrzymany przez funkcjonariuszy MO, patrolujących cmentarz, a 2.11.1982 r. tymczasowo aresztowany przez Wojskową Prokuraturę Garnizonową w Warszawie i osadzony w Areszcie Śledczym na warszawskim Mokotowie. Postanowieniem z 14.01.1983 r. tymczasowe aresztowanie zostało zamienione na dozór milicyjny. Tego samego dnia Pan Tomasz Karpiński opuścił areszt. W dniu 29.04.1983 r. śledztwo zostało zakończone a 18.08.1983 r. Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy na podstawie ustawy o amnestii z 21.07.1983 r. umorzył prowadzone przeciwko niemu postępowanie.

Grzegorz Klementowski

Działalność opozycyjną rozpoczął od 1986 r. w Uczniowskim Komitecie Oporu Społecznego w Bolesławcu. Organizacja ta, założona w 1981 r. przez Dariusza Góreckiego i Bogdana Frydrycha, skupiała w swoich szeregach uczniów ze szkół, którzy chcieli brać udział w działalności antykomunistycznej.

Pan Grzegorz Klementowski zajmował się kolportażem gazetek, brał udział w akcjach ulotkowych przeprowadzanych na terenie Bolesławca, malował napisy antysystemowe na m.in. budynku kasyna MO czy Komitetu Gminnego PZPR w Bolesławcu. Od 1987 r. włączył się aktywnie w działalność Polskiej Partii Niepodległościowej, początkowo w Bolesławcu a następnie podczas studiów we Wrocławiu.

Iwona Kondratowicz

W 1980 r. wstąpiła do Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność jako pracownik młodociany – uczennica przyzakładowej szkoły zawodowej.

W czerwcu 1982 r. została członkiem działającej we Wrocławiu Solidarności Walczącej, odbyła tajne szkolenie w zakresie małej poligrafii. Pracowała jako drukarz podziemnych wydawnictw. Jednocześnie kolportowała ulotki i niezależne pisma m.in. „Z dnia na dzień”, „Biuletyn Dolnośląski”. W 1985 r. uczestniczyła w rotacyjnej głódówce w Kościele Narodzenia NMP w Krakowie-Bieżanowie.

Władysław Korowajczyk

Od 1985 r. był członkiem Konfederacji Polski Niepodległej Obszaru III Łódź. Na potrzeby działalności konspiracyjnej udostępniał swój samochód osobowy, uczestniczył w manifestacjach, przechowywał w swoim mieszkaniu podziemne wydawnictwa.

Po utworzeniu Polskiej Partii Niepodległościowej wraz z częścią łódzkich działaczy KPN przyłączył się do tej inicjatywy. Uczestniczył w organizowanych uroczystościach rocznicowych, Mszach za Ojczyznę i manifestacjach. Brał udział w spotkaniach z kierownictwem partii w Łodzi i w Warszawie, kolportował ulotki oraz pisma podziemne.

Będąc osobą niepełnosprawną (utracił wzrok w wyniku urazu, którego doznał w trakcie pobicia w 1975 r.) korzystał z pomocy współpracowników w pisaniu artykułów do prasy podziemnej m.in. do pisma „Przedświt”. W 1989 r. był uczestnikiem III Krajowego Zjazdu Konfederacji Polski Niepodległej.

Leszek Kacper Kosakowski

Od 1979 r. był związany z Konfederacją Polski Niepodległej. W połowie lat 80. związał się z Polską Partią Niepodległościową. Organizował materiały drukarskie, a także uczestniczył w drukowaniu publikacji, broszur i czasopism (m.in. dwutygodnika „Kos”). Brał również udział w organizowanych przez PPN manifestacjach oraz kolportażu ulotek i prasy. Pełnił rolę łącznika pomiędzy młodzieżówką PPN a Federacją Młodzieży Walczącej.

W drugiej połowie lat 80. nawiązał kontakty z opozycją węgierską. Od 1988 r. wielokrotnie przewoził do Budapesztu ulotki, wystawy i inne materiały. W 1989 r. był jednym ze współzałożycieli Solidarności Polsko-Węgierskiej, organizował demonstracje z okazji nieuznawanych przez władze komunistyczne narodowych świąt węgierskich. Często gościł w swoim mieszkaniu osoby przyjeżdżające Węgier oraz udzielał pomocy węgierskim działaczom w nawiązaniu kontaktów z czołowymi opozycjonistami w Polsce.

Edward Mizikowski

Był jednym z inicjatorów, utworzonego pod koniec grudnia 1981 r., Robotniczego Komitetu Samoobrony Społecznej „Solidarności” Huty Warszawa, który na przełomie lutego i marca 1982 r. przekształcił się w Międzyzakładowy Robotniczy Komitet Samoobrony Społecznej NSZZ „Solidarność”. MRKSS domagał się m.in. uwolnienia internowanych, zniesienia stanu wojennego i przywrócenia prawa do legalnego działania „Solidarności”. Od kwietnia 1982 r. Pan Mizikowski był współtwórcą i działaczem Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności” w Warszawie oraz należał do ścisłego kierownictwa tej organizacji. W dniu 29.11.1982 r. został aresztowany i osadzony w Areszcie Śledczym przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. W dniu 26.07.1983 r. postanowieniem Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Warszawie aresztowanie uchylono. Po wyjściu z więzienia Pan Mizikowski kontynuował działalność w ramach MRKS. Był wielokrotnie zatrzymywany, a następnie karany przez kolegia ds. wykroczeń, m.in. za udział w nielegalnych demonstracjach, rozwieszanie transparentów z hasłami opozycyjnymi, kolportowanie ulotek. W dniu 21.08.1988 r. razem z Krzysztofem Wolfem wszedł na teren Huty Warszawa i namówił do strajku część załogi. Od października 1988 r. zajmował

się również redagowaniem pisma „CDN Głos Wolnego Robotnika” sygnowanego przez MRKS.

Krzysztof Mordziński

Absolwent Politechniki Warszawskiej – Wydziału Mechanicznego Energetyki i Lotnictwa. W latach 1969-1979 był pracownikiem Polskiego Komitetu Normalizacji, Miar i Jakości. Od 1979 do 1982 r. był specjalistą i adiunktem w Centralnym Ośrodku Badań i Rozwoju Techniki Kolejnictwa.

Od września 1980 r. był członkiem Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. W okresie od stycznia do czerwca 1981 r. był przewodniczącym Komisji Zakładowej „Solidarności” w swoim zakładzie pracy. Był współzałożycielem i redaktorem pisma „Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność” w COBiRTK. W 1981 r. był delegatem na zjazd „Solidarności” kolejarskiej oraz na I i II Walne Zgromadzenie Delegatów NSZZ „Solidarności” Regionu Mazowsze.

W okresie od 13 grudnia 1981 r. do 29 kwietnia 1982 r. został internowany i osadzony w ośrodku odosobnienia Warszawa-Białołęka.

Po zwolnieniu z internowania był członkiem Rady Parafialnej Środowiska Byłych Internowanych i Więźniów Politycznych przy kościele Seminarijnym w Warszawie.

Wiesław Piątkowski

Był współzałożycielem i działaczem NSZZ „Solidarność” w Przedsiębiorstwie Geologiczno-Fizjograficznym i Geodezyjnym Budownictwa „Geoprojekt” w Warszawie. We wrześniu 1980 r. wszedł w skład Komitetu Założycielskiego, a następnie został wybrany przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. W dniu 14.12.1981 r. wziął udział w posiedzeniu KZ, a także zorganizował zebranie załogi przedsiębiorstwa, na którym m.in. zachęcał do zorganizowania strajku, żądał od dyrekcji wydania flag państwowych, a także odmówił przekazania majątku związkowego. Zajmował się również organizowaniem w Kościele św. Jacka w Warszawie pomocy charytatywnej osobom internowanym i ich rodzinom oraz osobom zwalnianym z pracy. Od kwietnia 1982 r. działał w ramach Grup Oporu „Solidarni”. Zajmował się

kolportażem wydawnictw sygnowanych przez „Solidarność” oraz brał udział w akcjach protestacyjnych. Samodzielnie wykonywał matryce nielegalnego biuletynu „Informacje Solidarności” w celu ich powielania, przekazywał je innym działaczom, a następnie odbierał gotowe odbitki, które kolportował. Był również jednym ze współorganizatorów akcji zorganizowanej w Teatrze Wielkim w Warszawie w dniu 4.11.1982 r., polegającej na wrzuceniu na widownię m.in. granatów z gazem łzawiącym w celu uniemożliwienia odbycia się akademii z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej. W dniu 20.01.1983 r. został zatrzymany i tymczasowo aresztowany. Postanowieniem Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie z dnia 02.08.1983 r. postępowanie karne w stosunku do Pana Piątkowskiego zostało umorzone na mocy amnestii.

Jerzy Rot

W latach 1963–1964 przebywał we Włoszech i Francji w polskim środowisku emigracyjnym. Podczas wyjazdu do Włoch na przełomie maja i czerwca 1967 r., przebywał w mieszkaniu Bronisława Gimpla obywatela USA, w którym odbywały się spotkania z pracownikami Radia Wolna Europa i któremu w 1968 r. odmówiono wizy wjazdowej do Polski. W okresie 1984 – 1985 Pan Jerzy Rot był organizatorem druku i kolportażu miesięcznika „BAZA” oraz książek tego wydawnictwa (autorstwa: Józefa Mackiewicza, Tadeusza Żenczykowskiego, Gustawa Herling-Grudzińskiego i in.), drukowanych w Jastrzębiu k. Piaseczna. Własne artykuły pisał pod pseudonimem *Jerzyk* lub *Jeży*. W latach 1985-1987 Biuro Paszportów MSW w Warszawie zastrzegło Panu Jerzemu Rotowi wyjazdy zagraniczne.

Stanisław Sakwa

W latach 1978–1986 jako pracownik w Zakładach Górniczych „Rudna” w Polkowicach był działaczem NSZZ „Solidarność. Za druk i kolportaż nielegalnych wydawnictw w 1980 r. wyrokiem Sądu Rejonowego w Legnicy został skazany na 1 rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na 3 lata.

Po wprowadzeniu stanu wojennego był jednym z założycieli i członkiem Podziemnej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w ZG „Rudna”. Pan Stanisław Wawrzyniec Sakwa w okresie od 5.05.1982 r. do 16.10.1982 r. był

internowany i osadzony w Ośrodku Odosobnienia w Głogowie a następnie w Grodkowie. Po wyjściu z na wolność uczestniczył w akcjach ulotkowych, plakatowych, malowania haseł na murach, zbiórek na działalność związkową i pomoc dla represjonowanych i ich rodzin. Organizował wydawanie pism podziemnych i kolportaż: „Biuletynu Informacyjnego Stanu Wojny”, „Zagłębie Miedziowe”, „Żądło Roboła”. Ponadto organizował na terenie Lubina, Polkowic, Głogowa kolportaż pism tj.: „Solidarność Walcząca”, „Tygodnik Mazowsze”, „KOS”, „Wola”, „Solidarność Podziemna”. Za działalność opozycyjną w okresie: 26.04.1983–25.07.1984; 3.12.1984–4.03.1985 był kilkakrotnie aresztowany. Przebywał w Areszcie Śledczym w Głogowie, Legnicy i Wrocławiu. W wyniku zmiany oskarżenia z dnia 4.06.1985 r. wyrokiem Sądu Wojewódzkiego w Legnicy został skazany na 1,5 roku więzienia, przepadek mienia i osadzony w Zakładzie Karnym we Wrocławiu. Na mocy amnestii został zwolniony z więzienia 10.09.1986 r. Za prowadzenie działalności opozycyjnej Pan Stanisław Wawrzyniec Sakwa był wielokrotnie zatrzymywany na 48 godzin, zwalniany z pracy i karany przez kolegia ds. wykroczeń.

W latach 1985–1993 był członkiem Rady Politycznej Polskiej Partii Niepodległościowej.

Andrzej Snarski

Był organizatorem NSZZ „Solidarność” w Centrali Zaopatrzenia Transportu Górniczego i Energetycznego. Z powodu niezaprzestania działalności związkowej po wprowadzeniu stanu wojennego, został internowany na podstawie decyzji z dnia 21.05.1982 r. i osadzony w Areszcie Śledczym Warszawa-Białołęka, gdzie przebywał do 23.07.1982 r. Po zwolnieniu kontynuował działalność w podziemnych strukturach „Solidarności”, współpracował z miesięcznikiem „Baza”, kolportował niezależną prasę m.in. tygodniki „KOS”, „Tygodnik Mazowsze” i in.

Jarosław Zdrojkowski

Działał w Samorządzie Studentów NZS Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Był przewodniczącym okręgowej komisji wykonawczej

Polskiej Partii Niepodległościowej na Lubelszczyźnie. Działal również w Federacji Młodzieży Walczącej.

Był aktywnym członkiem PPN, brał czynny udział w pracach organizacyjnych, pełnił funkcje kierownicze w lubelskim okręgu tej partii. Wspierał również działania organizacyjne PPN na terenie Radomia.

Andrzej Marek Biliński

Doktor medycyny, żołnierz Armii Krajowej, po wojnie był żołnierzem WiNu i brał udział w akcjach bojowych przeciwko Urzędowi Bezpieczeństwa w Piasecznie i Milanówku. Za udział w rozbiciu posterunku Urzędu Bezpieczeństwa w Jankach został skazany na 10 lat pozbawienia wolności. Na wolność wyszedł po dwóch latach, na mocy amnestii. W 1961 r. Pan Andrzej Marek Biliński nawiązał kontakt z Józefem Rybickim i Leopoldem Kumannem – członkami nielegalnej grupy Armii Krajowej „Seniorat”. Wspólnie zaangażowali się w projekt budowy pomnika Józefa Piłsudskiego w Katedrze Warszawskiej. Do 1981 roku był odpowiedzialny za łączność oficerów AK w kraju z Londynem. Po wprowadzeniu stanu wojennego zorganizował koło służby zdrowia NSZZ „Solidarność” na Pradze Południe. Redagował i drukował czasopismo konspiracyjne „Warszawianka” oraz wydawał serię znaczków podziemnej „Solidarności”.

W latach 1961–1980 był rozpracowywany i inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa PRL.

Zdjęcia – UdSKiOR
Biogramy odznaczonych – Instytut Pamięci Narodowej



Apel

Szanowni Państwo! Żyje wśród nas wielu ludzi którzy swoim życiem i działalnością na rzecz wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej zasłużyli na wyróżnienie i uhonorowanie ich postawy. Niestety nasza Ojczyzna zachowuje się czasami jak macocha i palcem trzeba jej pokazać, że ta córka, ten syn narażając siebie i swoją rodzinę, bił się o to by była wolna i demokratyczna. Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego chce być takim palcem ale bez Państwa pomocy nasze działania będą mało efektywne. Proszę więc serdecznie Wszystkich o dostarczanie nam informacji o osobach które waszym zdaniem zasługują na wyróżnienie i uhonorowanie. Informacje można wysyłać na adres redakcji „Opinii” bądź Instytutu albo na adres mailowy ihoo@o2.pl.

Michał Janiszewski

8 czerwca 2016 roku Prezydent Rzeczypospolitej Andrzej Duda odznaczył Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski działacza niepodległościowego Ryszarda Bociana.



Ryszard Bocian

Od września 1980 roku w „Solidarności”, członek Prezydium Komitetu Założycielskiego w Akademii Medycznej i Państwowego Szpitala Klinicznego w Krakowie; w październiku 1980 w komisji ds. wynegocjowania porozumienia pomiędzy „S” a władzami rektorskimi AM, w grudniu 1980 w komisji negocjacyjnej w sprawie układu zbiorowego Służby Zdrowia w Gdańsku; w 1981 współzałożyciel, przewodniczący KOWzP w AM i PSK; w grudniu 1981 uczestnik strajku studenckiego w AM.

Po 13 XII 1981 w podziemnych strukturach „Solidarności” AM i PSK. 13–16 XII 1981 organizator (z Januszem Kutybą i Tadeuszem Librowskim) akcji protestacyjnej tamże, w jej następstwie przeniesiony do pracy w bibliotece.

22 października 1982 uznany przez Sąd Rejonowy dla Krakowa-Śródmieścia za winnego działalności w zawieszonym związku. Sąd odstąpił od wymierzenia kary. 29 X 1982 internowany w Ośrodku Odosobnienia w Kielcach-Piaskach, zwolniony 6 XII 1982. 1983–1989 zatrudniony m.in. w domach pomocy społecznej, następnie (nieformalnie) w firmach prywatnych. 13 V 1983 aresztowany w czasie demonstracji, osadzony w Areszcie Śledczym przy ul. Montelupich w Krakowie, 6 VI 1983 zwolniony; 13 VI 1983 ponownie aresztowany, 26 VII 1983 zwolniony na mocy amnestii. XI 1981–X 1990 w Konfederacji Polski Niepodległej; od 1982 z-ca kierownika w Tajnym Tymczasowym Kierownictwie Akcji Bieżącej Okręgu Kraków, 1982–1983 w Centralnym Kierownictwie Akcji Bieżącej KPN z siedzibą w Krakowie; w XII 1984 delegat na II Kongres KPN w Warszawie; 1985 – marzec 1989 ponownie w CKAB, kierownik Wydziału Organizacyjnego; 1986–1988 szef Obszaru II (Małopolska) KPN; w 1989 (na III Kongresie KPN) wybrany do Rady Politycznej KPN. W 1982 założyciel, wydawca i redaktor pisma „Robotnik Polski w Walce”; 1982–1983 i 1985–1988 redaktor naczelny, autor pisma „Niepodległość”; 1982–1989 autor, drukarz, organizator transportu i kolportażu pism, między innymi „Krzyk”, „Opinia Krakowska”, wydawca „Biuletynu Informacyjnego NSZZ «Solidarność» Akademii Medycznej i Państwowego Szpitala Klinicznego”; 1983–1988 założyciel, redaktor naczelny wydawnictwa (KPN) Wolność; 1983–1989 organizator biblioteki wydawnictw niezależnych. Organizator demonstracji, akcji ulotkowych, malowania na murach i zbiórek pieniędzy na pomoc dla aresztowanych, 1984 członek Inicjatywy Obywatelskiej w Obronie Praw Człowieka Przeciw Przemocy; VIII–IX 1988 doradca i uczestnik strajku w KWK Manifest Lipcowy, wydawca i drukarz pisma strajkowego „Manifeściak”. Wielokrotnie zatrzymywany, rewizje w mieszkaniu; zwolniony z pracy w 1982 (dwukrotnie), 1983, 1985; brak możliwości zatrudnienia zgodnie z kwalifikacjami; pobity w IV 1986, 3 V 1987, 27 IX 1987; dziesięciokrotnie skazany przez kolegia ds. wykroczeń za udział w demonstracjach na łączną karę grzywnien prawie 1 mln zł; we IX 1988 zatrzymany we Wrocławiu, skazany na miesiąc aresztu, zwolniony po kilku dniach (po wpłaceniu grzywny przez Annę Morawiecką). V–VI 1989 organizator wieców przedwyborczych KPN w Krakowie. W VII 1989 organizator pikiety KPN w Warszawie przeciwko kandydaturze Woj-

ciecha Jaruzelskiego na prezydenta. 1990–1992 pracownik naukowo-dydaktyczny AM. Radny Miasta Kraków: 1990–1994 z listy KPN, przewodniczący Podkomisji Nadzwyczajnej ds. usunięcia relikwów komunizmu (usunięto ponad 50 pomników i tablic, m.in. Pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej oraz cmentarz sowiecki z pomnikiem), 1990–1992 wiceprzewodniczący RM; 1994–1998 z listy Samorządny Kraków. 1990–1991 lider Frakcji Demokratycznej KPN, następnie 1991–1992 w Koalicji Republikańskiej, członek władz krajowych. 1993–1999 pracownik Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Krakowie. 1994 inicjator powołania stowarzyszenia Czeczeński Ośrodek Informacyjny, członek zarządu. 1999 założyciel Związku Konfederatów Polski Niepodległej 1979–1989, do 2007 prezes, od 2010 prezes zarządu Oddziału Małopolskiego. 1999–2005 Miejski i Powiatowy Rzecznik Konsumentów w Krakowie i Powiecie Krakowskim, od 2005 na emeryturze. 2005 w grupie założycielskiej Ujawnić prawdę.

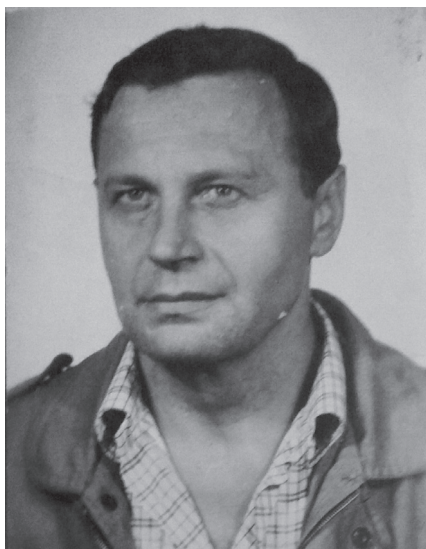
Autor *Reforma gospodarcza czy rewolucja społeczna* (1981).

Odznaczony Srebrnym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej (1997), Medalem Niezlomnym w Słowie (2010).

8 VI 1983–24 V 1990 rozpracowywany przez Wydz. III/OKPP WUSW w Krakowie w ramach SOR krypt. Konspiratorzy.

ADAM SŁOMKA

WSPOMNIENIE O TADEUSZU BURANOWSKIM



Dowiedziałem się o Jego istnieniu zanim spotkaliśmy się osobiście. Tadeusz był w roku 1981 uosobieniem istnego *diabła wcielonego* dla komunistycznej propagandy RTV i „Trybuny Robotniczej” w województwie Katowickim. Buranowski miał w zgodnym przekazie władz PRL-u „dowodzić *bojówką ekstremistów z Solidarności*

i KPN” terroryzując spokojnych towarzyszy pracy socjalistycznej...

Dokładnie pamiętam reportaż w reżimowej Telewizji mówiący o nielegalnym plakatowaniu i napaści cyt: *bojówki Buranowskiego* na... funkcjonariuszy MO! Prawda była rzecz jasna odmienna, faktów nie poznaliśmy ale to jedno było pewne: przywódca jawnej „antysocjalistycznej bojówki” musiał być człowiekiem bardzo, bardzo odważnym.

Zobaczyłem Tadeusza na katowickim rynku gdy podczas „karnawału Solidarności” uruchomił pierwszy publiczny tj. samochodowy punkt kolportażu prasy niezależnej m.in. rozdając broszury o sowieckiej zbrodni Katyńskiej. Szef regionu Śląsko – Dąbrowskiego NSZZ Solidarność Andrzej Rozpłochowski utworzył z pomocą niezmordowanych siostr Kawalec szeroką sieć kolportażu prasy i książek po zakładach pracy. Tadeusz

sięgnął jeszcze dalej w morze czerwonego kłamstwa, wystawił jawny punkt antykomunistycznej bibuły, „księgarnię na kółkach” w samym sercu strategicznego dla PRL-u województwa. Na odpowiedź pacholków Moskwy nie trzeba było długo czekać:

20 października 1981 roku liczni SB-mani oraz funkcjonariusze MO postanowili zlikwidować wyspę wolnego słowa i zaatakowali punkt kolportażu bibuły na katowickim rynku. Napadnięty Tadeusz Buranowski dzielnie się opierał, zamknięty w samochodzie, zyskał trochę na czasie tak by poprosić przechodniów o zawiadomienie Zarządu Regionu „Solidarności”. Został wywleczony przez tajniaków: skopany, skuty i zawieszony na komendę milicji. Wieść o jego zatrzymaniu lotem błyskawicy obiegła region i w kilkanaście minut wielu działaczy zostało powiadomionych „pocztą” alarmową opozycji i w ten sposób także ja, 16 letni uczestnik organizacji młodzieżowej KPN zostałem ściągnięty na katowicki rynek. Tu uformował się spontaniczny wiec ludzi oburzonych bandycją napaścią „nieznanych sprawców” i likwidacją „ruchomej księgarni opozycji”. Komunikacja w centrum miasta została sparaliżowana, w efekcie masowo dołączali się kolejni mieszkańcy.

Zgromadziło się około trzech tysięcy ludzi, którzy w pochodzie przeszli pod komendę MO zlokalizowaną na pobliskiej ulicy Pocztowej. Tłum domagał się natychmiastowego uwolnienia Tadeusza Buranowskiego. Milicjanci nie chcieli rozmawiać i zabarykadowali się. Manifestanci zaczęli wznosić okrzyki „pachołki Moskwy”, uwolnić więźniów politycznych, dość cenzury! Doszło do pierwszych rozmów SB-manów z przedstawicielami Zarządu Regionu, jednak bez rezultatu, gdyż chodziło rzekomo o „poważne przestępstwo kolportażu nielegalnych antyradzieckich wydawnictw”. Przyjechały milicyjne nyski ze wsparciem dla funkcjonariuszy. Zebrani zablokowali te samochody i przewrócili nyskę pod komisariatem gołymi rękami tak, że stanęła na dachu „kołami do góry”. Tłum zaczął się coraz bardziej niecierpliwić i w ruch poszły kamienie, setki kamieni, kostki brukowej (zastanawiałem się zawsze skąd ludzie znaleźli tyle kamieni na tej całkowicie asfaltowej ulicy) w efekcie po 10 minutach w komendzie nie pozostała ani jedna cała szyba... Ktoś zapowiedział spuszczenie benzyny z milicyjnych radiowozów grożąc ich podpaleniem.

W efekcie spanikowani SB-mani wypuścili zatrzymanego na innej ko-

mendzie Tadeusza Buranowskiego. Tak dzięki pomysłowości, wytrwałości, determinacji i niezłomności Tadeusza stoczyliśmy tamtą zwycięską batalię o wolne słowo.

Wtedy uzmysłowiliśmy sobie w Katowicach jaką siłą dysponuje zorganizowane społeczeństwo w obliczu którego totalitarna władza jest bezradna.

Oczywiście Tadeusz Buranowski ma nie tylko tę osobistą historię.

Tadeusz urodził się na kresach wschodnich II Rzeczypospolitej, przyjechał z Borysławia do Gliwic w ramach ostatnich repatriacji. Pracował jako spawacz w Hutniczym Przedsiębiorstwie Remontowym w Gliwicach. W pamiętnym Sierpniu 1980 roku uczestniczył w zwycięskim strajku w Hucie Katowice. Założyciel i wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w swoim HPR. Od 1981 roku szef Komisji Rewizyjnej Gliwickiej Delegatury MKZ Katowice. Dzięki nawiązaniu kontaktu z łódzką strukturą KPN (osobiście z Andrzejem Ostoją-Owsianym) wstąpił do Konfederacji Polski Niepodległej. W lipcu 1981 wybrany przez Walne Zebranie Delegatów NSZZ „S” Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, do władz Zarządu Regionu na

stanowisko członka Prezydium **odpowiedzialnego za informację**. Zorganizował najpierw zwyczajną grupę plakatującą miasta śląska i zagłębia z różnymi apelami Solidarności i opozycji. Przeszkolił również grupy działaczy KPN i Solidarności z innych regionów m.in. z Warszawy (z Komitetu Katyńskiego).

Mnie głęboko wryły się w pamięć wiszące na mieście w okresie „*karnawatu Solidarności*” karykatury „niedźwiedzia” tj. Breżniewa z Wolnego Związkowca oraz liczne plakaty na 17 września i 11 listopada 1981 roku gdzie sierp i młot podawał sobie rękę ze swastyką. Władze systematycznie zrywały te plakaty ale nie bardzo mogły nadażyć a pomysły Tadek nakleił je dodatkowo na dworcach PKP na niezmywalne szkło wodne! Tysiące ludzi jadących pociągami czytało te strzępy gazetek ściennych i zamalowywane plakaty dosłownie z wypiekami na twarzy. Wściekłość SB-manów, PZPR-owców i ORMO-wców nie miała granic. Stąd wynikała właśnie ta intensywna kampania szkalowania „bojówki Buranowskiego” w oficjalnej propagandzie władz PRL. 4 grudnia 1981 roku w ogólnopolskiej TV PRL podano nawet, iż „grupa Buranowskiego” terroryzowała

podczas plakatowania funkcjonariuszy MO i SOK-istów na dworcu PKP Chorzów-Batory. Reżimowy spiker poinformował naród, iż *terrorysty z bojówki Buranowskiego* jednemu umundurowanemu funkcjonariuszowi władzy ludowej założyli nawet na głowę wiadro z klejem... Osobiście wydawało mi się to bardzo przemawiające do wyobraźni i cokolwiek malownicze!

13 grudnia ten festiwal wolności został brutalnie przerwany stanem wojennym. Jedną z pierwszych osób pozbawionych wolności był właśnie Tadeusz Buranowski, przy okazji bestialsko pobity przez SB-ków i ZOMO-wców. Sam towarzysz Jaruzelski w swoim sławetnym przemówieniu powtarzanym w kółko w telewizji tłumaczył, iż musiał wypowiedzieć wojnę narodowi gdyż *stabilizacji PRL-u zagrażały grupy terrorystyczne ekstremistów z Solidarności i KPN-u...*

Tadeusz Buranowski został internowany w więzieniu Zabrze-Zaborze, a następnie osadzony do końca 1982 roku w Nowym Łupkowie, w celi z Tadeuszem Jedynakiem – sygnatariuszem porozumień sierpniowych z Jastrzębia. W czasie internowania funkcjonariuszka SB dokonała bezprecedensowej od-

mowy widzenia Tadeusza z małoletnią córką. Władza trzymała go pod kluczem jak długo się tylko dało, wyszedł na wolność jako jeden z ostatnich.

Dalej uczestniczył w pracy konspiracyjnej szkoląc m.in. drukarzy oraz w naszych demonstracjach: 3 majowych, 11 listopada czy 16 grudnia w rocznicę pacyfikacji KWK Wujek.

Na roku 1990 jego działalność niepodległościowa oczywiście się nie zakończyła. A mogła.

Tadeusza dopadła bowiem ciężka, śmiertelna choroba. Dzięki udanej operacji onkologicznej i wsparciu liczego grona przyjaciół, a przede wszystkim wspierałej żony Teresy był z nami jeszcze wiele lat. Nie uciekł w prywatność, nie wymawiał się ciężkim stanem własnego zdrowia i dramatyczną chorobą córki (co było następstwem jej traumatycznych przeżyć stanu wojennego). Zawsze gdy tylko mógł uczestniczył w okolicznościowych spotkaniach i pracach organizacji weteranów np. w IPN czy w stowarzyszeniu Eugeniusza Karasińskiego.

Często dzwonił, doradzał, żywo interesował się bieżącą walką.

Odmówił oczywiście przyjęcia odznaczenia państwowego od B. Komorowskiego, który na czele oddziałów ZOMO w 1989 r. osobiście pa-

cyfikował w Katowicach akcję KPN pt. „sowieci do domu”.

Tadeusz doczekał na szczęście *dobrej zmiany* i odznaczenia Krzyżem Wolności i Solidarności od Prezydenta RP Andrzeja Dudy.

Buranowski stoczył też w ostatnich latach znamienne batalię z sądami III RPRL o *rehabilitację* za przestępcze represje SB, MO, prokuratury, służby więziennej itp. komunistycznych zbrodniarzy. Byliśmy z liczną grupą Niezłomnych na Jego procesach rehabilitacyjnych i zapamiętałem jak prokurator naigrywała się z jego „łamania ówczesnie legalnego prawa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Oczywiście żaden z jego oprawców nie został ukarany, a wręcz przeciwnie typy te nadal deprawują kolejne pokolenia funkcjonariuszy. Niestety niezdekomunizowani sędziowie z nieukrywaną pogardą i szyderstwem zasądzi mu także w ramach „rekompensaty” 24 tysiące złotych zadośćuczynienia za bestialskie pobicie i za rok nielegal-

nego uwięzienia! Warto wspomnieć na marginesie, iż urzędnikowi z Częstochowy ten sam katowicki sąd za rok pozbawienia wolności w luksusowych warunkach III RP (adwokat, ciepła woda, uczciwy proces) przyznał ponad milion złotych zadośćuczynienia!

Są równi i równiejsi... Nie przypadkiem piszę tu o pieniądzach w kontekście postawy władz administracyjnych i sądowniczych III RP. Tadeusz potrzebował ich na leczenie. Typowe, niewygórowane cenowo leki. W ostatnich miesiącach Urząd ds. Kombatanów i Osób Represjonowanych przyznał mu wsparcie na opiekę zdrowotną. Dotacja przyznawana maksymalnie na cały rok starczyła tu zaledwie na miesiąc! Taki jest realny wymiar wsparcia pomimo art. 19 Konstytucji, który mówi o obowiązku roztaczania opieki państwa nad bojownikami zmagających o Niepodległość.

*Śpij Kolego w ciemnym grobie,
Niech się Polska przyśni Tobie!*

INTERNETOWE ARCHIWUM KPN WWW.EARCHIWUMKPN.PL

Zachęcamy Czytelników „Opinii” do lektury materiałów opublikowanych na wortalu Internetowe Archiwum KPN – www.earchiwumkpn.pl.

Jest to wortal historyczny, który ruszył w roku 2014 dzięki wsparciu Muzeum Historii Polski w ramach programu Patriotyzm Jutra. Wortal jest cały czas rozbudowywany. W tym roku uzyskał wsparcie Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Wortal należy do naszego Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoja Owsianego.

Funkcję administratora wortalu pełni Mirosław Lewandowski, współautor (wspólnie z Maciejem Gawlikowskim) kilku książek o tematyce historycznej, z których dwie („Gaz na ulicach. KPN w Krakowie. Stan wojenny. 1981–1982” oraz „No Future! Historia krakowskiej FMW”) zostały wybrane głosami czytelników Książkami Historycznymi Roku (odpowiednio) w 2012 oraz w 2015 w prestiżowym konkursie organizowanym przez IPN, Polskie Radio oraz Telewizję Polską.

W ramach pierwszych dwóch etapów projektu (realizowanych w latach 2014–2015) powstał szkielet wortalu i zbudowano część jej elementów.

Na wortalu znalazły się teksty programowe KPN (poczynając od Aktu Konfederacji i Deklaracji Ideowej z 1979 roku a kończąc na projekcie ustawy o Restytucji Niepodległości z 1991 roku oraz projekcie Konstytucji RP z 1993 roku) a także teksty polityczne Leszka Moczulskiego (wszystkie najważniejsze z okresu 1973–1994, z „Rewolucją bez rewolucji” na czele). Zamieszczono także kilka tekstów Jacka Kuronia, Zdzisława Najdera czy Jana Walca polemizujących z postulatami Leszka Moczulskiego lub z programem KPN.

Dział „Wspomnienia” zawiera obecnie 21 relacji byłych działaczy KPN oraz linki do kilkunastu wywiadów czy relacji zebranych przez inne osoby.

W ramach działów „Historia KPN” oraz „Encyklopedia KPN” opracowano – na podstawie dostępnych źródeł naukowych – dane dotyczące pięciu najważniejszych obszarów (Warszawa, Kraków, Łódź, Lublin i Katowice).

Ważnym elementem projektu jest Internetowa Czytelnia Podziemnej Prasy, która obecnie obejmuje skany wszystkich zachowanych numerów prasy centralnej NN, ROPCiO oraz KPN („U Progu”, „Opinia”, „Droga”, „Gazeta Polska”) oraz skany części numerów jednego pisma regionalnego ROPCiO – KPN (chodzi o „Opinię Krakowską”).

Na wortalu znajduje się także bibliografia dot. KPN oraz relacje z pierwszych pięciu „kadrówek” (Marszów Szlakiem I Kompanii Kadrowej organizowanych w czasach powojennych nieprzerwanie od 1981 roku).

W ramach III etapu projektu „Archiwum Niepodległości – KPN” realizowanego w roku 2016 planowane jest opracowanie tych brakujących elementów, dotyczących historii KPN, co do których jest to możliwe, biorąc pod uwagę aktualny stan badań historycznych.

W zakładce „Historia KPN” planuje się opublikowanie syntetycznej historii kolejnych obszarów: VIII (Toruń), X (Rzeszów), XI (Szczecin) i XII (Białystok), co do których istnieją przynajmniej fragmentaryczne opracowania naukowe. Podobnie jak w przypadku historii opracowanych już obszarów zachowany zostanie podział na pięć okresów: Przed Sierpniem, Karnawał Solidarności, Stan wojenny, Bezdech oraz Transformacja ustrojowa. Ten jednolity schemat pozwala na lepsze porównanie poszczególnych ośrodków, dostrzeżenie pewnych podobieństw, charakterystycznych dla danego okresu, czy też różnic specyficznych. Przykładowo – nie wszystkie ośrodki KPN mogą wykazać się aktywną działalnością przed Sierpniem czy też w okresie stanu wojennego. Z kolei w większości ośrodków wzrost liczby KPN w okresie Karnawału Solidarności wiązał się z działalnością Komitetów Obrony Więzionych za Przekonania.

W tym samym zakresie planuje się uzupełnienie zakładki „Encyklopedia KPN”, gdy idzie o syntetyczne hasła dotyczące działaczy, pism oraz organizacji i środowisk z tych obszarów.

W zakładce „Historia KPN” wprowadzona zostanie także nowa pozycja, dotycząca historii KPN jako całości (czyli historia działań podejmowane przez kierownictwo tej organizacji) a w zakładce „Encyklopedia KPN” wprowadzone zostaną hasła dotyczące pism centralnych, organizacji ogólnopolskich oraz nestorów nurtu niepodległościowego (z którego wyrosła Konfederacja Polski Niepodległej). Nie jest natomiast obecnie możliwe opracowanie historii trzech obszarów: VI (Poznań), VII (Wrocław), IX (Gdańsk) oraz opis działalności przedstawicielstw KPN za granicą z uwagi na brak opracowań na ten temat.

W zakładce „Wspomnienia” przeprowadzenie, spisanie, opracowanie i zredagowanie wywiadów i relacji kolejnych świadków historii.

W zakładce „Czytelnia bibuły” planuje się opublikowanie skanów kilkunastu numerów prasy podziemnej, głównie z obszaru warszawskiego oraz skany wybranych dokumentów i fotografii dotyczących działalności Konfederacji Polski Niepodległej.

* * *

Odczuwany jest cały czas brak wiarygodnych opracowań syntetycznych dotyczących najnowszej opozycji niepodległościowej, tej z końca lat 70. i z lat 80. Opracowana w ramach „Internetowego Archiwum KPN” „Encyklopedia KPN” oraz „Historia KPN” wychodzi na przeciw tym oczekiwaniom. W oparciu o dostępne źródła historyczne chcemy opracować i udostępnić kompendium wiedzy na temat osób, środowisk, organizacji, pism i inicjatyw z kręgu Konfederacji Polski Niepodległej.

Prasa podziemna oraz relacje świadków historii są ważnym źródłem wiedzy historycznej, które jest stosunkowo rzadko wykorzystywane w pracy historyków. „Bibuła” jest także mało znana współczesnej młodzieży, zainteresowanej historią lat 80. ub. wieku. Jednym z powodów tego stanu rzeczy jest trudna dostępność egzemplarzy prasy podziemnej a także brak opracowań, które pozwalałyby badaczom czy pasjonatom historii na zorientowanie się w tematyce poszczególnych tytułów i numerów. Bardzo wolno idzie także zbieranie, opracowywanie i udostępnianie tekstów wspomnień świadków ważnych wydarzeń historycznych. Aby ułatwić zadanie historykom oraz upowszechnić wśród młodego pokolenia wiedzę o działaniach niepodległościowych podejmowanych

w latach 80. XX wieku chcemy udostępnić w Internecie większą część prasy podziemnej KPN oraz spisane relacje i wywiady z działaczami tamtych lat.

Beneficjentami naszego pomysłu są dwie kategorie osób. Jedną stanowią naukowcy – badacze najnowszej historii Polski, którzy dzięki wortalowi uzyskają łatwy dostęp do bazy wiedzy na temat działalności Konfederacji Polski Niepodległej w różnych częściach kraju. Będzie to ułatwiało zarówno badania regionalne, poświęcone najnowszej historii Polski, których częścią jest działalność KPN w poszczególnych ośrodkach, jak i prace monograficzne poświęcone historii KPN lub też wybranym zagadnieniom z najnowszej historii Polski (np. walki uliczne w określonym czasie, procesy polityczne w PRL, myśl polityczna opozycji antysystemowej itp.). Dostępność przez Internet materiałów archiwalnych jest standardem nie tylko na Zachodzie, ale także w byłych państwach komunistycznych. Ułatwia prowadzenie badań oraz popularyzację wiedzy. Druga kategoria beneficjentów to bardzo szeroki krąg odbiorców, przede wszystkim ludzie młodzi, zainteresowani najnowszą historią, dla których przystępnie opracowane materiały, zwłaszcza wspomnienia, fragmenty książek relacje i wywiady z działaczami tamtych lat będą z pewnością atrakcyjne. Projekty realizowane „w realu” są być może bardziej atrakcyjne, niż strony internetowe, mają jednak ograniczony zasięg z uwagi na swoją jednorazowość a także umożliwiają jedynie powierzchowne zapoznanie się z daną problematyką. Strona internetowa ma tę wyższość nad „realnymi” projektami, że umożliwia trwały dostęp do pogłębionej wiedzy historycznej.

Celem projektu jest promowanie postawy patriotycznej i wzorców obywatelskich przez upowszechnienie wiedzy o jednym z nurtów opozycji antysystemowej w PRL; propagowanie polskich tradycji walki o niepodległość metodami pokojowymi – bez użycia przemocy (non violence). Postawy te mogą i powinny dziś stanowić cenne źródło wartości, wzorców i odniesień. Projekt służy upamiętnieniu zapomnianych czy niedocenianych środowisk lub konkretnych osób, nie tylko tych z głównych ośrodków opozycyjnych, ale także takich, które działały poza wielkimi ośrodkami, ale odgrywały ważną rolę na swoim terenie. W ten sposób projekt przywraca pamięci społecznej takie osoby i środowiska, a także pokazuje rolę, jaką w polskiej historii odgrywały różne ośrodki regionalne. Realizując te cele projekt promuje polskie tradycje naro-

dowe, państwowe, wolnościowe i demokratyczne, będące istotnym elementem naszej tożsamości. Ważnym elementem tych tradycji jest działalność opozycji antysystemowej w PRL. Popularyzacja wiedzy dotyczącej realiów działalności opozycyjnej przed rokiem 1989 służy promowaniu postaw patriotycznych i budowaniu świadomych własnej tożsamości obywateli, uczy szacunku do patriotycznych tradycji i zachęca do współodpowiedzialności za narodowe dziedzictwo. Może także inspirować – zwłaszcza młodzież – do podejmowania bezinteresownej działań dla dobra wspólnego także wtedy, gdy nie przynosi to korzyści osobistych a nawet naraża na represje i niedogodności.

Prosimy też Państwa o wszelkie uwagi i pomysły. Piszcie na adres mirk33@interia.pl bądź ihoo@o2.pl.

Redakcja „Opinii”

ADAM STEFAN LEWANDOWSKI

MIŁE MIASTO

19 kwietnia 2016 roku minęła kolejna rocznica zdobycia Wilna

„Miasto – symbol naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi. Dynastia Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna potężnie niegdyś panowała. Wilno Stefana Batorego, co uniwersytet zakładał i mieczem nowe granice wybijał. Wielcy poeci i wieszczowie, co naród pieścili słowem i w czar zakuwanymi słowami życie narodowi dawali” – tak wspominał Wilno ten, który je znów w granice Państwa Polskiego wpisał i wielką kartę dziejów nam pozostawił.

Józef Piłsudski – bo o nim mowa – szczególnie umiłował sobie Wilno z kilku względów, a wymienię tylko dwa. Mianowicie w mieście tym uczył się i dorastał, zamieszkując w nim po niefortunnym pożarze majątku w Zułowie, w którym się urodził. Po równie niespodziewanym aresztowaniu i zesłaniu na Syberię, Ziuk (tak nazywali go najbliżsi) powrócił do Wilna, gdzie rozpoczął w 1893 roku pracę na rzecz odzyskania przez Polskę Niepodległości, w ramach powstającej właśnie Polskiej Partii Socjalistycznej.

Walka o restytucję Rzeczypospolitej przybierała różne formy i odbywała się swoistymi etapami, które – poprzez Związek Strzelecki, I Kompanię Kadrową, Legiony – zakończyły się dopiero w marcu 1921 roku podpisaniem traktatu w Rydze, kończącym wojnę z ZSRS. Podczas tzw. wojny polsko-bolszewickiej Wilno zmieniało gospodarzy niejednokrotnie. Na początku stycznia 1919 roku Wilno – po wycofaniu się wojsk niemieckich – znalazło się w pol-

skich rękach. W połowie miesiąca ochotnicze jednostki polskie nie wytrzymały naporu sił bolszewickich i opuściły miasto. Szczęśliwą datą było wyzwolenie miasta spod jarzma komunistycznego, czyli Wielkanoc roku 1919.

Rozkaz Naczelnego Wodza, który do tego doprowadził, został wydany 2 kwietnia 1919 roku. Wielu doświadczonych dowódców uznawało ten plan za szalony lub co najmniej nierealny. Józef Piłsudski postanowił jednak zdać się na swoich zaufanych i – jak się później okazało – skutecznych żołnierzy w postaci Edwarda Śmigłego – Rydza oraz Władysława Belinę – Prażmowskiego. Naczelnik Państwa nie zawiódł się!

16 kwietnia, po uprzedniej defiladzie, ruszyła ofensywa kierowana osobiście przez Piłsudskiego, z kawalerią mjr. Beliny-Prażmowskiego na czele. Następnego dnia po ciężkich walkach zajęto Lidę, a 18 kwietnia rozpoczęła się bitwa o Baranowicze, bronione przez żołnierzy chińskiego pochodzenia oraz rosyjskich marynarzy. Nadszedł w końcu przełomowy dzień 19 kwietnia, kiedy to oddziały „Beliny” weszły do Wilna i szybkim manewrem zdobyły dworzec kolejowy. Początkowo zaskoczone pułki sowieckie odskoczyły, ale po krótkim czasie zorganizowały się i przeszły do kontruderzenia. Polska kawaleria dzielnie odpierała ataki, a do pomocy włączyła się ludność cywilna, która początkowo zaopatrywała żołnierzy w żywność (podobno dzielono się nawet wielkanocnym jajkiem), a następnie sformowała ochotniczy, prawie dwutysięczny oddział. Nieocenioną rolę spełnili w walkach wileńscy kolejarze, którzy blokowali odwrót bolszewickich taborów, a polskiej piechocie pomogli dotrzeć do centrum miasta, tym samym przechylając szalę zwycięstwa na naszą stronę.

Walki w mieście zakończyły się 21 kwietnia. Dzień później Naczelnny Wódz wydał słynną odezwę do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, w której stwierdzał, że „...na tej ziemi, jakby przez Boga zapomnianej, musi zapanować swoboda (...) Wojsko polskie niesie wam wszystkim wolność i swobodę. Chcę dać wam możliwość rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami sobie tego życzyć będziecie (...)”.

Decyzja o tej „najśmielszej z naszych operacji wojennych”, jak podsumował bitwę Piłsudski, nie wzięła się wyłącznie z osobistego przywiązania Naczelnika do Wilna. Duży wpływ miała na to także sytuacja polityczna na wschodzie, gdzie ważyły się losy cywilizacji europejskiej. Przyszły Marszałek Polski chciał rozpocząć tym manewrem budowę wielkiej federacji narodów zniewolonych przez Rosję. Misja ta, pomimo wielu zwycięstw, niestety nie udała się i w nie-dalekiej przyszłości Europa doświadczyła tego konsekwencje.

5 maja 2016 roku w Bibliotece Publicznej im. Zygmunta Jana Rumla w Warszawie, podczas koncertu „Witaj Majowa Jutrzenko” zorganizowanego przez stowarzyszenie Pokolenia Niepokornych oraz Fundację Polonia Union, uczczono – obok świąt majowych – 97. rocznicę zdobycia Wilna przez wojsko polskie w kwietniu 1919 roku. Na początku spotkania odczytano list do organizatorów i uczestników, wystosowany przez p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jana Józefa Kasprzyka. Szef Urzędu wyraził w nim radość z faktu, iż przypomniano o wielkim sukcesie wojny polsko-bolszewickiej, jakim było zajęcie Wilna przez oddziały polskie dowodzone osobiście przez Józefa Piłsudskiego. Następnie przypomniano historię walk o niepodległość Polski oraz najważniejsze pieśni walce tej towarzyszące.

DR KAROL CHYLAK

KRYPTONIM „SYMPATYK”. KRÓTKA HISTORIA AKTYWNOŚCI DZIAŁACZA KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ WOJCIECHA SZOSTAKA

Funkcjonariusze łódzkiej Służby Bezpieczeństwa zainteresowali się Wojciechem Szostakiem wiosną 1978 roku. „Ostatnio – co zanotowano jako powód wszczęcia działań – zaczął on ulegać wpływowi B. Czumy i obecnie określając swoje stanowisko w rozmowie z osobowym źródłem informacji stwierdził, że nastąpił dogodny okres do podjęcia opozycyjnych działań politycznych”¹. Sprawie nadano kryptonim „Sympatyk”.

Wojciech Szostak pochodził z domu o długiej tradycji patriotycznej. Jego ojciec, Józef, miał za sobą służbę w Legionach Polskich, internowanie w Szczypiornie, po kryzysie przysięgowym w 1917 r., a później długoletnią służbę jako żołnierz polskiej kawalerii. W 1934 r. uzyskał stopień podpułkownika. W tym też roku gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski, w opinii o Józefie Szostaku, napisał: „urodzony dowódca, świetnie orientujący się w położeniu, o dużym doświadczeniu wojennym, poważnym zasobie wiedzy i nieposzrednim talencie taktycznym. W pracy sztabowej wzorowy. Doskonały instruktor i wychowawca”. W czasie okupacji był członkiem Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej. W 1943 r. awansowany na stopień pułkownika, a w końcu lipca 1944 r. został Szefem Operacji i I zastępcą Szefa Sztabu Komendy Głównej AK. W czasie powstania warszawskiego, po zranieniu gen. Tadeusza Pełczyńskiego, przez dwa dni wypełniał rolę Szefa Sztabu KG AK. Po upadku powstania znalazł się w niewoli w Oflagu Woldenberg (Dobiegniew). W czasach PRL represjonowany. W 1950 r. aresztowany, a później skazany na 6 lat pozbawienia wolności. Opuścił więzienie w 1955 r. i po kilku latach przeszedł

¹ AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 12.

na emeryturę². Rodzina mieszkała w Łodzi, przy ul. Patriotycznej, niedaleko Stawu Stefańskiego.

Znaczenie tradycji rodzinnej w życiu Wojciecha Szostaka było nie do przecenienia. To ona w dużej części torowała mu drogę, to ona też stawiała duże wyzwania, nie często stając się przyczyną niepowodzeń i zawodów. Zmaganie się z duchami przeszłości rodzinnej stanowiło, jak się wydaje, istotę jego krótkiej przygody z Konfederacją Polski Niepodległej. Ale po kolei.

Wojciech Szostak, urodzony 30 kwietnia 1950 r., kierowca w Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego im. P. Findera w Łodzi, w końcu marca 1978 r., zauważony został przez łódzką bezpiekę wśród uczestników Klubu Swobodnej Dyskusji ROPCiO. Takie spotkania odbywały się wówczas w mieszkaniu Benedykta Czumy. Jak tam się znalazł? Czy był tam po raz pierwszy? Trudno będzie odpowiedzieć z całą pewnością. Istotną pomocą mogą być związki jego ojca, wspomnianego Józefa Szostaka, z jednym z liderów ROPCiO – Leszkiem Moczulskim. Ten ostatni utrzymywał z pułkownikiem stały kontakt. Za każdym razem, kiedy przebywał w Łodzi, odwiedzał go w domu przy ul. Patriotycznej. Sprawa ta znana była łódzkiej bezpiece³. Czy to właśnie poprzez tę znajomość znalazł się wśród aktywistów ROPCiO? Wielce prawdopodobne.

Funkcjonariusze, zobligowani pozyskaniem informacji o aktywności W. Szostaka, a właściwie podporucznik Zdzisław Tomaszewski, opracował szczegółowy plan przedsięwzięć operacyjnych. Był to szereg czynności, które miały być zrealizowane w środowisku rodzinnym, w pracy oraz wśród byłych i ówczesnych kolegów W. Szostaka. Planowano założyć podsłuch telefoniczny, pozyskać osobowe źródła informacji oraz wykorzystać te, które mogły mieć znaczenie dla sprawy. Chodziło przede wszystkim o TW „Derek”, a więc Walentego Jacobsona⁴. Lista była długa ale, jak się wydaje, funkcjonariusze bezpieki mieli na początek bardziej przyglądać się rozwojowi sytuacji niż jakoś

² A. K. Kunert, *Słownik biograficzny konspiracji warszawskiej 1939-1944*, t. 2, Warszawa 1987, s. 175–177.

³ AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 12; L. Moczulski, *Być zwyciężonym – i nie ulec, to największe zwycięstwo*, [w:] *Łódzka KPN. Od PRL do Niepodległości*, red. K. Chylak, M. Michalik, Łódź 2012, s. 36.

⁴ AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 13–19.

aktywniej przeciwdziałać. Szczególnie interesowały ich związki figuranta z B. Czumą.

W końcu kwietnia 1978 r. W. Szostak po raz kolejny znalazł się wśród dyskutantów wspomnianego już klubu w mieszkaniu B. Czumy. Zebrała się tam spora grupa znanych działaczy opozycji, w tym m.in.: Andrzej Woźnicki, Karol Głogowski, Władysław Barański, Leszek Witkowski, Jacek Bartyzel, Marek Chwalewski, ks. Bohdan Papiernik. Wśród nich także, jak zanotował ppor. Z. Tomaszewski, sześć tajnych źródeł osobowych. Nie wydarzyło się na nim nic szczególnego. Większej aktywności nie przejawiał też W. Szostak. Tak zdarzenie ocenili funkcjonariusze⁵. Usilne poszukiwanie związków B. Czumy, a później też A. Woźnickiego z W. Szostakiem, nie przyniosło rezultatów. Figurant sprawy nie był też częstym uczestnikiem wspomnianych spotkań ROPCiO, a dodatkowo, jak oceniali funkcjonariusze bezpieki, „spotkania z A. Woźnickim [...] i z B. Czumą [...] są raczej przypadkowe i sporadyczne⁶.”

Wydawałoby się, że działalność łódzkiej bezpieki wobec figuranta winna była chylić się ku końcowi. Nic bardziej mylnego. W sprawie pojawiać się zaczęły nowe wątki. We wrześniu 1978 r. Łódzka bezpieka odnotowała, że „Sympatyk” nadal przewidywał rychłe niepokoje społeczne. Tym razem, swoimi przemyśleniami podzielił się w rozmowie z figurantem sprawy „Chemik” – Januszem Fatygą. Miał dowodzić, że kolejki przez sklepy powodują zdenerwowanie i są przyczyną narastającego niezadowolenia w społeczeństwie. Jeżeli taka sytuacja nie ulegnie to może doprowadzić do wydarzeń podobnych do tych, które miały miejsce w 1970 r. w Gdańsku lub w 1976 r. w Radomiu⁷.

W międzyczasie począł rozwijać się wątek związany z L. Moczulskim. Zrazu nie bezpośrednio. Funkcjonariusze pozyskali informację o wyraźnym zaktywizowaniu się W. Szostaka w związku z wizytą papieża Jana Pawła II w Polsce. Wydarzenie to środowiska opozycyjne interpretowały nie tylko jako akt religijny, ale przede wszystkim jako możliwość zmanifestowania swego istnienia. Łódzka bezpieka poczęła czynić starania, aby nie dopuścić jego do udziału w tych wydarzeniach. Sprawa była dość prosta, wystarczyło poinstruować dy-

⁵ Ibidem, k. 20–22.

⁶ AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 31.

⁷ Ibidem, k. 26.

rekcję firmy, aby nie wydała zgody na złożony przez niego wniosek urlopowy. Tak też się stało. „Sympatyk” nie podporządkował się temu. Uczynił to jednak na tyle nieudolnie, że popadł w poważne kłopoty. Stracił pracę. Pojawiły się też na tym tle problemy rodzinne. Pozyskał wszakże pomoc od Karol Głogowskiego, na niewiele się jednak ona zdała. Sprawa była z góry przegrana⁸.

Wydarzenia związane z wizytą papieża w Polsce rzucają też nieco światła na motywy jakie kierowały W. Szostakiem. Funkcjonariusze łódzkiej bezpieki podejrzewali, że zasadnicze źródło jego aktywności leżało poza nim, twierdzono bowiem, że to „ojciec figuranta jest motorem napędowym jego działalności”. Nie byli jednak pewni swego sądu, zwłaszcza, że Józef Szostak był już wówczas osobą mocno schorowaną i „z trudem nawiązującą kontakt z otoczeniem”. Z drugiej strony wpływ ten wcale nie musiał być bezpośredni. Być może to właśnie przeszłość ojca, jego udział w ruchu niepodległościowym mógł stanowić o postawie syna. Brano to pod uwagę. „Pewne znaczenie w tej sprawie może mieć fakt – zanotował Z. Tomaszewski – że Józef Szostak jest b. wyższym oficerem WP do 1939 r. i b. wyższym oficerem AK”⁹. Czyżby syn chciał podążyć drogą ojca? Trudno to z całą pewnością stwierdzić. Istnieją jednak pewne przesłanki potwierdzające postawioną tezę. Elementy swego rodzaju porównywania obu postaci niewątpliwie występowały¹⁰.

W tym czasie ujawniły się istotne związki W. Szostaka z L. Moczulskim. Oficer prowadzący sprawę, pozyskał informację o rozpowszechnianiu, przez W. Szostaka, w miejscu pracy, pisma „Droga”. Był to już znak bardzo wyrazisty. Więcej, czynności operacyjne przydały bezpiece wiedzy o już około dwuletniej aktywności W. Szostaka w kolportażu materiałów otrzymywanych od L. Moczulskiego. Zaniepokojenie wzbudził również fakt, że figurant wziął udział w akcji ulotkowej przeprowadzonej przez lokalną grupę w czasie wizyty papieża w Krakowie¹¹.

Współpraca W. Szostaka z L. Moczulskim stawała się z biegiem czasu coraz ściślejsza. Coraz więcej informacji na ten temat zbierała też łódzka bezpieka.

⁸ Ibidem, k. 29, 37, 48, 50,

⁹ Ibidem, k. 56.

¹⁰ *Relacja Janusza Fatygi*.

¹¹ AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 37, 50, 62.

Wiedziała o uczestnictwie figuranta w pochodzie zorganizowanym w Warszawie w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. Był to rok 1979. Miało w nim uczestniczyć początkowo od 2 do 3 tys. osób, w trakcie samego marszu, grupa powiększyła się „do 2–3 razy”¹².

Odnotowano też aktywność figuranta w tworzeniu nowej formacji politycznej. Wojciech Szostak po kilkudniowym okresie pobytu w Warszawie, wróciwszy, miał poinformować swoją żonę, że „wspólnie z L. Moczulskim powołali nową partię polityczną, pn. Konfederacja Polski Niepodległej. [...] Tzw. Konfederacja Polski Niepodległej skupić ma takie grupy: jak Ruch Młodych z Gdańska, Ruch Porozumienie polskich Socjalistów z Krakowa oraz niektóre odłamy o nastawieniu chadeckim i ludowym. Tym samym Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela miałby zostać przekształcony w ruch polityczny, tzw. Komitet Obrony Praw Politycznych”¹³. To kolejne światło rzucone na kulisy powstawania KPN¹⁴. Nieodgadnionym pozostaje jednak fakt, w jaki sposób bezpieka poznała treść tej rozmowy. Prywatnej, rozmowy małżonków.

Rozpoczęły się prace organizacyjne KPN w Łodzi. W domu Szostaków ulokowano tzw. punkt informacyjny. Najpoważniejszym zadaniem było zbudowanie choćby zrębu struktur. To właśnie Wojciechowi Szostakowi, przynajmniej w początkowej fazie, mogło zostać powierzono to zadanie. Nie wydaje się jednak, że myślano o nim w kategorii lidera. Równoległe pojawiło się kilka innych osób, które rozpoczęły działać aktywnie.

Po pierwsze była to Danuta Orłowska. Figurantka sprawy o kryptonimie „Apostolka”¹⁵. To do jej mieszkania przeniesiono punkt konsultacyjny. Podejmowane przez nią próby nie przyniosły jednak większych efektów. Więcej, w związku z intensywnymi działaniami funkcjonariuszy bezpieki, oznaczały dla inicjatywy L. Moczulskiego poważne szkody. Kontakty W. Szostaka z D. Orłowską szybko nabrały cech rywalizacji i wyraźnie się popsuły.¹⁶

¹² Ibidem, k. 60.

¹³ Ibidem, k. 66.

¹⁴ Zob.: A. Dudek, M. Gawlikowski, *Leszek Moczulski – Bez wahania*, Kraków 1993, s. 121, 132.

¹⁵ Zob.: K. Chylak, *Kryptonim „Apostolka”. Historia aktywistki Konfederacji polski Niepodległej bez happy endu*, „Opinia Nurtu Niepodległościowego”, 2015, nr 9, s. 42–52.

¹⁶ AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 68, 78.

Drugą osobą był Andrzej Ostoja-Owsiany. Nie wydaje się, żeby i on był przewidywany do roli lidera łódzkich struktur. Tym bardziej ich organizatora. Faktem jednak jest, że L. Moczulski znał A. Ostoja-Owsianego, a jego postawa wobec konfliktu przywódców ROPCiO wyraźnie ich obu zbliżała¹⁷. Wraz z zaangażowaniem tego łódzkiego pasjonata pilsudczyzny w działalność formacji, sprowadzono na nią nieoczekiwany, aczkolwiek poważny problem. Był nim Andrzej Mazur, a dla funkcjonariuszy bezpieki, TW „Wacław”. „A. Mazur, fig. sprawy operacyjnego rozpracowania krypt. „Twórca” – notował w listopadzie 1979 r. Z. Tomaszewski – w czasie odbytego spotkania przekazał na polecenie Leszka Moczulskiego kwotę 6 tys. zł Wojciechowi Szostakowi [...] A. Mazur i W. Szostak umówili się na kolejne spotkanie w dniu 13 bm., na którym zamierzają omówić sprawę rozdysponowania przez W. Szostaka otrzymanej kwoty pieniędzy. W czasie tego spotkania figuranci zamierzają omówić także sprawę planów W. Szostaka związanych z jego działalnością na rzecz KPN¹⁸”. W takim stanie rzeczy nikłe efekty organizacyjne w nowej formacji nie dziwią.

Kierownictwo w Warszawie nie było oczywiście z tego zadowolone. Nie miało też o W. Szostaku zbyt pozytywnej opinii. Tadeusz Stański, wedle informacji pozyskanych przez funkcjonariuszy bezpieki, miał twierdzić, że „figurant jest osobą mało inteligentną i obrotną, aby mógł w sposób zadowalający reprezentować interesy konfederacji na terenie Łodzi”¹⁹. Rozglądano się już za nowym, potencjalnie przyszłym liderem. Podjęto rozmowy z Władysławem Barańskim. Mimo jego początkowego zainteresowania, nie podjął się on zadania. Przyczyn było co najmniej kilka. Wśród nich mogła się znaleźć kłótnia do jakiej doszło między W. Barańskim a W. Szostakiem. Taką informację pozyskała łódzka bezpieka²⁰. Tło tego zdarzenia pozostaje jednak trudne do ustalenia.

W tym czasie, jako potencjalni organizatorzy, bądź też współpracownicy W. Szostaka, pojawiły się dwie nowe osoby: Wiesław Majka i Sławomir Owsiejczuk. Pierwszy, to działacz KPN z Pabianic, związany w tym czasie z or-

¹⁷ Ibidem, k. 71–74.

¹⁸ Ibidem, k. 80.

¹⁹ Ibidem, k. 93.

²⁰ W. Barański, *Z podziemia do opozycji*, [w:] *Niezależność kosztuje najwięcej*, red. L. Próchniak, S. M. Nowinowski, M. Filip, Łódź 2008, s. 18.

ganizacją krakowską. Wojciech Szostak próbował nawiązać z nim kontakt ale ostatecznie się nie udało²¹. Drugi zaś, był postrzegany jako potencjalny organizator mogący wesprzeć, lub jak chciał T. Stański, zastąpić mało rzutkiego W. Szostaka²². Także ten plan nie okazał się być skutecznym.

W tym czasie łódzka bezpieka notowała, że „W. Szostak zaczął się wycofywać z aktywnej działalności na rzecz tego ugrupowania [KPN – przyp. K. Ch.] i zamierza całkowicie zrezygnować z udziału w KPN”²³. To była informacja z końca stycznia 1980 r. W kolejnych miesiącach wielokrotnie jeszcze potwierdzana. Problemy rodzinne, zwłaszcza choroba ojca i żony oraz trudności w uzyskaniu pracy osłabiały zaangażowanie figuranta. Nie zerwał on kontaktu z L. Moczulskim ale miały one charakter przyjacielski, pozbawiony wątku politycznego. Wydawało się, że kariera polityczna W. Szostaka zakończyła się.

W tym czasie, tj. w końcu lipca 1980 r., funkcjonariusze łódzkiej bezpieki pozyskali też ciekawą informację. Otóż KPN miał sfinansować „zakup ziemi w pobliżu Łodzi i planował zorganizować tam gospodarstwo rolne, które poprowadziłby mający uprawnienia W. Szostak. Gospodarstwo to miało stać się bazą materialną dla wspomnianego ugrupowania”²⁴. Miejsce tegoż pozostawało jeszcze SB nieznane. Trudno ocenić prawdziwość tych wiadomości. Wydaje się, że jeśli już, to mogły być to jedynie plany. Konfederacja nie dysponowała odpowiednimi zasobami finansowymi. Z drugiej strony, przeciwko takim zamierzeniom wystąpiła żona W. Szostaka, która nie była skora przenieść się na wieś. Funkcjonariusze łódzkiej bezpieki nigdy już nie powrócili do tego wątku sprawy.

Sytuacja zmieniła się w sierpniu 1980 r. Narastająca fala strajkowa w końcu dotarła do Łodzi. Pracownicy poszczególnych zakładów podejmowali akcje strajkowe już w początkach sierpnia, jednak największe znaczenie odegrała akcja protestacyjna w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacji, która rozpoczęła

²¹ AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 97.

²² Ibidem, k. 89, 93.

²³ Ibidem, k. 84.

²⁴ Ibidem, k. 95.

się 26 sierpnia²⁵. Konfederacja Polski Niepodległej w Łodzi faktycznie nie istniała. Blisko roczne zabiegi nie przyniosły rezultatów. Jediną osobą pozostającą w kontakcie z centralą był W. Szostak. Funkcjonariusze bezpieki 2 września zanotowali, że figurant „w ostatnich dniach znacznie zaktywizował swoją działalność w związku z istniejącą sytuacją w kraju”²⁶.

Jak należy domniemywać, z inicjatywy Warszawy, podjął on próbę kontaktu ze strajkującymi pracownikami MPK. Nie była ona udana. Pomoc zaoferowana przez W. Szostaka została przez strajkujących odrzucona. Doskonale byli o tym poinformowani funkcjonariusze, którzy zanotowali: „figurant w dniu 30.08. br. nie został wpuszczony na teren MPK przez strajkujących, tłumaczono ten fakt tym, że nie jest on już pracownikiem tej instytucji”. Po latach, tę sytuację wspominał późniejszy lider łódzkich struktur KPN, Zbigniew Rybarkiewicz: „trafił na mnie. Przedstawił się, oznajmił, iż jest członkiem Konfederacji Polski Niepodległej i zaproponował w imieniu KPN pomoc w strajku. Grzecznie podziękowałem i w imieniu Komitetu Strajkowego odmówiłem”²⁷.

Równolegle pojawił się inny bodziec, który wzmógł aktywność W. Szostaka. Było to ponowne aresztowanie L. Moczulskiego. Figurant sprawy „Sympatyk” otrzymał zlecenie przygotowania akcji ulotkowej. Środki przywiózł kurier z centrali. W tym celu nawiązał kontakt z Józefem Śreniowskim, który zobowiązał się do pomocy zarówno w produkcji ulotek jak i ich rozkolportowaniu. Ostatecznie akcja nie udała się. Z wydrukowanych około 20 tys. szt., rozkolportowano jedynie 1 tys., wszystko odbyło się na terenie domu handlowego „Central”. „Na taki stan rzeczy – jak zanotował funkcjonariusz łódzkiej bezpieki – wpłynęły dwa elementy: pierwszy to ten, że w wyniku działań operacyjnych i osobowego zabezpieczenia miejsca kolportażu przejęto łącznie ok. 9 000 egz. ulotek, a drugi to fakt odstąpienia od tej akcji J. Śreniowskiego, który miał dysponować pozostałą ilością ulotek”²⁸. Łódzka bezpieka zauważyła

²⁵ L. Próchniak, *NSZZ „Solidarność” Region Ziemia Łódzka 1980-1990*, [w:] *NSZZ „Solidarność” 1980-1989*, t. 4, *Polska Zachodnia*, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 106-111.

²⁶ AIPN, Łd, sygn. 047/335, k. 102-103.

²⁷ Z. Rybarkiewicz, *Wspomnienia*, [w:] *Łódzka...*, s. 49.

²⁸ AIPN, Łd, sygn. 047/335, k. 109.

jeszcze jedną inicjatywę W. Szostaka. Chodziło o jego udział w rocznicowych obchodach odzyskania niepodległości. Odbłyły się one, co oczywiste 11 listopada, pod łódzką katedrą. Kolportowano ulotki i „wnoszono krzyki [...] nawołujące do uwolnienia Leszka Moczulskiego”²⁹.

W międzyczasie W. Szostak ponownie zatrudnił się w MPK. Pracował tam już w latach 1972–1976. Matecznik łódzkiej „Solidarności”, jakim było przedsiębiorstwo, wydawało się idealnym miejscem do wzmożenia działalności. Tymczasem, jak wynika z dokumentacji Służby Bezpieczeństwa „jego aktywność w działalności na rzecz KPN uległa ponownemu obniżeniu”. Z drugiej strony funkcjonariusze nie zamykali sprawy, mieli bowiem na uwadze fakt, że „w przeszłości notowano już tego typu zachowanie się figuranta, co nie przeszkodziło mu po okresie wyczekiwania, podejmować nowych wrogich działań”³⁰.

Przewidywania bezpieki szybko się sprawdziły. Po spotkaniu W. Szostaka z Marią Moczulską w Warszawie, „porzucił bierną postawę wobec środowiska antysocjalistycznego” i nawiązał kontakt ze Sławomirem Owsiejczukiem. Chłodne przyjęcie z jakim spotkał się w domu Moczulskich przyniosło więc pewne rezultaty. Pod koniec maja 1981 r. zorganizowano na terenie Uniwersytetu Łódzkiego spotkanie z żoną L. Moczulskiego. Według notatek Służby Bezpieczeństwa, obecnych na nim miało być około 500 osób. Chodziło o popularyzację formacji i wsparcie nie przynoszącego większych efektów procesu organizacyjnego KPN w Łodzi. Istotnym tego elementem była aktywność w obronie więzionego L. Moczulskiego i tworzenie Komitetów Obrony Więźniów za Przekonania³¹.

Z początkiem czerwca 1981 r. na krótko uwolniono L. Moczulskiego. Miesiąc, tyle bowiem przebywał na wolności, oznaczał wzmożenie aktywności KPN. Pod koniec czerwca zorganizowano na terenie łódzkiego MPK duże spotkanie z przywódcą Konfederacji. Funkcjonariusze zanotowali obecność około 500 osób. Wydarzenie to było kluczowe dla przełamania długotrwałego impasu organizacyjnego. Tego dnia, po południu, w domu Szostaków w poczet

²⁹ Ibidem, k. 111.

³⁰ Ibidem, k. 113.

³¹ Ibidem, k. 121; 123.

KPN przyjęci zostali Zbigniew Rybarkiewicz i Bożena Bińkowska. Działacze lokalnego KOWzP. Rozpoczął się nowy rozdział w życiu organizacji³²

Komitety Obrony Więźniów za Przekonania miały być niejako platformą społeczną dla partii. „Zamierzeniem L. Moczulskiego – notowali funkcjonariusze bezpieki – jest stworzenie struktury, opartej o zakłady pracy. Załącznikiem tego mają być zakładowe komitety obrony osób więzionych za przekonania. W odpowiednim momencie mogłyby się one przeistoczyć w komórki KPN”³³. W Łodzi taka droga okazała się skuteczna. W kolejnych tygodniach zaobserwowano wyraźne zmiany personalne. Jako aktywiści pojawiać się poczęli nowi ludzie, najczęściej dotychczas nie znajdujący się pod lupą łódzkiej bezpieki. Oprócz wspomnianych wcześniej Z. Rybarkiewicza i B. Bińkowskiej, należeli do nich Ryszard Kostrzewa, Zbigniew Kubiak, Marek Więckiewicz, Ryszard Urbański. Coraz częściej pojawiało się też nazwisko działacza związkowego o ugruntowanej już wówczas pozycji – Janusza Fatygi. Tego ostatniego łódzka bezpieka oceniała jako „duchowego przywódcę tego grona ludzi [KOWzP – przyp. K.Ch.], jednocześnie [...] inicjatora tworzenia komórek KPN w poszczególnych zakładach na terenie Łodzi w formie tzw. „piątek”³⁴.

Rola W. Szostaka malała z każdym dniem. Nigdy zresztą nie była zbyt duża. W tym czasie zdecydowany był już na emigrację. Wziął jeszcze udział w przygotowaniach do tzw. marszu gwiazdzistego. W działalności KOWzP nie był aktywny. Utrzymywał wszakże kontakty z Warszawą ale ich treść trudna jest do oceny. Łódzka bezpieka nie zanotowała nic szczególnie istotnego³⁵.

Dzień po wprowadzeniu stanu wojennego W. Szostak został aresztowany, a następnie umieszczony w ośrodku odosobnienia w Łęczycy. Po tygodniu został zwolniony. Wcześniej złożył prośbę o uchylenie internowania z powodu trudnej sytuacji rodzinnej. Następnie podpisał oświadczenie o zaniechaniu wrogiej działalności. Uznano to za wystarczający powód do zamknięcia sprawy.

³² AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 125.; Z. Rybarkiewicz, op. cit., s. 54.

³³ AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 127. Por.: *L. Moczulski w Łodzi*, s. 7 (stenogram nieautoryzowany wystąpienia L. Moczulskiego i R. Szeremietiewa w Łodzi 25 VI 1981 r.), Zbiory Biblioteki Narodowej w Warszawie.

³⁴ AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 129, 131, 133, 148.

³⁵ Ibidem, k. 135; Z. Rybarkiewicz, op. cit., s. 55.

„W związku z tym kończymy sprawę indeksem zaniechania wrogiej działalności. Przez pewien okres W. Szostak będzie kontrolowany w ramach sprawy „Ekipa”³⁶. Na tym kończy się sprawa Wojciecha Szostaka nazwana kryptonimem „Sympatyk”. Wkrótce pojawi się nowa odsłona – TW ps. „Piotrowski”³⁷. Ale to już całkowicie nowa historia.

Rola Wojciecha Szostaka w łódzkiej KPN nie okazała się zbyt znacząca. Taki obraz wyłania się z dokumentacji zgromadzonej przez funkcjonariuszy łódzkiej bezpieki. Podejmowane próby aktywności, wyraźnie inicjowane to przez ojca, to przez warszawską centralę, nie wydały też trwałych owoców. Trudno doszukać się większej determinacji w poczynaniach figuranta sprawy „Sympatyk”. Wojciech Szostak, jak się wydaje, wolał być zwykłym obywatelem. Miał do tego prawo.

³⁶ AIPN, Ld, sygn. 047/335, k. 145.

³⁷ Ibidem, sygn. 0040/364.

ADAM STEFAN LEWANDOWSKI

JÓZEF PIŁSUDSKI
ZNÓW U STERÓW PAŃSTWA

90. rocznica przewrotu majowego – przyczyny i skutki

Bez większego echa minęła rocznica majowych walk w stolicy z 1926 roku. Z jednej strony nic dziwnego – naprzeciw siebie stanęli żołnierze odrodzonego Wojska Polskiego, bracia nierzadko ramię w ramię broniący w 1920 roku granic tworzącej się II Rzeczypospolitej. Dodatkowym hamulcem przy powracaniu do tamtych chwil mogą być narosłe kontrowersje wokół konfliktu oraz do dziś istniejący podział na „piłsudczyków”, „endeków” czy „ludowców”. Jednak z tych dramatycznych dni – jak z każdej karty naszych dziejów – powinno się wyciągnąć pewną dozę wniosków, która dotyczyć mogą każdego z nas.

Po dziś dzień historycy są podzieleni w ocenie dramatycznych chwil, których świadkami byli warszawiacy między 12 a 15 maja 1926 roku. Często-kroć wynika to z w/w podziałów światopoglądowych, a często – w przypadku współczesnych badaczy – ze złego doboru materiałów archiwalnych lub wcześniejszych opracowań na ten temat. Wiele z nich powstało w emocjach towarzyszących walkom między wojskami oddanymi Marszałkowi Józefa Piłsudskiemu a jednostkami wiernymi złożonej przysiędze Prezydentowi RP Stanisławowi Wojciechowskiemu. Część opracowań jest pochodną panującej w Polsce w latach 1945-1989 komunistycznej ideologii i nie przedstawia dużej wartości. Niestety, do dziś, i to z ust historyków z dużym bagażem doświadczenia, padają oskarżenia w stronę Marszałka o rozlanie bratniej krwi w imię dyktatury. Czy mają ku temu podstawy?

Preludium

Opisując przesilenie majowe z roku 1926 jesteśmy zobowiązani powrócić do zarania naszej niepodległości i przypomnienia chwil jej budowania. Konflikt między Komendantem I Brygady Legionów Polskich a oficerami wywodzącymi się z armii zaborczych (głównie C.K. Armii) narastał już na początku I wojny światowej. Kulminacją był właśnie spór o władzę 12 lat później, ale zasadnicze preludium maja 1926 roku musimy znaleźć w latach 1919–1923.

W nocy z 4 na 5 stycznia 1919 roku, przy zarysowującej się wojnie polsko-bolszewickiej, rozpoczął się pierwszy w polskiej historii XX w. zamach stanu. Na jego czele stali płk. Marian Januszajtis i ks. Eustachy Sapieha, który był inicjatorem puczu. W początkowej fazie Januszajtis zajął komendę miasta na pl. Saskim, po czym zamachowcy zaaresztowali premiera Moraczewskiego i ministra Wasilewskiego, po czym skierowali się na Belweder, skąd budową państwowości kierował J. Piłsudski. Jednak tam napotkali już na skuteczny opór i zostali rozbrojeni. Wobec zamachowców nie wyciągnięto żadnych konsekwencji karnych – jedynie odsunięto ich od sprawowanych dotychczas funkcji. Impulsem dokonania zmiany władzy było rzekome złamanie obietnicy złożonej przez Naczelnika Państwa o utworzeniu Rządu Jedności Narodowej. Piłsudski rok wcześniej wrócił z Niemiec, w których duże wpływy miały siły komunistyczne i rozpoczynała się właśnie rewolucja. Wiedział co się dzieje w Europie i chciał tego uniknąć w Polsce, która musiała się szykować do obrony granic wschodnich. Postawił na rząd lewicowy i dzięki temu w kraju panował względny spokój, który pozwolił na skoncentrowanie się na walce z Rosją. Przebieg zamachu endeków przeszedł do historii jako „(...) szopka, nie zamach”. Oskarżając Piłsudskiego o wszczęcie bratobójczych walk, należy pamiętać o tej kilkugodzinnej próbie zamachu, która mogła skończyć się równie dramatycznie, gdyby nie sprawność działania podkomendnych Naczelnika.

Momentem, który na pewno wpłynął na pogląd Marszałka Piłsudskiego w sprawach politycznych w kraju, było morderstwo pierwszego Prezydenta RP Gabriela Narutowicza w 1922 roku. Od momentu zaprzysiężenia, które nie odbyło się bez występków i inwektyw ze strony sił mu przeciwnych, urzędował

zaledwie dwa dni. Podczas otwierania wystawy w warszawskiej galerii sztuki Zachęta został śmiertelnie postrzelony przez Eligiusza Niewiadomskiego, który wyraźnie sympatyzował z endecją. Morderstwo poprzedziła niespotykana wcześniej nagonka serwowana przez prasę związaną z prawicą.

Sprawy zagraniczne

Już w kwietniu 1922 roku, podczas konferencji w Genui, gdzie ustalano relacje między Ententą a Rosją, w Rapallo zostało zawarte porozumienie między Niemcami a ZSRS. Zaniepokoiło ono wszystkie ugrupowania w Polsce. Stosunku dwóch największych i najgroźniejszych sąsiadów II RP ulegają poprawie, co wyraźnie zagraża Polakom.

Dodatkowym powodem do niepokoju stał się układ z Locarno, podpisany w październiku 1925 roku. Gwarantował on status quo granic zachodnich Niemiec – wschodnie pozostawały sprawą otwartą. Było to ostentacyjne zezwolenie na swobodną politykę Niemców wobec Polski. Przy tej okazji Niemcy znów zbliżyły się z Rosją, podpisując pakt o przyjaźni i neutralności w kwietniu 1926 roku. Nastąpiła groźba rewizji granic z obu stron państwa polskiego.

Sprawy wewnętrzne

Rok 1923, w którym Piłsudski nie pełnił już żadnej funkcji politycznej, przyniósł spór wokół projektów najwyższych władz wojskowych. Jedyne stanowiska, jakie piastował Marszałek po osadzeniu się w „Milusinie” (Sulejówku), były związane właśnie z armią. Pełnił rolę kanclerza Kapituły Orderu Virtuti Militari oraz przewodniczył, jako szef sztabu, posiedzeniom Ścisłej Rady Wojennej. Ugrupowania sprawujące wówczas władzę w Polsce wszelkimi środkami starały się odsunąć Marszałka od wszelkich spraw dotyczących wojska. Planowali zrealizować ten cel poprzez uzależnienie dla własnych spraw potencjalnego generała, przewidzianego na czas wojny na naczelnego wodza, kontroli ministra spraw wojskowych. W czerwcu 1923 roku koalicja Chjeno-Piasta (porozumienie Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej i Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast”) ograniczyła kompetencje Marszałka na stanowisku przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej, który do tej pory był niezależnym od czynników rządowych. Na początku lipca Piłsudski, zirytowa-

ny brakiem jakiejkolwiek konsultacji z nim w tej sprawie, ostateczne zrzeka się funkcji przewodniczącego Rady.

Pod koniec 1923 roku w kraju narastała hiperinflacja, następowała powolna pauperyzacja społeczeństwa, które zaczęło walkę o swoje prawa na ulicach. Środowiska polityczne się radykalizowały. Na prawicy można było usłyszeć znów głosy o chęci zamachu stanu i wprowadzenia dyktatury. Takie postulaty wysuwała m.in. organizacja pod nazwą Pogotowie Patriotów Polskich. Jednak to robotnicy, 5 listopada, rozpoczęli strajk powszechny, który rząd postanowił stłumić siłą. Największe rozmiary protesty przyjęły w Krakowie, gdzie zginęło blisko 100 osób. Ofiary padały także w innych miastach. Po skutecznej reformie Władysława Grabskiego sytuacja gospodarcza nieco się poprawiła, ale w 1925 roku nadeszła kolejna fala kryzysu. W tym momencie środowiska piłsudczykowski i społeczeństwo zaczęli spoglądać z nadzieją w stronę Sulejówka.

Tuż przed burzą

Dodatkowym asumptem do podjęcia jakichkolwiek działań ze strony Marszałka była wizyta w „Milusinie” oficerów wywodzących się z Legionów lub po prostu identyfikujących się z piłsudczykami. Spotkanie odbyło się 15 listopada 1925 roku, dwa dni po ustąpieniu rządu Władysława Grabskiego. Oficjalnie miały być to odwiedziny w 7-dną rocznicę powrotu Komendanta z Magdeburga, ale tak naprawdę był to wyraz zachęty Wodza do zmiany statusu z biernego obserwatora życia politycznego na aktywny. To wówczas padły znamienne słowa gen. Gustawa Orlicz-Dreszera: „Niesiemy Ci prócz wdzięcznych serc i pewne, w zwycięstwach zaprawione szable!”. Demonstracja 12 generałów i wielu wyższych oficerów wskazywała na bardzo duże zaplecze i poparcie w armii. Marszałek ostudził zapał żołnierzy i wystosował do Prezydenta Wojciechowskiego oświadczenie, w którym ostrzegł go przed lekceważeniem „interesów moralnych armii polskiej” przy doborze nowego gabinetu.

Można powiedzieć, że apel ten odniósł pewien skutek, ponieważ w nowym rządzie Aleksandra Skrzyńskiego tekę ministra spraw wojskowych objął gen. Lucjan Żeligowski. Był to swego rodzaju gest w stronę Sulejówka, który piłsudzczycy odebrali z drobną nadzieją na zmiany. Jednak w rządzie Skrzyńskie-

go zaczęły rodzić się konflikty, w PKP rozpoczęły się duże zwolnienia (blisko 20 tys. zwolnień), poprawy gospodarczej nie odczuwano, w Polsce było około 400 tys. bezrobotnych. 5 maja gabinet musiał ustąpić. Pięć dni później, 10 maja, powstał rząd na wzór tego sprzed trzech lat – na czele stanął znów Wincenty Witos. Tego samego dnia gen. Żeligowski rozkazał zgromadzić specjalnie dobrane oddziały na poligonie w Rembertowie. Nazajutrz krążyły pogłoski o ostrzelaniu willi Marszałka, a 12 maja minister spraw wojskowych oddał wojska w Rembertowie pod dowództwo Piłsudskiego pod pozorem przeprowadzenia tam manewrów.

Czas przesilenia

„Mówią, że Piłsudski ma za sobą wojsko, jeśli tak, to niech bierze władzę siłą (...), jeśli Piłsudski nie zrobi tego, to zdaje się, nie ma jednak tych sił za sobą” – ten prowokacyjny cytat premiera Witosza zamieścił „Nowy Kurier Polski” 9 maja 1926 roku. Marszałek odpowiedział wywiadem w „Kurierze Porannym”, ale ten został skonfiskowany, co oburzyło opinie publiczną i kryzys zaczął nabrzmiewać.

Z samego rana, 12 maja, Piłsudski udał się do Prezydenta Wojciechowskiego, aby interweniować i ratować sytuację w kraju – Belweder był jednak zamknięty. Być może było to celowe zagranie, być może przypadkowe, ale Marszałek nie mógł dłużej czekać – w Polsce wrzało, a zagrożenie zewnętrzne stało się coraz realniejsze. Jednostki w Rembertowie otrzymały rozkaz marszu na Warszawę w celu zaplanowanej demonstracji. Około godziny 15:00 wojska wierne Piłsudskiemu zajęły już Pragę, co wywołało widoczną panikę w rządzie Witosza, który postanowił ogłosić stan wojenny. Dowódca obrony Warszawy gen. Tadeusz Rozwadowski zablokował mosty i wydał rozkaz otwarcia ognia do każdego, kto odważy się je przekroczyć.

Około godz. 17:00 na moście Poniatowskiego doszło do słynnego spotkania i rozmowy Piłsudskiego z Wojciechowskim, której treść do dziś nie jest znana. Wiemy jednak, że nie przyniosła żadnego rozwiązania konfliktu. Wsiadając do samochodu Prezydent zwrócił się do podchorążych, którzy pilnowali przejścia na lewą stronę Wisły, słowami: „Żołnierze, spełnijcie swój obowiązek!”. Marszałek zapytał ich dowódcę, mjr. Mariana Porwita, czy go przepusz-

czą – odpowiedź była negatywna. Obie strony wiedziały, że konflikt właśnie się rozpoczyna.

Nie wiadomo, kto pierwszy oddał strzał i wydał rozkaz do ataku, jednak wszystko zaczęło się na moście Kierbedzia. Wojska wierne Piłsudskiemu szybko przemieszczały się w kierunku pl. Saskiego, zdobywając Komendę Miasta. Jednostki Marszałka sprawnie zyskały inicjatywę i posuwały się naprzód. Piłsudski widząc, że każda godzina walk przynosi ofiary, usiłował zapobiec dalszemu rozlewowi krwi i chciał podjąć mediację. Próba negocjacji nie udała się i następnego dnia walki rozpoczęły się na nowo.

Dowodzący obroną stolicy gen. Rozwadowski wydał dramatyczny i – moim zdaniem – zbrodniczy rozkaz płk. Izydorowi Modelskiemu o następującej treści: „(...) natrzeć bezwzględnie na tyły buntowników (...) i starać się dostać w swe ręce przywódców ruchu, nie oszczędzając ich życia (...)”. Dodatkowo wydano pozwolenie na bombardowanie lotnicze pozycji przeciwnika bez względu na okoliczności, co zaowocowało licznymi ofiarami wśród ludności cywilnej. Być może rozkazy te były wynikiem irytacji wynikłej z położenia jednostek rządowych, które ulegały pod naporem wojsk piłsudczykowskich. Te zmusiły rząd do wycofania się przez Belweder do Wilanowa. Kapitulacja władz nastąpiła 15 maja.

Skutki

Po długich naradach Prezydent Wojciechowski postanowił złożyć rezygnację z urzędu na ręce Macieja Rataja. Ten, po rozmowach z Piłsudskim, zlecił tworzenie nowego rządu Kazimierzowi Bartłowi, uznawanemu za polityka umiarkowanego. Piłsudski, konsultując się z Ratajem, pokazał, że szanuje konstytucyjne prawa marszałka Sejmu. Mógł przecież bez większych przeszkód stać się wówczas dyktatorem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Walki w Warszawie zapisały się w naszej historii jako przewrót majowy. Straciło w nich życie 379 osób, w tym 164 cywili, którzy w większości popierali Marszałka i zginęli podczas kibicowania jego wojskom – po prostu wychodzili na ulicę lub chowali się po bramach, aby obserwować jak wojska z Rembertowa szły na Belweder. Pogrzeb oraz Mszę w intencji poległych odprawiono w kościele garnizonowym przy ul. Długiej. Część osób pochowano na Cmen-

tarzu Wojskowym (niestety nie wszystkie mogły przetrwały komunistyczną zawieruchę).

Po walkach Józef Piłsudski wydał 22 maja specjalny rozkaz do żołnierzy, gdzie zaznaczył: „(...) W jedną ziemię wsiąkła krew nasza, ziemię jednym i drugim jednakowo drogą, przez obie strony jednakowo umiłowaną. Niechaj krew ta gorąca, najcenniejsza w Polsce krew żołnierza, pod stopami naszymi będzie nowym posiewem braterstwa (...)”.

Po wszystkim Prezydent Wojciechowski zwyczajnie udał się do Spały, a premier Witos do Wierchosławic, na swoje gospodarstwo. Bezpośrednio po walkach większość rządu przedmajowego nie odczuła konsekwencji przewrotu, oprócz niektórych generałów, którzy byli podejrzani o nadużycia w trakcie walk – Józef Małczewski, Tadeusz Rozwadowski czy Włodzimierz Zagórski.

Zmiana na scenie politycznej w Polsce została szybko zaakceptowana przez społeczeństwo i polityków. 31 maja 1926 roku Zgromadzenie Narodowe dokonało wyboru Piłsudskiego na prezydenta RP (którego to wyboru Marszałek nie przyjął), tym samym zalegalizowano ów przewrót.

Dla postronnych i potomnych

Ciekawą konstatację zaprezentował po latach Hrabia Carlo Sforza, włoski polityk i dyplomata – przeciwnik faszyzmu. O sytuacji w Polsce, dokładnie w 1932 roku powiedział: „Dyktatura Piłsudskiego jest najdziwniejszą dyktaturą, która istnieje w Europie. Wszystkie dyktatury zbudowane były na interesie pewnej klasy albo kasty, bądź też, jak to miało miejsce u Napoleona, na szalonej ambicji jednostki. Dyktatura Piłsudskiego wypływa jedynie z uczuciowego uwielbienia dla bohatera”.

Z kolei podczas walki o niepodległość w latach 80. XX wieku, w opozycyjnym tytule z 1981 „Węzeł. Niezależne Pismo Młodych”, M. Chmielecka. zaznaczyła: „Zamach, być może, był aktem samowoli, ale samowoli koniecznej”. Uznała też za pozytywne zaangażowanie po stronie Piłsudskiego wszelkich środków, przy pomocy których dokonano zmiany skorumpowanego rządu Wincentego Witosa. W tekście „Czy rozbierać legendy?” poddała ocenie moralnej zachowanie Marszałka, jednak usprawiedliwia go specyfiką gorącej, przedmajowej atmosfery. Szczegółowe analizy, pozwoliły postawić Chmielec-

kiej tezę: „Nikt jednak inny nie był w stanie, by w krytycznej dla kraju sytuacji rozprawić się z rozpasanym sejmowładztwem – karykaturą demokracji”.

W maju roku 2016 jednymi znanymi mi inicjatywami, które miałyby podjąć ten trudny dla nas temat, były przedsięwzięcia młodzieży akademickiej – stowarzyszenia Pokolenia Niepokornych oraz Niezależnego Zrzeszenia Studentów UW. Pierwsza z nich zorganizowała dwudniowe obchody 90 rocznicy przewrotu majowego – 14 maja odbył się spacer śladami walk, drugiego dnia złożono kwiaty przy tablicy upamiętniającej poległych żołnierzy w 1926 roku. Z kolei NZS zaprosił wszystkich chętnych do debaty na temat przesilania majowego. Wszystko jednak wskazuje na to, że różnice zdań w kwestii maja 1926 roku nadal są żywe – nawet wśród najmłodszych pokoleń Polaków.

KRZYSZTOF TURKOWSKI ROZMAWIA ZE ZBIGNIEWEM BŁĄŻYŃSKIM¹

Urodziłem się w województwie stanisławowskim, w powiecie Peczyniżyn, w Jabłonowie. Południowo-wschodnie kresy. Do gimnazjum, do piątej klasy włącznie, chodziłem w Przemyślu. Było to gimnazjum staroklasyczne. Maturę zdawałem w Kołomyi w gimnazjum humanistycznym. Kołomyja, na kresach – to miasto, w którym pociąg szedł przez sam środek rynku. Zawsze zatrzymywał się tam, bo żona maszynisty musiała kupować kurczaka.

Maturę zdawałem w 1932 roku i w tymże roku wyjechałem do Lwowa, gdzie na Uniwersytecie Jana Kazimierza studiowałem równolegle na dwóch wydziałach: prawo, gdzie zro-

biłem magisterium w 1936, a jednocześnie 3-letnie Studium Dyplomatyczno-Konsularne, które można było rozpocząć po 1-wszym roku prawa. Dyrektorem tego studium był prof. Walerian Ehrlich. Otrzymywało się tytuł magistra nauk dyplomatycznych i konsularnych. Po ukończeniu studiów zostałem asystentem profesora Ehrlicha, ale tylko przez kilka miesięcy ponieważ przyjęto mnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Cofnijmy się do okresu szkolnego. Co Pan zapamiętał z tego okresu?

– Parę elementów. W Przemyślu były dwa gimnazja. Jedno humanistyczne, a drugie staroklasyczne, gdzie nacisk był położony na naukę łaciny i greki, ponadto na naukę języka nowożytnego (w moim wypadku niemieckiego) i rozbudowane przedmioty humanistyczne – historia, geografia.

Gimnazjum kołomyjskie, było gimnazjum humanistycznym – bez

¹ Zbigniew Błaziński – ur. 8 stycznia 1914 w Jabłonowie k. Kołomyi, zm. 25 października 1996 w Londynie. Polski dziennikarz emigracyjny, w latach 50. przeprowadził dla Radia Wolna Europa rozmowy z Józefem Światłą, później pracownik i dyrektor sekcji polskiej BBC.

nauki greki, a łacina zaczynała się dopiero w 5 klasie gimnazjalnej. Kiedy zmieniłem szkołę to miałem za sobą już 5 lat łaciny. Obok nas w Kołomyi było duże gimnazjum ukraińskie, z wykładowym językiem ukraińskim. Oba gimnazja utrzymywały bardzo dobre stosunki koleżeńskie. Wspólnie uprawialiśmy sporty. Mówię to na marginesie popularnych obecnie poglądów o gnębieniu mniejszości w Polsce przedwojennej.

Zaczęto w moich latach gimnazjalnych w Kołomyi formować samorząd uczniowski. Zbieraliśmy się regularnie. Naszym zadaniem było utrzymywanie porządku w klasach, a więc (stanowiska prefektów klas) polegało to na nadzorowaniu punktualności, odpowiedniego zachowania. W zebraniach samorządu uczestniczyli wszyscy uczniowie wyłączając komitet i przewodniczącego, którym byłem przez dwa lata 1930-1931. Przewodniczący Komitetu uczestniczył w zebraniach nauczycielskich. Komitet negocjował z dyrekcją szkoły uczniowskie zażalenia i projekty imprez. W obu gimnazjach do których uczęszczałem krzewiła się prasa uczniowska. Po raz pierwszy w życiu zostałem wówczas redaktorem. Była to szkolna gazeta wydawa-

na raz w miesiącu pt. „Nasza niwa”. Pisali do niej młodzi ludzie od 5-tej klasy w górę, ale pisali także chłopcy znacznie młodsi. Pismo nadzorowała wyłącznie redakcja uczniowska. Tylko profesor-polonista czuwał nad poprawną polszczyzną. Nie przypominam sobie ani jednego wypadku cenzury. Wydawaliśmy to na powielaczku.

W naszej redakcji pracował także Henryk Holder, który w latach gierkowskich był szefem Kancelarii Cywilnej w randze ministra.

– Czy wtedy zaczął się Pan bardziej interesować problematyką społeczną?

– Tak, w ostatnich dwóch latach szkoły nie tylko wydawałem pismo, ale także prowadziłem gimnazjalny samorząd.

– W jakim kierunku szła wówczas pańska orientacja polityczna?

– Muszę powiedzieć, że zawsze byłem przeciwnikiem ekstremów. Zarówno po lewej, jak i po prawej stronie. Później w okresie uniwersyteckim byłem zdecydowanym przeciwnikiem Obozu Wielkiej Polski i tego co nazywałem „chłopców z mieczkami”. Mimo to jednym z moich najlepszych przyjaciół był jeden z nich, ale umiarkowany, filosemita i na pewno nie „aktywista”, Zbyszek Pazdro, syn

profesora prawa administracyjnego. Drugim moim najserdeczniejszym kolegą był Żyd z którym kolegowaliśmy się także tutaj w Londynie pracując razem w BBC – Ludwik Gottlieb. Zmarł niedawno w Londynie. A było to w latach nagonki antysemickiej zarówno we Lwowie, jak i w Wilnie.

– W czasie studiów był Pan jednym z członków „Myśli Mocarstwowej”.

– Była nas mała grupa początkowo na Uniwersytecie Krakowskim, a potem w Poznaniu i w Warszawie o stosunkowo prawicowych poglądach. Marzyło się nam nawiązanie do tradycji jagiellońskiej. Jednym z organizatorów grupy był daleki krewny marszałka Piłsudskiego – Rowmund Piłsudski, który niedawno zmarł w Londynie. Ponadto byli tam – bracia Pruszyńscy, trzej bracia Bocheńscy (Adolf, Aleksander i Innocenty Maria), trzech Łubieńskich, Badeni, Niemojewski i przede wszystkim Jerzy Giedroyc.

Protektorami naszej małej grupy byli: ówczesny wojewoda poznański Roger Raczyński, książę Janusz Radziwiłł i prezydent miasta Krakowa Kaplicki. Wydawaliśmy wówczas „Bunt Młodych”. W działalności „Myśli Mocarstwowej” brałem udział od po-

czątku lat trzydziestych do mojego wyjazdu z Krakowa do Wiednia.

– Jak potoczyły się Pana losy po studiach?

– W owych latach zachowanie policji (przynajmniej niektórych patroli) było bardzo poprawne. Kiedy bojówki młodych ludzi wyzywające Żydów, wybijające szyby, starali się ochronić ludność żydowską. Szok przeżyłem, kiedy przyszedłem na zajęcia uniwersyteckie po raz pierwszy. Okazało się, że uczelnia jest zamknięta, gdyż odbywa się wiec związany ze śmiercią studenta w Wilnie o którym mówiono, że był zamordowany przez Żydów. Po wiecu ruszył pochód na Politechnikę Warszawską. Skończyło się wybijaniem szyb w żydowskich sklepach, ale także biciem Żydów.

– A z którym z nurtów politycznych w czasie studiów Pan się identyfikował?

– Zawsze byłem przeciwny narodowej demokracji, m.in. ze względów o których mówiłem poprzednio. Przeciwny byłem socjalistom co dzisiaj bym nazwał/ kierunkiem liberalnym. byłem piłsudczykiem jakkolwiek nie mam do tego żadnych praw. Dla mnie Piłsudski był symbolem, legendą. Był kimś kto stworzył Polskę.

Nigdy nie należałem do Legionu Młodych, nie odpowiadali mi „pułkownicy” nie odpowiadało mi to ekstremistyczne odchylenie. Nie należałem do struktury.

– Czy w czasie studiów prowadził Pan aktywną działalność społeczną, polityczną, dziennikarską?

– W okresie uniwersyteckim nie prowadziłem działalności dziennikarskiej. Szczerze powiem, byłem młodym człowiekiem i używałem życia. A życie na Uniwersytecie Jana Kazimierza było interesujące intelektualnie, jak i ciekawe poza murami uczelni i to w każdej dziedzinie. Starłem się nie stracić tych lat które uważam z punktu widzenia przeżyć młodego człowieka za najbardziej interesujące w moim życiu. Najpiękniejsze. Oczywiście z punktu widzenia czysto osobistego.

Natomiast interesowałem się sprawami regionalnymi biorąc czynny udział w działalności Związku Pokucian. Zbieraliśmy się bardzo często na dyskusje, prowadziliśmy działalność odczytową. W szerszym kręgu przyjaciół dyskutowaliśmy na tematy międzynarodowe. Omawialiśmy przede wszystkim kwestie stosunku Francji i Anglii do Polski, stosunki polsko-niemieckie, polsko-sowieckie.

Wiele lat później tutaj w Anglii, kiedy już pracowałem w BBC zapoznawszy się dokładnie z historią i zwyczajami angielskimi zorientowałem się, że w tym samym czasie dyskutowaliśmy o tym samym co śmietanka intelektualna w Oxford i Cambridge. Uznawano w tych dyskusjach, że jedynym ratunkiem dla świata jest komunizm. Stąd zresztą była rekrutacja sowieckich agentów wśród tych elit.

Kiedy zestawiałem to z dyskusjami jakie myśmy mieli w tychże samych latach to muszę powiedzieć, że intelektualnie i politycznie byliśmy znacznie bardziej uświadomieni i zaawansowani, aniżeli ta śmietanka brytyjska. Patrzyliśmy dość trzeźwo co się dzieje za naszymi granicami – wschodnią i zachodnią.

– Czy w czasie studiów uniwersyteckich stykał się Pan z działalnością grup radykalnych?

– Na uniwersytecie, na bardzo wąskim odcinku. To nawet było niezauważalne. Lwów był na frontальной pozycji w stosunku do Związku Sowieckiego, stąd brak poparcia dla radykalnych, komunistycznych działaczy i mała ich liczba.

– Miał Pan szczęście studiować w okresie, gdy na lwowskim Wydziale Prawa był prof. Dąbkowski, wykła-

dowca starego prawa polskiego, prof. Walerian Ehrlich wykładający prawo polityczne i prawo narodów, prof. Makarewicz twórca jednolitego kodeksu karnego w Polsce? Był to poza Ehrlichem jedyny profesor na którego wykłady chodziłem wiernie. Był prof. Balzer, Pazdro – wykładowca prawa administracyjnego.

Spędziłem we Lwowie na studiach 4 lata. Wyjątkowe i niezapomniane miasto. Ludzie bezpośredni, normalni z niesłychanym poczuciem humoru, szalenie pomocni. Czułem się wśród nich tak jak u siebie w domu od początku. Spotkania, zebrania w Kasynie Artystyczno-Literackim na ul. Akademickiej, nie mówię o balach i zabawach. Spotkania, gdzie człowiek bawił się beztrudnie, gdzie jednocześnie tworzyła się jakaś głęboka więź między ludźmi. Pozostało to właściwie nierozdzielne. Ilekroć spotykam się po latach z ludźmi z którymi zetknąłem się tam, to odnajdujemy się tak jakbyśmy rozstali się wczoraj. Więź pozostała.

– Jednocześnie studiujecie Pan w Studium Dyplomatycznym?

– Magisterium z prawa i nauk dyplomatycznych uzyskałem w 1936 roku. Na prawie specjalizowałem się w prawie narodów, gdzie zostałem

asystentem u prof. Ehrlicha. Byłem tam jednakże tylko kilka miesięcy, gdyż przeszedłem do MSZ-u.

Natomiast na Studium specjalizowałem się w historii dyplomacji oraz w stosunkach międzynarodowo-gospodarczych. Przeszedłem do MSZ, gdzie w owym czasie była następująca praktyka. Przy rekrutacji selekcjonowano grupę pracowników, którą wysyłano z miejsca na placówki. Po roku, pracownicy wracali do centrali na roczny okres w czasie, którego przechodzili przez wszystkie działy i departamenty na końcu zdawali egzamin dyplomatyczny. Byłem w ostatniej tego rodzaju grupie w przedwojennym MSZ-cie. Było nas 22.

Przydzielono mnie do Konsulatu Generalnego w Morawskiej Ostrawie, po czym byłem w Poselstwie Polskim w Pradze, powróciłem do Konsulatu i potem zostałem odwołany do Warszawy z początkiem roku 1939. Do egzaminu jednak nie doszło, gdyż w sierpniu 39 r. każdy z nas przestał studiować i dostał przydział do odpowiedniego departamentu. Znalazłem się w Departamencie Prasowym do Wydziału Prasy Polskiej.

Chyba dwa wspomnienia z tego okresu. Pierwsze, że uczestniczyłem w tym co się nazywa zajęciem Za-

olzia. Uczestniczyłem bezpośrednio dlatego, że wówczas byłem nie tylko korespondentem PAT-u, ale także urzędnikiem konsularnym.

Był to zresztą mój pierwszy występ dziennikarski poważniejszego typu. Ale przede wszystkim uczestniczyłem w ten sposób, że wraz z konsulem generalnym, który akcję prowadził na Zaolziu, stykałem się z ludźmi zarówno na Śląsku Cieszyńskim, a więc w Karwinie i w Jabłonkowie, w Czeskim Cieszynie. Były to zaczątki polskiej solidarności. Z tym, że w owym czasie dostarczaliśmy broń ręczną tu i ówdzie organizacjom (grupom małym) na wszelki wypadek, celem przygotowania samoobrony.

– Problematyka ludności polskiej za Zaolziem wymagała wielkiej pracy ze strony konsulatu polskiego.

– Liczba ludności polskiej na tamtych terenach przekraczała 70% przy czym mogę powiedzieć tylko jedną rzecz, że z chwilą kiedy wojska polskie wkroczyły na Zaolzie, do Czeskiego Cieszyna i do Karwiny, czego byłem świadkiem, to widziałem jak ludzie klękali na ulicach i modlili się. Byli to zwykli prości ludzie – babki w chustach, robotnicy, górnicy, młodzież.

To nie dlatego, żeby były brutalne represje ze strony czeskiej, ale dlate-

go, że nie dostają się pod niemiecką okupację.

Nie wchodzę w to czy z punktu widzenia strategicznego, z punktu widzenia nadchodzącej wojny, pomogło nam to czy nie, ale chodziło po prostu o skorzystanie z momentu, kiedy ludność i część Polski można przyłączyć do macierzy. To była jedyna możliwość.

A oto inne wspomnienie. Kiedy już w Warszawie w lipcu 39 roku zostałem przydzielony do Wydziału Prasowego pamiętam, że zapowiedziany zjazd partii nazistowskiej w Norymberdze został odwołany. Było to m.in. bezpośrednią wskazówką, że zbliża się wojna. Moim zadaniem było telefonować do wszystkich redakcji, żeby tę wiadomość umieścić na czwartej, czy piątej stronie i to małym drukiem. Muszę przyznać, że wszystkie gazety opozycyjne podporządkowały się temu. Nie było z tym żadnego problemu, mimo, że dzwoniłem do nich o 11 w nocy.

– Chciałbym wrócić jeszcze do rozpadu państwa czechosłowackiego. Pan był obserwatorem tych dramatycznych wydarzeń?

– Powiedzmy sobie jedną rzecz – Czesi byli gotowi do stawienia zbrojnego oporu. Fortyfikacje czeskie na

granicy niemieckiej były bardzo nowoczesne i armia czeska była w stanie pogotowia. Natomiast druzgocące dla mnie wówczas było stanowisko mocarstw. Przede wszystkim Francji. Z drugiej strony zupełna pasywność Związku Sowieckiego. A przecież panowały w Czechach silne nastroje prorosyjskie. Pewne wpływy miała partia komunistyczna działająca w Czechosłowacji legalnie. W moim przekonaniu panowały tam najsilniejsze nastroje prosowieckie w tej części Europy. Dla zwolenników tej orientacji był to straszliwy cios. Wszak Moskwa zaakceptowała sytuację. Tak się złożyło, że widziałem Niemców wkraczających do Pragi, dokąd mnie wysłano wtedy na dwa dni z Warszawy. Widziałem także w telewizji sowieckie wojska wkraczające do Pragi w 1968 roku. Reakcja przeciętnych ludzi była identyczna.

– Skoro jesteście przy Czechosłowacji. Nasz MSZ prowadził działalność wspierającą słowackich irredyntystów. Czy Pan miał wtedy kontakt z tymi ludźmi?

– Ja nie. Wiedziałem natomiast o wspieraniu przez polski wywiad i przez władze Podkarpacia w czasie, gdy Węgry dążyły do wspólnej granicy z Polską. Po przydziale do Departa-

mentu Prasowego w roku 1939 moim bezpośrednim szefem w Wydziale Prasy Polskiej był Jan Bociański, brat wojewody wileńskiego i poznańskiego. Był zresztą także przed tym moim szefem w konsulacie generalnym w Morawskiej Ostrawie. Natomiast podlegaliśmy dyrektorowi Wydziału Prasowego MSZ-u, Wiktorowi Skiwskiemu. Chodziło o to jak kierować pewnymi wiadomościami w obliczu nadchodzącej wojny, czy nie lepiej czasem podawać pewne wiadomości z punktu widzenia interesu polskiego, niezadrażniania, nieprovokowania itd. Nie naciskaliśmy, raczej sugerowaliśmy, telefonowaliśmy. Spotykałem się zawsze z pozytywną reakcją. 31 sierpnia do 12-tej w nocy siedziałem w MSZ-cie, pojechałem taksówką do domu i o 3-ciej zbudzono mnie, abym powrócił do ministerstwa. Od tego czasu byłem cały czas w ministerstwie, aż do ewakuacji z Warszawy. Mnie zlecono przy ewakuacji, która zaczęła się 7 IX opiekę nad korespondentami zagranicznymi. Jechaliśmy specjalnym pociągiem MSZ-u wraz z dziennikarzami do Krzemieńca. Po drodze w pobliżu Brześcia zostaliśmy zbombardowani, na szczęście nieszkodliwie. W Krzemieńcu – trzy dni i przypomniałbym dwa wydarzenia.

Po raz pierwszy musiałem uciekać, gdy nadleciały samoloty i położyć się w przydrożnym rowie.

Becka, którego nie było w Krzemieńcu, zastępował wiceminister Szembek, zgłosił się do Szembeka sowiecki ambasador Szaronow, zapewniając o konieczności przejechania do Szepietówki, by nawiązać łączność ze swoim rządem i zorganizować pomoc medyczną i materiałową dla Polski. Wtedy Szembek powiedział w obecności kilku z nas – „to jest absolutny początek końca”.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych ewakuowano do Kut autobusem. Wraz z nami jechało kilku korespondentów prasy zagranicznej. Znalazłem się tam 16 września 1939 roku, zaś nad ranem 17 przyszła wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski. Dla mnie ostatnie wspomnienie Polski Niepodległej – to był most na Prucie, biało-czerwona flaga po polskiej stronie w Kutach. Jechałem za samochodami Becka i Szembeka, nie widziałem, że Śmigły-Rydz przejechał także.

Z Kut wprost do Czerniowec, gdzie przeżyłem szok. Dla młodego człowieka w którego także w ministerstwie wpajano kult mocarstwowej Polski był to szok wyjątkowy. Mijali-

śmy oddziały wojska. Szli ludzie zmęczeni, straceni, zagubieni. W konsulacie w Czerniowcach, w szerokiej bramie prowadzącej na podwórze, leżący ludzie, wojskowi, cywile, uciekinierzy. Widok wstrząsający. Przypuszczam, że nie tylko dla mnie. Przyjechaliśmy do Czerniowec,

Wierzyliśmy wówczas, że niedługo wrócimy do kraju, że mamy sojuszników, że z nami jest Francja. Trzeba było roku, dwóch, żeby się z tego wyleczyć. Wierzyliśmy głęboko, że zwyciężymy i dlatego trzeba jak najszybciej dobić do tworzącego się wojska. Nigdy nie miałem pretensji do mojego szefa, do Becka. Czułem natomiast rozczarowanie co do postawy Naczelnego Wodza, bo zostawił broniącą się Warszawę, a tego Wodzowi nie wolno robić.

Kiedy internowano mojego ministra w Braszowie byłem u niego dwukrotnie. Zawoził nas samochodem Ludwik Łubieński. Byłem tam wraz z Edwardem Borowskim.

Po wyjeździe ze Słanica spędziłem parę miesięcy w Bukareszcie tj. do stycznia 1940 r., kiedy wyjechałem do Francji do armii. Nasz kolega radca prawny ambasady Bronisław Sobański, zaangażował Edwarda Borowskiego i mnie do pracy. Robiliśmy

codzienny biuletyn dla ambasady i dla wszystkich Polaków w Bukareszcie.

Biuletyn wydawany codziennie oparty był na wiadomościach brytyjskich, relacjonował sytuację na froncie oraz Wiadomości. Robiliśmy to do stycznia 1940 r. Widziałem wówczas bardzo nieprzyjemną sytuację w naszej ambasadzie w Bukareszcie. Zjawił się tam jeden, jedyny raz – Beck. Minister stał w hallu i rozmawiał z radcą ambasady, a przechodził przez hall pierwszy sekretarz ambasady, spojrzał i zapytał: „a cóż ten pan tutaj robi?” Było to obrzydliwe.

Miano mi niesłuchanie za złe, że widziałem się z Beckiem w Braszowie. Odbiło się to w ten sposób, że gdy zgłosiłem się do wojska miałem trudności z dostaniem się do służby. Do podchorążówki zostałem przyjęty dopiero w czerwcu 1940 roku. Już po kapitulacji Francji, kiedy myśmy jeszcze walczyli.

Wspomnienia z artylerii konnej w której służyłem we Francji mam jak najlepsze. Spotkałem emigrantów polskich z Francji, ale i moich kolegów z lwowskiego uniwersytetu. Spaliśmy na słomie w jakiejś oborze. Ja w Niepodległej Polsce nie byłem w podchorążówce i może uzna to Pan za śmieszne, ale ja zawsze rwałem się

do wojska. Tej służby w Polsce nie odbyłem. Zdaje mi się, że coś w życiu straciłem,

Mimo tego, że szkoliliśmy się na działach przestarzałych, mimo trudności to był jeden z najwspanialszych okresów mego życia.

– Jakie wrażenie na Panu zrobiły przygotowania Francji do wojny?

– Pod koniec maja i w pierwszej połowie czerwca 1940 roku, kiedy artyleria I Dywizji Grenadierów szła naprzód, na front, żeby osłaniać flanki wycofujących się Francuzów, we wioskach i miasteczkach widziało się tłumy żołnierzy francuskich rzucających karabiny i wołających „Koniec wojny!”. Patrzyli na nas ze zdumieniem, gdy maszerowaliśmy w rynsztunku bojowym na front.

– Czy czerwiec 1940 roku wywołał szok porównywalny z Wrześniem?

– W żadnym wypadku. Po pierwszych paru dniach zaczęliśmy się cofać. Potem zaś widok cieszących się na koniec wojny tłumów żołnierzy popijających wino – nie pozostawiało wątpliwości, że wojna jest przegrana. Kapitulacja Francji nie była dla nas niespodzianką.

Z chwilą, gdy skończyła się Francja – ja i moi bliscy koledzy wierzyliśmy, że nasza przyszłość jest w Anglii.

Chcieliśmy się tam dostać, a jednocześnie pomóc tym, którzy chcą się tam dostać.

– Jak to się stało, że Pan z jednostki frontowej znalazł się w strefie nieokupowanej?

– Była to jedna z najbardziej uroczych wycieczek jakie w życiu zrobiłem. Zostaliśmy otoczeni przez Niemców w Lotaryngii, wysadziliśmy w powietrze działa. Kupiliśmy w miasteczku cywilne ubrania, i siedmiu (mieliśmy kompas i mapy wojskowe) ruszyliśmy szczytami Wogezów na południe. Jeden z najpiękniejszych czerwców jakie pamiętam. Farmerzy w górach przyjmowali nas życzliwie, pod każdym względem, aż ostrzegali gdzie był Wehrmacht, który jeszcze nie opanował gór. Górą szliśmy 10 dni.

Wyszliśmy na szosę w rejonie Belford i dalej maszerowaliśmy dwójkami (trzech z nas mówiło świetnie po francusku) i uchodziliśmy za Francuzów wracających do domów na południe. Wyznaczaliśmy sobie postoje w kolejnych miasteczkach, w kawiarenkach. Dwukrotnie jechaliśmy zatrzymanymi samochodami – raz z niemieckim oficerem, a raz z niemieckimi żołnierzami. W końcu doszliśmy do Lyone. Najbardziej krytyczny moment to był przejazd pociągiem między strefami.

Był to pierwszy pociąg, który wówczas ruszył.

Dokumenty mieliśmy sfabrykowane przez nas samych i nagle pociąg zatrzymany został przed granicą obu stref. Oficer niemiecki chciał sprawdzić dokumenty. Otoczyła go gromada Francuzów i po prostu zakrzyczała. Wysłał motocyklistę do swego dowództwa, ale zanim posłaniec powrócił zakrzyczany oficer skapitulował i odprawił pociąg.

I w ten sposób znalazłem się w strefie bezpiecznej. Dzięki temu, że mieliśmy pieniądze wynajęliśmy w Lyonie samochód i dojechaliśmy do Marsylii, gdzie był polski konsulat i mogliśmy tam wystawić sobie odpowiednie dokumenty oraz zaświadczenia wojskowe, dzięki którym odebraliśmy od francuskich władz wojskowych należne nam pensje wojskowe. Natychmiast z Marsylii skontaktowaliśmy się ze Stanisławem Zabiełłą, który był w Vichy nieoficjalnym delegatem Rządu Polskiego z Londynu. Pod jego nadzorem zorganizowaliśmy akcję montowania wiz, zaświadczeń lekarskich. Zorganizowana przez Zabiełłę siatka rozciągała się na teren całej strefy nieokupowanej, gdzie było bardzo wielu Polaków. Sięgała także na Afrykę Północną.

W tym czasie Zabięto zdecydował, że powinniśmy (E. Borowski, E. Przesmycki i ja) wyjechać do Afryki Północnej.

Do tego momentu przygotowywałem paszporty, utrzymywałem kontakty z ambasadami (Brazylia, Urugwaju i Argentyny), gdzie oczywiście zdobywaliśmy wizy.

W tym czasie Portugalia gotowa była wydawać wizy przejazdowe pod warunkiem posiadania wizy docelowej bez względu na jak długo była ważna. Najbardziej pomocna była wiza brazylijska, a także argentyńskie. Bez trudności dawali wizy roczne. Na tej podstawie ludzie otrzymywali wizy portugalską i hiszpańską. Niestety nie zawsze wystarczało to w Hiszpanii, gdzie często mimo wydanej wizy nie przepuszczano ludzi. M.in. i mnie 3 razy nie przepuszczono przez Hiszpanię i zawrócono z zagranicy. Nie spotkałem się z koniecznością finansowego wspomaganie naszych prób.

– Przenosi się Pan do Algieru.

– Najpierw przeniosło się dwóch moich kolegów, a tam z polecenia Zabięty funkcjonował Emeryk Hutten-Czapski. Ja do nich dojechałem. Była to co prawda strefa wolna, ale funkcjonowała niemiecka Komisja

Rozjemcza. Kontrolowała ruch. To był 1941 r, chyba styczeń-luty.

Wyjechałem w następujący sposób. Przez pomocnego nam bardzo lekarza francuskiego dostałem zaświadczenie, że jestem nieuleczalnie chory. Ponadto w moim paszporcie dyplomatycznym podwyższono mi wiek. Chodziło o zabezpieczenie się przed Komisją Rozjemczą, przez którą musiały przechodzić dokumenty. Policja francuska, przynajmniej w Marsylii zachowywała się bardzo przyzwoicie.

W Algierze włączyłem się w prace placówki Emeryka Hutten-Czapskiego, który skierował mnie do Casablanki. Objąłem tam dawny polski konsulat, zwący się teraz biurem polskim.

– Na czym polegała pańska praca w Casablance?

– Miałem prawo wydawania dokumentów tożsamości, ale oczywiście nie paszportów. Działała komórka Polskiego Czerwonego Krzyża pomagająca niewielu przebywającym tam uchodźcom.

W biurze początkowo sekretarzystałem, a potem objąłem je jako dyrektor. Z tego okresu pozostały mi w pamięci jeszcze dwa wydarzenia.

Trzeba pamiętać, że nie było w Casablance brytyjskiego przedsta-

wicielstwa, natomiast istniał konsulat amerykański zatrudniający kilku Anglików (oczywiście wywiad). Poprzez nich i dzięki nim mogłem szyfrem angielskim wysyłać informacje i instrukcje.

Mówię o tym, gdyż poza normalną pracą polskiego biura miałem poważny problem do rozwiązania. Na pograniczu Sahary, między Algierią a Marokiem znajdowało się ok. 400 internowanych polskich oficerów i żołnierzy. Znaleźli się tam bezpośrednio po kapitulacji Francji, gdy przybyli do Północnej Afryki.

W samej Casablance działała tajna oczywiście placówka jednego z wydziałów polskiego sztabu generalnego. Byli to – mjr. Adam Wysoczański i jego pomocnik – kpt. Jan Roehr. Ich zadaniem była próba przyjscia z pomocą naszym żołnierzom. Cała akcja montowana przy pomocy policji francuskiej, bardzo nam życzliwej z którą byłem w kontakcie a także z pomocą gabinetu dyplomatycznego, którego szefem był Robert Dugardier, powojenny ambasador francuski.

Tenże gabinet prowadził politykę zagraniczną Maroka, jako oczywiście protektorat francuskiego. Dzięki ich pomocy i przy cichym współudziale niektórych czynników wojskowych

francuskich – udało się te obozy ewakuować. W jaki sposób? Przede wszystkim jako kierownik wydawałem dowody tożsamości. Ponadto trzeba było znaleźć zastępców kiedy będą znikać z obozów. To udało się załatwić przy pomocy Beduinów. Cała łączność z Gibraltarem (tak zmierzała ewakuacja) odbywała się szyfrem poprzez urzędników angielskich – i tę łączność prowadziłem. Wyznaczaliśmy miejsce i czas dla stateczku, który podpływał do wybrzeża marokańskiego, aby zabrać ludzi.

Uciekinierzy przybywali z pustyni pociągiem do Casablanki, skąd kierowaliśmy ich do „buzbiru” (to otoczona wysokim murem arabska dzielnica. W Casablance mieszkało wówczas ok. 3000 młodych kobiet u których przechowywaliśmy naszych żołnierzy przez kilka nocy). Stamtąd zabieraliśmy ich na statek do Gibraltaru.

Nasi żołnierze mieli tam znakomitą opiekę. Całą ewakuację przeprowadziliśmy w ciągu paru miesięcy w drugiej połowie 1941 roku. Po akcji oczywiście Wysoczański i jego pomocnik musieli uciekać z Maroka, gdyż w końcu Komisja Rozjemcza wpadła na ślad ewakuacji. Mogłem ich ostrzec, gdyż powiadomiono mnie o niebezpieczeństwie z Raba-

tu – Gabinet Dyplomatyczny oraz szef francuskiej policji. Schronili się w Oranie, gdzie się ukrywali. Z kolei po pewnym czasie Robert Dugardier, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem ostrzegł mnie, żebym także sam opuścił Maroko, bo komisja niemiecka zainteresowała się naszą czwórką. Byłem wtedy na polskim paszporcie dyplomatycznym.

Z Casablanki wyjechałem w początkach 1942 roku, statkiem popłynąłem do Lizbony. Okazało się, że moja wiza brazylijska straciła ważność, więc przy pomocy odpowiedniej techniki zmieniłem daty w paszporcie (przed wyjazdem oczywiście). Oczekiwał mnie w Lizbonie łącznik. Zjawiłem się w polskim poselstwie, w biurze wojskowym, gdzie szefował płk Fryderyk Mally.

W Lizbonie zajmowałem się ewakuacją polskiego i sojuszniczego personelu wojskowego z samej Francji i Hiszpanii poprzez Portugalię do Gibraltaru. Po operacji „Torch”, a więc inwazji alianckiej na Afrykę Północną także ze strefy okupowanej.

Zadania nasze były stosunkowo proste, ale jednocześnie trudne. A to dlatego, że najpierw trzeba było wyewakuować kilkuset internowanych w obozie Miranda del Ebro z Hiszpa-

nii. Był to bardzo trudny okres, gdyż z Francji różne sieci ewakuacyjne tworzone na gorąco wypychały ludzi do Hiszpanii, gdzie byli po prostu z miejsca internowani. Ta sprawa dzięki współpracy władz hiszpańskich została dość sprawnie załatwiona. Było to możliwe dzięki współpracy władz portugalskich, najbardziej zniechęconej ostoji reżymu Salazara, tj. „Policji Internacional”, czyli służbie bezpieczeństwa.

Portugalia była w czasie wojny siedliskiem wszystkich wywiadów i policja bezpieczeństwa tego kraju współpracowała ze wszystkimi. Ich materiały i raporty, które sprzedawali były niekiedy pisane przez kalkę. Mielśmy w tej policji dwóch ludzi, którzy nam pomogli w decydującym stopniu, za „wynagrodzeniem”, ale za to wyłącznie. Nie muszę dodawać, że w akcji tej i podobnych pracowałem ściśle w porozumieniu z brytyjskim attaché wojskowym i pomoc wywiadu angielskiego była niekiedy kluczowa. Ewakuacja odbywała się dwiema, a raczej trzema drogami: oficjalnie samolotami do Bristolu i statkami do Anglii; nieoficjalnie „na czarno” przez granicę hiszpańsko-portugalską i półoficjalnie za cichą wiedzą władz zarówno hiszpańskich jak i portu-

galskich. Tutaj poza Brytyjczykami pomocny był również bardzo amerykański attaché wojskowy, z którym się szczególnie zaprzyjaźniłem.

Tam formowano w grupy i dowożono ich pociągami do granicy portugalskiej, gdzie ja ich odbierałem. Było to na wschód od Evora w Środkowej Portugalii.

Zabawna historia, otóż miano wano mnie majorem czasu wojny, składali mi meldunki. Ja przecież nie byłem oficerem, zaledwie kapralem. Stamtąd przerzucałem ich na południe Portugalii, do małego portu Villa Real de Santo Antonio. Rozmieszczałem ich w hotelikach, dostawali pożywienie i czekali na transport do Gibraltaru. Ludzi przerzucaliśmy statkiem rybackim, a dalej przejmował ich Ludwik Łubieński.

– Czy były próby przeciwdziałania ze strony Niemców naszej akcji ewakuacyjnej?

– W Portugalii nie. Byłem wówczas w bliskim kontakcie z wywiadem i kontrwywiadem polskim, a także z Brytyjczykami i Amerykanami. Wszystko odbywało się dość sprawnie, po cichu i spokojnie.

Były dwie inne drogi wyprawiania do Gibraltaru. W Portugalii istniało duże skupisko uchodźców polskich,

głównie rodzin wojskowych, ale nie tylko, byli także urzędnicy i pracownicy ministerstw i urzędów. Ich ewakuowałem w miarę jak uzyskiwali wizy brytyjskie – samolotami lub statkami.

Jeszcze z okresu istnienia Miranda del Ebro, ale także i później część żołnierzy polskich, angielskich, francuskich, a także oficerów przechodziła nielegalnie przez granice. Mieliliśmy punkty obserwacyjne nad granicą. Tak się złożyło, że na granicy hiszpańsko-portugalskiej było kilka dużych majątków ziemskich należących do Anglików, którzy w dużej mierze byli zawsze w służbie wywiadu angielskiego.

Jeden z nich należący do bardzo starej rodziny (tej która wprowadziła do Portugalii kartofle). Potem przewoziliśmy naszych ludzi do willi między Lizboną a Estrorilem – i tam czekali aż wyrobimy papiery.

– Ile osób przeszło przez Pana ręce w akcji ewakuacyjnej?

– Transportami kolejowymi przerzuciłem ok. 1500, a trudno mi powiedzieć ilu było tych pozostałych. Liczyliśmy ich na dziesiątki.

– Do kiedy trwała Pańska działalność w Portugalii?

– Pracowałem w Portugalii do

początków 1944 r. Jeden ciekawy szczegół, jeśli idzie o ewakuację ludzi, którzy dojeżdżali do Portugalii pociągiem. Z chwilą zajęcia wolnej strefy francuskiej przez Niemców, nastąpiły pewne komplikacje w ewakuowaniu personelu wojskowego z terenu Francji. Tam przebywali ludzie wrzucani przez sieć z północnej Francji i Belgii. Trudność polegała na tym, że granica była obstawiona przez Niemców. Wtedy wielką pomocą dla nas byli po prostu przemytnicy, kontrolowani przez Andorę. Jest to mały rejon suwerenny, którego głową był miejscowy biskup oraz prezydent Francji. W Andorze negocjowałem z biskupem sprawę przemytu naszych oficerów i żołnierzy. Ustalałem tam ile będą płacili od głowy. Szło nie do prywatnej kieszeni, ale na Andorę

Dawało to gwarancję bezpieczeństwa. Grupy przemytników (5-10) byli doskonale uzbrojeni w najnowsze amerykańskie karabiny maszynowe. Patrole niemieckie po prostu starały się omijać przemytników. Za moich czasów nie było ani jednej wpadki na granicy. Tę działalność prowadziłem do czasu mego wyjazdu z Lizbony, który nastąpił w czerwcu 1944 roku.

– Czym ponadto zajmował się Pan na terenie Portugalii?

– Lizbona była siedliskiem wszystkich wywiadów i kontrwywiadów. Trzeba zaznaczyć, że jedni doskonale znali drugich. Wiedziało się, będąc w tej restauracji czy w tamtym klubie, kto siedzi naprzeciw, gdzie i kto z kim rozmawia, a kto kogo reprezentuje.

W owym czasie działał w Lizbonie pułkownik Jan Kowalewski. Odgrywał on rolę dość tajemniczą, subtelną, a jednocześnie niesłychanie ważną. Rolę którą w Londynie nie zawsze rozbudowywał. Były to lata 1942–1943. Nawet jeszcze początki 1944. Chodziło o to, żeby dokonać próby oderwania od Rzeszy niektórych wymuszonych sojuszników takich jak Węgrzy i Rumuni oraz w dużej mierze Włosi. Szło o przygotowanie terenu w tych krajach i zapewnienie ich współpracy łącznie z wojskową, jeżeli inwazja kontynentu pójdzie „podbrzuszem Europy”, a zatem od Włoch poprzez Bałkany. Udało się to w dużym stopniu. Z Kowalewskim rozmawiali po kryjomu nie tylko najwyżsi rangą urzędnicy dyplomatyczni tych krajów w Lizbonie, ale przyjeżdżali na tajne spotkania specjaliści wysłannicy z Budapesztu, Bukaresztu i z Rzymu. Spotkania odbywały się w różnych apartamentach w Lizbonie, nierzadko w hotelach w Estrori-

lu, kiedy to zawsze organizowaliśmy coś w rodzaju nie tyle „ochrony” ile nadzoru, aby nie śledzili spotkań niepożądani obserwatorzy, zwłaszcza wywiadu niemieckiego i portugalskiej Polizia Internacional. Odbływały się również w małych restauracyjkach na południu Portugalii, w Setubali, czasem na nadmorskim cyplu w Faro lub Praia da Rocha.

Rozmowy i ustalenia Kowalewskiego szły dość daleko. Jego rokowania z Włochami lizbońskimi przyczyniły się w jakiś sposób, w pewnym stopniu do kapitulacji Włoch. Węgrzy i Rumuni (oczywiście nie Antonescu) gotowi byli wojskowo i organizacyjnie wesprzeć infiltrację a z czasem i inwazję aliancką. Z początku nie przywiązywano w „polskim Londynie” wagi do tej akcji lizbońskiej, choć doceniał ją sztab brytyjski. Współpracował z nim wywiad brytyjski w Portugalii. Niestety z chwilą kiedy zapadła ostatecznie decyzja uderzenia przez Normandię a nie zgodnie z naciskiem Churchilla przez „podbrzusze Europy” poprzez Bałkany akcja Kowalewskiego przestała mieć praktyczne znaczenie. Była to decyzja amerykańska i przegrana Churchilla. Nie uchwyciono szansy, która mogła zmienić bieg historii w Europie.

– Jaki Pan miał obraz tego co się naprawdę działo wówczas w okupowanej Polsce?

– Informacje miałem wszechstronne, z różnych źródeł. Nie uświadamialiśmy sobie np. zagłady Żydów. Zdawałem sobie sprawę z zasięgu eksterminacji inteligencji polskiej, żydowskiej, jak działają obozy koncentracyjne, ale nie w rozmiarach takich w jakich okazało się to w rzeczywistości.

– W Lizbonie przeżył Pan zerwanie stosunków z Polską przez Związek sowiecki. Czy miał Pan świadomość czym może się to dla nas skończyć po wojnie?

– Od 22 czerwca 1941 roku zaczęliśmy spadać w randze jako sojusznik Aliantów, zwłaszcza po wejściu Stalina, po stworzeniu Związku Patriotów Polskich w Moskwie, widoczne było, że sojusznicy zachodni (w większym stopniu Amerykanie niż Anglicy) porzucą legalny rząd polski.

Od tego czasu dla mnie i ludzi z którymi pracowałem stało się oczywiste, że losy kraju zostaną rozegrane w Moskwie. W Londynie było wiadome, że stracimy Ziemie Wschodnie, ale aż do Poczdamu nie mieliśmy pewności czy uzyskamy Ziemie Zachodnie.

Z mego punktu widzenia był to najbardziej tragiczny okres, kiedy przypomnę sobie co wtedy przeżywałem i o czym myślałem. Nie ulegało wątpliwości, że wojnę myśmy Polacy przegrali, ale nie tylko myśmy przegrali wojnę, ale w pewnym sensie, politycznie wojnę przegrał Zachód.

– Pański pobyt na Półwyspie kończy się w czerwcu 1944 r. Gdzie Pan został odwołany?

– Zostałem wezwany do centrali MSZ-u, do Londynu. Zostałem w owym czasie zastępcą naczelnika Wydziału Prasowego i jednocześnie tzw. Oficerem prasowym ministra spraw zagranicznych. W owych czasach był nim Tadeusz Romer.

Moje obowiązki polegały na łączności między ministrem spraw zagranicznych a Prezydium Rady Ministrów, przede wszystkim na referowaniu codziennie o godz. 8 rano bieżącej prasy angielskiej, koncentrując się na tematyce polskiej i wschodnioeuropejskiej, oraz wiadomości radiowych. Oczywiście musiałem utrzymywać ministra w kontakcie z wiadomościami prasowymi w ciągu całego dnia.

Ponadto miałem obowiązek sugerowania pewnych idei i myśli do prasy angielskiej co nie było w owych czasach najłatwiejsze. Był to już rok

1944, kiedy prasa brytyjska była niesłuchanie prorosyjska. Silne było ponadto antypolskie nastawienie, gdyż uważano, iż wszelkie antyrosyjskie informacje komplikują sprawę polską. W dużym stopniu traktowano sprawę polską jako pochodną polityki wobec Rosji. W rozumieniu Anglików Polacy praktycznie przeszkadzali w porozumieniu ze Stalinem.

Poglądy antypolskie były formowane i lansowane przez dziennikarzy pochodzenia środkowoeuropejskiego, żydowskiego i niemieckiego (nie mówię o tym w znaczeniu antysemitycznym), ale także przez lewicujących adoratorów ustroju sowieckiego.

Nie ulega też wątpliwości, że ówczesna kampania, tj. właściwe słowo, była prowadzona za sowieckie pieniądze. Jedni robili to bezpośrednio, inni pośrednio.

– Jak potoczyły się dalej Pańskie losy?

– Po odejściu Romera ministrem spraw zagranicznych został Adam Tarnowski, u którego pełniłem w dalszym ciągu obowiązki oficera prasowego. Ponadto podobne obowiązki powierzono mi przy osobie premiera Arciszewskiego.

Spotykaliśmy się wówczas w mieszkaniu Tomasza Arciszewskiego.

– Jak Pan oceniał ówczesną sytuację Polski?

– Nie ulegało wtedy wątpliwości, że jest to koniec Polski suwerennej. Ani przez moment nie wierzyłem, że udział przedstawicieli legalnego rządu polskiego w rozmowach z komunistami może zmienić cokolwiek na korzyść Polski. I to nie tylko dlatego, że operowanie słowami wolne wybory i demokracja ma po jednej i drugiej stronie zupełnie odmienne znaczenie, ale także dlatego, że ostatecznie decydują ci, którzy są już na miejscu i opanowali kraj. Uważałem, że ludzie, którzy przybędą z Zachodu jak Mikołajczyk z góry mieli sprawę przegraną. Z punktu widzenia pojęć demokratycznych powojenne wybory przeprowadzone w Polsce były po prostu fałszerstwem.

Dla mnie i ludzi mego pokolenia nie ulegało wątpliwości, że Mikołajczyk musi ponieść klęskę. To przecież wtedy stworzono sztucznie pojęcie Europy Wschodniej do której przydzielono Polskę, a także Czechosłowację, Rumunię i Węgry.

– Ale wracając do osób z którymi Pan współpracował, jak widzieli sytuację.

Operowali kategoriami bardzo realnymi. W czasie codziennych kon-

ferencji, w których uczestniczyłem po zreferowaniu mu prasy – kiedy np. referował rozmowy Mikołajczyka w Moskwie starał się podtrzymywać pewną dozę optymizmu. nadzieję, że może coś z tego wyjdzie.

Romer był człowiekiem, który nie rzucał słów na wiatr, który decydował po namyśle i po zasięgnięciu opinii ekspertów. Był człowiekiem, który nie wierzył w możliwość istnienia prawdziwie suwerennej i niepodległej Polski w okresie swego życia. Przynajmniej takie robił wrażenie. Adam Tarnowski, nie był już właściwie osobą, która dorosła do poziomu ministra spraw zagranicznych. Nie dorównywał swoim poprzednikom. Był miły, troskliwy, rozeznany politycznie – ale to był dyplomata, a nie minister.

Arciszewski to postać, która dla mnie w pewnym sensie była symbolem historycznym. Tak jak symbolem i legendą był i jest Piłsudski. Dla mnie był on ucieleśnieniem starego (nie w sensie wieku), wierzącego socjalisty, myślącego kategoriami socjaldemokratycznymi. To nie był w żadnym wypadku marksista. Był niewątpliwie politykiem na miarę premiera Polski. Natomiast minimalnie przygotowywany do spraw międzynarodowych, uczył się od ministrów spraw zagra-

nicznych, także od dyrektora generalnego w ministerstwie – Gwiazdowskiego.

– Pan był do 1946 roku przez cały czas przy rządzie polskim?

– Po cofnięciu uznania rządu przez W. Brytanię pracowałem w takiej bardzo angielskiej instytucji, w Komitecie zajmującym się likwidacją stanu posiadania rządu polskiego w Anglii. Na czele tej instytucji stał Anglik i ambasador Raczyński, ale faktycznie szefem był ambasador Raczyński. Chodziło o to, żeby w miarę możliwości jak najwięcej środków utrzymać dla Polaków, którzy pozostają w Anglii.

Jednocześnie trzeba było organizować emigrację dla części uchodźców, którzy chcieli z Anglii wyjechać. Ponadto to był okres kiedy przeniesiono do Anglii II Korpus gen. Andersa. Zajmowałem się wtedy organizowaniem emigracji dla tych, którzy chcieli wyjechać do Południowej Ameryki oraz do Australii i Nowej Zelandii. Wtedy także sam podjąłem decyzję pozostania w Anglii. Oferowano mi w tym czasie z ramienia rządu warszawskiego poselstwo w Lizbonie, ewentualnie jakieś stanowisko w Paryżu. Zwracano się do mnie za pośrednictwem osób, które uprzednio pracowały w rzą-

dzie polskim w Londynie. Nie byli to agenci, oni po prostu zidentyfikowali się ostatecznie. Było to dla mnie nie do przyjęcia zarówno ze względu na moje przekonania polityczne, jak i na moją psychikę. Dla mnie Polska mogła być tylko Polską suwerenną.

I abstrahując, że ustrój komunistyczny był dla mnie obcym przeszczepem, nie do akceptacji, to jednocześnie nawet, gdybym był bardziej kompromisowy i łagodniejszy niż byłem wówczas – powrót do Polski był nie do przyjęcia. To nie była moja Polska. Nie moja w sensie ustrojowym, politycznym i metod rządzenia. Dlatego zostałem poza granicami.

Liczyłem się z tym, że chcę do Polski jeździć i będę kiedy to będzie możliwe. Ja chciałem i chcę Polskę zobaczyć. Tak się szczęśliwie złożyło, że mogłem to robić zawodowo.

Ale wracam do okresu po wojnie. Tak się złożyło, że byłem w owej Komisji brytyjskiego ministerstwa finansów, gdzie pracowałem ok. jednego roku. Stamtąd przeszedłem do Komitetu kształcenia Polaków w Wielkiej Brytanii. Chodziło o to, że wielu uchodźców zostało rozmieszczonych w obozach – Urzędu Opieki Społecznej, wydział zajmował się uchodźcami polskimi.

Były to dawne obozy wojskowe, mieszkało się w „beczkach śmiechu”. Tamże sprowadzono rodziny uchodźców, głównie rodziny i żołnierzy II Korpusu. Chodziło o przygotowanie tych ludzi do warunków życia w Anglii. Cały II Korpus w większości składał się z ludności pochodzenia chłopskiego. Mam na myśli żołnierzy, gdzie mało było elementu miejskiego. Ci ludzi w chwili, gdy się znaleźli tutaj, przeszli awans społeczny. Znaczna większość przekształciła się w wykwalifikowanych robotników przemysłowych.

W czasie kiedy się tym zajmowałem z ramienia komitetu Kształcenia Polaków w Wielkiej Brytanii – byłem tzw. Organizatorem oświaty w dwóch obozach w środkowej Anglii. Chodziło o to, żeby zapewnić z jednej strony dzieciom uczęszczanie do szkół. Żeby umożliwić naukę w szkołach średnich, a także wejście na uniwersytety. Mielśmy odpowiednie fundusze pozwalające na utrzymywanie polskich szkół i na stypendia uniwersyteckie. Trzeba było tych ludzi przygotować do życia w Anglii, a więc – kursy języka, klasy szycia, gotowania, pisanie na maszynie, itd. Niekiedy wprowadzałem ich na istniejące już w angielskich college’ach odpowiednie kursy. Or-

ganizowaliśmy wieczorki, herbatki, przedstawienia. Wszystko to celem zbliżenia Polaków i Anglików.

W środkowej Anglii tego typu działalność cieszyła się dużym powodzeniem. Może to też dzięki temu, że Anglicy w tym rejonie kraju są bardziej otwarci i bezpośredni. Łatwiejsi do współżycia niż londyńczycy.

I tak pracowałem, aż mój przyjaciel z okresu lwowskiego – Ludwik Gottlieb, żydowskiego pochodzenia, pracujący wtedy w serwisie zagranicznym BBC zaproponował mi złożenie podania do radia. Podanie złożyłem i po testach zostałem przyjęty na „relief”, to jest człowiek, który przychodzi na zastępstwo kiedy kogoś brakuje, np. ze względów zdrowotnych.

Z tym, że ja pracowałem w środkowej Anglii. Gdy pracowałem na ośmiogodzinną rolę, to po prostu wsiadałem w pociąg, przybywałem do Londynu i później wracałem do siebie. Trwało to tak mniej więcej przez dwa lata.

W końcu zaproponowano mi tymczasowy kontrakt, ale nie proponowano mi jeszcze pracy stałej. A to dlatego, że w BBC są do tej pory takie zwyczaje, że najpierw się ogłasza konkurs. Zgłaszają się setki kandydatów, których przepuszcza się

przez testy (próby głosu, tłumaczenia, pisanie) po czym selekcjonuje się w dalszym ciągu i dopiero po kolejnej selekcji odbywa się „przesłuchanie” garstki kandydatów. Wtedy decyduje się kto zostanie wybrany. Skład przesłuchujących był następujący – szef departamentu personalnego, przedstawiciel administracji służby zagranicznej BBC, szef departamentu do którego rekrutowano kandydata i także szef sekcji językowej, któremu kandydat miał podlegać. Po przesłuchaniu wszystkich kandydatów te cztery osoby decydowały, z tym, że jeżeli były wątpliwości to głos rozstrzygający miał zawsze szef sekcji językowej.

W tym czasie dostałem ofertę stałej pracy w sekcji Polskiej Radio Wolna Europa, które zaczęło się tworzyć. Ofertę dostałem od Jana Nowaka, który gdy ja chodziłem na służby zastępcze do BBC, on był tam na stałe zatrudniony.

Propozycję Nowaka przyjąłem, gdyż z BBC nadal nie miałem, stałej pracy. Wyjechałem do Monachium i wkrótce (dokładnie w ciągu 4 miesięcy) zostałem starszym redaktorem odpowiedzialnym od grudnia 1952 za wszystkie komentarze polityczne.

Do moich obowiązków należało uczestnictwo w porannych konferen-

cjach programowych, decydowanie co i jak się komentuje i wstępne „okojowanie”, tj. zatwierdzanie do emisji.

Zarówno w Wolnej Europie i potem w BBC starałem się zawsze z kolegą, który pisał dany komentarz uzgodnić stanowisko. Jeżeli się nie zgadzaliśmy starałem się go zawsze przekonać. Niekiedy bywały sytuacje, że musiałem powiedzieć – mój kochany, możemy się nie zgadzać, ale ponieważ ja jestem odpowiedzialny za to co idzie na antenę to niestety musi być w powietrzu tak jak mówię.

– Jaki był wtedy wpływ Amerykanów?

– Duży. Radio Wolna Europa zostało stworzone jako instrument polityki amerykańskiej. Zostało stworzone przez CIA, przez amerykański wywiad i przez ten wywiad płacone. To było właściwie tajemnicą poliszynela. Błędem moim zdaniem było stworzenie fikcji, że jest to zupełnie niezależną organizację wspieraną finansowo przez rząd Stanów Zjednoczonych. Programowo było niezależne jakkolwiek musiało się trzymać ram polityki USA, ale jeżeli idzie o finansowanie, należało sprawę postawić jasno.

Dyrekcja była amerykańska, a Jan Nowak był szefem departamentu

polskiego. Muszę powiedzieć, że był to jedyny człowiek jakiego znałem, który potrafił przez pierwsze dwa-trzy lata zmontować i „zamalgamować” tak niesłuchanie różnorodny zespół. Różnorodny jeżeli chodzi o pochodzenie, poglądy polityczne, nastawienia psychiczne. Był to zespół, który służył sprawie, w którą wierzył, służył Polsce, niezależnie od warunków finansowych, skądinąd państwowych. Pracowano z niesłuchanym oddaniem.

Praca w radio stała się moim drugim zawodem. Zawodem, który sprawiał mi niesłuchanie dużo satysfakcji i przyjemności. Najbardziej przejawiało się w tym, że się pracowało z minuty na minutę. Jak się robi program w radio to trzeba być z godziny na godzinę na bieżąco. W owym czasie dziewięćdziesiąt parę procent programów było nagrywane. Na żywo szły tylko niektóre dzienniki, ale dziennik nagrywano na pół godziny przed nadawaniem.

Wspominam te czasy bardzo miło z dwóch powodów. Po pierwsze, że sama praca niesłuchanie mnie interesowała, pisałem dużo i komentowałem stale, a jednocześnie byłem jedynym z dwóch wówczas starszych redaktorów. Nowaka wtedy zastępo-

wał Marek Świąćicki, który potem przeszedł do Głosu Ameryki. Dzięki tej pracy odzyskałem bezpośredni kontakt z krajem. Mówiłem do kraju, do ludzi. Zdumiewające ile listów zaczęło napływać do radia. Niekiedy reakcje były niesłuchanie szybkie. Okazywało się, że jesteśmy w kontakcie.

Dla nas bardzo ważny był fakt, że można było mówić do Polaków po polsku. Po kilku latach przerwy poczułem, że jestem w tym kraju. Lata, kiedy pracowałem w Wolnej Europie to okres amerykańskiej polityki wyzwolenia, która w moim przekonaniu była polityką zwodniczą, fałszywą. Były różne próby i pomysły, ale realnie mówiąc nie można było mówić o żadnym wyzwaniu. Była tylko retoryka bez żadnych konsekwencji praktycznych. Codziennie na naszych konferencjach programowych bywał kierownik działu politycznego – Amerykanin, nie jeden zresztą. Byli to ludzie do Polski i Wschodniej Europy niesłuchanie pozytywnie i przyjaźnie nastawieni. Natomiast żaden nie był przygotowany językowo do swoich obowiązków. Nie znali języka polskiego. Codziennie, niekiedy co drugi dzień przychodziły dyrektywy z centrali w Nowym Jorku co i jak należy naświetlać i komentować. Później to

się zmieniło, ale w owym czasie kontrola polityczna i konieczność dostosowania się do wymagań politycznych była bez porównania większa w Wolnej Europie niż w BBC. W dużym stopniu decydującą rolę odgrywał Departament Stanu. Nawet teraz, kiedy już nie CIA a Kongres Stanów Zjednoczonych finansuje Wolną Europę, wpływy Departamentu Stanu się utrzymały.

Wyjątkową rolę odegrał Jan Nowak, który bez przerwy jeździł tam i z powrotem i ciągle przeciwstawiał się różnym ograniczeniom. Czy w owym czasie Nowak potrafił zrezygnować z rzeczy mniej ważnych, aby utrzymać zasadniczą postawę w programowaniu w treści istotnie, jak i w prezentacji tego co idzie do kraju. Robił to wbrew naciskom i w różnych starciach nierzadko ostrych.

– Pracował Pan w Wolnej Europie w latach 1952–1955. Był to okres wielu bardzo ważnych wydarzeń w Polsce i Europie Wschodniej, jak wy pracownicy radia ocenialiście to co się dzieje w Polsce?

– Napływało do nas bardzo dużo informacji. Często nadawaliśmy wiadomości wcześniej niż radio warszawskie. Przełomowym momentem w pracy Wolnej Europy była sprawa

Józefa Światły. I mówię o tym nie dlatego, że w tym uczestniczyłem, ale dlatego, że w moim przekonaniu i nie tylko moim, to co poszło „na powietrze” w sprawie Światły było pewnego rodzaju załączkiem i sprężyną odwilży.

Być może, że w tych zadymionych pokojach w Waszyngtonie, w mieszkaniach zmienianych z dnia na dzień, w których przesłuchiwałem, notowałem i nagrywałem to co mówił Światło, że wtedy gdzieś tam rodziły się pierwsze zaczątki polskiego października.

– Wracając do sprawy Światły. Jak to się stało, że Pan został wydawcy jego relacji?

Poleciałem do Waszyngtonu. Tam spędziłem niemal osiem tygodni ze Światłą. Był on wtedy pod opieką wywiadu amerykańskiego. Początkowo silnie pilnowany, potem trochę mniej, ale stale. Moje z nim rozmowy toczyły się najpierw codziennie, a potem co dwa-trzy dni w innych apartamentach. Oczywiście były to apartamenty wywiadu – safe. Początkowo był przy nas obecny oficer wywiadu, ale z czasem tylko ja i realizator nagrań. Ja notowałem, dyktowałem, on nagrywał. Potem w towarzystwie oficera wywiadu szliśmy razem na lunch itd.

– Jakie miał Pan wtedy uczucia, oto Pan przesłuchuje oficera bezpieczeństwa.

– Moje mieszane uczucia polegały na tym, że wiedziałem z kim mam do czynienia. Wiedziałem, że to jest człowiek, który w owym czasie jeśli chodzi o aparat bezpieczeństwa w Polsce był ważniejszym od Radkiewicza, Mietkowskiego, Romkowskiego, człowiek, który o ile ja wiem, miał „gorącą linię” z Berią. Istotnie w dwóch żelaznych szafach w swoim biurze miał kartoteki całego polibiura aż do szczebla sekretarzy wojewódzkich. Z wyjątkiem kartoteki Bieruta. Było tam wszystko. Światło był to człowiek, który mógł na rozkaz czy z pomocą zewnętrzną zmienić układ polibiura. Mógł zniszczyć jednych a wysunąć drugich. Oczywiście nie mógł tego robić z własnej inicjatywy, ale miał wszystko w ręku. Miałem tego świadomość rozmawiając z nim. Był po Bierucie i Bermanie trzecim człowiekiem w Polsce. Faktycznie niepodlegający swym formalnym przełożonym (Radkiewicz, czy Romkowski).

Musiałem w jakiś sposób ustalić na co dzień swój stosunek do tego człowieka, z którym miałem współpracować przez szereg tygodni. Psychicznie

nie chciałem mieć z nim nic wspólnego. Wszystko co reprezentował było mi obce i odrażające. A jednocześnie wykorzystanie go w maksymalnym stopniu było konieczne, jeżeli chcieliśmy wywołać trzęsienie ziemi w partii i w aparacie bezpieczeństwa i w ten sposób ulżyć nieco społeczeństwu, choćby na pewien okres czasu. Jak się później okazało – na znacznie dłużej. Dla mnie osobiście z punktu widzenia zawodowego było to pewnego rodzaju wyzwanie. Jeżeli odpowiednio je podejmę – sprawę wygram.

Wygrałem, bo po prostu, wbrew wszelkim psychicznym oporom, zdecydowałem potraktować go jak równego sobie człowieka, jak jednostkę ludzką, z którą chcąc nie chcąc musi się znaleźć formy współistnienia. Obaj pochodziliśmy ze wschodnich, dziś w granicach sowieckich, stron Polski. Stworzyłem wrażenie, przynajmniej próbowałem stworzyć, że ani mi nie imponuje, ani mnie nie obchodzi kim był i co robił. Natomiast chcę, podobnie jak i on, puścić na powietrze jak najwięcej z jego przeżyć i zawodowych wyczynów, jak najszybciej rozprzestrzenić informacje, które posiada o wszystkim, co się dzieje w partii i w bezpieczeństwie. Tu celowo nie ukrywałem, jak ogromne ma to zna-

czenie i widziałem niemal w oczach jak rośnie jego „ego”.

Po dwóch, trzech tygodniach Światło się wygadał, dlaczego tak dobrze mu się ze mną pracuje. Otóż, on mnie „rozpracował” i doszedł do wniosku, że nie jestem typowym przedstawicielem emigracji, że natomiast jestem pracownikiem przedwojennej... dwójki polskiej. Dlaczego? Jedną z rozmów skierowałem na Czechosłowację, bo chciałem się po prostu czegoś więcej dowiedzieć i wymienilem parę nazw najlepszych hoteli, które Światło znał, a wśród nich Hotel Ambasador na Vaclavskim Namesti. Ucieszył się bardzo, bo znał ten hotel. Wszyscy dygnitarze bezpieki zawsze się tam zatrzymują. Tu pana rozgryzłem, powiedział Światło, bo przed wojną zatrzymywali się tam zawsze agenci i przedstawiciele polskiej dwójki. Zresztą powiedział, że nie tylko nie ma żadnych pretensji, ale ma nawet wiele podziwu dla przedwojennej dwójki polskiej. Może dlatego tam mu się dobrze ze mną pracowało. W takiej formie doczekałem się od Światły uznania!

W Warszawie została zainstalowana bezpośrednia linia między nasłuchem radiowym a Belwederem,

gdzie słuchano na żywo tego co mówił Światło. Najbardziej zabawne, że po mniej więcej dwóch tygodniach od rozpoczęcia nadawania relacji zareagowała „Trybuna Ludu” stwierdzając, że Światło to amerykański agent. Tego samego dnia Światło nagrał odpowiedź – „Towarzyszu Tomaszu”. Operacja „Światło” była dość unikalną w historii radia.

– Czy Światło wiedział kto go przesłuchuje?

– Niewiele wiedział o mojej przeszłości. Wiedział tylko, że jestem jednym z czołowych przedstawicieli Wolnej Europy. Odnosiłem wrażenie, że uważa mnie nie tylko za radiowca, ale także za człowieka będącego na służbie wywiadu brytyjskiego. W moim przekonaniu on sam był znakomitym fachowcem, niesłychanie sprytny, zręczny. Miał wrodzoną inteligencję oraz był znakomicie przeszkolony. Ponadto (co było wynikiem tego, że w życiu pisał tyle raportów) mówił w sposób bardzo zwarty, jasny. Mówił bardzo specyficznym językiem. Typowy język bezpieki, ale to nie była nowomowa. Miał także pewne poczucie tragicznego humoru, a ponadto poczucie tego, że może zrobić wiele, nie wszystko lecz wiele, np. zniszczyć ludzi.

Wracam do unikalności operacji „Światło”. Była to pierwsza operacja na falach radiowych Wolnej Europy, która pociągnęła za sobą konsekwencje polityczne. Likwidacji aparatu bezpieczeństwa w formie w jakiej istniał (oczywiście potem to odbudowano), jednak w owym czasie zadano bezpieczeństwu śmiertelny cios. Zlikwidowano Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, miały miejsce aresztowania i procesy ubeków.

– Czy potem Pan zetknął się jeszcze ze Światłą?

– Nie. Zabrano go z Waszyngtonu i umieszczono go w środkowo-zachodnich Stanach, o ile wiem ze zmienioną nieco konfiguracją twarzy i zapewniono mu tam utrzymanie. Wiem, że w 1986 roku żył jeszcze, ale był sparaliżowany. Natomiast jego siostra żyje w Izraelu.

– Odszedł pan z Wolnej Europy. Mówiło się o próbie zamachu, którego celem było usunięcie Nowaka ze stanowiska dyrektora Polskiej rozgłośni.

– Nie chcę już w te sprawy wchodzić, ale była to pewna rozgrywka między zespołem amerykańskim w Monachium, a Amerykanami w Nowym Jorku w co wpłątano mnie zupełnie bez mojej wiedzy. Musia-

łem się wtedy rozejść z Nowakiem i powróciłem do Londynu. Miałem znajomości w BBC, więc zacząłem od początku „dochodzić” i pisać od czasu do czasu komentarze.

Polską selekcją BBC kierował wtedy Stanisław Fecher, przedwojenny redaktor „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, gdzie specjalizował się w sprawach sportowych. Jego zastępcą był Józef Zarański, którego znałem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pisałem początkowo komentarze, gdyż w BBC nie ma zwyczaju, że jak się przychodzi z wysokiego stanowiska w jednej radiostacji to od razu się wchodzi na podobne stanowisko. Tu zaczyna się od początku.

W każdym bądź razie zacząłem pisać komentarze i w szybkim czasie dostałem pierwszy kontrakt. Zacząłem pracę w kwietniu 1956 roku, swój pierwszy program pt. „W świecie komunistycznym”. Jednakże ciągle nie byłem w stałym personelu. Robiłem program na kontrakcie. Finansowo bardziej się opłacało, niż być w stałym personelu. Można było wtedy pisać, gdzie się chciało. Pod koniec 1957 roku przyjęto mnie do stałego personelu. Zostałem zastępcą szefa sekcji, a objąłem polską sekcję BBC. Po kolejnych 6 latach zostałem dyrektorem

departamentu środkowoeuropejskiego, nadzorującego programy czeskie, słowackie, węgierskie i polskie, oraz fińskie.

– Rok 1956 był niesłychanie bogaty w wydarzenia.

– Tak, był zupełnie kluczowy. Myśmy najpierw się koncentrowali na wydarzeniach poznańskich. Dyskusje, rozmowy, komentarze. Podprowadzailiśmy sytuację do października 1956. Opieraliśmy się przede wszystkim na własnych korespondentach BBC. Nie mieliśmy stałego korespondenta w Warszawie, ale mieliśmy we Wiedniu, który do Polski wówczas jeździł. Także w czasie Rewolucji Węgierskiej mieliśmy korespondenta w Budapeszcie. Ponadto otrzymywaliśmy serwisy ze wszystkich prasowych agencji światowych.

Korzystaliśmy również z wiadomości wielu biznesmenów, ludzi, którzy przekazywali informacje z różnych części Polski, oraz dziennikarzy amerykańskich, brytyjskich i francuskich w Warszawie. Ponadto BBC ma do dzisiaj najlepszy nasłuch radiowy na świecie. Mówię oczywiście o nasłuchu radiostacji, a nie wywiadowczym. Rano na biurku znajdowałem w pełnych tekstach nie tylko to co Warszawa mówiła przez cały dzień, ale także

to co nadawały wszystkie rozgłośnie wschodnioeuropejskie, i oczywiście po angielsku.

– Jak wówczas ocenialiście Panowie to co się działo w Polsce?

– Wychodziliśmy z założenia, że partia polska miała duże szczęście, gdyż miała na składzie i w szufladzie Gomułkę. Tego nie miały inne partie. Uważaliśmy, że są pewne zmiany, które Gomułka sam chciał zrobić. Były ponadto zmiany, które zostały mu narzucone oddolnie poprzez nacisk mas. To był dla nas październik, po którym Gomułka zaczął niszczyć piedestał na którym się znalazł. Niewątpliwie Gomułka przeprowadził ważne reformy m.in. zdecydowanie ograniczył terror bezpieczeństwa. Zmniejszył się zasadniczo strach przed bezpieczeństwem. I to się zachowało.

– W czasach Gomułki Pan po raz pierwszy znalazł się na terenie kraju?

– Tak. To był 1964 rok. Jechałem z ramienia BBC, ale to nie był pierwszy wyjazd sekcji polskiej BBC do Polski. Pierwszy miał miejsce na targach Poznańskich w 1957 roku. BBC miało swoje stoisko. Wystawiano ulotki, fotografie ilustrujące to jak się pracuje w BBC oraz informacje o treści programów polskiej sekcji. Zanim jednak opowiem o swoim pierwszym

pobycie w kraju muszę wyjaśnić, że polityka BBC jeżeli chodzi o nadawanie do krajów poza W. Brytanią, czyli serwisu zagranicznego jest interesująca. BBC jest korporacją prawa publicznego. Niezależną, gdyż opiera się na licencji i opłatach wnoszonych przez tych, którzy posiadają odbiorniki radiowe i telewizyjne. Natomiast serwis zagraniczny dostawał zawsze dotację uchwalaną przez parlament i Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Przez 26 lat przekonałem się na własnej skórze (choć trudno to było wytłumaczyć ludziom nie tylko ze Wschodniej Europy, ale także Francuzom i Niemcom), że jedyny wpływ jaki Foreign Office miał na zagraniczny BBC, to język. Trzeba było utrzymywać się w szerokich ramach polityki brytyjskiej. Tak się składało, że owe ramy brytyjskiej polityki pokrywały się z pojęciami Polaków pracujących w BBC. Nie było absolutnie żadnych dyrektyw co i jak należy robić. Owszem, co jakiś czas były próby ze strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych ograniczenia budżetu BBC. BBC wygrywało dzięki kolejnym dyrektorom serwisu zagranicznego. Duży wpływ miały także nasze doskonałe stosunki z większością brytyjskich ambasadorów.

Podam przykład. Pracownicy brytyjskiej ambasady przed wyjazdem do Warszawy przychodzili na lunch do BBC, zaś młodzi sekretarze którzy wyjeżdżali do Warszawy, przychodzili na briefing, aby porozmawiać w sekcji polskiej BBC o sytuacji w Polsce. Oczywiście i ja, i moi koledzy mieliśmy niekiedy telefony z własnego wydziału ministerstwa aby wstrzymać jakprzekazać wiadomości. Pytałem czy są prawdziwe. Nigdy w czasie mojej pracy w BBC, podkreślałem to jeszcze raz nie spotkałem się z próbami nacisku, czy cenzury ze strony władz brytyjskich. Natomiast w czasie konferencji programowych w BBC były dyskutowane sprawy naświetlania wydarzeń. Najpierw odbywało się to na szczepku kontrolera wszystkich serwisów europejskich, a potem na szczepku dyrektorów departamentów. Przychodził tam przedstawiciel działu wiadomości z najnowszymi informacjami i w ramach tych wiadomości ustalaliśmy co i jak będziemy komentować. Oczywiście są departamenty w BBC, które przygotowują codzienne komentarze centralne po angielsku na aktualne tematy, zarówno międzynarodowe, jak i regionalne. Jednakże nie ma obowiązku używania tych komentarzy. Szef każdej sekcji ję-

zykowej decyduje jakich komentarzy będzie używał. Oczywiście, jeżeli ma właściwych ludzi to daje komentarze własne. W czasie kiedy kierowałem sekcją polską BBC procent komentarzy tłumaczonych był mniejszy niż pisanych przez nas w sekcji...

– Kto pracował w polskiej sekcji BBC, kiedy Pan zaczął kierować radiem?

– Miałem ludzi z Anglii, Niemiec. Było tam kilku bardzo znanych dziennikarzy. Kiedy zostałem zastępcą kierownika (szefował wówczas Józef Żarański), ale tak się złożyło, że pracował z nami Zbigniew Grabowski, był korespondentem „IKC”-a w Niemczech i w Londynie i tu pozostał. Autor wielu książek, znakomity dziennikarz. Był Stanisław Fecher, był Zdzisław Broneel, krytyk literacki, był Marek Żuławski – co prawda nie dziennikarz, ale znakomity malarz. Był oczywiście Czesław Halski z „Wesołej Lwowskiej Fali”, Józef Opieński – spiker Polskiego Radia. To są te największe nazwiska z dawnych czasów.

Z nowych nabytków był Bolesław Taborski, znany poeta i tłumacz, absolwent Uniwersytetu w Bristolu, później Jan Krok-Paszkowski, którego przyjąłem do BBC z Wolnej Europy.

– Potem zaczęto przyjmować młodszych.

– Tak. Zaczęliśmy przyjmować młodych Polaków, którzy ukończyli tujejsze uniwersytety, a mówili błędnie po polsku, ale to stawało się coraz trudniejsze. Stąd zaczął się napływ z Francji i Niemiec. Za moich czasów możliwe było przyjęcie do pracy Polaków z Anglii, których można było nauczyć zawodu dziennikarza. Niektórzy stali się znakomitymi dziennikarzami. Byli to ludzie stosunkowo młodzi.

– Ile godzin nadawania miało wówczas BBC?

– Kiedy zacząłem BBC miało dwie godziny dziennie, potem za moich czasów – 3 godz., a przez jakiś czas 3,5 godz. oryginalnego programu. Proszę nie zapominać, że radio Wolna Europa, która nadaje przez 16 czy 18 godzin, ma mieć 4 godziny. Powtarza się je czterokrotnie. W BBC dziennik radiowy to jedyna rzecz, która była centralnie i szła na cały świat. Nadawał to serwis światowy BBC, który nadaje bez przerwy, przez 24 godziny, do wszystkich krajów świata. Ten sam dziennik z dodanymi na końcu informacjami regionalnymi nadaje się do 45 krajów świata.

– Jaka była pozycja polskiej sekcji wśród tych 45 „desków”?

– W moich czasach, departament środkowoeuropejski był drugim pod względem wielkości po departamencie wschodnioeuropejskim (Rosja, Jugosławia, Rumunia, Bułgaria). Ta sytuacja się zmieniła z chwilą, gdy stworzono specjalny departament rosyjski i specjalny departament południowo-wschodnioeuropejski, obecnie bałkański. Obecnie departament środkowoeuropejski jest największym departamentem językowym. Natomiast największa jest sekcja polska.

Za moich czasów sekcja ta rozrosła się „na powietrzu” w różnorodności programów. Nie moja to była zasługa. Po prostu taka była sytuacja polityczna. To były lata 1956–1972.

– Jak w Pańskich czasach wyglądała więź ze słuchaczami?

– Opieraliśmy się na badaniu opinii publicznej przez radio Wolna Europa oraz na badaniach własnych. Byliśmy na drugim miejscu jeśli idzie o liczbę słuchaczy, po Wolnej Europie. Reakcje mieliśmy wieloma drogami. Przede wszystkim wielu ludzi z różnych sfer przybywało i rozmawiało z nami. Mieliśmy bardzo dużo kontaktów z Polakami z kraju. Byli to intelektualści, artyści, aktorzy, pi-

sarze, studenci, np. Kisielewski, Słoniński. Ale chętnie przed mikrofonami naszego radia występowali np. Małcużyński czy Rakowski. Drugi odbiór przychodził w raportach ambasady, gdzie nas informowano jak słuchany jest BBC w Polsce. Często jeżdżono do kraju i tam mieliśmy bezpośredni kontakt ze słuchaczami w różnych częściach Polski. Osobiście jeździłem.

– Powróćmy do Pańskiego wyjazdu do kraju.

– Była to wiosna 1964 roku. Byłem wtedy redaktorem dwóch programów – „W świecie komunistycznym” – 20 minut raz w tygodniu, drugi się nazywał „W Polsce i o Polsce”. Wówczas wprowadziłem nadawany do tej pory „Kalejdoskop Dnia”, dający obraz sytuacji w ciągu ostatnich 24 godzin, oraz późniejszym wieczorem.

Przyjechał wtedy z oficjalną wizytą Włodzimierz Sokorski do BBC. Sokorski przyszedł do naszej sekcji, oprowadzał go ówczesny dyrektor departamentu – Gregory MacDonald. Właśnie wróciłem ze studia, gdzie nagrywałem program „W świecie komunistycznym”. MacDonald przedstawił mnie i na to Sokorski – „To Pan pisze ten program, dlaczego Pan nie przyjeżdża do kraju i nie zobaczy

na własne oczy. Pan musi zobaczyć jak to naprawdę wygląda.”

I tak pojechałem pierwszy raz. Pojechałem wraz z żoną dla której to także była pierwsza wizyta w kraju od wyjazdu po wojnie. Nie miałem obaw przed przyjazdem do kraju. Zdawałem sobie sprawę, że pozycja jaką miała BBC w Polsce powodowała, że ówczesnym władzom PRL zależało, aby poprzez BBC podbudować stosunki polsko-brytyjskie. Była to moja pierwsza wizyta od 17 września 1939 roku. Wszyscy dookoła mówią po polsku. Niełatwo się wzruszam, ale muszę powiedzieć, że kiedy lecieliśmy, żona w pewnym momencie powiedziała – „Popatrz, to jest Wisła”. Łzy stanęły mi w oczach.

Nie ustawiałem się przed przyjazdem do Polski jak większość ludzi tam jadących – patrzących z punktu widzenia ustroju i sytuacji w kraju w którym mieszkają. I później oburzonych, że przecież tam, w kraju żyć nie można. Z uwagi na mój zawód śledziłem to co się dzieje w kraju. Dlatego z innego punktu widzenia. Dlatego dla mnie, poza tym, że wszyscy mówią po polsku, że chodziłem ulicami Warszawy, które znałem z nazwy, ale których nie rozpoznawałem ważne było, że po prostu znalazłem się wśród

swoich, znalazłem się u siebie. Miałem pewne zastrzeżenia. Po pierwsze – kwestia języka. To był inny język. Po drugie – arogancja u przedstawicieli władzy, im niżej tym większa arogancja. A zarazem poczucie niepewności, że to jest coś tymczasowego, coś prowizorycznego, to nie może trwać. To też się odczuwało w rozmowach z ludźmi na najwyższym szczeblu.

Natomiast mam jak najlepsze wrażenie, z przeciętnymi Polakami.

Jedna rzecz mnie doprowadziła do pasji, tj. pokazanie paszportu, czy powiedzenie, że jest się z Londynu, który ma wszystko co przywozi dewizy. Chciałem być normalnym Polakiem wśród Polaków.

– A Pańskie spotkania z przedstawicielami władzy?

– Spotkania były o tyle ciekawe, że z miejsca zarówno w MSZ-cie jak i w radio spotykałem się z zarzutami, że ingerujemy w sprawy polskie dlatego, że komentuję sprawy wewnętrzne itd.

Odpowiedziałem, że komentując wewnętrzne sprawy brytyjskie. Kiedy zadawałem pytania chcąc się czegoś dowiedzieć, to wówczas odpowiadało mi, że tow. Gomułka powiedział to czy tamto. Prosiłem żeby mi nie mówili co mówi tow. Gomułka, gdyż

muszę to czytać a chcę się dowiedzieć co Pan o tym wie czy myśli.

Pamiętam jak Sokorski pouczał mnie o sytuacji w Polsce, zresztą muszę przyznać, że mówił bardzo inteligentnie i interesująco przez niemal 3 godziny. Ułatwiono mi moje podróże po Polsce. Jeździłem pociągami do różnych miast w całym kraju. Kiedy pod koniec pobytu w kraju poszedłem podziękować do Wydziału Prasy MSZ, usłyszałem – „mamy nadzieję, że teraz ton pańskich komentarzy o Polsce zmieni się”. Odpowiedziałem, że jestem przekonany iż radca prasowy nadal będzie interweniował, że mieszam się w sprawy Polski.

Spotkałem się u Antoniego Słonimskiego z kilku sygnatariuszami listu „34”. Tamże spotkałem młodego wówczas chłopaka – Adama Michnika. W Krakowie zetknąłem się z bardzo interesującą młodzieżą studencką „Pod Jaszczurami”. Miałem okazję być przyjętym także przez hierarchów – przez Prymasa – biskupa Wojtyłę. z księdzem Alojzym Orszulikiem, znanym nam do dzisiaj. W czasie moich następnych przyjazdów do Polski chodziłem masę do teatrów i byłem zdumiony na jakim poziomie działa polski teatr. Przypominam sobie wspaniałe wystawione przez J. Szaj-

nę „Fausta”, widziałem spektakle K. Dejmkę, Hanuszkiewicza. Bardzo zaintrygowało mnie niesłychane ożywienie dyskusje np. w środowisku literatów. Mówię oczywiście o spotkaniach półprywatnych, w mieszkaniach czy kawiarach, a nie tych oficjalnych. To robiło duże wrażenie.

Ja od 1937 byłem zagranicą. Ja „odrosłem”. Nie jestem człowiekiem dwóch kultur. Jestem Polakiem, nigdy nie będę Anglikiem pomimo, że się w tym otoczeniu bardzo dobrze czuję. Ale Polska z którą się zetknąłem nie była już dla mnie.

Wyjeżdżałem z Polski w Słubicach, gdzie widziałem polską flagę widziałem, że trzeba tu jeszcze wrócić. Moja ułomność polega na tym, że nie byłem w Polsce „solidarnościowej”, ani „postsolidarnościowej”. Od tej Polski, którą widziałem ja już „odrosłem”.

– Powróćmy do BBC, jak Pan oceniał wszystkie wystąpienia w r. 1956, 1968, 1970, gdy posiadał Pan duży wpływ na informowanie rodaków w kraju?

– Uważałem, że społeczeństwo polskie znalazło się na linii frontu. W moim przekonaniu wydarzenia w Polsce od tamtego okresu wyznaczała drogę, którą Europa Wschodnia czy raczej Europa Środkowa, będzie szła.

Wschodnia część Europy wcześniej czy później musi pójść tą drogą. Dla mnie poznański czerwiec to zdlawiony robotniczy protest, październik to intelektualiści, ale i partyjny aktyw, to rewizjonizm (dziś największym rewizjonistą z punktu widzenia ówczesnych czasów jest oczywiście Gorbaczow). Marzec to była młodzież, której nikt nie poparł za wyjątkiem intelektualistów, grudzień to była masa robotnicza, której nikt inny nie poparł i dopiero zmienił sytuację czerwiec 1976 roku. Ostatecznym wyrazem tego co się stało po czerwcu 1976 roku była moim zdaniem „Solidarność”.

Dla mnie nie ulegało wątpliwości, że system zaczyna się rozpadać, to tylko kwestia czasu. Stało się to jasne w grudniu 1970 roku, a szczególnie w styczniu 1971 r. Natomiast „Solidarność” to zjawisko wyjątkowe i unikalne. Nie w sensie ruchu czy związku, ale w sensie solidarności społecznej. To samowyzwolenie obywatelskiego społeczeństwa w kraju w którym jeszcze rządziła partia komunistyczna, ale już nie jest w stanie dominować nad społeczeństwem i nad jego aktywnością.

– Po odejściu z BBC nadal prowadzi Pan działalność dziennikarską, polityczną.

– Pierwsze 8 lat po moim odejściu z BBC były dla mnie jeszcze bardziej absorbujące. Po pierwsze wydałem parę książek w j. angielskim, a potem także w polskim. Ponadto dlatego, że przez pierwsze pół roku na usilne próby Amerykanów byłem w dyrekcji radia Wolna Europa. Było to po odejściu Jana Nowaka, za dyrekcji Zygmunta Michałowskiego. Kontrolowałem rozgłoszenie polską i węgierską. W tym czasie nadawała na żywo przez szereg dni reportaże z pobytu Papieża w Polsce, a potem w Stanach Zjednoczonych. Opierano się wówczas na transmisjach radia watykańskiego i telewizji austriackiej w dużej mierze. Mój pobyt związany był z reorganizacją pracy i programów.

W Wolnej Europie znalazłem się w 23 lata po moim odejściu w roku 1956 i muszę powiedzieć, że nastąpiły pewne zmiany na lepsze. Byłem zawsze przeciwny tłumaczeniu w każdej audycji słuchaczom, że rząd jest komunistyczny, że partia rządzi, że społeczeństwo znajduje się w kraju zniewolonym. Tłumaczyłem, że Polacy na miejscu znacznie to lepiej wiedzą od nas. Twierdziłem, że trzeba to mówić, ale wszystko zależy od tonu i formy, w jakiej to się mówi. Uważałem, że znacznie lepiej trafia do przekonania

spokojna informacja i argumentacja, aniżeli używanie pejoratywnych przymiotników. Natomiast obniżył się poziom kadr z wyjątkiem kilku osób. Był to rok 1979. Początkowo kadra była na bardzo wysokim poziomie, byli tam znakomici pisarze, doskonali dziennikarze, radiowcy. Ich następcy nie zawsze i nie wszędzie wypełniali te luki na odpowiednim poziomie. Nie było tego, co ja widziałem w BBC. Chodzi mi o to, że młodszy ludzie po odpowiednim przeszkoleniu wchodzili w zespół i asymilowali się. W owym czasie nie widziałem zespołowej pracy w Wolnej Europie. Ciągłe mówię o 1979 r.

– Po kilki miesiącach powrócił Pan do Londynu.

– Tak, przygotowuję książkę o de-tende, o polityce amerykańskiej lat siedemdziesiątych. Przebywałem przez dłuższy czas w Waszyngtonie, aby potem powrócić do Londynu i objąć dy-rekcję Polskiej Fundacji Kulturalnej. Trwało to od połowy 1983 r. przez trzy lata do połowy 1985 r. Po chorobie, czyli ataku serca musiałem ograniczyć swoją działalność i koncentruję się obecnie na działalności w Królewskim Towarzystwie Spraw Międzynarodowych, gdzie kilkakrotnie w tygodniu uczestniczę w debatach.

W ostatnim okresie wydałem dwie książki po polsku – „Mówi Józef Światło” oraz „Towarzysze zeznają”, które mają także wydania niezależne w Polsce. Natomiast książka „Mówi Józef Światło” osiągnęła rekordowe jak na emigrację nakłady i miała 4 wydania. Redaguję od pewnego czasu „Rzeczypospolitą”

– Od wielu lat zajmuje się Pan polityką międzynarodową. Jest Pan obserwatorem ważnych wydarzeń w Europie i na świecie. Jak Pan widzi sprawę Polski na arenie międzynarodowej? Jaki jest wpływ wydarzeń międzynarodowych na naszą sytuację? Czy widzi Pan koniunktury dla sprawy polskiej, czy można się ich spodziewać?

– Koniunktury są i trzeba na nie patrzeć z dwóch punktów widzenia. Problem pierwszy: w czym leży interes Zachodnich Demokracji, głównie Stanów Zjednoczonych, ale także Europy, głównie W. Brytanii, Niemiec, Francji. Element drugi, to w jakim stopniu i w jakim zakresie czasu dojdzie do rozkładu imperium sowieckiego, a jednocześnie do zasadniczych zmian w łonie ZSRR.

Z góry muszę podkreślić, że cokolwiek się stanie i cokolwiek rozpęta Gorbaczow (a rozpętał pewne nurty,

które mogą pójść bardzo daleko) ja obawiam się jednej rzeczy. Obawiam się reakcji tego co nazwałbym wielkorosyjskim nacjonalizmem. Dlatego, że komunizm, aby ratować twarz przechodzi na pozycję patriotyzmu i nacjonalizmu. Przecież my mówiąc o imperium sowieckim powinniśmy pamiętać, że to jest imperium wielkorosyjskie. Do tego trzeba dodać jeszcze jedno zjawisko – kulturowe, społeczne, a także polityczne jednoczenie się Europy. Musimy pamiętać, że Europa Zachodnia to jest Europa. Jestem przeciwnikiem określenia dwóch części Europy jako Zachodnią i Wschodnią. Europa Wschodnia to formuła stworzona w Teheranie i Jałcie, podyktowana układem stosunków międzynarodowych, geopolitycznych i przede wszystkim konfliktem między Stanami Zjednoczonymi, a Związkiem Sowieckim. Nie trzeba zapominać, że jest osobowość kulturalna, historyczna, a przede wszystkim polityczna do której należy Polska, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia – mianowicie Europa Środkowa, która w jednoczącej się Europie może odegrać rolę kluczową. A to dlatego, że Europa Środkowa jest znacznie bliższa Europie zjednoczonej, aniżeli

Europie Wschodniej w której widzę Ukrainę, państwa bałtyckie, Białoruś, czy zachodnią Rosję. Użyłbym nawet na pierwszym etapie terminu finlandyzacja dla Europy Środkowej. Naszą szansą jest stać się pomostem między Zachodem, a Wschodem. W jednoczącej się Europie, Europa Środkowa ma swoje miejsce. Czy takie miejsce znajdzie także Europa Wschodnia (taka jaką tu określiłem to jest znak zapytania).

– A jak to widzą politycy Zachodu?

– Jeżeli idzie o politykę amerykańską to idea Europy Środkowej, nawet neutralnej, ale kulturowo, historycznie, gospodarczo i częściowo politycznie, współpracującej z Europą Zachodnią jest bliska establishmentowi Wschodniego Wybrzeża. A więc grupy rządzącej obecnie, ale także za czasów Reagana, mimo napływu kalifornijskich specjalistów. Jednym z typowych przedstawicieli tego establishmentu jest Zbigniew Brzeziński. To Harvard, Yale, Columbia, Centre of Strategic and International Studies w Waszyngtonie – to oni w dużym stopniu wpływają na formowanie i formułowanie polityki amerykańskiej.

W rozmowach jakie miałem okazję mieć na przestrzeni dwóch lat we Francji i Niemczech spotykałem się z podejściem podobnym, z tym, że oczywiście dość specyficzny nurt myślenia jeżeli chodzi o Republikę Federalną Niemiec. Proszę nie zapominać, że idea Europy Środkowej tak jak ją przedstawiłem i tak jak ją widzą niektórzy, np. Anglicy i Amerykanie, to nie jest niemieckie pojęcie „Mitteleuropa”, to nie jest pojęcie Europy Środkowej w której dominują Niemcy. Europa Środkowa w koncepcji zachodnioeuropejskiej, (w pewnych tezach establishmentu USA) to Europa jednocząca się z Zachodnią Europą całą. Na pewno nie jest to Europa zdominowana przez Niemcy. A są tendencje w RFN, które zmierzają w tym kierunku, wyrażają się chęcią zdobycia wpływów gospodarczych, poprzez stabilizację tego co jest, a nie poprzez zmiany, które następują i muszą nastąpić.

– I na koniec jak Pan widzi możliwości dokonania zmian w Polsce?

– Nie zgadzam się z opiniami, które się często spotyka poza Polską, a także i w różnych ugrupowaniach politycznych w kraju, niepodległościowcy i ugodowcy. Nie wyobrażam

sobie i nie sędzę, żeby ugrupowanie polityczne, zawodowe czy inne, którego celem ostatecznym nie byłaby niepodległość kraju. Z tym, że trzeba brać jedno pod uwagę. Żyjemy w erze współzależności. Nie ma absolutnie niepodległych i niezależnych krajów. Są kraje współzależne. Nawet supermocarstwa nie są absolutnie niezależne.

Każdy chce niepodległości i suwerenności swego własnego kraju. Natomiast jest kwestią jak się do tego dąży. W obecnym układzie stosunków można i trzeba do tego dążyć etapami, gdyż nie ma w tej chwili takich rozwiązań na horyzoncie, które mogłyby geopolityczny układ nagle zasadniczo zmienić.

Rozpad imperium sowieckiego, obalenie elity komunistycznej w Polsce nie nastąpi z dnia na dzień. Może natomiast nastąpić stopniowo, w miarę szybko następujących procesów zanikania, uwiędnięcia komunizmu. Żyjemy w epoce agonii komunizmu, jako doktryny i przede wszystkim jako praktyki życia codziennego, życia społecznego. Żyjemy w okresie, kiedy Związek Sowiecki jest supermocarstwem jednowymiarowym, które nie jest ani rywalem, ani mode-

lem społecznym, gospodarczym, ideologicznym.

Nagle zmienia się układ sił i niepodległościowcy powinni „grać” na wszystkie możliwe, ale realne i uczciwe fortepiany. Dlatego osobiście uważam, że rozmowy „okrągłego stołu” to

jest pewien krok. Nie podzielam podnieceń, że teraz wszystko się załatwi.

Ale jest to krok konieczny, bo ostatecznie żyje się w tym ustroju 45 lat.

Nie można żyć w absolutnej negacji cały czas. Do niczego to nie prowadzi.

Niepodległość będzie – ja w to wierzę.

DR. ANDRZEJ ANUSZ

„KURIER AKADEMICKI”
ŚRODOWISKOWE PISMO PODZIEMNE

„Kurier Akademicki” był pismem, które powołaliśmy na przełomie 1986 i 1987 roku. Było to pismo Unii Niezależnego Zrzeszenia Studentów w Warszawie¹. W skład redakcji pisma wchodził: Andrzej Anusz, Mariusz Kamiński, Marek Gessel i Piotr Ciompa², który wspominał:

„Później w 1988 roku doszły kolejne: Piotr Skwieciński, ludzie z roku Pawła Piskorskiego. Wówczas kiedy NZS rozrósł się tak bardzo, my już odchodziłiśmy, nie redagowaliśmy pisma. Mówię natomiast o genezie. Wcale nie było skromnie, bo »Kurier« wychodził na początku w nakładzie tysiąca, półtora tysiąca egzemplarzy. Wtedy nie wiedziałem, kto to nam drukował. Okazało się, że nim przeszliśmy na maszyny offsetowe, to wcześniej »Kurier« drukowany był na sicie przez Grzegorza Ciury i Piotra Węgrowskiego z roku Mariusza Kamińskiego. Całość na maszynie przepisywała Joanna Wilczyńska, studentka ze starszych lat historii”³.

Marek Gessel mówił na ten temat:

„Nasz zarząd NZS-u rozpoczął działalność od założenia pisma »Kurier Akademicki« – »Kurier« był wydawany co miesiąc. Należałem do redakcji i pisałem pod pseudonimem chyba »Macintosh« i »Johnatan«. (...)»

W »Kurierze« działał Piotr Ciompa, choć raczej nie udzielał się w pisaniu. Pisywali Piotr Skwieciński, może Piotr Zaręba, Andrzej Anusz, także inne osoby. Staraliśmy się utrzymać cykl miesięczny. (...) »Kurier« rozprowadzano

¹ Patryk Pleskot, Robert Spalek: Pokolenie 82–90; Niezależne Zrzeszenie Studentów na Uniwersytecie Warszawskim we wspomnieniach (1982–1990), Warszawa 2011, s. 164

² Tamże, s. 165

³ Tamże, s. 165

normalną siecią, kolportażu. To była gazeta środowiskowa. Dystrybuowano go także poza Warszawę. Współpracowaliśmy przecież z innymi ośrodkami.

Wyjeżdżając, zabieraliśmy nasze rzeczy ze sobą. »Kurier« rozchodził się w nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy. To jest naprawdę dużo. Po prostu każdy dostawał ileś egzemplarzy i dawał swoim znajomym. Szło to dalej siecią kolportażu”⁴.

Piotr Ciompa o kolportażu pisma mówił:

„Bibułę rozdawało się znajomym, a znajomi znajomym. Żeby było śmieszniej, do mnie też dochodził »Kurier Akademicki«, a ja przecież go redagowałem. Kolega z roku go kolportował, przychodził i mi po prostu dawał – więc brałem. Po kilka, kilkanaście egzemplarzy różnych pism rozkładaliśmy na na wydziale na stoliki przy szatniach, przy bibliotece”⁵.

Pierwszy numer „Kuriera Akademickiego” ukazał się z datą „luty 1987” i był wydrukowany techniką sitodruku w objętości 2 kartek obustronnie zadrukowanych w nakładzie 500 egzemplarzy. Wydrukowali go nasi koledzy z Wydziału Historii UW: Grzegorz Ciura i Piotr Węgrowski. Od drugiego numeru datowanego na „marzec 1987” pismo wydawane było techniką offsetową w nakładzie powyżej 1000 egzemplarzy.

O druku „Kuriera Akademickiego” Piotr Ciompa wspominał:

„Nawet kiedy byłem w podziemnym zarządzie NZS-u i w redakcji „Kuriera Akademickiego”, to starałem się za dużo niepotrzebnie o ludziach nie wiedzieć. Nie wiedziałem np. kto drukował »Kurier«. Jeżeli udało nam się zamówić druk na maszynie profesjonalnej w jakimś wydawnictwie, to coś wiedziałem, bo była o tym mowa, ale żadnych namiarów na ludzi i adresy nie znałem. Jednak gdy drukowaliśmy go własnym stemplem – to już nie. W strukturach podziemnych, z konieczności nieparzystych, dostęp do informacji o drukarniach, źródłach finansowania itd. Wyznaczał faktyczną hierarchię”⁶.

Kolportująca „Kurier Akademicki” Danuta Bolikowska wspominała:

„Pismo »Kurier Akademicki« (zwane »Kurą«) miało chyba format A4, zadrukowane dwustronnie, sam druk, bez zdjęć. Ciężko się to czytało. Przyszna,

⁴ Tamże, s. 166

⁵ Tamże, s. 178

⁶ Tamże, s. 239

że trudno mi było przebrnąć przez całą szpaltę, zapisaną drobnym maczkiem. Ale już sam fakt istnienia tego pisma, że można je było wziąć do ręki, sprawiał, że czuliśmy się lepiej. Przez gazetki zaznaczaliśmy, że funkcjonujemy”⁷.

W artykule wstępnym do pierwszego numeru pt. NZS-DZIŚ. Od redakcji pisaliśmy w jego zakończeniu:

„Przedstawiony tu obraz działalności studenckiej na pewno jest niepełny, ale nawet na tej podstawie można ocenić, że przed Niezależnym Zrzeszeniem Studentów otwiera się ciekawa przyszłość. Właśnie ku tej przyszłości zwraca się »Kurier Akademicki«. Zamierzamy propagować idee zawarte we wstępie uchwalonego w 1981 r. Statutu NZS-u. »Niezależne Zrzeszenie Studentów jest organizacją studentów kierujących się w swoich działaniach chęcią uczestniczenia w życiu społecznym PRL, przyczyniając się do jego demokracji, utrwalania i pogłębiania praw obywatelskich, swobód twórczych, umacniania niezawisłości kultury i sztuki, działania na rzecz moralności publicznej». Uważamy, że naszym obowiązkiem jest kontynuacja działań dla realizacji tych wartości. Pragniemy by nasze pismo prezentowało różne poglądy i postawy wywierające wpływ na zmianę istniejącego stanu. Czytelniku – oczekujemy Twojego poparcia. Liczymy na pomoc przy zbieraniu materiałów i informacji, kolportaż i pomoc finansową. Od nas samych zależy, czy wykorzystamy szansę którą mamy”⁸.

„Kurier Akademicki” wymagał systematycznej i czasochłonnej aktywności. Robert Mazurek po latach pisał: „Razem (z Mariuszem Kamińskim – A.A.) wydawali »Kurier Akademicki«. Anusz był z tego grona najbardziej pracowity i systematyczny. Kiedy nikomu nie chciało się wyklejać makiety pisma, brał to na siebie i długo siedział z nożyczkami i klejem”⁹. Piotr Ciompa potwierdzał, że Andrzej Anusz bezsprzecznie był najbardziej pracowitym członkiem redakcji „Kuriera”¹⁰.

W „Kurierze Akademickim” poza przygotowywaniem makiety pisma, publikowałem artykuły pod pseudonimami „Mruczek” i „Piotr Karol” (zamieszczam je w dalszej części artykułu).

⁷ Tamże, s. 167

⁸ Kurier Akademicki, Pismo Niezależnego Zrzeszenia Studentów, Warszawa nr. 1, luty 1987, s. 2

⁹ Robert Mazurek: „Tylko nie pod nazwiskiem”. Nowe Państwo, 12 marca 1999 r.

¹⁰ Patryk Puskot, Robert Spalek: op. cit, s. 366

Jednocześnie pełniłem funkcję swego archiwisty redakcji. Zbierałem i przechowywałem wszystkie materiały dotyczące historii i bieżącej działalności Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Powstało Archiwum NZS o którym mówił.

W wydanej w 2007 roku książce pt.: „Jubileusz 25-lecia Niezależnego Zrzeszenia Studentów” kapelan NZS ksiądz Józef Maj: „Pamiętajcie, że to ja spałem na archiwach NZS-u, które były w moim tapczanie. Prawa do nich mieli Andrzej Anusz i Teoś Klincewicz. Nikomu innemu ich nie wydawałem. Andrzej był bardziej uporządkowany, Teoś był żywiołowy”. Gdy patrzyłem na ten okazały stos papierów przypominałem sobie, jak to w momencie zagrożenia ze strony Służby Bezpieczeństwa, materiały te ja sam lub członkowie mojej rodziny wynosili z mieszkania w bezpieczne miejsce. Sytuacje takie zdarzały się wielokrotnie. Ostatni raz w ostatnią sobotę listopada 1988 roku. W dniu moich imienin, kiedy to o godzinie szóstej rano zostałem zatrzymany przez funkcjonariuszy SB. Zatrzymanie według tych panów „miało uniemożliwić udział w spotkaniu kierowniczych struktur opozycji”. Nie była to pierwsza „wizyta” SB w naszym mieszkaniu. Od czasu powstania w marcu 1988 roku jawnego Komitetu Założycielskiego NZS-u którego byłem członkiem, tego typu akcje były dość częste. Kilkakrotnie, gdy nikogo w naszym mieszkaniu nie było, esbecy nachodzili i wypytывali o mnie naszą sąsiadkę. Pewnego dnia o siódmej rano zadzwonił telefon, który odebrała moja mama. Po błyskawicznej rozmowie natychmiast mnie obudziła i kazała uciekać z domu. Pobiłem chyba rekord szybkości w ubieraniu się. Później dowiedziałem się, że zadzwoniła mama innego członka KZ NZS – Pawła Lisickiego, którego właśnie zatrzymała SB. U nas esbecy byli pięć minut po moim „wyjściu”. Tym razem jeszcze się udało, ale następnym razem już nikt nie zadzwonił. Zostałem przewieziony do Pałacu Mostowskich, gdzie zatrzymano mnie na kilkanaście godzin, po czym wypuszczający mnie esbek na pożegnanie krzyknął: „No to spierdalaj”.

Nie poszedłem jednak na moje imieniny, które miały się odbyć w kawalerce, którą wynajmowałem od 1986 roku. Właściwie stale w niej nie mieszkalem, co nie oznaczało jednak, że w mieszkaniu tym panował spokój. Wręcz przeciwnie, dla jednej grupy co jakiś czas było to miejsce składania podziemnej książki, dla drugiej redagowania niezależnego pisma, a czasami odbywały się tam narady

z udziałem liderów „Solidarności”. Nie poszedłem na tę imprezę, gdyż bałem się dekonspiracji lokalu. Obowiązki pani domu spełniła moja ówczesna narzeczona – a dziś żona „Buźka”. Ostatnie moje imieniny w PRL odbyły się więc bez solenizanta. Lokal zaś nie został nigdy zdekonspirowany.

Gdy przeglądałem leżące na biurku numery „Kuriera Akademickiego” miałem świadomość ile trudu i niebezpieczeństw wiązało się z ich wytworzeniem. Aby je wydrukować musieliśmy mieć do tego odpowiednie narzędzia, które były przedmiotem naszych marzeń. To te marzenia realizowałem w 1988 roku gdy przebywałem w Malmö, gdzie jak wielu innych studentów pracowałem w gospodarstwie ogrodniczym. Pobyt w Szwecji był okazją do działań na rzecz Niezależnego Zrzeszenia Studentów. W Lund poznałem Józefa Lebenbauma (dostałem polecenie od Jacka Kuronia), szefa emigracyjnego Independent Polish Agency, instytucji, która wielce zasłużyła się opozycji w Polsce. Przy jego wszechstronnej pomocy poznałem środowisko polskiej emigracji. Były to w większości osoby, które zostały zmuszone do wyjazdu z Polski na fali antysemitycznej nagonki po wydarzeniach marca 1968 roku. Wielu z nich było związanych z Uniwersytetem w Lundzie. Z Malmö na zaproszenie przedstawiciela „Solidarności” w Szwecji Marka Michalskiego, pojechałem do Sztokholmu, gdzie na Uniwersytecie wygłosiłem referat na temat aktualnej sytuacji politycznej w Polsce oraz roli Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Po wykładzie odbyła się zbiórka pieniędzy na NZS.

Do Polski wracałem przez Świnoujście. Po opuszczeniu promu natychmiast zostałem zatrzymany. Powodem zatrzymania był przewóz sprzętu poligraficznego. Ponieważ liczyłem się z taką możliwością większość materiałów dla opozycji udało mi się przewieźć za pomocą innych osób. Są to anonimowi bohaterowie polskiego podziemia. Sam zostałem ukarany grzywną oraz pozbawiony paszportu. Jednak mimo wszystko radość była ogromna. Struktury podziemnego NZS – u zostały zasilone pieniędzmi, sprzętem komputerowym, materiałami poligraficznymi (w tym legendarnym sitem przy pomocy którego drukowaliśmy gazetki), dyktafonami a nawet wysokiej klasy japońskim aparatem fotograficznym, który przekazałem Krzysztofowi Millerowi wtedy początkującemu fotografowi podziemnej prasy, dziś znanemu fotoreporterowi „Gazety Wyborczej”.

Kiedy tak patrzyłem na rękopisy moich artykułów, które pisane pod pseudonimem a później pod nazwiskiem zamieszczałem w niezależnej prasie, przypominałem sobie seminarium magisterskie z najnowszej historii politycznej Polski profesora Jerzego Holzera, w którym brałem udział jako student Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego.

Był to czas szczególny – druga połowa lat osiemdziesiątych i niezwykle zajęcie. Profesor Holzer był wówczas bardzo znany w środowisku studenckim jako autor książki: „Solidarność 1980–1981. Geneza i historia”, której egzemplarz opublikowany przez podziemne wydawnictwo „Krağ” posiadałem. Zanim jednak książka została opublikowana w drugim obiegu oraz w Instytucie Literackim w Paryżu (skąd jej egzemplarze zwłaszcza w formie tzw. miniaturki docierały do kraju), jej maszynopis znajdował się w instytutowej bibliotece i był chyba najbardziej zacytowanym tekstem, jaki znajdował się w ogóle na całym uniwersytecie. Tekst został złożony do depozytu w naszej zrujnowanej bibliotece głównie z myślą o kilku uczestnikach naszego seminarium.

Później z kolegami z podziemnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów podjęliśmy akcję pod hasłem: „Ratujmy BUW”. To właśnie w BUW-ie pracowała, jednocześnie studiując moja żona, ówczesna sympatia „Bużka”.

To w BUW-ie, w którym często przebywałem, widywałem m.in. niepozornego pracownika biblioteki Jarosława Kaczyńskiego.

Kiedy po latach patrzę na poświęcony przez Ojca Świętego Jana Pawła II nowy gmach Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, myślę o obecnych studentach z zazdrością. Z sentymentem przypominałem sobie, że wiele lat temu, w tym miejscu na Powiślu po zajęciach chodziliśmy z kolegami nad Wisłę do baru „Rybitwa”, gdzie zawzięcie dyskutowaliśmy o wszystkim, głównie o polityce. Przez te „zajęcia” przeszło wielu znanych dziś polityków, dziennikarzy i przedsiębiorców.

W czasach pogardy motto książki Jerzego Holzera: „Pamięci tych, którzy zginęli, więzionym, bitym, usuwanym z pracy, prześladowanym, wszystkim którzy pozostali solidarni”, było czymś dla mnie bardzo ważnym. W 1990 roku, już w zupełnie nowej sytuacji, profesor Holzer z innym uczestnikiem mojego seminarium, Krzysztofem Leskim, wydał dalszy ciąg swej książki pt. „Solidarność w podziemiu”.

Na seminarium dyskutowaliśmy o wszystkich problemach zupełnie otwarcie i bez zahamowań. Ale i skład seminarium był szczególny. Byli to w większości ludzie zaangażowani w działalność podziemną. Był redaktor „Tygodnika Mazowsze”, współpracownik tygodnika „Wola”, podziemny wydawca książek, redaktor „Kuriera Akademickiego”. Tak więc, kiedy czasami przychodziłem na zajęcia po nieprzespanej nocy, bo akurat trzeba było złożyć najnowszy numer pisma albo pomóc w składaniu bezdebitowej książki, to profesor patrzył na to wyrozumiale. Przecież innym też się to zdarzało.

Zawsze na naszych zajęciach obowiązywała dyskrecja i lojalność. Poza naszą salą wykładową nadal prześladowano ludzi za działania i poglądy, które u nas wydawały się czymś naturalnym. Tę naturalność czuliśmy nawet wtedy, gdy w maju 1988 roku spotkaliśmy się na Uniwersytecie podczas strajku okupacyjnego ogłoszonego przez NZS, jako znak poparcia dla strajkujących robotników w Stoczni Gdańskiej. Profesor jako członek kierownictwa uczelnianej „Solidarności”, ja jako członek kierującego strajkiem siedmioosobowego Komitetu Strajkowego.

Wspólnie dyskutowaliśmy nad formą zakończenia naszego protestu. Nie była to teoretyczna dyskusja seminaryjna. Za podjęte decyzję mieliśmy ponieść odpowiedzialność i konsekwencje.

Na końcu wygraliśmy. Poza seminarium widziałem profesora Holzera rok później, na warszawskim Żoliborzu, podczas spotkania Jacka Kuronia z wyborcami. Wystąpiłem wówczas w roli szefa kampanii wyborczej Jacka. Profesora sprowadził obywatelski obowiązek. Mieliśmy poczucie satysfakcji – „Solidarność” zwyciężała.

Atmosferę drugiej połowy lat 80. Na Uniwersytecie Warszawskim opisali Kazimierz Groblewski i Paweł Reszka w artykule pod symbolicznym tytułem: „Chłopcy z NZS” opublikowanym w „Rzeczpospolitej” 21 listopada 2000 roku, opisując atmosferę drugiej połowy lat 80. na Uniwersytecie Warszawskim pisali m.in.:

„Rozpoczął się rok akademicki 1987/88. Na Uniwersytet Warszawski miał przyjechać Wojciech Jaruzelski. – Postanowiliśmy powiesić »gadałę« z nagraniem audycji na jego przyjazd – wspomina jedną z typowych akcji Wojciech Lewicki, wówczas student fizyki UW. – Andrzej Anusz jako obstawa stał przed

bramą, Mariusz Kamiński schował się w krzakach, a ja wlałem na drzewo i wiem – opowiada. – Cały uniwersytet był obstawiony. Wyczuwali, że coś może się dziać, lecz nie wiedzieli co. Stał jeden pod drzewem, na którym siedziałem, i się rozgląda. To skoczyłem mu na głowę, z młotkiem w reku. I chodu, w butach o dwa numery za małych. Wyprułem za rektorat, zeskoczyłem ze skarpy. Później mi Kamiński opowiadał, że facet wyciągnął spluwę i krzyczał: stój, bo strzelam. A Mariuszek po dachach jakichś uciekał i okulary zgubił. (...)

Anusz nosił czapkę w kratkę z daszkiem i chodził w charakterystycznej dla tamtego czasu za dużej zielonej kurtce typu parka. Ale i tak wyglądał najporządniej i najstateczniej. Pozostali w krótkich kurtkach i arafatkach pod szyją. – Szczerze mówiąc, niektórzy koledzy robili na mnie wrażenie wiecznych rewolucjonistów – wyznaje Paweł Lisicki, włączony do grona ujawniających się na UW z racji kierowania aktywnym kołem naukowym na prawie. Większość w adidasach, które milicji do tego stopnia kojarzą się z przeciwnikami władzy, że na demonstracjach zomowcy otrzymywali polecenia bicia lub zatrzymywania »tych w adidasach«¹¹.

Cały czas redagowaliśmy nasze pismo, czasami dochodziło do ciekawych sytuacji. Piotr Ciompa wspominał:

„W pewnym momencie zamówiliśmy wywiad z Jackiem Kaczmarskim. Wywiad został przeprowadzony w RFN. On mówił rzeczy absolutnie dla nas obrazoburcze. Myśmy Jacka Kaczmarskiego znali z jego piosenek z jego pieśni, z jego grania. A on zaczął opowiadać w tym duchu: czy artysta ma żyć tak, jak śpiewa, jak tworzy? Odpowiedział, że niekoniecznie. Dystansował się od ducha, którym my żyliśmy. To był przypadek osoby, która już nie ma siły, zaczyna wątpić, czy słusznie dała się porwać tradycji romantycznej. Jak zobaczyliśmy ten wniosek, to w redakcji rozgorzała dyskusja: puszczać czy nie? Ewidentnie mówił rzeczy niezgodne z naszym duchem i w tym piśmie to się nie powinno znaleźć. Jednak zamieszczenie rozmowy z Jackiem Kaczmarskim to była dla pisma sprawa prestiżowa...»¹².

¹¹ Kazimierz Grubiewicz, Paweł Reszka: „Chłopcy z NZS”, Rzeczpospolita, 21 listopada 2000 r., s.3

¹² Patryk Peskot, Robert Spalek: op. cit., s. 165–166

W marcu 1988 roku doszło do drugiego przyspieszenia politycznego. Robert Mazurek pisał:

„Przełom przyniósł marzec 1988 roku, dwudziesta rocznica tamtego Marca, po raz pierwszy obchodzona oficjalnie. Co prawda 8 marca generał Jaruzelski wolał, jak co roku, przyjąć grupę kobiet i wręczyć każdej po goździku, a OPZZ propagowało akcję »kwiatek dla Ewy« w zakładach pracy, ale już rektor UW Grzegorz Białkowski odsłaniał wtedy tablicę upamiętniającą Marzec’68.

Swoje obchody zorganizowało też NZS. – To był czas, kiedy ujawniały się i występowały o rejestrację kolejne zakładowe organizacje »Solidarności« – wspomina Kamiński. – My też postanowiliśmy się ujawnić. Ogłosiliśmy więc powstanie dziesięcioosobowego komitetu założycielskiego, a na wiecu zebraliśmy dwa i pół tysiąca deklaracji członkowskich!

Do komitetu wybrano też Andrzeja Anusza. Rozpoczął się dla niego okres największej akademickiej sławy. Prócz NZS-u prowadził też koło naukowe historyków, gdzie na spotkania przychodziły największe tuzy opozycji, sławy niezależnej nauki. Spotkania prowadził, gości witał, dyskusje zagajał właśnie on¹³.

W związku z wieloma nowymi aktywnościami, które wzięła na siebie pierwsza redakcja »Kuriera Akademickiego« zaczęliśmy stopniowo przekazywać nasze obowiązki w redakcji innym kolegom. Piotr Skwieciński wspominał:

„W pewnym momencie przekazano mi »Kurier Akademicki«. Robiłem go od lata 1988 do lata 1989. Napisałem wielki tekst, reportaż o strajku akademickim właśnie w tym »Kurierze Akademickim«¹⁴.

Jesienią 1988 roku praktycznie byłem już poza redakcją »Kuriera Akademickiego«. Moje ówczesne poglądy dobrze ilustruje prezentacja na zebraniu wyborczym NZS, organizacji formalnie nielegalnej, ale działającej jawnie na Uniwersytecie Warszawskim. Zachowałem rękopis mojego wystąpienia.

„Nazywam się Andrzej Anusz. Jestem studentem IV roku historii. W Niezależnym Zrzeszeniu Studentów działałem od 3 lat. Byłem współzałożycielem »Kuriera Akademickiego«. Od 86 roku byłem członkiem podziemnego zarzą-

¹³ Robert Mazurek: op. cit.

¹⁴ Patryk Peskot, Robert Spalek: op. cit., s. 368

du na naszym uniwersytecie. 8 III zostałem członkiem Komitetu Założycielskiego NZS tzw. »10«, a potem członkiem komitetu strajkowego. Uważam, że powinniśmy działać na trzech poziomach, w skali kraju, w skali uniwersytetu i w skali wydziału.

W skali kraju sprawą najważniejszą jest walka o wolność słowa, wprowadzenie zasady pluralizmu, w tym legalizacji NZS-u i »Solidarności«.

Jest sprawą oczywistą, że będziemy działać niezależnie od kaprysów władzy. Legalizacją nie robią nam łaski, tylko oddają nam to co się nam należy. Ale jeśli jest jakaś szansa legalizacji to powinniśmy z niej skorzystać. Z dwóch powodów. Po pierwsze legalizacja da nam trwałość i stabilizację. Po drugie rozszerzy prawne możliwości naszych działań.

Kolejna sprawa to współpraca z innymi grupami i niezależnymi organizacjami społecznymi i politycznymi. Jesteśmy bardzo ważnym ruchem w kraju, i dlatego nie powinniśmy izolować się od innych. Może nam w tym pomóc współpraca z powstałym niedawno Komitetem Obywatelskim przy Lechu Wałęsie. To samo dotyczy kontaktów zagranicznych, np. z zachodnimi uniwersytetami oraz współpraca z grupami z Europy wschodniej. Musimy odebrać »Zsypowi« monopol w tej dziedzinie. Drugi poziom działania to co zrobimy na naszym uniwersytecie.

Ustawa o szkolnictwie wyższym.

Obecna ustawa pozbawia nas podstawowych praw i wolności akademickich, które mają studenci w wolnym świecie. Dlatego będziemy domagać się wprowadzenia jak najszybciej nowej ustawy, która nam te wszystkie wolności zagwarantuje.

Kolejna sprawa to wojsko.

Bojkot pokazał, że nawet wojsko musi ustąpić przed zdecydowanym naciskiem. Jednak te ustępstwa są dla nas za małe. Nadal poddawani jesteśmy rygorom wojskowym, otrzymanie dyplomu studiów wciąż zależy od ukończenia Studium Wojskowego, bez zmian pozostała roczna służba wojskowa po studiach. O zmianę tych zasad powinniśmy nadal walczyć. Chyba nie doceniamy jak wielu zwolenników przysporzyły NZS-owi akcje o charakterze socjalnym w sprawie: akademików, BUW-u, czy podniesienia stypendiów studentów. Niestety ostatnio odeszliśmy od tych problemów, o których po-

winniśmy zawsze pamiętać. A może na początek pójdziemy spać na Dworcu Centralnym.

Sami powinniśmy zadbać o nasze interesy, zakładając niezależne spółdzielnie pracy, rozszerzając pomoc finansową dzięki niezależnym stypendiom (takie stypendia fundowane z pieniędzy NZS-u istnieją już na wydziale prawa).

Na co dzień widzimy jak wygląda baza materialna naszego uniwersytetu. Brakuje nie tylko podstawowych pomocy naukowych, ale rozsypują się nawet budynki. Naszym obowiązkiem jako studentów jest nieustanne dopominanie się o poprawę sytuacji materialnej naszej uczelni.

Wiąże się z tym sprawa szczególnie dla nas członków NZS-u bardzo ważna. Powinniśmy domagać się zwrotu zawłaszczonego po 13 XII majątku naszej organizacji.

Znamienne jest, że są pieniądze na wojsko i milicję, zaś brakuje ich na edukację. Wreszcie ostatni lecz moim zdaniem podstawowy poziom działań Zrzeszenia to praca w skali wydziału.

NZS skupia ludzi o różnych temperamentach, zainteresowaniach i poglądach politycznych. Dlatego tak trudno nam stworzyć jednolite, zwarte środowisko w skali całego uniwersytetu. Większe możliwości integracji środowiska posiada NZS wydziałowy. W związku z tym powinna nastąpić decentralizacja podejmowania działań i inicjatyw, a co za tym idzie pewna koncentracja środków, którymi dysponuje NZS na wydziałach.

Ponieważ na wielu wydziałach nie działa samorząd, jego funkcje winni przejąć członkowie NZS. Tylko silny NZS na wszystkich wydziałach będzie w stanie bronić praw i interesów studentów, bez tego Komisja Uczelniana nie będzie miała realnego wpływu na uniwersytecie. Przewodniczący NZS-u powinien być w pewnej mierze menadżerem oddolnych inicjatyw, zaś Komisja Uczelniana powinna pomagać w ich realizacji i decydować o akcjach o charakterze ogólnouniwersyteckim.

Myślę, że jeśli wykorzystamy wszystkie szanse i możliwości, które przed nami stoją – Niezależne Zrzeszenie Studentów będzie w pełni zasługiwało na miano studenckiej solidarności”.

Historia „Kuriera Akademickiego” dobiegała końca. Piotr Skwieciński opowiada:

„Jesienią 1989 r. ja już jestem na zupełnie innym etapie, tzn. kończę pracę magisterską i trzeba się z tym wszystkim żegnać. Przekazuję »Kurier Akademicki« Piskorskiemu bodajże albo Mellerowi. Mellerowi chyba. W ogóle od pewnego czasu zebrania redakcji »Kuriera» robiliśmy u Mellera, na ulicy Rajców, na Nowym Mieście”¹⁵.

Ostatni numer „Kuriera Akademickiego” ukazał się z datą październik-listopad 1989” z tytułem na pierwszej stronie: „Jesteśmy wreszcie legalni” oraz z „kalendarium walki”.

Łącznie od lutego 1987 roku do listopada 1989 roku ukazały się 23 numery pisma. Pierwszy numer drukowany był metodą sitodruku. Pozostałe techniką offsetową. Od numeru 21 z 15 lutego – 1 marca 1989 roku pismo było płatne (cena 20 zł), ostatni numer z związku z szalejącą inflacją kosztował już 100 złotych.

Nakład pisma wahał się od 500 do 1500 egzemplarzy.

W piśmie przewarzały artykuły i informacje dotyczące środowiska akademickiego oraz działalności Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

W działalności redakcji nigdy nie doszło do dekonspiracji i wpadki.

Kontynuowałem swoją aktywność publicystyczną w pismach podziemnych. Przez cały czas pomagałem ojcu redagować gazetkę „Żeby Polska była Polską”. Opublikowałem artykuły „Zadymiarze” w tygodniku Wola Strajki i manifestacje na uczelniach, w Kwartalniku „21”, oraz wywiady w „Samorządnej Rzeczypospolitej” i tygodniu „Wola”.

Artykuł z Kuriera Akademickiego pt. „Czy muszą być cymelia?” został przedrukowany przez paryską „kulturę” w nr.1/496-2/497 z 1989 roku.

Na zakończenie artykułu publikuję moje artykuły w porządku chronologicznym:

¹⁵ Tamże, s. 407

Wokół Marca 1968: Kuroń, Lawina, Lipski, Lityński, Wujec, Zambrowski

Redakcja podziemnego „Kuriera Akademickiego” zorganizowała w styczniu 1987 roku spotkanie z uczestnikami wydarzeń marcowych 1968 roku. Obecni byli: Jacek Kuroń, Anatol Lawina, Jan Józef Lipski, Jan Lityński, Henryk Wujec i Antoni Zambrowski. W numerze 2. Kuriera Akademickiego datowanego na „marzec 1987” ukazały się opracowane przeze mnie pod pseudonimem Piotr Karol fragmenty dyskusji. Po latach publikuję całość relacji z tego spotkania.

(Tekst ukazał się w 5 numerze Opinii »zima 2014«)

Spotkania – co dalej? (Kurier Akademicki nr. 2, marzec 1987)

W bieżącym roku akademickim (1986/87) trwa wytężony okres spotkań z „ciekawymi ludźmi”. Wiąże się to ze zmianą sytuacji politycznej, jaka nastąpiła po zwolnieniu większości więźniów politycznych. Spotkania te mieszczą się w akcentowanym obecnie „jawniackim” trendzie działań opozycji. Organizatorzy pragną na trwale umieścić tę działalność w kulturalnej i politycznej rzeczywistości kraju. Myślę, że mają dużą szansę na osiągnięcie tego celu.

Spotkania organizowane są przez różne środowiska i instytucje. W większości to inicjatywy niezależne od władz. Najdłuższą tradycję spotkaniową mają środowiska związane z Kościołem: Kluby Inteligencji Katolickiej, grupy skupiające się przy duszpasterstwach środowiskowych (np. przy kościele Najświętszej Maryi Panny na Nowym Mieście) i duszpasterstwa akademickie. Zajmują się również organizacją spotkań cyklicznych, takich jak tygodnie kultury chrześcijańskiej, które odbywają się na terenie całej Polski.

Inaczej jest w środowisku akademickim. Na terenie uczelni działa wiele kół naukowych (tylko na Uniwersytecie – 13), które organizują wiele interesujących spotkań. W tym roku na UW byli m. in. Marcin Król (kilkakrot-

nie), Tadeusz Konwicki, Piotr Niemczyk (student UW, członek WiP), Wojciech Lamentowicz, Andrzej Drawicz, Jacek Bartyzel, Ernest Bryll, Ryszard Bugaj, Paweł Śpiewak i ojciec Jacek Salij. Organizują również spotkania Polskie Towarzystwo Historyczne i Polskie Towarzystwo Socjologiczne (np. ciekawa sesja na temat historii i współczesności samorządów robotniczych). Wreszcie poza uczelniami działają mniejsze grupy studenckie, które organizują dyskusje w dzielnicowych i osiedlowych domach kultury.

Ta aktywność spowodowała reakcję zależnych od władz organizacji.

Rozpoczęto zakładanie klubów dyskusyjnych (lub je reanimowano), które mają stać się konkurencyjne w stosunku do już istniejących. Podstawowym warunkiem konkurencyjności jest przyciągnięcie do siebie ciekawych prelegentów. Obecnie „ciekawymi prelegentami” są w większości osoby związane z opozycją, które zaczęto zapraszać. Dużą aktywność na tym polu rozwija istniejący przy klubie ZSP „Hybrydy” klub dyskusyjny „Reaktor”.

W „Hybrydach” był już Piotr Wierzbicki (na plakacie informacyjnym określa się go jako autora wydanej w drugim obiegu książki *Mysli staroświeckiego Polaka!*), Paweł Śpiewak, Mirosław Dzielski, czy wreszcie Stefan Kisielewski. Plotka głosi, że na spotkanie zaproszono Leszka Moczulskiego, który jednak musiał wyjechać w celach leczniczych za granicę.

Sprawa uczestnictwa „naszych ludzi” w spotkaniach organizowanych przez „nie nasze” kluby wzbudza kontrowersje. Niektórzy twierdzą, że przez taką działalność grozi nam rozmycie środowiska („zamknijmy się w naszym ogródku i pilnujmy naszych kamyczków”) i w przyszłości jego rozbicie. Jest to pogląd mało przekonujący. Uważam „wrzucanie naszych kamyczków” (ludzi opozycji) do „ogródka antagonistów” (np. zsyppowskie kluby studenckie) za duży sukces. Niezależne środowiska i tak będą miały możliwość uczestniczenia w spotkaniach „ze swoimi”, „naszych” posłuchają osoby, które by nigdy same „do nas” nie przyszły. W efekcie może więc nastąpić rozszerzenie środowiska opozycyjnego, a nie jego rozbicie.

Uważam, że w chwili obecnej konieczne jest kształcenie elity opinio-twórczej i przywódczej, która środowisku studenckiemu jest potrzebna. Gdy „przyjdzie czas” (czy aby już nie przyszedł?), będzie mogła odegrać rolę katalizatora nastrojów i pokierować środowiskiem. Spotkania mogą stać się istotnym

czynnikiem kształtowaniu tej grupy. Jednak konieczne są pewne uzupełnienia do stanu obecnego.

Spotkania organizowane są w miejscach publicznych(kościół, sale wykładowe itp.), co powoduje, że przyjść może właściwie każdy. Dobór uczestników może więc być częściowo przypadkowy (ma to też dobre strony – o tym dalej).

Stwarza to nieograniczone możliwości kontroli spotkań przez SB – z konieczności dyskusje cechuje często (nie zawsze) dość wysoki stopień abstrakcji i prelegent zmuszony jest do autocenzury.

Jakie należy wprowadzić modyfikacje? Niezbędne jest poszerzenie listy organizatorów spotkań – niech to nie będą ciągle te same osoby – którzy komunikowaliby się z prelegentami

W ten sposób powstaną stosunkowo szerokie i jednocześnie bliskie więzi między „wykładowcami” i słuchaczami.

Uważam, że jest to sprawa o podstawowym znaczeniu. Bardzo ważna jest kwestia kopiowania i powielania treści spotkań („magnetofon jest antyrządowy”). Większa liczba osób będzie mogła zapoznać się z treścią spotkań, które mogłyby być wielokrotnie analizowane, co poprawiłoby ich recepcję. Sądzę, że celowe jest w niektórych przypadkach spotykanie się z niektórymi prelegentami wielokrotnie. Umożliwiłoby to pełniejsze poznanie danej osoby i jej poglądów. Zapraszanie na to samo spotkanie osób różniących się zapatrywaniami na dany temat bardziej uatrakcyjniłoby jego przebieg. Spotkania mogłyby posłużyć jako pomost między opozycją a władzą. Wierzę, że gdyby doszło do rzeczowej wymiany argumentów, wpłynęłoby to na poprawę przynajmniej atmosfery politycznej. Jest kwestią problematyczną, czy „ludzie władzy” chcieliby uczestniczyć w takiej wymianie poglądów – łatwo mógłby wyjść na jaw ich brak kompetencji w różnych kwestiach. Na tym polu są już pewne osiągnięcia. Na Uniwersytecie doszło do spotkania z udziałem prof. Jerzego Ozdowskiego z jednej strony i doc. Wojciecha Lamentowicza z drugiej. Jan Lityński, członek RKW, uczestniczył w spotkaniu stworzonej przez władze grupy dialogowej „Consensus”. Niestety spotkania te odbyły się na jesieni ubiegłego roku i do tej pory pozostały jedynymi. Ludzie związani z opozycją chcą spotykać się z przedstawicielami władz, lecz na gruncie neutralnym (np. Uniwersytet), nie zaś w fasadowych tworach (np. PRON). Niezbędne jest wprowadzenie formu-

ły spotkań „bardziej zamkniętych” – informacja przekazywana w sposób ograniczony. Możliwe byłoby wtedy przygotowanie również słuchaczy (np. lektury podawane z czasowym wyprzedzeniem).

Sprawą według mnie najważniejszą jest rozszerzenie obecnej formuły spotkań o dyskusje organizowane w mniejszych grupach i w prywatnych miejscach. Większość mankamentów obecnego stanu przestałaby istnieć. Pojawiłyby się nowe. Spotkania takie miałyby charakter bardziej elitarny. Konieczne byłoby odpowiednie przestrzeganie „zasad bhp” (dobór uczestników). Pragnę podkreślić, że mój projekt nie zakłada likwidacji dotychczasowej formuły, lecz ją w sposób istotny dopełnia. Uważam, że spotkania „elitarne” (które się odbywają) dadzą się włączyć w szerszy model spotkań. W ten sposób powstałby model dwupoziomowy.

Pierwszy poziom, szerszy, bardziej otwarty, ale płytszy, obejmowałby dotychczasową formułę spotkań, uzupełnioną modyfikacjami, które przedstawiłem. Drugi poziom – wyższy, bardziej zamknięty, lecz głębszy – obejmowałby spotkania w mniejszych grupach na gruncie prywatnym. Powstałby otwarty i naturalny dobór uczestników. Możliwe byłoby, aby „osoba z ulicy” po jakimś czasie uczestniczenia w spotkaniach drugiego poziomu oraz po pewnym czasie uczestniczenia w spotkaniach pierwszego poziomu i nawiązaniu tam kontaktów, miała możliwość wejścia do „elity”. Warto zauważyć, że w spotkaniach odbywających się w różnych instytucjach uczestniczy w zasadzie ta sama grupa ludzi. Ewentualne wejście do niej prowokatora jest utrudnione. Jednocześnie wykształciłby się pewien sposób zabezpieczenia uczestników spotkań (zwłaszcza studentów). W razie jakichkolwiek represji, prelegenci, mający bardzo często kontakty z niezależnymi i zachodnimi środkami informacji, niezwłocznie poinformowaliby o nich. Oczywiście mogliby w poważniejszych przypadkach ułatwić pomoc materialną i prawną. Zdaję sobie sprawę, że model spotkań, który przedstawiłem, teoretyczny, może się okazać nieprzystosowany do rzeczywistości. Jednak myślę, że w chwili obecnej widoczna jest ewolucja formuły spotkań do stanu jaki przedstawiłem.

**Po pielgrzymce
(Kurier Akademicki nr. 4, lipiec 1987)**

Często porównuje się pielgrzymki Jana Pawła II do przejścia huraganu, który powoduje tylko chwilowe zmiany, gdyż po pewnym czasie wszystko wraca do poprzedniego stanu. Obawialiśmy się, że trzecia wizyta Ojca Świętego w Ojczyźnie nie będzie w stanie wywołać nawet tych przejściowych zmian. Na szczęście stało się inaczej.

Papież na całej trasie swej podróży, zaczynając od Warszawy, poprzez Lublin, Tarnów, Kraków, Szczecin, Gdynię, Gdańsk, Częstochowę, Łódź i kończąc znów w stolicy, wyraził swoje zdecydowane poparcie dla „Solidarności”. Jak sam powiedział w Gdańsku na Zaspie, stał się wyrazicielem dążeń polskiego społeczeństwa, które nie może ich wyrazić w sposób pełny i nie skrepowany. Ludzie spontanicznie i tłumnie przychodzili na spotkania z Papieżem. Cieszyliśmy się, że na trasie pielgrzymki bardzo aktywni i widoczni byli studenci, którzy wyrażali swe żądania przestrzegania podstawowych wolności akademickich, możliwości legalnego działania Niezależnego Zrzeszenia Studentów i innych niezależnych inicjatyw studenckich. O społeczności akademickiej nie zapomniiał Papież, który w swym przemówieniu na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim między innymi powiedział: „Uniwersytet ze swojej natury służy przyszłości człowieka i narodu. Jego zadaniem jest stale wywoływać sprawę tej przyszłości w świadomości społecznej. Wywoływać w sposób niestrudzony, nieustępliwy. Mamy tylu młodych, obiecujących ludzi. Nie możemy dopuścić do tego, aby nie widzieli oni dla siebie przyszłości we własnej ojczyźnie. Więc – jako również syn tej ojczyzny – odważam się wyrazić pogląd, że trzeba przemyśleć wiele spraw życia społecznego, struktur, organizacji pracy aż do samych założeń współczesnego organizmu państwowego pod kątem przyszłości młodego pokolenia na ziemi polskiej. Uniwersytety, uczelnie, nie mogą odsunąć się od potrzeby dawania świadectwa rzeczy istotnych dla bytu Polski”. Ojciec Święty stwierdził dalej: „Społeczeństwo oczekuje od swych uniwersytetów ugruntowania własnej podmiotowości, oczekuje uznania racji, które je uzasadniają oraz motywów i działań, które jej służą. Z tym też jest ściśle związany wymóg wolności akademickiej – czy też słusznej autonomii uniwersytetów i uczelni.

Ta właśnie autonomia na służbie prawdy poznawanej jest warunkiem niejako organicznym podmiotowości całego społeczeństwa, wśród którego uniwersytety spełniają swoją misję. Z tym też jest ściśle związany wymóg wolności akademickiej – czy też słusznej autonomii uniwersytetów i uczelni. Ta właśnie autonomia na służbie prawdy poznawanej jest warunkiem niejako organicznym podmiotowości całego społeczeństwa, wśród którego uniwersytety spełniają swoją misję”.

Z pewnością przebieg i wyniki wizyty Papieża w Polsce będą jeszcze wielokrotnie analizowane. Jednak już dziś można stwierdzić jej wymierne efekty. Utwierdziła nas w wyborach moralnym i politycznym, których dokonaliśmy, i na pewno przyczyni się do zwiększenia aktywności i konsekwencji w ich realizacji. Mamy nadzieję, że wzrost stanu świadomości społecznej, który nastąpił w wyniku trzeciej wizyty Ojca Świętego, utrwali się i nie opadnie razem z pyłem, wznieconym przez Pielgrzyma z Rzymu.

Czy Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego jest nasza? (Kurier Akademicki nr. 6–7, październik 1987)

O tym, że sytuacja Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego jest katastrofalna, wie każdy pracownik i student tej uczelni. W środkach masowego przekazu poświęcono tej sprawie wiele czasu i miejsca. Niestety, relacje te ograniczały się z reguły do opisu stanu biblioteki, nie wysuwano żadnych konkretnych propozycji polepszenia go. Tymczasem biblioteka i jej zasoby ulegają systematycznej degradacji. Natychmiast należy wykonać 386 000 zabiegów w zakresie renowacji zbiorów, 630 000 w zakresie oprawy, 1 140 000 zabiegów dezynfekcji, 62 000 konserwacji opraw często cennych woluminów i 5 535 zabiegów renowacji najcenniejszych woluminów. Myślę, że liczby te w sposób wystarczający świadczą o skali potrzeb. Inne z nich to: natychmiastowe podjęcie budowy zakładu konserwacji zbiorów (lokalizacja i projekt oczekują od kilku lat na realizację), budowa nowego magazynu zasobowego, wreszcie budowa nowego gmachu głównego biblioteki (przetargi o jego lokalizację trwają już bardzo dłu-

go i jeszcze nie ma ostatecznej decyzji). Koszty tych inwestycji w przybliżeniu mają wynieść kilkanaście miliardów złotych.

Władze pozauniwersyteckie nie robią nic, aby zmienić ten stan. Można odnieść wrażenie, że czynią to z premedytacją, że skoro nie udało się zniszczyć niezależnego ducha na uniwersytecie oddziałując na kadrę naukową i studentów środkami ideologicznymi, może uda się to, gdy zastosuje się naciski materialne. Może niepokorni przyjdą do ręki pana, który za wyrzeczenie się niezależności da pieniądze na odbudowę uniwersytetu. Chciałbym, by to moje wrażenie było błędne.

Ogrom potrzeb BUW przeraża niemal wszystkich, w tym również środowiska opozycyjne na uniwersytecie. Zebranie tak ogromnej ilości pieniędzy jest przecież niemożliwe.

Po tym stwierdzeniu... opadają ręce.

Uważam, że założenie „wszystko, albo nic” w tym przypadku jest błędne. Sądzę, że nawet mała, lecz konkretna akcja na rzecz biblioteki jest sensowna i konieczna. Chciałbym przedstawić kilka konkretnych propozycji działań na rzecz BUW, które – jak sądzę – mogłyby być realizowane przez środowisko studenckie. Jest to szerokie pole do aktywności zarówno dla tych niezależnych instytucji studenckich, które działają w sferze jawnej, jak i dla Niezależnego Zrzeszenia Studentów – w działaniach wspierających. A może ZSP mogłoby włączyć się do tej akcji? Czekamy z niecierpliwością.

A oto moje propozycje działań:

I. Należałoby rozpocząć od akcji propagandowej. Polegałaby ona na:

- a) akcji plakatowo-ulotkowej,
- b) wysyłaniu masowo, lecz indywidualnie (należy sprawiać jak najwięcej kłopotu instytucjom, które zobowiązane są każdemu obywatelowi odpowiedzieć na skargę) listów do odpowiednich władz,
- c) zbieraniu podpisów pod listami zbiorowymi,
- d) pisaniu i rozpowszechnianiu apeli sygnowanych przez przedstawicieli niezależnych instytucji studenckich,
- e) można podjąć działania radykalniejsze, takie jak pikety, „sitingi” itp.

II. Następnie powinniśmy podjąć działania w celu uzyskania konkretnej pomocy materialnej. Problem, na który niestety nie mamy wpływu, stanowi uzyskanie zgody na założenie konta, na które można wpłacać pieniądze dla BUW. Gdyby władze umożliwiły założenie takiego konta, należałoby wyznaczyć ogólnie znaną i szanowaną osobę, która odgrywałaby rolę rzecznika niezależnej fundacji. Sposoby uzyskiwania funduszy to:

f) wydrukowanie „cegiełek” pomocy dla BUW, o ile to możliwe za pomocą poligrafii uczelnianej, wówczas można by je rozprowadzać jawnie, gdyby nie uzyskano pozwolenia na druk i rozpowszechnianie „oficjalnych cegiełek”, powinien je wydać NZS,

g) organizowanie zbiórek pieniężnych w miejscach publicznych (należałoby uzyskać na to zgodę odpowiednich władz),

h) organizowanie imprez kulturalnych, z których zysk byłby przeznaczony na ratowanie BUW (koncerty, wystawy, pokazy filmów itp.),

i) zorganizowanie loterii uniwersyteckiej, zysk z niej zasiliłby fundusz BUW,

j) różnego rodzaju aukcje (np. książek),

k) przyłączanie się studenckich spółdzielni pracy (poprzez konkretną pracę na rzecz BUW lub wsparcie finansowe).

Myszę, że na początek te propozycje wystarczą. Mam nadzieję, że pojawią się nowe.

Artykułem tym chciałem zapoczątkować dyskusję (oby się na niej nie zakończyło!) nad propozycjami konkretnych działań, które w jakiś sposób mogą poprawić sytuację Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. To, że jest źle, wiemy, ale jak to zmienić? Myszę, że wiele osób, którym zależy na rozwoju Uniwersytetu, ma swoje spostrzeżenia i uwagi dotyczące konkretnych działań. Może napisaliby do nas?

Studenci i zniżki (Kurier Akademicki nr. 6–7, październik 1987)

Jednym z przywilejów, wynikających ze statusu „bycia studentem” jest posiadanie zniżek, obejmujących różnego rodzaju usługi. Zniżki dla studentów wprowadzone są w państwowych środkach komunikacji, jednak zauważalne jest pewne ograniczenie ulg studenckich, najczęściej przez tworzenie nowych „kategorii przewozowych” (np. autobusy nocne) nie objętych zniżkami. W ostatnim czasie można odnieść wrażenie, że pojawiła się jakaś niechęć do studentów korzystających ze zniżek. Przejawia się to w rygorystycznym przestrzeganiu przepisów, czego przykładem jest drobiazgowo kontrolowanie dokumentów uprawniających do ulg. Najmniejszy powód do zakwestionowania legitymacji studenckiej (np. brak wypisanego roku na odpowiedniej pieczęcie) pociąga za sobą zagrożenie karą za nieuprawnione korzystanie ze zniżek.

Kwestia ulg jest problemem do tej pory do końca niewyjaśnionym między administracjami uczelni i odpowiednimi ministerstwami, którym podlegają „zniżkowe usługi”. Najlepszym przykładem są zaświadczenia wystawione studentom przez dziekanaty (gdy student zgubi legitymację, a nie ma czasu przed podróżą wyrobić nowej), uprawniające do zniżek na kolei. Niestety, kontrolerzy tych zaświadczeń nie uznają. Również próby uzyskania ulg na aktualne indeksy kończą się niepowodzeniem.

Niedawno skończyły się wakacje. Wielu z nas podróżowało. Z pewnością nieraz zastanawialiście się, dlaczego korzystając z usług Państwowej Komunikacji Samochodowej (PKS) musimy tak drogo płacić za bilety, dlaczego nie mamy zniżek tak jak w PKP czy też w MZK.

Problem ten nie jest nowy. Zasygnalizowany został władzom w czasie studenckich strajków w lutym 1981 roku w jednym z postulatów wtedy wysuniętych domagano się wprowadzenia dla studentów zniżek w PKS, sprawa ta nie została załatwiona.

Argumenty władz sprowadzają się do twierdzenia, że PKS jest firmą „luksusową”, z której nie muszą wszyscy korzystać, ponieważ jest alternatywa w postaci lepiej rozwiniętej sieci PKP. Jeżeli zaś chcemy gdzieś być szybciej, to trzeba

za to płacić. Argument ten jest chybiony, gdyż jest wiele miejsc w Polsce, do których można dojechać tylko autobusem.

W chwili obecnej ceny biletów PKS są bardzo wysokie. Dla studentów z prowincji, dojeżdżających nawet raz na jakiś czas do ośrodków studenckich, wyjazd do domu i z powrotem jest poważnym wydatkiem. Uważam, że powinniśmy się domagać pełnego wyjaśnienia i uproszczenia zasad korzystania ze zniżek oraz wprowadzania ulg dla studentów w PKS.

Prawo dla każdego (Kurier Akademicki nr. 6–7, październik 1987)

Podjmując niezależną działalność narażeni jesteśmy na kontakty z przedstawicielami tzw. „Milicji Obywatelskiej”, „Służby Bezpieczeństwa” i innych organów podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Starać się oni będą wszelkimi możliwymi sposobami wybić nam z głów wszelką myśl o jakimkolwiek działaniu. Przy każdej okazji będą podkreślali, że czynią to zgodnie z przepisami prawa. W rzeczywistości tak nie jest i bardzo często wykorzystują naszą nieznajomość prawa, uzyskując pożądane dla siebie efekty. Aby się temu skutecznie przeciwstawić, musimy odpowiednio przygotować się na te „spotkania”.

Od połowy lat siedemdziesiątych w niezależnym obiegu wydawniczym zaczęły się pojawiać poradniki dla działaczy opozycji, opisujące prawa, które im przysługują w czasie przesłuchań i innych czynności śledczych. Starano się w nich również wypracować pewien model zachowania w stosunku do funkcjonariuszy tak, aby kontakty z nimi powodowały jak najmniejsze straty dla samych działaczy oraz dla środowisk, z którymi byli związani. Poradniki te cieszyły się i cieszą nadal dużą popularnością, o czym może świadczyć fakt kilkakrotnego wznawiania podstawowej w tej dziedzinie książki „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa”, wydawanej przez Niezależną Oficynę Wydawniczą.

Niestety, tych specjalistycznych poradników jest stanowczo za mało i nie wszystkie zainteresowane osoby mogą do nich dotrzeć. Niedawno jednak otrzymaliśmy prezent od państwowego wydawcy w postaci książki Piotra Hof-

mańskiego „Obywatel przed organami ścigania”. Praca ta spełnia podstawowe wymogi dobrego poradnika i polecam ją wszystkim „potrzebującym”. Dla wprowadzenia w tę interesującą lekturę, przytaczam z niej dwa fragmenty.

1. „...Domniemanie niewinności. Podejrzany jest stroną w postępowaniu przygotowawczym. Jego pozycja jest szczególna ze względu na obowiązującą w procesie karnym zasadę domniemania niewinności. Zgodnie z tą zasadą podejrzany (a później przed sądem oskarżony) uważany jest za niewinnego aż do momentu prawomocnego skazania. Nie jest to oczywiście nakaz subiektywnego uznawania podejrzanego za niewinnego, gdyby tak było, żaden funkcjonariusz nie mógłby wszcząć postępowania, żaden prokurator nie wniósłby aktu oskarżenia, a żaden sąd nie wydałby wyroku skazującego. Chodzi zatem o niewinność „w oczach prawa”. Z zasady tej wynikają doniosłe konsekwencje, a przede wszystkim to, że od nikogo nie można wymagać, aby udowodnił swoją niewinność, a wręcz przeciwnie – aby skazać trzeba udowodnić winę. Po wtóre konsekwencjami zasady domniemania niewinności jest prawo do milczenia i reguła, zgodnie z którą wszelkie nie dające się usunąć wątpliwości w procesie karnym należy tłumaczyć na korzyść podejrzanego (oskarżonego). Takie usytuowanie pozycji podejrzanego w postępowaniu karnym rzutuje na zakres przyznawanych mu przez prawo uprawnień...” (s. 26-27)

2. „...Prawo do milczenia. Prawo do milczenia jest jedną z najważniejszych konsekwencji zasady domniemania niewinności. Z art. 63 K.P. wynika wprost prawo podejrzanego do odmowy wyjaśnień i odpowiedzi na pytania bez podania powodu.

Korzystanie z prawa do milczenia nie może powodować żadnych negatywnych konsekwencji dla podejrzanego. Wprawdzie skrucę podejrzanego i dobrowolne przyznanie się do winy traktuje się jako okoliczności łagodzące, jednak w żadnym wypadku nie można traktować nie przyznania się winy i odmowy wyjaśnień jako okoliczności obciążających.

Jest rzeczą dyskusyjną, czy obowiązujące przepisy nakładają na organy procesowe obowiązek informowania podejrzanego o przysługującym mu prawie do milczenia. Praktyka w tym zakresie nie jest jednolita. Niepoinformowanie podejrzanego o prawie do milczenia może często uczynić jedno z najważniejszych uprawnień procesowych podejrzanego zupełnie fasadowym. W każdym

jednak razie stawia w znacznie lepszej sytuacji podejrzanych obeznanych z procedurą (np. recydywistów)..." (s. 39)

Życząc przyjemnej (?) i owocnej lektury, nie życzę nikomu, aby z wiedzy, którą uzyska po przeczytaniu tej książki musiał korzystać. Jednak nigdy nic nie wiadomo...

Piotr Hofmański „Obywatel przed organami ścigania” Wydawnictwo Prawnicze (w serii prawo dla każdego”), 92 str., cena 120 złotych, nakł. 15000.

Słuchajmy muzyki nocą (Kurier Akademicki nr. 6–7, październik 1987)

Jest późna noc. Siedzę i rozmyślam nad „naszymi sprawami”. Gra radio. Właśnie nadaje program „Muzyka nocą”. Jest to audycja, która na antenie Programu I Polskiego Radia nadawana jest co noc, od północy do trzeciej rano. Realizowana jest „na żywo” z udziałem słuchaczy, którzy w czasie jej trwania dzielą się swoimi spostrzeżeniami i refleksjami na różne tematy. Prowadzący starają się realizując program bardzo często zaproponować tematy do rozmowy, np. „moje muzyczne fascynacje”, „czym jest uczciwość” itp. Audycja ta cieszy się dużym powodzeniem. Słuchają jej ludzie cierpiący na bezsenność, pracujący i uczący się, liczni studenci.

Może by spróbować uczynić z tej audycji program, w którym poruszane byłyby sprawy interesujące środowisko akademickie? Uważam, że spróbować warto, zwłaszcza że istnieje taka możliwość, wynikająca z samej formuły tej audycji.

Sprawą dla nas najważniejszą jest fakt, że program jest realizowany „na żywo”, z udziałem słuchaczy, którzy wypowiadają się w sposób bezpośredni i nieskrępowany. Możemy zrobić próbę i po przeprowadzeniu rozmowy np. o koncercie na którym byliśmy, pozdrowić znajomego, najlepiej używając „ksywki” – „pozdrawiam Zenka z Niezależnego Zrzeszenia Studentów SGGW”. Następnym razem może to być Jolka z nieogrzanego akademika „Riwiera” przy ulicy Waryńskiego. Pomysłów może być bardzo dużo. Możemy

rozmawiać o studenckich problemach w sposób bardziej rozbudowany. Proponuję urządzenie zawodów retorycznych, np. „jak rozmowę o polskim, kinie przekształcić w inteligentny sposób w dyskusję o autonomii Uniwersytetu i doprowadzić ją do końca”.

Może w ten sposób problemy które nas nurtują będą mogły dotrzeć do szerszego grona odbiorców i uda nam się stworzyć „przyczółek NZS-u w Polskim Radiu”. Czekamy na pozdrowienia między północą a trzecią.

Ps. Po tym jak 7.01 słuchacz „Muzyki nocą” (Polskie Radio PR. I) zadedykował piosenkę „przyjacielowi z WIP” prowadzący audycję Andrzej P. Wojciechowski został zawieszony do końca lutego „za brak reakcji” a wszystkim pracownikom zaserwowano szkolenie polityczne (wykładał pułkownik MSW). Jednak gdy w maju zadzwonił słuchacz z Amsterdamu i opowiadał jak przed 13 XII 1981 r. na ulicach Białegostoku, gdzie mieszkał, pojawiły się jednostki Armii Czerwonej, Andrzej Jaroszewski, zamiast przerwać tę wypowiedź, zauważył: „Cóż, sąsiadów sobie nie wybieraliśmy”. I jego więc zawieszono. („S” RiTV nr 17).

Studenci ratują swój BUW (Kurier Akademicki nr. 10, luty 1988)

W październikowym numerze „Kuriera Akademickiego” ukazał się artykuł (Waszego miauczącego sługi) pod tytułem *Czy biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego jest nasza?*, opisujący tragiczny stan BUW-u. Wysunięto w nim propozycję konkretnych działań na jej rzecz, możliwych do przeprowadzenia przez środowisko akademickie.

Na początku października ubiegłego roku grupa studentów Uniwersytetu zwróciła się do Władysława Siły-Nowickiego, członka Rady Konstytucyjnej, z prośbą, aby na najbliższym posiedzeniu przedstawił katastrofalną sytuację biblioteki uniwersyteckiej. 14 października mecenas Siła-Nowicki spełnił to życzenie. Zakończył swoją wypowiedź słowami: „Pragnę, żeby ten głos młodzieży, studentów, którzy z tym do mnie przyszli, rozległ się tutaj, w naszym zgromadzeniu i wobec przewodniczącego Rady Państwa”.

W listopadzie Zarząd Rady Studenckich Kół Naukowych Uniwersytetu

Warszawskiego (instytucji tolerowanej przez władze uczelni, lecz działającej w zasadzie nieformalnie) wystosował apel zatytułowany „Ratujmy BUW!”, który został rozesłany do prasy (do tej pory fragmenty apelu ukazały się w „Przeglądzie Katolickim” i „Życiu Warszawy”) oraz był kolportowany na Uniwersytecie. Jednocześnie rozpoczęto akcję plakatową, informującą o katastrofalnym stanie biblioteki.

19 listopada członkowie Kół Naukowych rozpoczęli na terenie Uniwersytetu zbiórkę pieniędzy z przeznaczeniem ich na ratowanie BUW-u.

16 grudnia, podczas imprezy-happeningu pod hasłem „Bardzo Święty Mikołaj”, odbyła się zbiórka pieniędzy na benzynę, która miała posłużyć do spalania BUW-u, gdyż studenci doszli do wniosku, że w obliczu ogólnej niemożności władz będzie to najszybszy i najprostszy sposób rozwiązania tego „palącego problemu”. Do spalenia biblioteki na razie nie doszło...

6 stycznia 1988 roku do akcji włączyli się działacze samorządu. Rozpoczęto zbieranie podpisów pod listem otwartym do władz PRL, w którym studenci i „wszyscy ludzie dobrej woli domagają się podjęcia przez odpowiednie władze natychmiastowej akcji ratowania BUW-u”.

11 stycznia około godz. 12 członkowie NZS-u wywiesili na frontowej ścianie biblioteki olbrzymi transparent z napisem: „Ratujmy BUW – NZS”. Wisiał on przez ponad 3 godziny i został zdjęty przez funkcjonariuszy Straży Uniwersyteckiej.

Tego samego dnia około godz. 15 z siedziby samorządu, której okna wychodzą na Krakowskie Przedmieście, wywieszono transparent z napisem

„Dość obietnic. Dalsza bezczynność władz to ruina biblioteki uniwersyteckiej. Samorząd studentów”. Po około półtorej godziny do lokalu samorządu (bez wymaganej zgody rektora) wtargnęli funkcjonariusze SB, którzy zabrali transparent.

12 stycznia w warszawskim kościele przy ul. Karolkowej odbyło się zorganizowane przez Duszpasterstwo Ludzi Pracy „Wola” spotkanie poświęcone działalności samorządów pracowniczych. Obecni byli przedstawiciele kilkuset zakładów pracy regionu „Mazowsze” oraz przedstawiciele studentów, którzy zaapelowali do rad pracowniczych o wpłacenie znajdujących się w ich gestii i praktykowanych rutynowo dotacji na cele społeczne właśnie na uczelniane

konto z przeznaczeniem ratowania biblioteki. Apel studentów spotkał się z pozytywnym odzewem wśród robotników.

13 stycznia na posiedzeniu uniwersyteckiego Senatu większość czasu przeznaczono na omówienie studenckich akcji na rzecz BUW-u oraz działań władz uczelni w tej sprawie. Rektor i członkowie Senatu wystosowali list otwarty do studentów, w którym ustosunkowali się do tej akcji. Przedstawiciel studentów wystąpił z wnioskiem o powołanie konta „ratowania BUW-u”.

Podczas gdy trwały obrady Senatu, o godz. 13 rozpoczął się kolejny happening z cyklu „Studiujmy weselej”, tym razem pod hasłami:

„Książki pod strzechy – Adam Mickiewicz; strzechy zlikwidować – z zarządzenia p.-poż.” I „Od partii i bezpieki na remont biblioteki”. Pierwszym punktem imprezy była aukcja „interesującej makulatury”, tzn. plakatów z podobiznami twórców Przewodniej Doktryny (Marks poszedł za 2000 zł.), książek opisujących w sposób „wiarygodny” wydarzenia ostatnich lat, np. M. Reniak *KPN*, R. Bratny *Rok w trumnie* itp., a nawet portmonetki ozdobione obrazkiem przedstawiającym „historyczny krążownik «Aurora»”. Po aukcji, która przyniosła ponad 20 000 zł., zebrani w liczbie około 500 osób udali się w uroczystej procesji na „pogrzeb BUW-u”. Niesiono żałobny wieniec, żałobne flagi, palono świece. Jednak okazało się, że „BUW jeszcze nie umarł”. Rozpoczęto jego ratowanie. Gmach Główny został obłożony deskami zabezpieczającymi budynek przed zawaleniem, Nie zapomniano o profilaktyce. Na frontonie porozwieszano plakaty informujące, że „Wejście do biblioteki grozi śmiercią lub kalectwem”.

W dniu następnym „Kurier Polski” na pierwszej stronie zamieścił pod tytułem *Czy będzie requiem dla BUW-u?* pozytywną notatkę o studenckim happeningu.

17 stycznia w kościele przy ul. Żytniej w Warszawie, gdzie raz w miesiącu odbywa się „Gazeta Mówiona” z udziałem dziennikarzy oraz ludzi kultury i nauki, przedstawiciel studentów omówił działania na rzecz biblioteki. Spotkało się to z dużym zainteresowaniem zebranych.

21 stycznia działacze samorządu wywiesili w tym samym miejscu taki sam transparent, jak ten, który został 11 stycznia zabrany przez SB. Do tej pory obyło się bez ponownej interwencji.

Do rozpoczęcia sesji na uniwersytecie studenci zebrali około 2300 podpi-

sów pod „Listem otwartym” oraz ponad 20 000 zł. Pieniądze te zostały przekazane dyrekcji biblioteki, która w specjalnym piśmie „wraz z pracownikami BUW dziękuje studentom za rozpoczętą akcję na rzecz pomocy bibliotece”. Akcja zbiórki trwa nadal!

Warto podkreślić, że o studenckich akcjach na bieżąco informuje prasa podziemna (pisma studenckie, „Tygodnik Mazowsze”, PWA i inne), a nawet media oficjalne, np. program III PR. Jednocześnie w prasie, radiu i telewizji pojawiło się wiele materiałów opisujących tragiczny stan BUW-u. Tak więc już obecnie widać konkretne efekty studenckich akcji. Miejmy nadzieję, że akcja „Ratujmy BUW!” będzie kontynuowana.

Czy muszą być cymelia (Kurier Akademicki nr. 10, luty 1988)

Muszą. *Słownik wyrazów obcych* informuje, że są to „obiekty biblioteczne o szczególnie wysokiej wartości, mające charakter muzealny, jak np. rękopisy średniowieczne, rzadkie inkunabuły itp.”. Tak więc, wydzielenie szczególnie cennych obiektów bibliotecznych całego księgozbioru jest rzeczą konieczną. Powinno przyczynić się to (czy tak jest w praktyce, to inna sprawa – np. w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego) do ograniczenia dostępności i przechowywania w odpowiednich warunkach cennych zbiorów. Po spełnieniu tych wymogów możliwość ewentualnych uszkodzeń wartościowych woluminów jest ograniczona.

W katalogach niektórych bibliotek (np. BUW, BN) można zauważyć, że wydane stosunkowo niedawno książki szczególnie przez ośrodki instytucji polskiej emigracji politycznej, również opatrzone są sygnaturami „cim”. Jest to nadużycie. W ten sposób książki o treściach z jakiś powodów dla władz niewygodnych są wydzielane do „cymeliów”, co utrudnia dostęp do nich. Powstaje fikcja: oficjalnie w bibliotece nie ma książek, które są niedostępne z przyczyn politycznych, są tylko szczególnie cenne cymelia.

„Książki zakazane” z przyczyn politycznych to prohibita i ta nazwa jest adekwatna do kategorii, którą stanowią. W *Słowniku wyrazów obcych* czytamy:”

Prohibita – druki zastrzeżone ze względu na ich treść polityczną lub obyczajową, udostępniane czytelnikom z pewnymi ograniczeniami”.

Istnienie prohibitów jest sprzeczne z zasadami konstytucji PRL. Artykuł 73 mówi: „1. Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do korzystania ze zdobyczy kultury i do twórczego udziału w rozwoju kultury narodowej. 2. Prawo to zapewniają coraz szerzej: rozwój i udostępnianie ludowi pracującemu miast i wsi bibliotek, książek, prasy, radia, kin, teatrów, muzeów, domów kultury, klubów, świetlic, wszechstronne popieranie i pobudzanie twórczości kulturalnej mas ludowych i rozwoju talentów twórczych”. Artykuł 83 zaś stwierdza: „1. Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń, wieców, pochodów i manifestacji.(...)”

Istnienie prohibitów to złamanie jednej z podstawowych wolności obywatelskich – wolności badań naukowych.

Istnienie prohibitów od wielu lat powoduje protest, szczególnie środowisk twórczych i społeczności akademickiej. Po przełomie październikowym 1956 roku Związek Literatów Polskich wystąpił o zniesienie prohibitów. W marcu 1968 roku jednym z ważniejszych haseł studenckich był postulat, w którym domagano się wolności słowa. W drugiej połowie lat 70-tych Studenckie Komitety Solidarności również bez skutków protestowały w tej sprawie.

Pewne zmiany w dostępie do „książek zakazanych” spowodowało powstanie niezależnego ruchu wydawniczego. Wiele tytułów książek, do tej pory zamkniętych w bibliotecznych stalowych szafach, zostało przedrukowanych i dotarło do zainteresowanego czytelnika. Pierwszym wydawnictwem była założona w 1977 roku Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa. Również studenci tworzą własne wydawnictwo – powstaje Krajowa Oficyna Studentów (KOS).

Po sierpniu 1980 roku problem prohibitów powraca. W czasie studenckich strajków w lutym 1981 roku obok postulatu domagającego się natychmiastowej rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów jest i postulat zniesienia prohibitów. Wyrażał się on w stanowisku Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej: „Każda osoba fizyczna winna mieć prawo do posiadania wszelkich wydawnictw i druków bez względu na tzw. Debit komunikacyjny do

użytku wewnętrznego”. Na ten postulat Komisja Rządowa odpowiedziała, że „Minister Kultury i Sztuki zarządzeniem z grudnia 1980 uchylił ograniczenia w dostępie do zbiorów specjalnych bibliotek naukowych szkół wyższych”. Był to z pewnością pewien postęp, jednak sprawa nie została załatwiona do końca.

W tym czasie powstaje kolejna niezależna oficyna wydawnicza (Sowa), która do grudnia 1981 rozwinęła ożywioną działalność.

Po wprowadzeniu stanu wojennego prohibita wracają do bibliotek. Stan taki trwa do dziś.

Uważam, że w chwili obecnej społeczność akademicka winna w sposób zdecydowany domagać się zniesienia kategorii „książek zakazanych”.

Jako działania wstępne proponuję:

A. Tworzenie niezależnych bibliotek

Rozwój niezależnego ruchu wydawniczego trwa nieprzerwanie. Funkcjonuje wiele firm, które corocznie wydają kilkaset tytułów nowych książek. Wydawnictwa niezależne są niestety bardzo drogie. Jest to konieczne, aby podziemne oficyny mogły się samofinansować i rozwijać. Sieć kolportażu z przyczyn „obiektywnych” jest nierównomierna i ograniczona. Tak więc jedna osoba ma możliwość kupienia stosunkowo małej liczby wydawnictw.

Pewnym wyjściem z tej sytuacji jest tworzenie bibliotek wydawnictw niezależnych. Można to robić na wiele sposobów, wybór odpowiedniego zależy od możliwości zainteresowanych.

B. Przywożenie książek z Zachodu

W krajach zachodnich istnieje sieć polskich emigracyjnych wydawnictw i księgarni. Zajmują się one produkcją i kolportażem książek nie tylko na emigracji, ale także przetrzymywaniem ich do kraju. Dlatego każdy, kto zwróci się z prośbą o książki w celu przewiezienia ich do Polski, otrzyma je nieodpłatnie lub za symboliczną „ofiarę”. W czasie, gdy wydawnictwa niezależne w kraju są drogie, warto chyba zaryzykować...

W razie wpadki należy domagać się sporządzenia protokołu ze spisem zakwestionowanych pozycji.

Większość z nich przepadnie, jednak niektóre z nich (gdy udowodnimy, że

treści w nich zawarte „nie godzą w...” mamy szansę po napisaniu odwołania odzyskać.

Podaję adresy wydawnictw i księgarni na Zachodzie, które udało mi się uzyskać:

Wydawnictwo Polonia: Polonia Book Fund Ltd. 8 Queen Anne's Garden, London W4 3KU, United Kingdom.

Wydawnictwo Aneks: 61, Dorset Road, London W5 4HX.

Wydawnictwo Puls: 132 Cromwell Road, London SW7 4HA.

Księgarnia Polemika: 49, Rue Gay Lussac, 75005 Paris, Métro: Luxembourg.

Księgarnia Libella: 12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004, Paris.

Księgarnia Wawel: Stephanstrasse 11, 5000 Köln 1.

Księgarnia Polska: 1070 Wien, Burggasse 22.

C. Korzystanie z obecnych możliwości

Obecnie, aby móc korzystać z książek ze „zbioru specjalnego”, trzeba posiadać zezwolenie, wydane przez samodzielnego pracownika naukowego i zatwierdzone w sekretariacie wydziału. Uzyskanie takiego zezwolenia jest więc sprawą kłopotliwą, lecz możliwą. Następnie pozwolenie musi zostać zatwierdzone przez kierownictwo biblioteki, z której zbiorów chcemy korzystać.

Uważam, że przy uzyskaniu pozwoleń pomocne mogą być koła naukowe, które wystąpiłyby w roli „pośrednika” między studentami a pracownikami naukowymi. Koła zbierałyby listę chętnych do korzystania z prohibitów i lista ta zatwierdzana byłaby np. przez opiekuna koła. Ułatwiłoby to znacznie procedurę uzyskania pozwolenia zwłaszcza dla studentów młodszych lat, którzy często krępują się o nie prosić.

D. Powiększanie zbiorów bibliotek o nowe wydawnictwa niezależne

Sprawą w chwili obecnej bardzo ważną jest stały dopływ wydawnictw II obiegu i emigracyjnych do bibliotek publicznych. Władze stosują w tym względzie duże utrudnienia (przesyłane legalnie przez zagraniczne instytucje książki są zatrzymywane na cło). Proceder ten wzbudził duże zaniepokojenie

dyrekcji Biblioteki Narodowej, która wystąpiła do Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk o zdjęcie zakazu dostarczania książek z Zachodu do biblioteki, której obowiązkiem jest gromadzenie wszystkich wydawnictw ukazujących się w języku polskim. Przedstawiciel GUKPiW oświadczył, że wyda takie pozwolenie wydawcom, którzy oficjalnie wystąpią o tzw. „debit komunikacyjny” i ich prośba zostanie załatwiona pozytywnie. Wydaje się, że np. szef paryskiej „Kultury” Jerzy Giedroyc, może nie zechcieć wystąpić o takie pozwolenie, skoro od 40 lat Instytut Literacki dąży do złamania monopolu wydawniczego władz i nie zgodzi się na żadną kontrolę i ograniczenia w tej dziedzinie. Kolejny problem, który utrudnia napływ nowych wydawnictw, to brak dewiz na ich zakup. Obecnie większość książek z Zachodu pozyskiwana jest w drodze wymiany na polskie wydawnictwa. Nie wszyscy chcą się jednak wymieniać... w związku z tym liczba nowych zagranicznych wydawnictw w polskich bibliotekach ulega systematycznemu uszczupleniu.

Jeżeli taka sytuacja będzie się utrzymywać, powstanie duża luka w zbiorach bibliotek, a konsekwencje tego dla nauki i kultury polskiej mogą być katastrofalne.

Dlatego nie możemy oglądać się na postępowanie władz, lecz powinniśmy sami, w miarę naszych możliwości, pomóc naszym bibliotekom. Możemy to zrobić, oddając niezależne wydawnictwa do zbiorów (np. w depozyt). W tym miejscu należy zaapelować do niezależnych oficyn – przesyłajcie głównym bibliotekom w kraju swoje wydawnictwa! Książki te mają dużą szansę na znalezienie się w zbiorze, z którego będzie mogło korzystać szersze grono czytelników.

Zdaję sobie sprawę, że propozycję, które przedstawiłem, to tylko działania zastępcze i nie umożliwią one dostępu do „zakazanych książek” wszystkim zainteresowanym. Dlatego następnym krokiem winno być domaganie się bezwzględnego zniesienia prohibitów.

Rozmowa z ostatnim premierem Rządu RP na Uchodźstwie prof. Edwardem Szczepanikiem

Latem 1987 roku mój kolega z podziemnej redakcji „Kurier Akademickiego”, Piotr Ciompa przebywał na wakacyjnej pracy w Londynie. Podczas swoje-

go pobytu nagrał rozmowę z Edwardem Szczepańskim, ówczesnym premierem rządu RP na uchodźstwie. Po powrocie do Polski przekazał mnie nagraną kasety. Przepisałem i zredagowałem wywiad, który publikuję.

Warto dodać, że Edward Franciszek Szczepaniak urodził się 22 sierpnia 1915 roku w Suwałkach, zmarł 11 października 2005 roku w Worcestershire w Anglii. Jego prochy zostały złożone na cmentarzu, w jego rodzinnych Suwałkach.

Jego pełną biografię opublikował Adam Sudoł: Edward Franciszek Szczepaniak: ostatni premier rządu RP na uchodźstwie, Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2009.

Strajki i manifestacje na uczelniach (Dwadzieścia jeden nr. 8, lato 1988 str. 19–20)

29 kwietnia – w związku z zaistniałą sytuacją podziemny Zarząd Niezależnego Zrzeszenia Studentów Uniwersytetu Warszawskiego ogłasza pogotowie strajkowe

3 maja – na Uniwersytecie Gdańskim rozpoczyna się strajk solidarnościowy ze stoczniovcami –w Krakowie odbywają się na uczelniach wiece solidarnościowe popierające robotników

4 maja – na Uniwersytecie Warszawskim odbywa się wiec, na którym zostaje ogłoszony na następny dzień jednodniowy, solidarnościowy strajk okupacyjny. NZS przedstawia listę postulatów:

1. Wprowadzenie zasady pluralizmu organizacji społecznych, w tym legalizacji NZS i Solidarności
2. Zwolnienie wszystkich więźniów politycznych
3. Zniesienie państwowego monopolu na środki masowego przekazu
4. Zaprzestanie ograniczania autonomii wyższych uczelni i zmiana ustawy o szkolnictwie wyższym
5. Zwiększenie dotacji dla Uniwersytetu
6. Podniesienie podstawy naliczania stypendiów socjalnych do sumy 20 tys. zł. oraz podniesienie o 50% stypendiów naukowych

7. 7-osobowy komitet strajkowy wraz ze studencką służbą porządkową zostaje na noc na uczelni oraz rozpoczynają się rozmowy z władzami uczelni.

5 maja – w związku z pacyfikacją strajku w HiL na krakowskich uczelniach zaczynają się akcje protestacyjne. Powstaje Międzyuczelniany Komitet Strajkowy, który kieruje strajkiem okupacyjnym w miasteczku studenckim. W postulatach domagano się:

1. Zapewnienia pełnego bezpieczeństwa uczestnikom strajku
2. Nie wyciągania na uczelni konsekwencji w stosunku do osób uczestniczących w strajku
3. Umożliwienie negocjacji między przedstawicielami społeczności studenckiej a władzami politycznymi
4. Zagwarantowania pluralizmu na uczelniach
5. Bezpośrednich rozmów przedstawicieli studentów z Ministerstwem Edukacji narodowej w sprawie cofnięcia nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym z 1985 r.

6. Utworzenie przy senacie uczelni nadzwyczajnej komisji do spraw studentów, złożonej z pracowników naukowych i studentów, której zadaniem byłoby rozpatrywanie wspólnych problemów oraz działalność mediacyjna i doradcza.

– Na Uniwersytecie Poznańskim im. A. Mickiewicza odbywa się wiec z udziałem ok. 1500 studentów, powstaje komitet do rozmów z rektorem, postulaty dotyczą:

1. Zapewnienie autonomii i pełnej samodzielności szkół wyższych
2. Respektowania pluralizmu organizacji i stowarzyszeń akademickich
3. Podwyższenie stypendiów
4. Zniesienia studenckich praktyk robotniczych
5. Usunięcia z programu nauczania szkolenia wojskowego

Rektor UAM zawiesza w prawach studenta dwie osoby: Romana Szymandę i Andrzeja Radke.

– w strajku na Uniwersytecie Warszawskim wzięło udział 3-5 tys. osób, zebrano ok. 0,5 miliona zł. na pomoc dla represjonowanych, w strajku uczestniczyli działacze NZS z Politechniki, SGPiS, SGGW, ATK i AWF.

– kończy się strajk okupacyjny na Uniwersytecie Gdańskim

OPINIA NURTU NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO NR 10 WIOSNA/2016

6 maja – Na wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej odbywa się wiec z udziałem ok. 1000 studentów

7-8 maja – Pielgrzymka Akademicka na Jasną Górę z udziałem członków NZS z całego kraju

– studenci z Wrocławia i Lublina dołączają do akcji protestacyjnej /wiece na uczelniach/

9 maja – Na Uniwersytecie Poznańskim 1-dniowy strajk okupacyjny w Collegium Novum z udziałem ok. 1000 studentów. Rada Wydziału Nauk Społecznych apeluje do rektora o podjęcie rozmów. Rektor oświadcza, iż w przypadku przerwania strajku nikt nie poniesie konsekwencji, kontynuowane będą rozmowy w sprawie postulatów oraz przywróci prawa studenta dwóm osobom poprzednio zawieszonym i uruchomi zawieszony Wydział Humanistyczny. Strajk zostaje zawieszony, studenci przekazali 100 tys. dla robotników z Nowej Huty.

– Wiec na Uniwersytecie Gdańskim, komitet strajkowy przekształca się w Komitet Organizacyjny NZS: rozpoczyna rozmowy z rektorem. Negocjacje zostały zerwane.

– Ogólnokrajowa reprezentacja NZS ogłasza dzień 10 maja ogólnopolskim Dniem Protestu Studentów pod hasłami: realizacji żądań strajkujących robotników oraz przywrócenia autonomii i samorządności szkołom wyższym

10 maja – w Sopocie wiec studentów Uniwersytetu Gdańskiego

– jednodniowy strajk absencyjny na Uniwersytecie Toruńskim, w wiecu z rektorem i kadry naukowej uczestniczyło ok. 700 osób, poparto postulaty innych strajkujących uczelni

– na uniwersytecie Śląskim ogłoszono pogotowie strajkowe

– strajk /15 min./ w Akademii Teologii Katolickiej pod hasłem solidarności ze strajkującymi robotnikami

– wiec Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie z udziałem ok. 250 osób, odczytano protest samorządu AWF przeciwko brutalnemu tłumieniu strajków

/opracował A.A./

Zadymiarze
(Wola nr. 5(269) 6.02.1989)

Zobaczyłem ich w akcji 13 XII 1988 roku, kiedy to siły milicyjne brutalnie rozpędziły manifestację na Krakowskim Przedmieściu. Wtedy to większość demonstrantów schroniła się na dziedzińcu Uniwersytetu. Jednak był to w zasadzie początek „zadymy”. Pierwszy raz, od czasu wielkich demonstracji ulicznych w 1982 roku doszło w Warszawie do walki ulicznej. Manifestanci już nie tylko uciekali przed milicjantami, lecz także atakowali ich, rzucając kamieniami. Dlaczego?

Pierwsze symptomy wzrostu radykalizmu dochodziły z Gdańska. To tam zaatakowano komendę milicji, tam budowano barykady na ulicach. W stolicy pierwszą oznaką radykalizacji była petarda rzucona przez demonstrantów podczas manifestacji 11 XI. Może na tych kilku wypadkach zakończyłoby się, gdyby autorytet Janusza Onyszkiewicza po zajściach w Gdańsku nie spełnił swego zdania. Wśród opozycyjnej młodzieży KPN, PPS i innych ugrupowań mówiło się nawet o zdradzie i „odcięciu się” Solidarności od młodych.

No, i stało się. 13 XII byłem wśród zadymiarzy, rozmawiałem z nimi. Tylko kilku odpowiedziało na pytanie: dlaczego rzucacie?

„Nie mogę już biernie patrzeć, jak nas biją na manifestacjach, a nawet na happeningach. Milicja nie można czuć się bezkarnie. Jeśli nie będziemy się bronić, staną się jeszcze gorsi. Oni muszą czuć przed nami respekt”.

„Widziałeś w telewizji, jak zachowują się studenci podczas demonstracji w Korei Południowej? Dlaczego my mamy być gorsi. Musimy być bardziej zdecydowani w naszych działaniach”.

„Widziałem, jak kopali mojego kolegę... Nie można im tego darować”.

Kilku z rzucających ma osobiste porachunki z ZOMO. Zostali już wiele razy pobici podczas demonstracji. Teraz nadarzyła się okazja odwetu. Ułatwiał to fakt, że rzucono z terenu Uniwersytetu Warszawskiego, który uważany jest przez większość za bezpieczny.

„Milicja nie odważy się tu wejść. Jesteśmy bezpieczni. Nie ma cos się bać”.

Jeszcze tego samego dnia telewizja pokazała zdjęcia spod bramy uczelni. Wyraźnie było widać rzucających. U jednego z nich rozdzwonił się telefon.

Dzwoniono... z gratulacjami. Odezwali się nawet koledzy ze szkoły podstawowej. Następnego dnia wielu „zadymiarzy” przyszło na Uniwersytet w innych kurtkach... Komentarze i zdjęcia w prasie budziły dużo emocji.

„Słuchaj, kto jest na tym zdjęciu? Fajnie wygląda”.

„Popatrz, piszą, że zomowcom pękały tarcze”.

Dzień 13 XII 1989 r. wywołał dyskusję w środowiskach opozycyjnych. NZS Uniwersytetu Warszawskiego wydało oświadczenie, w którym czytamy m.in.: „Wobec takiego postępowania milicji oświadczamy, że każdy na prawo do samoobrony. Równocześnie jesteśmy zdania, że Uniwersytet w żadnym wypadku nie może stać się miejscem używania siły przez żadną ze stron”.

17 I miała miejsce w Warszawie kolejna demonstracja. Tym razem również zostały rzucone petardy w stronę ZOMO. Kiedy następne stracie?

Mruczek
(Autor jest studentem UW)

**Rozmowa z Andrzejem Anuszem,
studentem Uniwersytetu Warszawskiego,
członkiem Komitetu Założycielskiego NZS UW
i Komitetu Strajkowego w maju 1988
(Samorządna Rzeczpospolita nr. 3 20.02.89)**

W Polsce o tyle łatwiej jest wyróżnić kategorię „młodzież”, bo ludzie młodzi mają dość specyficzne problemy. Problemy te dotyczą wprawdzie całego społeczeństwa, ale w młodych uderzają najsilniej, jakby w większym natężeniu... Mieszkania, problem znalezienia sensownej pracy, zablokowanie wielu możliwości awansu zawodowego itp. Czy istnieją natomiast specjalne wyznaczniki tylko dla młodych? Ja, na przykład, jako student, nie zdaję sobie tak do końca sprawy z trosk młodych robotników. Teraz często używa się terminu „młoda opozycja”, ale trudno powiedzieć co ono właściwie znaczy? Łączy nas, oprócz tych spraw generalnych, stosunek do „Solidarności”, podatność na etos działania niezależnego. Więź taką poczułem w maju, gdy młodzi robotnicy z „Ursusa” włączyli do swoich

postulatów strajkowych hasło zarejestrowania NZS-u. Stanowiło to owoc naszych wcześniejszych kontaktów z nimi. Trudno jednak stwierdzić, by przejawiała się w tym więź mocniejsza, niż tylko ta wynikająca z podobnej oceny politycznej.

Red. SR: Czy opozycji grozi przejęcie przez front młodzieżowy?

Andrzej Anusz: Mogę przytoczyć w odpowiedzi taką scenkę. Działająca przy Komitecie Obywatelskim Komisja d/s Młodzieży zorganizowała spotkanie najrozmaitszych młodzieżowych grup niezależnych. Rzuciłem wtedy pomysł zorganizowania przy tej Komisji – Konferencji Młodej Opozycji. Konferencja ta mogłaby być polem wymiany informacji. Projekt upadł niemal natychmiast. Okazało się, że łączy nas jedynie młody wiek i nic więcej...

Red SR: Czy można jednak powiedzieć, że młode pokolenie nie ma nic do zaproponowania w polityce?

Andrzej Anusz: To, co oferują młodzi to nie jest nowy program polityczny, bo ten jest już oczywisty – zmienić tę rzeczywistość. Po prostu reagują bardziej emocjonalnie, gwałtowniej. Z drugiej strony – proponują nowe, skuteczne formy nacisku. Przykładem WiP, Pomarańczowa Alternatywa, NZS wreszcie. Ich metody nie stanowiły powielania pomysłów „starych”. Przeciwnie, to „starzy” przejęli je od młodych.

Red. SR: Jak wytłumaczysz objawiającą się nieraz niechęć do starych?

Andrzej Anusz: Wydaje mi się, że aktywność polityczna młodych ludzi jest w strukturach „S” zablokowana. Zablokowana jest naturalna fluktuacja ludzi aktywnych – a to często oznacza: młodych. Stąd rośnie frustracja, bo przecież w Związku przewrotu nie zrobimy. W Regionie Mazowsze choćby, odczuwam w rozmowach z młodymi robotnikami gorycz, że ich przywódcy są za mało zdeterminowani, praca w zakładach kuleje, a zarazem młodych i chętnych do działania trzyma się jakby na uboczu. Legalizacja, a w jej wyniku demokratyczne wybory do władz związkowych, odwróć tę sytuację. Przynajmniej taką mam nadzieję.

**Wybierz Jacka Kuronia
(Wola nr. 21 (285) 29.05.1989)**

„WOLA”: W jaki sposób zostałeś szefem kampanii wyborczej Jacka Kuronia?

ANDRZEJ ANUSZ: Zaproponował mi tę funkcję Jacek, który wiedział o mojej wcześniejszej działalności w NZS i ruchu „Wolność słowa”. Zgodziłem się, a jednocześnie poprosiłem o udział w kampanii swoich znajomych. Większość przyjęła propozycję i w ten sposób stworzyliśmy zgraną grupę, która już wcześniej wielokrotnie ze sobą współpracowała. Stanowimy jakby sztab ekipy wyborczej Jacka... Kolejnym ruchem był nabór nowych ludzi.

„WOLA”: Jak to się odbywało?

ODP.: Również wśród znajomych. Oczywiście, przyjmowaliśmy też osoby „z zewnątrz”, które zaproponowały nam swoją pomoc. Na przykład po dzisiejszym spotkaniu w klubie na Próchnika jakiś człowiek, przekonany osobowością Kuronia, zgłosił do pomocy 5 osób.

„WOLA”: Co możecie im zaproponować?

ODP.: Natychmiastowe włączenie do akcji plakatowej. Podzieliliśmy Żoliborz na 7 okręgów i w każdym działa grupa odpowiedzialna za plakatowanie swojego terenu. Wszystkie grupy mają szefów... i zezwolenia upoważniające do prowadzenia akcji plakatowej. Można też pełnić funkcje porządkowe w czasie spotkań Jacka z wyborcami lub pracować w biurze, gdzie dyżurujemy od rana do nocy.

„WOLA”: Ile osób zaangażowanych jest w akcję wyborczą Kuronia?

ODP.: Trudno mi powiedzieć, to grono ciągle rośnie... poza tym mam kontakt tylko z szefami grup.

„WOLA”: Może choć w przybliżeniu?

ODP.: Myślę, że jest to około 100 osób. Jedni jak ja, siedzą w tym 24, inni 2-3 godziny dziennie.

„WOLA”: Skompletowałeś zespół – co dalej?

ODP.: Przez pierwsze 10 dni robiłem rekonesans po Żoliborzu w poszu-

kiwaniu sal na spotkania. Później ułożyłem terminarz spotkań, opłaciłem sale i załatwiłem sprzęt nagłośniający... Mnóstwo czasu pochłonęła mi praca biurowa, wciąż musiałem pamiętać o przygotowaniu podstawowych materiałów propagandowych – zredagowaniu ulotek, przygotowaniu druku i kolportażu... Gdy chciałem zrobić plakat, musiałem najpierw pójść do fotografa, potem do plastyka, wreszcie pośredniczyć między nimi. Wszystko z zegarkiem w ręku, by nie wypaść z wcześniej ustalonego harmonogramu. Równolegle zajmowałem się organizacją biura wyborczego, podziałem dyżurów i kompetencji... Po dwóch tygodniach takiej harówki maszyna została uruchomiona.

„WOLA”: Czy ustalałeś z Jackiem strategię kampanii?

ODP.: Dał mi dużą swobodę. Razem ustaliliśmy tylko, że kampania będzie przebiegała w dwóch fazach. Pierwsza – i to był pomysł Jacka – polegać miała na wielkiej liczbie spotkań, na których Jacek miał przekonywać wyborców do siebie i programu „S”. Wierzyliśmy, że potrafi to zrobić, a ludzie, którzy przyjdą na spotkania pomogą nam w drugiej fazie, agitując swoich znajomych. Spotkania podzieliliśmy na dwa rodzaje: środowiskowe – w zakładach pracy i w szkołach – oraz na ogólne (w kinie, teatrze Komedia, kościele Św. Zygmunta...). Na te ostatnie przyjść mogą wszyscy chętni. O terminach staramy się informować z dwutygodniowym wyprzedzeniem, żeby dać ludziom możliwość zaplanowania czasu.

Druga faza, krótsza, wymagała będzie od nas większego sprzężenia. Wystąpimy w niej pod hasłem „Wybierz Jacka Kuronia – planujemy dużą akcję plakatową i akcję informacyjno-instruktażową jak głosować. Rozkolportujemy instrukcje wyborcze. Chcemy też wynająć mikrobus z nagłośnieniem.

„WOLA”: Od jakiegoś czasu jeżdżą już po Warszawie tramwaje reklamujące naszych kandydatów...

ODP.: Dla Jacka wybraliśmy trzy linie, które przejeżdżają przez Żoliborz, Śródmieście i Mokotów. Idea była taka, żeby pokazać Kuronia jako członka drużyny Solidarności. Dlatego chcieliśmy, aby na tramwaju były obok siebie – wizytówka Jacka, hasło „Głosuj na Solidarność” i wizytówka Andrzeja Łapickiego lub Andrzeja Miłkowskiego.

„WOLA”: Ile to kosztuje?

ODP.: Płacimy za dwie rzeczy – za zrobienie tablicy i tu niestety wyłączność ma współpracująca z MZK firma Okta, która zażyczyła sobie za to 1,1 mln zł. oraz za zamontowanie tablic na wagonach, co kosztowało 1,9 mln zł. Razem zapłaciliśmy 3 mln zł.

„WOLA”: Kampania Kuronia w cyfrach...

ODP.: Wydrukowaliśmy 200 tys. ulotek z życiorysem Jacka. 10 tys. dużych plakatów „Spotkaj się Jackiem Kuroniem – on ma coś do powiedzenia” i 10 tys. plakatów ze zdjęciem Jacka z Wałęsą, które rzucimy przed samymi wyborami. Mamy kilka tysięcy plakatów z terminarzem spotkań. Rozprowadziliśmy też 2 tys. plastikowych znaczków z napisem: „Jacek Kuroń – nasz poseł. Solidarność” i 240 koszulek (tyle tylko udało nam się kupić) z nadrukiem „Jacek Kuroń naszym posłem. Solidarność”.

„WOLA”: Skąd macie na to pieniądze?

ODP.: Jak wszyscy kandydaci – od Komitetu Obywatelskiego, ze sprzedaży cegiełek, znaczków i koszulek. Wspierają nas też prywatni sponsorzy – kilka osób przeznaczyło na przykład na kampanię Jacka po 100 tys. zł. Produkcję plastikowych znaczków sfinansował pewien rzemieślnik...

„WOLA”: Ile osób jest u was na ryczałcie?

OPD.: Nikt z nas nie bierze pieniędzy, pracujemy społecznie.

Rozmawiał A.

DLA ZASAD NIE DLA POSAD

Z Krzysztofem Kamińskim
Posłem KPN i AWS w latach 1991-2001
rozmawia Łukasz Perzyna

„Mam wrażenie, że Konfederacja Polski Niepodległej została wygumkowana z historii Polski dlatego, że była ruchem, posługującym się zasadami, które przez inne partie polityczne nie są akceptowane. Polityczna rola KPN zakończyła się w 1997 r. Ale nigdy nie skończyło się moralne przesłanie Konfederacji, które jest aktualne do dzisiaj”

– Konfederacja Polski Niepodległej była Pana świadomym wyborem, skoro wstąpił Pan do niej jako dojrzały człowiek, a wcześniej działał w Solidarności?

– Jako student zetknąłem się z Konfederacją Polski Niepodległej w Warszawie – gdzie kończyłem studia – w 1979 i 1980 r. Natrafiłem na działaczy KPN, którzy przed bramą Uniwersytetu całkiem otwarcie oferowali przechodniom ulotki i książki drugiego obiegu. Zaimponowało mi

to i zdumiało, że coś takiego w ogóle jest możliwe, a milicji nigdzie nie widać. Leszek Moczulski był obecny w moim życiu jako autor „Wojny polskiej „ – był nadto kolegą mego ojca z okresu studiów na wydziale prawa UW. Rozpoczynając przygotowania do życia zawodowego, trafiłem do Sądu Okręgowego w Szczecinie na aplikację sędziowską. Tam przez dwa lata, bardzo burzliwe, od 1980 do 1982 r. brałem żywy udział w epopei Solidarności. Czynny udział, bo jako aplikant byłem wiceszefem komisji

zakładowej Solidarności w całym sądzie. Przewodniczącym był sędzia Wojciech Soinński, a ja aplikant – jego zastępcą. Oczywiście byłem z tego dumny. Wspaniałe czasy przeżyaliśmy. Wybór KPN, o który pan pyta, wiąże się już z kolejną epopeją, z latami 1988-89 i budzeniem się Polski do niepodległości. Zdawało by się, że jako dawny solidarnoścowiec powinienem uczestniczyć w ruchu komitetów obywatelskich, który tworzyła Solidarność, Lech Wałęsa, w ruchu który de facto wygrał wybory w 1989 r...

– Dlaczego się w nim nie odnalazł dawny wiceprzewodniczący komisji zakładowej szczecińskiego sądu?

– Nie mogłem zgodzić się z tym, że wszystko ma opierać się na porozumieniu z komunistami, kompromisie który wydawał się mnie, młodemu wtedy człowiekowi, jednak zdradą ideałów. Każdy kompromis, który chronił „płatnych zdrajców, pachołków Rosji”...

– ...jak już po kolejnych w pełni wolnych wyborach z trybuny sejmowej rozwiązał skrót PZPR – też zresztą już wtedy rozwiązanej – przewodniczący KPN Leszek Moczulski...

– ...każdy taki kompromis wydawał mi się nie do przyjęcia. Stąd w 1989 r. włączyłem się w prace Konfederacji Polski Niepodległej w Lublinie.

Na marginesie wspomnę, że już jako adwokat miałem zaszczyt reprezentowania Leszka Moczulskiego przed sądem, przed który pozwali go wszyscy posłowie SLD za przywołane słowa. Ostatecznie sprawę zakończył mój ojciec, pozew oddalono. Leszek Moczulski powiedział prawdę.

– ...który rychło stał się prawdziwą twierdzą Konfederacji. W pierwszych wolnych wyborach do Sejmu w 1991 r. to właśnie w województwie lubelskim jako jedynym w kraju KPN pokonała wszystkie inne partie.

– Wtedy jednak jeszcze nie myśleliśmy, że niebawem wprowadzimy do Sejmu 50 posłów. Akcją, którą pamiętam najlepiej była pikietą i okupacja bazy armii radzieckiej w Rembertowie, wschodniej dzielnicy Warszawy, kiedy premierem był już Tadeusz Mazowiecki, ale prezydentem Wojciech Jaruzelski. Minister spraw wewnętrznych przysłał wtedy bataliony policji pod rembertowską bazę Rosjan, aby KPN-owców ściągać z jej murów i przywozić na przesłuchania. Takie

było nasze spotkanie z okrągłostołową Polską. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego po wyniku czerwcowych wyborów, gdzie w zasadzie cały naród żądał odsunięcia komunistów od władzy, nie wypowiedziano umów Okrągłego Stołu, albo przynajmniej ich nie renegowano. Tyle się wydarzyło w Europie i w polskim społeczeństwie, że nie można było ślepo przez kilka lat wywiązywać się z umowy z komunistami, zawartej w zupełnie innych realiach politycznych. Stąd akces do KPN stanowił wybór jasnych reguł odbudowy niepodległego państwa, restytucji niepodległości, dekomunizacji. Jasnych reguł, a nie tworzonych przy zielonym stoliku, czy wręcz w gabinetach poprzedniej władzy.

– Ale też z KPN wiąże się pewien paradoks, bo co miała w wolnej już Polsce robić partia, która przed laty pierwsza postawiła postulat niepodległości kraju?

– To oczywiste, że KPN była w zasadzie skazana na zakończenie swojej działalności w momencie, kiedy odzyskiwaliśmy niepodległość. Stała się ruchem polskich patriotów, nawiązującym do tradycyjnych polskich konfederacji, zawiązanym żeby osiągnąć konkretny cel: odzyskanie niepodległości. Przez sześć lat obecności

w parlamencie, w dwóch sejmach 1991–97, zabrakło Konfederacji siły, żeby zamienić się w nowoczesną partię republikańską, propaństwową. W poszukiwaniu wyborczych głosów niestety w mojej opinii zesłała ona na pozycje populistyczne, doszło także do wewnętrznego rozłamu. I w zasadzie w 1997 r. polityczna rola KPN się zakończyła. Natomiast nigdy nie skończyło się moralne przesłanie Konfederacji, które jest aktualne do dzisiaj. A brzmi ono: nie dla posad, tylko dla zasad należy uprawiać politykę. Pozostała po nas ustawa o restytucji niepodległości, odrzucona przez wszystkich, w tym dzisiaj nam miłościwie panujących. Pozostała nasza rola w komisji konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, gdzie w latach 1993–97 zaprezentowaliśmy model państwa z silnym prezydenckim ośrodkiem władzy. Państwa, w którym ograniczona by została rola partii. Rządy parlamentarno-gabinetowe nie są wystarczającym narzędziem władzy. Nasz model ustrojowy zakładał, że rząd byłbyby silny mandatem prezydenta, a nie zmiennych większości parlamentarnych, skłonnych do gier partyjnych, szkodzących interesowi państwa.

Dumny jestem z tych ośmiu lat

Dumny jestem ze swoich ośmiu lat w Konfederacji Polski Niepodległej. Zawsze czuję się członkiem Konfederacji, pomimo że w latach 1997–2001 na zaproszenie Mariana Krzaklewskiego byłem także posłem Akcji Wyborczej Solidarność, gdzie wykorzystano moje doświadczenie parlamentarne i prawnicze. Zaś po 2001 r. naturalne dla mnie okazało się wstąpienie do Platformy Obywatelskiej, która w pierwszej fazie powstawania jako ruch społeczny, opierała się na ideałach Polskiego Sierpnia i miała na celu wzmocnienie państwa. Moja busola polityczna zawsze jest taka sama: wspierać tych, którzy budują silne państwo.

– Zapamiętałem naszą rozmowę w Hali Olivii w styczniu 2001, w trakcie zgromadzenia założycielskiego Platformy Obywatelskiej, na które przyjechał Pan z działaczami NSZZ Solidarność ze Świdnika, którzy przywieźli ze sobą związkowe flagi i młodymi ludźmi z Lublina. Dlaczego ochłódł ówczesny entuzjazm?

– Ruch niestety przerodził się po latach w skomercjalizowaną partię polityczną, która oddała władzę w Polsce w złym stylu, pozostawiając niedobre wspomnienia. W proteście

przeciwko zmianie PO w zdemoralizowaną partię władzy wystąpiłem z tej partii w 2013r.

– Czy dzisiaj istnieje konieczność powrotu do wspomnianego przez Pana – tak to nazwijmy – konfederowania się Polaków?

– Oczywiście istnieje. Siła państwa i nasza pozycja międzynarodowa jest zagrożona partyjniacką polityką PiS-u. W pewnym sensie taką nową formą konfederowania się Polaków jest ruch Komitetów Obrony Demokracji, gdyż jego główną rolą – co mi odpowiada – pozostaje troska o państwo. Mimo lewicowego zabarwienia i wielu zastrzeżeń do animatorów tego ruchu sam fakt uczestniczenia w nim setek tysięcy obywateli okazuje się ożywczy dla państwa. Po powstaniu tego ruchu obywatelskiego dochodzi do zasadniczej zmiany polskiej sceny politycznej.

To, co stanowi o sile państwa – to identyfikacja obywateli z własnym państwem, po polsku mówiąc miłość do własnej Ojczyzny. O to chodzi w polityce. Dla spluralizowanych co do poglądów przeciętnych Polaków taki stosunek do własnego państwa stanowi gwarancję niepodległości. Wszyscy ci, którzy godzą w fundament państwa, jakim są rządy pra-

wa – godzą w państwo. Rządy prawa opierają się na źródle podstawowym, jakim jest Konstytucja.

– Podczas prac nad Konstytucją w latach 90, w których jako poseł brał Pan żywy udział, Konfederacja Polski Niepodległej forsowała inny projekt, niż przyjęty ostatecznie głosami czterech partii: SLD, PSL, Unii Wolności i Unii Pracy. Dlaczego więc dziś angażuje się Pan w obronę Konstytucji, skoro jej tekst nie zmienił się od tamtego czasu?

– Największym dobrem jest moje Państwo, niepodległe i demokratyczne. Konstytucja jest fundamentem systemu prawnego, ale nie jest prawem danym raz na zawsze. Jako jeden z 46 posłów i 10 senatorów pracujących przez cztery lata w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego znam jej każdy zapis. Kierowałem pracami redakcyjnymi. Głosowałem ostatecznie przeciwko przyjęciu jej w takim kształcie. W szczególności przeciwko podzieleniu władzy wykonawczej pomiędzy prezydenta i Radę Ministrów, a nadto z powodu braku prawnego odcięcia się od spuścizny PRL. Niemniej jednak, skoro została ona fundamentem systemu prawnego w demokratycznych procedurach, to

jest to moja Konstytucja, mojego państwa. Konstytucja III RP, trzeciej niepodległości, oby wiecznej – jest moją Konstytucją. Na niej opiera się ustroj państwa, wymiar sprawiedliwości, procedury funkcjonowania państwa. Demokracja to w zasadzie rządy procedur. Jestem zwolennikiem głębokiej zmiany zasad ustrojowych, zawartych w Konstytucji. Jestem zwolennikiem systemu prezydenckiego. Ale jeśli ktoś mi mówi, że Trybunał Konstytucyjny ma podejmować wyroki kwalifikowaną większością głosów, pomimo, że w Konstytucji zapisaliśmy, że ma to czynić zwykłą większością – to taki człowiek kłamie. Podobnie z domniemaniem konstytucyjności ustaw. Dla nas, twórców Konstytucji oczywiste jest, że ustawa, zawierająca procedurę funkcjonowania Trybunału Konstytucyjnego traci przymiot konstytucyjności z chwilą wszczęcia postępowania o sprawdzenie jej zgodności z Konstytucją. Nie może bowiem Trybunał Konstytucyjny posługiwać się procedurą, sprzeczną z Konstytucją. A więc Trybunał Konstytucyjny zawsze jest zobowiązany do kontroli tej ustawy w pierwszej kolejności. Poprzednich ustaw, regulujących tryb postępowania z TK nikt nie kwestionował w aspekcie konstytucyjności.

Natomiast grudniowa ustawa PiS-u, uchwalona jedynie w dwóch czytaniach, blokująca możliwość jej kontroli przez Trybunał Konstytucyjny, została natychmiast zakwestionowana co do jej konstytucyjności i tym samym Trybunał Konstytucyjny nie miał innej możliwości, jak po wszczęciu procedury dokonać jej oceny. Trybunał Konstytucyjny nie mógł inaczej się zachować, gdyż orzekanie przez lata w oparciu o procedurę, która następnie zostałaby zakwestionowana, spowodowałoby anarchię w państwie. O co chodzi PiS-owi? PiS nie spodziewał się, że wygra te wybory. Ani prezydenckie, ani parlamentarne. Zwycięstwo Dudy znikomą przewagą głosów spowodowało, że wielu wyborców z pragmatyzmu zagłosowało za PiS-em, aby nie doprowadzać do sytuacji stałego konfliktu premiera z prezydentem. To jest właśnie efekt wadliwych zasad ustrojowych. Natomiast nadreprezentacja PiS-u w parlamencie wynika z faktu, iż nie weszła do Sejmu lewica, o czym również rozstrzygnęła znikoma liczba głosów. I oto nagle PiS nieprzygotowany do objęcia wszystkich organów władzy w państwie stał się monopartią. Czym innym jest dążenie do zmiany treści Konstytucji – sam do tego zmierzam,

ale w ramach demokratycznych procedur. Natomiast wszyscy obecni autorytarni wodzowie, wykazujący pogardę dla litery prawa, w rzeczywistości niszczą nasze państwo. Żałosna ta rewolucja, bo Polska nie jest własnością partii – z reguły sezonowych – ale dobrem wspólnym wszystkich obywateli.

– I tu wracamy do wskazywanej przez Pana roli konfederacji, która w dawnej Polsce stanowiła formę kontroli władzy królewskiej, stąd jej demokratyczna tradycja: jej inicjatorzy występowali w obronie równowagi i systemu swobód, przeciw tyrańskiemu zapędowi władcy?

– Nie zawsze konfederacje w dawnej Polsce były skierowane przeciwko silnej władzy królewskiej. Zdarzały się ruchy, wymierzone przeciw „królewicom” magnackim i w obronie władzy królewskiej, a także w obronie prawa, przypomnę ruch egzekucyjny praw szlachty polskiej z XVI w. Samuel Zborowski stracił głowę, gdy naruszył prawa Rzeczypospolitej, bardziej jednak za ostentację został ścięty niż za to, co uczynił.

– Dokonane przez niego zabójstwo Andrzeja Wapowskiego nie było aktem politycznym, lecz efektem awantury, kto pierwszy przeje-

dzie przez bramę na Wawelu. Dziś z podobnych pobudek zdarza się zabijać osiedlowym dresiarzom, zaś w latach 50-tych – opisywanym przez Leopolda Tyrmanda chuliganom.

– Stracono Zborowskiego, bo demonstracyjnie lekceważył prawo i jego wyroki. Konfederacje zawierało także przeciwko wpływom obcych mocarstw na życie polityczne w Polsce, tak było z Konfederacją Barską. Raz tylko w historii użyto tej nazwy do przedsięwzięcia zdrady narodowej, konfederację podyktowaną przez carycę w Petersburgu opublikowano w przygranicznej wsi Targowica... Jeśli jednak chodzi o wszystkie pozostałe konfederacje – zawsze były to ruchy demokratyczne, kierujące się dobrem publicznym

Odwołaliśmy się do idei propaństwowej

– A dlaczego nie utrzymała się na scenie ta... najbliższa nam historycznie Konfederacja?

– Mam wrażenie, że Konfederacja Polski Niepodległej została wygumkowana, jak dziś się popularnie mówi, z historii Polski dlatego, że była ruchem posługującym się zasadami, które przez inne partie polityczne nie są akceptowane. Pierwszą z nich

stanowiła zasada uczciwości i czystych rąk, bezinteresowności w działaniach publicznych. Inne partie najczęściej traktowały państwo jako łup, który należy zawłaszczyć i z którego czerpać korzyści. Po drugie – Konfederacja zmierzała do silnej władzy wykonawczej, skupionej w ośrodku prezydenckim, co godziłoby w interesy partii, usatysfakcjonowanych sejmokracją, rządami parlamentarno-gabinetowymi. Konfederacja wreszcie odwoływała się do ideowości propaństwowej, a nie do ideologii: lewicowej, prawicowej czy liberalnej. Była przeciwna ideologizacji państwa. Tymczasem partie, przyjmując ideologiczne podstawy, tym uzasadniały swoje istnienie, co jednak skutkowało podziałami w społeczeństwie. Wreszcie Konfederacja została wykreślona z historii Polski z tego powodu, że mówiła innym uczestnikom życia politycznego bolesną prawdę o ich egoistycznym stosunku do państwa. Konfederacji obce były i są gry salonowe, zgniłe kompromisy, władza dla samej władzy.

– Jak rozumiem, gdy w kolejnych rozmowach koalicyjnych stawialiście jako warunek brzegowy tekę ministra obrony dla Leszka Moczulskiego, to miało to wymiar symbolu? Wojsko było równocze-

śnie wykonawcą stanu wojennego i wciąż paradoksalnie wysoko cennioną w rankingach zaufania instytucją życia publicznego. Gwałtownym zmianom nie podlegało i wciąż był w nim obecny ten element zupacki, na który dziś stawia Macierewicz?

– Nie chodziło nam oczywiście o znalezienie zajęcia dla Leszka Moczulskiego, bo przewodniczący miał co robić. Chodziło o zmianę symboliczną, ale i konkretną. Konfederacja chciała włączyć się w budowę niepodległego państwa. A Leszek Moczulski, starając się o funkcję ministra obrony narodowej, miał na celu przede wszystkim ocalenie armii przed likwidacją i podporządkowaniem przez świat polityki. Podobnie nie chciał redukcji znaczenia sił zbrojnych w nowym państwie. Niestety, dostrzegając pesymistyczny scenariusz miał rację, gdyż po 27 latach niepodległości Polska nie posiada armii.

– Chyba Pan przesadza?

– Kilkanaście może dwadzieścia tysięcy żołnierzy i osiemdziesiąt tysięcy biurokratów... armii jeszcze nie stanowi. Przynajmniej na miarę możliwości państwa i wyzwań dla jego bezpieczeństwa. Kult armii przetrwał jedynie w społecznych odruchach

obywateli, którzy chętnie garną się do oddziałów samoobrony. Gdyby Konfederacja Polski Niepodległej zyskała udział we władzy w Polsce, mielibyśmy dzisiaj 400-tysięczną armię, która stanowiłaby fundament bezpieczeństwa Polski.

– Wyrazem pewnej społecznej potrzeby pozostaje popularność grup rekonstrukcyjnych, których członkowie na repliki mundurów i wyposażenia wydają ciężko zarobione pieniądze. A także moda na paintball jako rozrywkę klasy średniej i atrakcję korporacyjnych wyjazdów integracyjnych, może dzieciinną, ale jednak mądrzejszą od zawodów w przeciąganiu liny na plaży przez bosonogie agentki ubezpieczeniowe i pozornie wyluzowanych akwizytorów telefonów komórkowych?

– Świadczy to o ludzkich potrzebach. Tymczasem myśmy armię... przejedli. Ogromne kwoty poszły na „socjal”. Pieniądze, które wydaje się obecnie na obronę są rażąco niskie. Dwa procent budżetu – to jest nic. Przy naszych zagrożeniach geopolitycznych powinniśmy wydawać 10 procent. W przedwojennej Rzeczypospolitej jedna trzecia budżetu związana była w różny sposób z obro-

na państwa. A dzisiaj to niecałe dwa procent: 1,95. Powtarzanie, że mamy stutysięczną armię jest kłamstwem. Osiemdziesiąt procent to biurokracja w kalesonach. Myśmy chcieli, aby charakter Polaków, wynikający z historii, wykorzystać do wzmocnienia siły państwa. Niczym złym nie było odrodzenie Strzelca ani odwołanie się do tradycji oficerskiej jako wzoru zachowań inteligenckich. Próby przywrócenia etosu oficera powiązaliśmy z naszym projektem ratowania armii.

Porozumienie z postkomunistami obejmowało wszystkich oprócz KPN

– Wcześniej wspominał Pan o forsowaniu przez Was ustawy o restytucji niepodległości. Dlaczego KPN jej chciała, a inni nie?

– Ustawa o restytucji niepodległości byłaby ciosem, zadany Okrągłemu Stołowi. Przekreśliłaby Okrągły Stół i zrywała z PRL-em. A jednocześnie pozbawiała postkomunistów wpływu na państwo. Przekazanie władzy przez londyńskiego prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego prezydentowi Lechowi Wałęsie oznaczało nie tylko przekazanie insygniów, ale właśnie symboliczne potwierdzenie ciągłości istnienia państwa polskiego, ponownie odzyskującego niepodległość. Jednak restytucja niepodległo-

ści musiała mieć wymiar ustawowy, prawny, a nie tylko symboliczny. Rozumiem postkomunistów i ich głównych partnerów z Okrągłego Stołu, że głosowali przeciwko tej ustawie. Ale nie rozumiem w szczególności obozu Jarosława Kaczyńskiego, wtedy lidera Porozumienia Centrum, ani Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, którzy również zagłosowali przeciw restytucji niepodległości. Kierowali się nie tylko zawiścią, że to był ich projekt. Porozumienie z postkomunistami – jak się okazało – obejmowało wszystkich poza KPN! Brak woli politycznej rozstania się z PRL-em zaowocował przeniesieniem wad PRL-u do nowej Polski, zainfekowaniem nimi również III RP.

– Teraz w parlamencie żartuje się, gdy PiS przeprowadziło przez obie izby ustawę pozwalającą na usuwanie pomników z czasów PRL, że rodzi im się problem wewnętrzny, bo dawny prokurator z czasów stanu wojennego a teraz poseł PiS Stanisław Piotrowicz, zasłużony w walce z Trybunałem Konstytucyjnym, sam jest żywym pomnikiem niechlubnych czasów...

– Każdy Szawel ma prawo stać się świętym Pawłem. Jednak zazwyczaj jest to jeden przypadek na całą histo-

rię ludzkości. A na co dzień zwykle dominują u takich ludzi postawy koniunkturalne...

– Skoro wskazał Pan na powiązanie Waszego projektu restytucji z objęciem prezydentury przez Lecha Wałęsę, który w odróżnieniu od poprzednika – Wojciecha Jaruźelskiego – wybrany został przez naród, a nie przez parlament dzięki jednemu głosowi, to spytam, czy w ponad ćwierć wieku później kampania prowadzona przeciw Wałęsie przez jego dawnych podwładnych, próbująca mu odebrać miejsce w historii, rzuca światło też na wcześniejsze perypetie Leszka Moczulskiego? Choćby poprzez format atakujących: Francuzi mówią o *partyzantach ostatniej godziny*. Nazywali nimi takich bohaterów, którzy poszli do lasu, jak tylko Niemcy uciekli w 1944 r... Postąpili w ten sposób po to, żeby zaraz z tego lasu się wychylić, z marsowymi minami powitać wkraczających Amerykanów i zabrać się za demaskowanie domniemanych kolaborantów.

– Nie widzę żadnego związku między lustracyjną hucpą, skierowaną przeciwko Leszkowi Moczulskiemu wyłącznie z przyczyn politycznych, aby go z tej sceny usunąć, a przeszło-

ścią konfidencją Lecha Wałęsy. Lech Wałęsa jest ojcem polskiej niepodległości, niemniej jednak wykorzystał w pewnym momencie władzę prezydencką do tego, aby zacierać ślady przeszłości. Leszek Moczulski nigdy nie kłamał, ani swojej przeszłości nie fałszował, a prowadzona przez niego w latach 70 gra z komunistami, mająca szlachetne intencje przekonania władzy do niezbędnych zmian, została uznana za pretekst do oszczerstw wobec tego bohaterskiego człowieka, który w więzieniach PRL-u spędził więcej lat niż w ławach sejmowych już jako poseł w niepodległej Polsce. Jeden z wyroków sądu polskiego bezpodstawnie i stronniczo ocenił Leszka Moczulskiego jednak Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu ostatecznie uznał, że polski wymiar sprawiedliwości pomylił się i sprzecznie z prawdą historyczną wyrządził Leszkowi Moczulskiemu krzywdę. Państwo polskie reprezentowane przez przedstawiciela Ministerstwa Spraw Zagranicznych uznało ten wyrok trybunału za prawidłowy i nie złożyło odwołania. Tym samym uznało, że proces lustracyjny przeciwko Leszkowi Moczulskiemu był prowadzony tendencyjnie i okazał się ostatecznie niesprawiedliwy. To było dwa lata temu.

Moczulski zasługuje na Order Orła Białego

– Z tym się łączy ocena Leszka Moczulskiego jako przywódcy. Bo to jeden z ojców polskiej niepodległości?

– Leszek Moczulski zasługuje na Order Orła Białego od pierwszych dni, kiedy prezydentem został Lech Wałęsa. Stosunek świata politycznego do tego człowieka jest haniebnym. To żyjący bohater narodowy, współtwórca polskiej niepodległości.

– Kiedy dwa lata temu przeprowadziłem z Moczulskim wywiad dla kwartalnika „InGreen”, przestrzegał przed odwetową i anarchistyczną tendencją ówczesnej opozycji, teraz już rządzącej krajem: *„dzisiaj Polska nie jest zniewolona. Jej nie trzeba wyzwalać i nie jest potrzebny margines ludzi, którzy zamiast energii społeczną pozytywnie wykorzystywać, robią to w interesie rozbijania. I dlatego przypominają się rozmaite koszmary”*. Dar przenikliwości Przewodniczący zachował w różnych ustrojach?

– To najlepszy, dalekowzroczny analityk sceny politycznej, dla którego największą wartością jest Rzeczpospolita, państwo. Niezłomny, jeśli chodzi o domaganie się powrotu prawdy do

życia publicznego, a nie socjotechniki partyjnej, która okazuje się dzisiaj wyłącznym sposobem rozmowy władzy z obywatelami.

– Pamiętam, jak po Smoleńsku, ale przed wyborami prezydenckimi słuchałem Leszka Moczulskiego w dniu jego 80 urodzin, gdy radził: *„porzućmy zmory, zwidy i koszmary”*. Jedno zdanie, ale gdyby go posłuchano... Z kolei „Wojna polska” rozprawiła się z powielanym w szkołach PRL mitem, że w 1939 r. przegraliśmy, bo dowódcy uciekli szosą na Zaleszczyki, nie przygotowawszy kraju do wojny... Moczulski udowodnił, że koncepcja obrony na przedmościu rumuńskim nie była aberracją, choćby w 1920 r. polska obrona umiała zwycięsko kontratakować znad Wieprza, a w 1939 r. to radziecki nóż w plecy zdecydował o porażce. To 17 września rozstrzygnął o klęsce kampanii. Pamiętamy też, że Francja nie broniła się dłużej, choć była bogatsza i potężniejsza, a na czele jej armii stali zwycięzcy I wojny światowej.

– Leszek Moczulski, pisząc „Wojnę polską” przywracał Polakom poczucie godności, zabierane przez komunistów. Przywrócił poczucie dumy

z własnego państwa, z drugiej Rzeczypospolitej, która – walcząc – została pokonana przez silniejszych zaborców. I przywrócił tej walce o niepodległość sens. Cała praca komunistów, zohydzających II Rzeczpospolitą została tą jedną książką przekreślona. To jest wielka zasługa Pana Leszka.

– **Z kolei gdy ukazała się „Rewolucja bez rewolucji”, czytelnicy pewnie najwięcej rezerwy objawiali wobec ostrzeżenia Moczulskiego przez rozładowywaniem przez władze PRL konfliktów społecznych przez cykliczne kryzysy, czasem wiążące się z rozlewem krwi. Zarzucano autorowi spiskową interpretację dziejów. Tymczasem w parę lat po publikacji okazało się, że choćby celem zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki przez oficerów SB było właśnie wywołanie krwawego starcia, a dzięki rozwadze opozycji udało się tego uniknąć i w niespełna pięć lat później pokojowo przejąć władzę. Moczulski wzywał do tworzenia struktur polskiego systemu politycznego, które w wolnej Polsce się przydały, bo nie musieliśmy wszystkiego – jak pozbawiona doświadczeń instytucjonalnej opozycji Albania – tworzyć od początku. Zresztą chociaż Moczulski pisał**

o komunistach, to obecnie rządzący również hołdują rozumieniu polityki jako zarządzania konfliktami, które sami wywołują, przez co Polska – najłagodniej mówiąc – inaczej niż siedem lat temu bardziej przypomina Węgry niż Francję, raczej Turcję niż Kanadę?

– Zarządzanie kryzysami jest grą, zagrażającą racji stanu, wynikającą z cynicznych przesłanek, mających na celu wyłącznie utrzymanie władzy za wszelką cenę. Rozbijanie jedności narodowej, podgrzewanie różnic ideologicznych, wywoływanie konfliktów pomiędzy grupami zawodowymi i społecznymi, mnożenie podziałów po to tylko, aby istnieć na scenie politycznej jest tym zjawiskiem, które szczególnie krytykowała KPN. Słaba Polska to cel Rosji.

– **Pamiętam 50-lecie Powstania Warszawskiego, najważniejsze obchody, bo pierwsze okrągłe w wolnej Polsce, a ostatnie w których – takie jest nieubłagane okrutne prawo biologii i demografii – masowo wziąć mogli udział sami powstańcy, wtedy już po siedemdziesiątce. Relacjonowałem dla Wiadomości TVP tamte niezapomniane uroczystości. W 1994 r. rządziły SLD z PSL, a chociaż największym klubem**

opozycji była Unia Wolności, to po ciekawe wypowiedzi jeździłem do Sejmu do Leszka Moczulskiego i Krzysztofa Króla. Tylko KPN dostrzegła szansę historycznego pojednania, jaką niesie dla Polski ta rocznica, spekulowano przecież czy przyjedzie rosyjski prezydent Borys Jelcyn i co powinien powiedzieć nad Wisłą, gdzie w 1944 r stali biernie radzieccy żołnierze patrząc na dopalającą się Warszawę?

– Leszek Moczulski mówił wtedy, że świetnie byłoby, gdyby Jelcyn przyjechał, ale tylko, jeśli miałby przeprosić za stanie z bronią u nogi po drugiej stronie Wisły, a także za nóż w plecy 17 września i zbrodnicze lata 1939–41. Chodziłoby o to, żeby spotkać się w pół drogi po 50 latach. Rosjanie, kwestionując stalinowską linię propagandową, też zyskaliby moralny tytuł do trośczenia się o groby swoich żołnierzy na polskiej ziemi, do czego tak wielką wagę przywiązują. Ostatecznie na obchodach Jelcyna zabrakło, przysłał przedstawiciela. Bo rządzący Polską nie wykazali się determinacją ani siłą przebiccia. To wspaniały przykład, że prawdziwą opozycją parlamentarną w latach 1993-97 była KPN, a nie sporo liczniejsze kluby Unii Wolności i Unii Pracy. Gdyby polskie władze

myślały wtedy i argumentowały, tak jak Leszek Moczulski, prawda o II wojnie światowej zostałaby w Europie przywrócona.

– Ale błędy Moczulski jednak popełniał, skoro historia KPN to również dzieje rozłamów: w latach 80 jeszcze odchodzą Romuald Szeremietiew i Tadeusz Stański, w 1990 r. Frakcja Demokratyczna z Ryszardem Bocianem, Stanisławem Mazurkiewiczem (rodzonym wnukiem bohaterskiego generała Radosława z AK) i Wojciechem Gawkowskim, potem Piotr Aszyk z grupą posłów, wreszcie zaś Adam Słomka i Michał Janiszewski. Największy błąd Moczulskiego...?

– ...kiedy w 1997 r. podjął błędną moim zdaniem decyzję, aby nie wchodzić w rodzący się ruch Akcji Wyborczej Solidarność, stracił kontrolę nad aparatem partyjnym, który poparł Adama Słomkę w nowej formule KPN-Obozu Patriotycznego jako uczestnika AWS-u. Po wielu latach KPN-OP zamarł i sąd rejestrowy wykreślił go z rejestru partii politycznych, co umożliwiło ponowną rejestrację KPN-u.

– Po tym lipcowym sporze z 1997 r...

– ...Marian Krzaklewski nie spo-

dziewał się, że Leszek Moczulski nie włączy się w AWS. Nie rozumiał, że opór Moczulskiego nie wynikał ze zbyt małej liczby przydzielonych na listach wyborczych miejsc mandatowych do Sejmu dla jego zwolenników, ale dotyczył fundamentalnego zastrzeżenia wobec AWS, czyli faktycznej likwidacji partii politycznych. Tego Leszek Moczulski nie chciał. AWS wydawała się Moczulskiemu siłą, która niszczy odradzające się życie partyjne w Polsce i zabiera Polakom możliwość jasnych wyborów politycznych na rzecz bezprogramowego ruchu AWS mającego wyłącznie wyborcze znaczenie.

– Ale wyście się po cichu dogadali z Moczulskim, to był przykład aksamitnego rozvodu: w AWS zabrakło Moczulskiego, ale wyście się wśród posłów Akcji znaleźli i to nie w drużynie Adama Słomki?

– Pięciu posłów z KPN zostało posłami AWS, m.in. jeszcze Dariusz Wójcik i Grzegorz Cygonik (który potem został rzecznikiem całej Akcji), ponieważ widzieliśmy w AWS także ruch społeczny, mający na celu reformę państwa, co zaowocowało reformą administracyjną, emerytalną, oświatową, górnictwem i reformą służby zdrowia. Leszek Moczulski na to

przystał, poparł nas dyskretnie. Do dzisiaj żywię szacunek dla Mariana Krzaklewskiego, że „Solidarność” pod jego kierownictwem dała osłonę kosztownym dla społeczeństwa, a niezbędnym dla państwa reformom. Marian Krzaklewski pozostaje jednym z niedocenionych współtwórców polskiego sukcesu. Dzisiejsza „Solidarność” nigdy nie pozwoliłaby na niezbędne reformy potrzebne państwu, gdyż kieruje się egoizmem i postawą roszczeniową.

– Co uznaje Pan za swój znak firmowy z czasów posłowania?

– Uważam się za współtwórcę polskiej międzynarodowej polityki parlamentarnej. Pełniłem przez dziesięć lat funkcje wiceprzewodniczącego i przewodniczącego polskiej grupy Unii Międzyparlamentarnej – organizacji, mającej ponad sto lat, a łączącej parlamentarzystów wszystkich krajów świata. Polski wolny parlament powstał w 1991 r. I rozpoczęliśmy budowę stosunków międzyparlamentarnych od zera, tworząc grupy bilateralne. Spełniały rolę grup lobbystycznych polskich interesów: w szczególności przekonywania członków innych parlamentów do wejścia Polski do NATO i Unii Europejskiej. Przez te dziesięć lat stworzyliśmy dyplo-

mację parlamentarną, która w ścisłej współpracy z Ministerstwem Spraw Zagranicznych realizowała zadania dyplomatyczne. Nie tylko bowiem liczą się stosunki między rządami, ale równie ważną rolę odgrywają kontakty międzyparlamentarne. Czuję się współautorem tego sukcesu. Polska ma ogromne kontakty międzyparlamentarne, prawie ze 190 krajami świata. Stąd prof. Władysław Bartoszewski w 1999 r. zaproponował mi pracę w dyplomacji rządowej, co po okresie niezbędnej nauki dyplomatyczno-konsularnej zaowocowało decyzją premiera Jerzego Buzka o powierzeniu mi kierowania polską placówką dyplomatyczną w Nowej Zelandii. Jednak w 2001 r. nowy rząd Leszka Millera tę nominację anulował. Miller odwołał mnie na wniosek nowego ministra spraw zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza. Niedawno byłem w Warszawie z protestem pod prokuraturą przeciwko odmowie wszczęcia śledztwa w sprawie braku publikacji wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Pod prokuraturą był ze mną Roman Giertych, Ryszard Kalisz, z którym przed laty studiowałem prawo w jednej grupie, a także Andrzej Celiński. Właśnie Celiński zwrócił się do mnie: – Pytałem mie-

siąc temu Cimoszewicza, dlaczego wtedy tak zrobił, ale nie odpowiedział...

– Można powiedzieć, że komuniści już drugi raz udaremнили Panu podjęcie pracy...

– Pierwszy raz w 1984 r. komunistyczny minister sprawiedliwości skreślił mnie z listy aplikantów pod zarzutem, że ukryłem swoją działalność w NSZZ Solidarność i tym samym nie daję rękojmi bycia sędzią w państwie socjalistycznym. Wtedy przez trzy lata pozostawałem bez pracy, takie czasy.

Kiedy na salę sądową wchodzi polityka

– wychodzi z niej sprawiedliwość

– Gdy w 2001 r. zakończył Pan dziesięcioletnią misję poselską, wrócił Pan do zawodu adwokata. Jak z tej praktycznej perspektywy ocenia Pan stan przestrzegania prawa w Polsce? Czy obraz praworządności w kraju zmienił się skokowo po wyborach z 2015 r.?

– Polska jest państwem prawa. Obiegowa opinia o stronnictwych sądach nie znajduje uzasadnienia. W zasadzie tylko ci, którzy w swojej zapiekłości nie potrafią pogodzić się z faktem, iż nie mieli racji – wygłaszają oszczercze opinie pod adresem

wymiaru sprawiedliwości. Taka jest moja ogólna ocena, co nie oznacza, iż nie zdarzają się błędy sądowe. Zdarzają się, ale jest to zjawisko śladowe. Zmiany zachodzą od jesieni 2015 r. i polegają na zjawisku podporządkowania sobie przez administrację rządową, partyjną wszystkich organów wymiaru sprawiedliwości. Kiedy na salę sądową wchodzi polityka – wychodzi z niej sprawiedliwość, takie nowe zjawisko pojawia się coraz częściej.

– Czołowy publicysta „Gazety Wyborczej” Mark Beylin („GW” z 30 kwietnia – 1 maja) całkiem poważnie wypisuje, że PiS czerpie z autorytarnych doświadczeń sanacji... Czyli felietonista jedynej profesjonalnej gazety w kraju wie o czasach sprzed 1939 r. mniej więcej tyle, ile nauczono go w komunistycznej szkole. Lepiej wydają się znać historię demonstranci,

skandujący pod willą Jarosława Kaczyńskiego: 13 grudnia spałeś do południa. Bo nawet na liście internowanych go zabrakło... Jak to widzi piłsudczyk i demokratą równocześnie? Czy walka o odkłamanie historii okaże się równie istotna, jak dziś o Trybunał Konstytucyjny?

– „Jarosław Kaczyński ma tyle wspólnego z Józefem Piłsudskim, co jego kot z Kasztanką” – to zasłyszane porównanie odzwierciedla moją opinię.

– Współorganizuje Pan demonstracje przeciw autorytaryzmowi władzy, ale posłem nie jest Pan już od 15 lat. Kiedy nastąpi Pana powrót do wielkiej polityki i jaką przybierze instytucjonalną formę?

– Do polityki wrócę w momencie, gdy ruch propaństwowy, republikański, ideowy, a nie ideologiczny – będzie mnie potrzebował.

ADAM SŁOMKA

SĘDZIOWIE RECYDYWIŚCI

W kwietniu sporym rezonansem odbiło się oryginalne stanowisko sędziów Sądu Najwyższego o „*respektowaniu nieopublikowanych orzeczeń*” Trybunału Konstytucyjnego.

Przypomniły mi się zdarzenia sprzed 35 lat, gdy sędziowie nagminnie stosowali nieopublikowany dokument, jakim był dekret Rady Państwa PRL z 13 grudnia 1981 r. o rygorach stanu wojennego. Antydatowany ukazał się w Dzienniku Ustaw z wielodniowym „opóźnieniem”. Jako publiczność chodziliśmy z Anną Nikodem i Sławomirem Skrzypkiem na pokazowe procesy działaczy demokratycznej opozycji. Na własne oczy widziałem sędziów, który ferowali wyroki wieloletniego więzienia dla członków Związku Zawodowego „Solidarność” cytując przepisy z... gazety. Sędziowie wojskowi nosili dziennik „Żołnierz Wolności,” a cywilni otwierali na sali rozpraw „Trybunę Ludu”.

Taka to była demokracja i praworządność. Wydawało się, że to już nigdy nie może się powtórzyć.

Jednak rzecznik prasowy Sądu Najwyższego Dariusz Świecki zapowiedział obywatelom Polski będącym w Unii Europejskiej, iż: „**sędziowie będą respektować nieopublikowane orzeczenia**, a *ich publikacja nastąpić może w... internecie.*”

Jakby tego było mało ów rzecznik zorganizował konferencję prasową w reprezentacyjnym holu swego służbowego gmachu bezpośrednio na tle świeżo utworzonej galerii z wizerunkami prezesów Sądu Najwyższego.

Jakie postaci pokazano w galerii sław Najwyższego Sądu obecnej Rzeczypospolitej?

Kogo tam eksponują, kim się szczycą?

W gronie wybranych Prezesów znalazły się piękne postacie z Dru-

giej Rzeczypospolitej – choćby sędziego Władysława Seydy, czy z Trzeciej Rzeczypospolitej – Stanisława Dąbrowskiego, przyzwoitego sędziego w PRL i Prezesa SN w Niepodległej Polsce.

Jednak pośród tych szlachetnych postaci prezentuje się w galerii liczne grono zwyczajnych zbrodniarzy komunistycznych! Wzorowych sędziów Niepodległej Polski zrównano z funkcjonariuszami totalitarnej atrapy sądownictwa. Przykładowo znajdziemy tam takie charakterystyczne dla PRL indywidua:

Jerzy BAFIA – został „sędzią” Sądu Powiatowego w Krakowie w 1950 roku i jako lojalny przedstawiciel aparatu terroru błyskawicznie awansował obejmując stanowisko prezesa Sądu Wojewódzkiego w stolicy. Oficjalnie oddelegowany do Sądu Najwyższego PRL w 1954 roku, jednak jak wynika z dokumentów już rok wcześniej orzekał w tajnej sekcji Sądu Najwyższego wydającej m.in. wyroki śmierci na żołnierzy Niezłomnych. Po śmierci Stalina, w trakcie odwilży 1956 roku, ukrył się w Ministerstwie Sprawiedliwości, gdzie 15 lat pełnił funkcję dyrektora departamentu prawnego. Następnie skierowano go do pracy na etacie profesora prawa Uniwersytetu

Warszawskiego i dziekana Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego. Potem objął stanowisko Szefa Kancelarii Sejmu, był posłem PZPR, a w latach 1972–1976 Prezesem Sądu Najwyższego PRL. Od 1976 ministrem sprawiedliwości w kolejnych rządach premierów: Jaroszewicza, Babiucha, Pińkowskiego i Jaruzelskiego. Jako minister legalizował systemowe bezprawie, np. ścieżki zdrowia czyli masowe pobicia robotników w Radomiu oraz uwięzienie po sfingowanym procesie Kazimierza Świtonina, założyciela Wolnych Związków Zawodowych.

Włodzimierz BERUTOWICZ – karierę w organach „sprawiedliwości” PRL rozpoczął typowo, czyli od służby w Milicji Obywatelskiej. W 1950 roku został skierowany do pracy w prokuraturze, a następnie w sądach. W latach 1959–1967 był prezesem Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu i we Wrocławiu. Następnie rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego, posłem na Sejm PRL. Na IX Zjeździe PZPR wybrany do zespołu Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej.

W latach 1975–1980 pełnił funkcję profesora „Akademii” Spraw Wewnętrznych w Warszawie, tj. kuźni kadr MO i SB. Na mocy ustawy

o IPN ta „uczelnia” jest zaliczana do organów bezpieczeństwa państwa – totalitarnej PRL.

Został ministrem sprawiedliwości w rządzie PRL Piotra Jaroszewicza. Odpowiada za masowe legalizowania bezprawia m.in. wobec uczestników protestów 1970 roku w Trójmieście.

Od 1976 roku poprzez stan wojenny aż do czasów pierestrojki był nieprzerwanie prezesem Sądu Najwyższego PRL. Równocześnie w stanie wojennym Jaruzelski namaścił go na przewodniczącego marionetkowego Trybunału Stanu.

Takie są typowe dwa życiorysy (z większej listy podobnych „słów” przypominanych jako chluba Polski na głównej ścianie w SN) – gorliwych budowniczych zbrodniczego systemu PRL, aparatchyków, którzy wszystkie funkcje sprawowali z nadania partii komunistycznej i pod ścisłą kontrolą służb specjalnych.

Prawdziwe wizytówki Sądu Najwyższego!

Jednak taka postawa nie może dziwić zważywszy, iż w konsekwencji ustaleń „okrągłego stołu” wszyscy dyspozycyjni sędziowie, zbrodniarze komunistyczni, którzy represjonowali patriotów, pozostali w kierowniczych

gremiach wymiaru sprawiedliwości Nowej Polski. Zostali wręcz uhonorowani wprowadzeniem „immunitetu sędziowskiego” (instytucji nieznanej w PRL, stosowanej tylko w Bułgarii). W efekcie takiego proceduru około tysiąc sędziów – owych zbrodniarzy komunistycznych – zbudowało obecną strukturę i „standardy” sądów III RP.

Dlatego sędziowie próbują wymieścić oprawców z ofiarami, ukrywając, iż sądy totalitarnej PRL (pomimo występowania sporadycznych wyjątków) były ważnym narzędziem komunistycznego terroru i dławienia wolnościowych aspiracji narodu Polskiego, podobnie jak milicja, prokuratura czy ludowe wojsko. Trzeba się z tym zmierzyć, a dyspozycyjnych funkcjonariuszy usunąć. W innym wypadku afery z prezesem sądu „na telefon” (E. Milewski z Gdańska) będą na porządku dziennym.

Co prawda publicznie pierwszy Prezes Sądu Najwyższego Wolnej Polski, Adam Strzembosz, zapewniał, iż „sędziowie oczyszczą się sami”, niemniej, jak wiemy, do dziś ANI JEDEN SĘDZIA KOMUNISTYCZNY NIE ZOSTAŁ SKAZANY czy choćby usunięty z zawodu, a na za-

sadzie mimikry zło jedynie wciągnęło i nauczyło oportunistów młodych w togach.

Jak wskazuje Centrum Ścigania Zbrodniarzy Komunistycznych i Faszystowskich w składzie Sądu Najwyższego mamy nadal kilkunastu zbrodniarzy z czasów PRL, jest to więc największa (procentowo do całości składu) przechowalnia totalitarnych relikwów socjalistycznego wymiaru sprawiedliwości w III RP. Na czele tej grupy stoi Przewodniczący Izby Wojskowej i Prezes Sądu Najwyższego generał Janusz Godyń

Janusz GODYŃ – sędzia major LWP; wstąpił się w PRL wyjątkową dyspozycyjnością – przykładowo skazał na bezwzględne więzienie Jana Drucia, działacza KPN z Huty Batory, przymusowo wcielonego do Ludowego Wojska za udzielenie pomocy bohaterskim górnikom z KWK „Wujek”, polegającej na przekazywaniu żywności dla strajkującej załogi kopalni, otoczonej przez wojsko i milicję.

Kolejna grupa skompromitowanych sędziów Sądu Najwyższego wydaje systematycznie kuriozalne uchwały, np. w przedmiocie ustawy o nieprzedawnieniu zbrodni komunistycznych (wydawało mi się

to naszym największym sukcesem w historii parlamentarnej opozycji niepodległościowej). Niestety, praktyka jest taka, że uchwały sędziów Sądu Najwyższego interpretują tę ustawę tak karykaturalnie, iż zbrodnie PRL, owszem, można by ścigać, ale w 99 procentach przypadków uznaje się je za przedawnione...

Jest to postępowanie identyczne z zachowaniem hitlerowskich sędziów III Rzeszy, którzy w Trybunale RFN przez ponad 25 lat blokowali rozliczenie własnych zbrodni.

Skutki takich praktyk obrazują ostatnio:

Na własnym przykładzie: Sąd w Warszawie odmówił ścigania funkcjonariuszy ZOMO, których SB przebrała w mundury Służby Więziennej po to, by mnie pobili do nieprzytomności w szpitalu więziennym 25 lutego 1986 roku na ul. Rakowieckiej. Był to odwet za pisanie skarg na warunki „leczenia” i interwencje premier Wielkiej Brytanii u Jaruzelskiego.

Sąd Okręgowy w Krakowie 12 kwietnia 2016 r. odmówił prokuraturze IPN prawa do ścigania kilkudziesięciu funkcjonariuszy SB, którzy 3 maja 1986 roku pozbawili wolności 287 osób po to, by obywa-

tele nie uczestniczyli w mszy świętej. Następnie SB-mani pobili kastetami i pałkami kilkudziesięciu działaczy KPN i Solidarności na Wawelu podczas obchodów „nielegalnego” święta 3 Maja. Zachował się rewelacyjny kolorowy film z tej akcji SB (dostępny w internecie oraz rzetelna relacja TVP Kraków – <http://krakow.tvp.pl/24865530/12-iv-2016-godz-1830>).

Wskutek takich oto postaw gremiów decydenckich w wymiarze sprawiedliwości – przede wszystkim Sadu Najwyższego RPRL – do dziś żaden z przywódców państwa komunistycznego, MSW PRL czy PZPR, nie został realnie ukarany i nie trafił do więzienia. Skazany został za to na bezwzględne 10 miesięcy więzienia (prawie rok) niezłomny Zygmunt Miernik, były internowany, ofiara hunty Jaruzelskiego za tortowy protest wobec sądowej ochrony oprawców.

W tym kontekście nie może więc dziwić, iż dziś sędziowie nadal uważają za właściwe stosować nieopublikowane orzeczenia, a nawet postanowili się tą oryginalną postawą pochwalić.

Identycznie, w pełnym poczuciu bezkarności (immunitet!), sędziowie konsekwentnie wpływają na życie

polityczne Trzeciej Rzeczypospolitej, jawnie sabotując rozliczenie przestępczych działań i lustrację. Odmawiając in gremio wykonania ustaw o ujawnieniu agentury, a ponadto chroniąc „swoje elity” przed odpowiedzialnością karną.

Dobitnie widać to choćby na dwu przykładach bezkarności – „zakochanej” w dużej gotówce poseł PO Sawickiej czy ministra powszechnej prywatyzacji Janusza Lewandowskiego, który zasłynął „sprzedażą” zakładów za cenę niższą niż wartość towarów w ich magazynie. Perypetie z jego wieloletnim procesem karnym, toczonym w sądach krakowskich z mojego wniosku, to temat na książkę.

Nie można się zatem dziwić sędziom, iż czujnie zareagowali na apel poprzednich Prezydentów. Jest z kogo brać przykład.

Tak na marginesie, od jakich ludzi idą dla sędziów – obrońców demokracji – stosowne wytyczne, króciutko dla przypomnienia:

Lech Wałęsa – za wspieranie „lewej nogi” ochroniony przez Sąd w postępowaniu lustracyjnym. Orzeczono, iż nie był agentem SB. Na szczęście żona Kiszczaka nie chciała podzielić losu Jaroszewiczów i udostępniła teczkę TW „Bolka” IPN-owi. Lech Wałę-

sa dbał o „sprawdzone” kadry z PRL-owskim, PZPR-owskim i SB-eckim rodowodem z wielką pieczołowitością i to we wszystkich strukturach państwa.

Aleksander Kwaśniewski – minister w rządzie PRL, który wsadzał opozycjonistów do więzień (w tym i mnie w 1988 roku), przywiózł od KGB z Moskwy milion dolarów na utworzenie SLD, następnie prze-transferował kilka milionów dolarów z tajnych kont PZPR. Nadal obficie finansowany przez komunistycznych oligarchów poprzez Ukrainę. Uratowany przez Sąd Apelacyjny fortelem prawnym i kazualną sofistyką, iż kandydat na prezydenta nie jest kłamcą lustracyjnym, gdyż jego współpraca z SB miała charakter... jawny. A ścigany winien być tylko TAJNY współpracownik... Skandaliczny przebieg jego procesu lustracyjnego to również temat na osobną książkę. Trzeba przyznać, iż Aleksander Kwaśniewski także dbał o swoje kadry „fachowców” z PRL-owskim, PZPR-owskim i SB-eckim rodowodem – zabezpieczając beneficjentów nowego systemu władzy.

Bronisław Komorowski – minister w rządzie Mazowieckiego, który jako jedyny opozycjonista z cza-

sów PRL stanął na czele oddziałów ZOMO, by w 1990 roku osobiście pacyfikować protesty KPN, domagającej się likwidacji PZPR i baz wojsk sowieckich. Warto poczytać o tym niewiarygodnym wyczynie w jego autobiografii.

Na osobistego doradcę obrał sobie zbrodniarza Jaruzelskiego, osłaniając go skutecznie przed jakąkolwiek odpowiedzialnością karną.

Bronisław Komorowski był chroniony przez sędziów w procesie Wojciecha Sumlińskiego (wątki licznych powiązań z WSI) oraz w procesie z mojego wniosku w kampanii wyborczej (relacja na portalu TV Republika). Prezydent Komorowski odwdziczył się sędziom Sądu Najwyższego inicjatywą ustawodawczą, umożliwiającą przedłużenie im pracy mimo osiągnięcia wieku emerytalnego – co skutkuje oczywiście wydłużeniem aktywności sędziów zbrodniarzy komunistycznych. Ponadto Prezesa SN Adama Strzembosza odznaczył orderem Orła Białego...

Widać więc, jak wielkie wyzwania stoją przed obozem „dobrej zmiany”. Uzdrawiać trzeba równolegle: media, politykę socjalną, wojsko, służby specjalne, szkolnictwo.

Minister sprawiedliwości dzielnie odzyskuje prokuraturę dla Państwa Polskiego. Warto się zastanowić, kto może uratować państwowotwórczy wymiar sprawiedliwości dla Rzeczypospolitej? Uważam, że to naturalne zadanie dla Pana Prezydenta Andrzeja Dudy.

Warto zainicjować publiczną debatę. Pomyśleć nad sprawdzoną w świecie instytucją ŁAWY PRZYSIĘGLYCH, czynnika społecznego, który całkowicie zmienia model funkcjonowania sądownictwa. Wypada rozmawiać z sędziami, którzy nie zrobili kariery w III RP, ale odważnie zachowali się w PRL odmawiając sądenia w procesach politycznych (było kilkuset takich sędziów – najsilniejszy opór wystąpił w Opolu). Spo-

ra grupa sędziów (około stu) zachowała się bardzo przyzwoicie podczas tysięcy postępowań rehabilitacyjnych za krzywoprzysiężne wyroki PRL. Warto przeanalizować efekty węgierskich zmian w sądownictwie. Wchodzi nowe młode pokolenie do Sądów Rejonowych, trzeba je pozyskać dla dobra państwa. Po prostu trzeba podjąć „wyzwanie” rzucone przez układ zamknięty.

Natomiast zbrodniarzy w togach... – oczywiście przegonimy ich tak czy siak z sądów.

Adam Słomka

Przewodniczący stowarzyszenia
KPN-Niezłomni

Posel na Sejm I, II i III kadencji

KULTURA NN

MACIEJ RYSZARD GIELECKI

ŚWIT

Pamięci mojego ojca żołnierza niezłomnego

W niedzielny poranek, pod wiekowy, drewniany kościół w Tomaszowie Lubelskim zaczęły zjeżdżać piętrowe autokary. Wkrótce utworzyły szpaler, któremu z zainteresowaniem przyglądali się podążający na mszę.

– A to co? Pielgrzymka w taki czas? – zapytała starsza kobieta.

– Nie wiem. Nic nie ogłaszali – odpowiedziała jej, nie mniej zdumiona sąsiadka.

– Może to do naszej cudownej Mateńki?

– Tak wcześnie? A patrzcie no Sochanowa, rejestracje tutejsze. Starsza nie dając za wygraną podeszła do kierowcy palącego przy krawężniku.

– A daleko to? – zagaiła z nieskrywaną ciekawością.

– Do Warszawy – odpowiedział mężczyzna. – zabierzecie się z nami?

– Aha – skwitowała jego słowa, przyglądając się mu jeszcze baczniej. – A co was tam ciągnie na taką pogodę?

– Młodzi jadą. Strajkować będą.

– Powiadacie, strajkować? – zamyśliła się po czym dodała. – Zły czas wybrali. Niechby miesiąc odczekali, a tak to się nabidują.

– Nie mogą, jadą na Wyklętych.

– Powiadacie, na wyklętych? No tak. To niech jadą i nie popuszczą. Cały naród przeklina tych warszawskich za to marne życie – powiedziała z błyskiem w wodnistych oczach.

– Nie tak matko – uśmiechnął się kierowca. – Idzie o partyzantów, co przed komuną bronili.

– A, o leśnych idzie. Im nieborakom już tylko miłosierdzia Bożego trzeba. Na co im jechać? – zapytała na powrót zdziwiona. – Przecie tu nikt ich nie wyklina. Szacunek u narodu mają.

– Właśnie. O ten szacunek idzie. Młodzi chcą, jak oni. O Polskę będą krzyczyć – wyjaśniał cierpliwie kierowca.

– Polska – zadumała się ponownie. – Polska to ta ziemia, co ją tu widzicie, a oni jeden przez drugiego szczęścia po świecie szukają.

– I o to idzie matko. Nie chcą na tułaczkę, to strajkować jadą.

– To dobrze, że nie chcą. Niech was Bóg prowadzi – zakończyła widząc wychodzących z poprzedniej mszy i podreptała w stronę ogrodzenia. Jeszcze zatrzymała się na chwilę przy drewnianej dzwonnicy zwalście stojącej między parkanem a świątynią i znakiem krzyża pobłogosławiła liczną grupę mijających ją, młodych twarzy. Widać zbliżał się czas odjazdu, bo od strony ronda, na którym dawniej stały sukiennice, nadchodziły coraz liczniejsze grupki niosących flagi i reklamówki z prowiantem. Senna dotąd okolica napelniła się gwarem powitań i przechwałek głoszących światu hardość i odwagę. Jak to zwykle, popisywano się buńczucznymi zapowiedziami; tym głośniej im więcej przybywało dziewczyn. Prężyła więc muskuły tomaszowska kawalerka, ciesząc się na atrakcyjny wypad w damskim towarzystwie.

Nie brakło przy autokarach stojących opodal stadionu

Górnika szwarych dziół i w Zabrze. Naznosiły te pannice dla swoich karlusów bejlangi, a dla siebie tutki wypchane bom bonami. Właśnie zagrzewały się skandowaniem klubowych okrzyków przyklaskując i wyrzucając ręce w górę. A rozmarzone chopy przyglądały się ich zimnem malowanym policzkom, które zdawały się jeszcze bardziej rumiane przy błękitno-czerwonych szalikach.

W tym samym czasie, mając dłuższą drogę do pokonania szczecińskie szumle i foczki zdążyły już nakarmić swoich facetów. Teraz przytulone do ich męskich piersi, autokarową drzemką próbowały nadrobić nocne wstawanie.

Ciągnęło to pospolite ruszenie, jak Polska długa i szeroka, do serca swojego kraju. Choć zimno i śnieg i wiatr, wypełniali drogi jeszcze liczniej niż pół roku temu na listopadowe święto.

Schodzący z nocnego dyżuru adiunkt Bartkiewicz usiadł w fotelu szpitalnego gabineciku. Włączył telewizor i sięgnął po widelec.

– „Dziś gościmy w studio socjologów: profesora Kieraja i doktora Szymanowskiego, obaj z Uniwersytetu Warszawskiego. Witam Panów. Z informacji, które do nas dochodzą, pomimo złych warunków drogowych, nie brak autobusów zjeżdżających do Stolicy. Czy możemy już mówić o buncie młodych?”

– „Witam Państwa. Panie redaktorze, bunt to mocne słowo – zabrał głos profesor. – Młodość ma to do siebie, że szuka przygody. Od pewnego czasu stało się w tym kraju modne, oczywiście w specyficznych kręgach, takie jak dziś wiecowanie. Zaliczyłbym to do elementów subkultury stadionowej. To taka potrzeba wyszumienia się. Dawniej tłukli się na potańcówkach w remizie, teraz świat jest bardziej mobilny, to i jeżdżą dalej. To całkiem naturalne i nic nie znaczy”.

– „Zapewne – odezwał się redaktor. – Jak więc możemy wytłumaczyć widzom tak niecodzienną liczebność tego spędu?”

– „Zgadza się z panem profesorem Kierajem – włączył się doktor. – Mamy czas szarej nudy przedwiośnia. Taka eskapada to towarzyski happening. Z psychologicznego punktu widzenia, nawiązują do opowieści dziadków o autokarowych wyprawach na grzyby. Dawniej masowo organizowano je we wszystkich zakładach, w ramach tak zwanej akcji socjalnej. Takie, powtarzalne wzorce lubią kodować się na kilka pokoleń”.

– „Nie od rzeczy doktorze – przerwał mu profesor – jest dodać tu czynnik emocjonalny. Szanowni widzowie zapewne sami zauważają, jak niespokojnie zrobiło się na świecie. Wzrasta poczucie zagrożenia. To pobudza. Nawet bardzo pobudza, właśnie do chęci działania. Można rzec, do zrobienia choćby czegokolwiek. Tu upatrywałbym przyczyn omawianego fenomenu”.

Bartkiewicz skrzywił się z niesmakiem.

– Nie panowie – głośno zaprzeczył telewizyjnym specjalistom. – Nawet jeżeli jest jakaś część racji w waszej paplaninie, to albo nic nie rozumiecie, albo boicie się prawdy. To koniec „chocholego snu”. Koniec i już. Nowe się budzi, zarozumialcy. Nowe! Odradza się to, co za martwe mieliście.

Słuchając ruszających ustami półgłówek z pełnym wykształceniem, coraz

bardziej „nakręcał się” aż wyciągnął groźnie palec ku ekranowi i zawołał podniesionym tonem:

– Ślepcy! Wasza pozytywistyczna nauka, zaśłania wam, że oto wychodzi ze skały Giewontu, przechowany wieszczów zaklęciem, najprawdziwszy, sarmacki duch narodu.

A widząc brak jakiegokolwiek reakcji z ich strony, zmienił taktykę i starał się choćby cokolwiek im wytłumaczyć:

– Nerozumni! Umknęło waszym szkiełkom, że ta ziemia ma moc mistyczną? Ma moc rodzenia ziarna, co ciurę i hultaja karmi na rycerza. Bo tu, gdzie tyle mógł walecznych, każde źdźbło korzonkiem sięga naszego, prastarego ducha.

Ponieważ dyskutanci nadal ignorowali jego głos, zerwał się z miejsca i prawie krzyczał oburzony:

– Nędznicy! To ziarno, w ogniu pieca doskonałone, cierpliwie, dzień po dniu napępniało szlachetnością młode ciała. Szlachetnością, której wy strawić nie umiecie. Sprzedajni służalcy! Jeżeli racja po mojej stronie, to następny raz stawia się tu jeszcze liczniej; a jak nie, to i tak nie będzie komu słuchać waszej gadaniny. Przestaną wam płacić. Odeślą do lamusa.

Wołam, tak to do was wołam. Przekupne durnie! Dla dobra własnego, nie tupcie nogami na głos prawdy. Wreszcie nadciągają hufce nowego rycerstwa. Wreszcie nadciągają! – dodał z ulgą.

Usiadł wyraźnie uspokojony ostatnią myślą i przełączył telewizor na inny kanał. Teraz mógł powrócić do śniadania.

Tomaszowska kawalkada zbliżała się do Krasnegostawu, gdy siedzący w fotelu pilota Piotrek, podniósł do ust mikrofon. Dmuchnął dla sprawdzenia głośników i szydlerczo obwieścił:

– Panie i Panowie, gotujemy się na uściski komitetu powitalnego -po czym obrócił się do szyby i patrzył na rosnącą sylwetkę człowieka w zielonym uniformie, który energicznie wymachiwał lizakiem.

Autokary zwolniły i posłusznie przycupnęły na brzegu jezdni. Dwadzieścia metrów dalej stały trzy służbowe samochody z migającą na dachach dyskoteką. Dwa koloru zielonego i jeden srebrzysty z napisem Policja. Do środka wszedł zwalisty mężczyzna o czerwonej gębie i śpiewnym akcentem zawołał:

– Kontrola celna, zabierajcie dowody i wychodzić.
– Jedziemy z Tomaszowa do Warszawy, tu same swoje – odezwał się kierowca.

– Swoje nie swoje, bedziem patrzeć. Nie utrudniać, szykujcie papiery i otwierać luki – rzucił przez ramię celnik wysiadając by przejść do następnego pojazdu.

– Pamiętajcie, tylko spokojnie. Zabierajcie dowody – instruował przez mikrofon Piotrek. – Dziewczyny, najlepiej nie gadać, bo przetrzymają i dwie godziny, jak na poprzedni raz. Wiesiek, jak wejdą sprawdzać, to z Krzyskiem i Celiną idziecie za nimi. Celina, nie zapomnij wszystko łąpać na kamerę. I miejcie baczenie by nie podrzucili czego, bo wtedy gleba. Z Warszawy nici. To hrubieszowskie, tam jeszcze nie słyszeli, że od pół roku nowe rządy; to i dają po staremu – dodał kpiąco.

Zakładając kurtki czekali w zbitej grupie. Po dłużących się minutach podszło do nich dwóch celników.

– Jesteście na terenie strefy Schengen. Obywatele państw obcych przejdą na stronę radiowozów – zaczął głupawym tekstem jeden z nich i rozejrzał się po patrzących na niego z politowaniem twarzach.

– Śnieg pada, ale kurzawy nie ma, a i tak pobłądzili – zaśmiała się Wanda i dodała – do granicy kawał drogi, trzeba było GPSsa włączyć.

– No co? Jak same swoje to podchodzić kolejno z dokumentami – warknął drugi zirytowany tym, że kazano mu wygłupić się przed rówieśnikami.

– Ludzie powoli, nie napierajcie, my na służbie – zawołał pierwszy cofając się o pół kroku przed wianuszkami ciasno okalających go damskich piersi.

– Albo porządek, albo bedziem sprawdzać do południa – zagroził drugi czując, że za chwilę ulotnią się resztki i tak mizernego autorytetu; a ponieważ jedyną reakcją było jeszcze większe rozbawienie, wysapał czerwony ze złości – zawołałam na komendanta i nie będzie tomaszowskim do śmiechu. Na Hrubieszów pojedą.

Odpowiedziało mu chóralne buczenie.

– My po dobroci. Nic do was nie mamy – odezwał się Piotrek widząc narastające zacietrzewienie funkcjonariuszy. – Róbcie swoje i puszczajcie.

– A zrobim i miarkujcie bo w pięty wam pójdzie – odgryzł się celnik.

Po pół godzinie wsiadali z powrotem, głośno komentując w stronę odchodzących bzdurę zaszłej sytuacji. Nim ściągnęli kurtki i rozsiedli się wygodnie, radiowozy odjechały. Cicho, z wyłączonymi kogutami; tak jakby i one mogły poczuć się zawstydzone.

– Jak tam wiara? Nie było źle – ocenił Piotrek. – Ktoś kombino – wał, ale te jełopy nie chciały tego brać na swój garb. Odwalali

pańszczyznę. I bardzo dobrze! – dodał i przeciągle zakrzyknął

– Pool-ska!

Odpowiedziało mu z obu pokładów skandowanie wzmacniane trzykrotnym uderzeniem w dłoń:

– Pol-ska! – przeleciał po pokładach okrzyk. – Raz, dwa, trzy –

klasnęły ręce.

– Pol-ska! Klap, klap, klap – ponownie uzupełniły rytm dłonie.

– Ruszamy panie Kierowco – rzucił i wyłączył mikrofon podbijając muzę w autokarowych głośnikach.

Przechadzający się po gabinecie Wysocki sięgnął po komórkę.

– Tak? – rozpoczął i zaczął z uwagą wsłuchiwać się w nadbiegające słowa. – Ofermy! – skomentował zgryźliwie i dodał – Pies im mordę lizał.

Schował telefon i zwrócił się do łysego mężczyzny:

– Dzwonili z Lublina. W Krasnymstawie pudło. Kazik usprawiedliwia się, że nie było dziś żadnego „cyngla”. Posłali patrol jakichś buraków i nici.

– Zdarza się – odpowiedział obojętnym tonem łysy. – Prewencyjna bardziej do przewidzenia. Tam będzie podług planu. Ty bądź spokojny. Na grafiku naszego spektaklu zapisane jest, jeszcze wiele razy podnieść kurtynę.

– Potrzeba nam, co najmniej, jakieś pięć, sześć burd. Stołeczna powinna być zasypana meldunkami o agresji jadących na Warszawę.

– Starzejesz się. Nerwy dopuszczasz. Wszystko będzie, jak należy – uspakał łysy. – Choć przygrywka nie najważniejsza, liczy się finał.

– Plan to plan. Awantury to alibi dla chłopaków. Bez tego trudniej będzie im pozacierać ślady. Sfora urzędasów z Raławickiej tylko czeka na okazję by łapać punkty u nowego szefa. Będą chcieli wykazać się.

- Witek, czy tak czy inaczej, zespoły poradzą. To doświadczeni ludzie.
- Tym bardziej należy się im, jak psu buda, przypilnowanie gry wstępnej. Wartościowych ludzi nie znajduje się na ulicy – odpowiedział przypalając papierosa.

Szczecińskie autokary przejechały most na Obrze. Łagodnie wylewając się z głośników muzykę „chillout” przerwał chropowaty głos Mariana:

- Mała przerwa, ale nie wysiadać.
- Kontrola drogowa, proszę o dokumenty – dał słyszeć się głos policjanta stojącego pod oknem kierowcy.
- Niezwłocznie, na przedzie autobusu zaczęła gromadzić się grupka ciekawskich.
- Kierowca zabiera dokumenty i zapraszam do radiowozu – usłyszeli przez opuszczoną szybę.
- To samotny rajder, zaraz ruszamy, nie wysiadać – uspokajał Marian.
- Wyprostujemy kości – powiedział Edek wciągając skafander.
- Hej, siedzimy – oponował Marian.
- Wał się. Idę puścić soki na przyrodę – odpowiedział zaczepnie Edek, a za nim wysypało się kilku chłopaków.
- Panowie do wozu, to nie parking – krzyknął w ich stronę drugi z policjantów.
- Cierpliwości. Chwila moment – odburknął ktoś.
- Nie podskakuj, do wozu – ostro zareagował policjant.
- Te, podglądacz, weź na wstrzymanie – zarechotał Edek.
- Chowaj fujarę i do wozu, migiem.
- Nie indycz się. Porachuj, siedem autokarów. Pełne – prowokował Edek. – Lepiej idź do kolegi, bo katar złapiesz i będzie na moją fujarkę.
- Tak? Dla ciebie koniec podróży, a reszta dalej stąd – wrzasnął policjant chwytając go za łokieć i ciągnąc w stronę radiowozu.
- Nie tak ostro. Buzi jeszcze nie było! – krzyknął Edek wyrywając pochwyconą rękę, a drugą odepchnął policjanta i wrzasnął
- Spieprzaj dziadu!

Mundurowy, odprowadzany gwizdami, bez słowa pobiegł do samochodu.

– Puszczaj kierowcę – polecił koledze, a gdy zostali sami sięgnął po mikrofon radiostacji.

– Dyżurny? Melduję: czynna napaść i zniewaga.

– Gdzie jesteście? Co się dzieje? – usłyszał z głośnika.

– Międzyrzecz Osada. Zaatakowano nas przy kontroli na S3. Kibole w siedmiu autokarach. Powtarzam, czynna napaść kiboli.

– Wycofaj się i jedźcie za nimi. Sprawę przejmie Poznań. Melduj za dziesięć minut o sytuacji.

– Zrozumiałem – zakończył i z wyrazem nieskrywanego zadowolenia wyciągnął komórkę. – Kasiu spóźnię się, będzie trochę roboty – oznajmił do słuchawki.

W odpowiedzi usłyszał męski głos: – „W porządku, zrozumiałem”.

– Sztab marszu? – upewniał się Marcin nie mogąc rozpoznać z kim mówi.

– Zgadza się. Tu Danuta. Marek przekazał mi odbieranie raportów.

– Dzwoni Pogoń, ze Szczecina. W Międzyrzeczu mieliśmy kontrolę. Jedna łapsa ostro czepiała się. Coś jakby szukał guza. Na razie spoko, ale mamy ogon. Wleką się za nami już dziesięć kilometrów.

– Pilnujcie prędkości, bo będzie następny postój – odpowiedziała chcąc wyjść na biegłą w temacie.

– Ty chyba jesteś świeża. Mamy kumatych kierowców. Jadą, jak aniołki. Przekaż chłopakom, że coś tu śmierdzi. Dzięki. Odezwę się.

„Aha, do bani taki tekst. Kasujemy i wymyślamy coś lepszego” – pomyślała i sięgnęła po długopis by odnotować wydarzenie.

– Andrzej, – zwróciła się w stronę stolika po lewej ręce – dzwonili ze Szczecina, wygląda na to, że tam szykuje się coś poważniejszego.

– Dzięki. Zanotuj numer z którego mówili – odpowiedział i wrócił do dyskusji.

Po dwudziestu minutach w radiowozie odezwał się głos oficera dyżurnego:

– Na węźle z 305 sprowadzacie ich z autostrady. Dalej to sprawa prewencyjnych.

– Zrozumiałem. Węzeł z 305.

– Włącz dyskotekę i wyprzedzaj – polecił prowadzącemu na widok mającego w oddali wiaduktu węzła drogowego.

– Prawy kierunkowskaz – odezwał się ponownie po kilkadziesiąt sekundach i opuściwszy szybę wystawił rękę z lizakiem dając znaki podążania za nimi.

– Szybko, CB – poprosił kierowcę Marian. – Uwaga, Autostrada Wolności przy 305. Autobusy ze Szczecińską grandą jadące na marsz. Potrzeba świadków. Miśki ściągają nas z drogi. Czeka duży komitet powitalny. Szykują aferę. Powtarzam: Autostrada... – rozpoczął nadawanie komunikatu.

Tymczasem konwój podjeżdżał ku licznej grupie policyjnych „lodówek”, przed którymi, w dwuseregach stało czterdziestu „pałkerów” ubranych w ochronne „żółwie”.

– Wszyscy wysiadać – padło przez megafon krótkie polecenie. Od wysypujących się z autokarów sylwetek, oddzieliło się trzech chłopaków i podeszło do funkcjonariusza z dystynkcjami komisarza.

– Wracać na miejsce – warknął im prosto w twarz megafon. – Ustawić się w szeregu. Jesteście oskarżeni o czynną napaść.

Wszyscy na ziemię – a widząc ociąganie, komisarz czekał dalej. – Brak subordynacji oznacza opór. Wobec osób stawiających czynny opór, będzie użyty przymus. Powtarzam: wszyscy na ziemię.

Rozległy się gwizdy, na co reakcją było podniesienie tarcz przez „białe kaski” i wysunięcie się do przodu trójki z miotaczami gazu. Dodatkowo, na lewe skrzydło wybiegła zza samochodów grupa dziesięciu policjantów uzbrojonych w gładkolufowe strzelby.

– Wobec stawiających opór użyty będzie przymus. Na ziemię – ponowił komendę po tej demonstracji siły.

W tym czasie, droga zaczęła wypełniać się nadjeżdżającymi zewsząd, różnej wielkości ciężarówkami.

– Zamelduj blokadę, niech przyślą tu trochę drogówki – polecił stojącemu obok aspirantowi. – Kobiety do autokarów – wznowił szczekanie przez megafon widząc wystające z wysokich kabin kilkanaście rąk uzbrojonych w smartfony, którymi najwyraźniej zaczęto filmować zajście. – Reszta na ziemię.

– Białe kaski! – zakrzyknął, co sił w płucach Edek i dyskretnie zaczął rozglądać się po ziemi.

– Ro-bią laski! – zawtórował mu hardo tłum młodych.

Ponieważ droga wypełniła się już szczelnie, a z samochodów wysiadła spora grupa ludzi, komisarz postanowił zmienić taktykę.

– Szukamy sprawców napaści na funkcjonariuszy. Reszta będzie mogła spokojnie odjechać – wyszczeł bardziej pojednawczo.

– Komisarzu, Poznań dostał nakaz z Komendy Głównej by szybko to zakończyć i niech ruszają – meldował wracający aspirant.

– Ponoć minister wściekł się, gdy przy śniadaniu zobaczył w telewizji filmiki tamtych tam – dodał wskazując ruchem brody na tiry.

– Kurwa, to policja czy polityka? Decyzje podejmuje dowodzący na miejscu! – zaklął dowódca. – Pieprzonym kibolom ma ujść na sucho?

– Komisarzu, służba – beznamiętnie odpowiedział podwładny.

– Przyprowadź mi tych trzech z przodu, tych co tu podchodzili.

– Tak jest – odpowiedział i poszedł ku pierwszemu autokarowi. W trakcie wymiany zdań, Edek zdążył wymacać nogą w mokrym śniegu kamień. Widząc wahanie u policjantów, rzucił nim w stronę dwuszeręgu. Skryty za plecami kolegów patrzył, jak ciemna bryłka zwalnia w miarę unoszenia się w górę, po czym nabierając prędkości zaczyna opadać, by z tępym łoskotem uderzyć w przeźroczystą tarczę. Na sygnał dowodzącego grupą podkomisarza oba szeregi, na sposób rzymski, dostawiając nogę do nogi, przesunęły się trzy kroki do przodu, uderzając przy tym rytmicznie pałkami w tarcze. Zastygli w bezruchu, czekali na dalsze rozkazy. Aspirant widząc nowy obrót sytuacji zawahał się przystając na chwilę, po czym przyspieszył machając ręką w przywołującym geście ku stojącemu najbliżej Mariuszowi.

– Słucham – odezwała się Danuta i odstawiała kubek ze świeżo zaparzoną latte. – Kto będzie rozmawiać? – zapytała zdumiona.

– Już przekazuję telefon – odpowiedziała usłyszawszy potwierdzenie i zaśłaniając kciukiem mikrofon syknęła do Marka – albo ktoś robi sobie jaja, albo Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

– Tarecki, słucham.

– Łączę z panem ministrem – odezwał się kobiecy głos.

– Dzień dobry, a w zasadzie niedobry. Co wy wyprawiacie? Z kim chcecie

wojny? Z nami? Odbiło wam? Z lewicą się pokumaliście? – usłyszał nerwowy potok zarzutów.

– Nie rozumiem, o co chodzi? – zapytał zdziwiony.

– Wasi ze Szczecina najpierw naubliżali drogówce, a teraz walą kamieniami w prewencyjnych. To mało? Tak będziecie świętować? Ja nie mogę tego puścić płazem!

– Panie ministrze, nie wiem co jest grane. Proszę dać mi chwilę. Zadzwonię do szefa grupy. Niech Pan się nie rozłącza wezmę drugi telefon. Danka numer do Pogoni, Andrzej daj

komórkę. Halo, Marian? Słyszysz mnie? Odwróć się od wiatru, nic nie rozumiem. Ok, teraz lepiej. Co się dzieje? Mam na drugim ministra, który nie może się połączyć w sytuacji.

– Jeden cymbał rzucił kamieniem w czekający nas komitet. Jest ich tu prawie setka. Na razie stoją. Jeden idzie do nas.

Moment, dowiem się czego chce łapsa.

– Chłopaki, o co wam chodzi? Szukacie burdy, tu przy autostradzie? – rozpoczął aspirant.

– Nie, to wy chcecie coś skrócić. Nasamprzód zadzieracie, a teraz kompania ze strzelbami. To ja się pytam, o co idzie?

Nawet wasz minister nic nie czai.

– Spokojnie, bo wymknie się to nam spod kontroli. Weź ze dwóch i pogadamy z komisarzem, a tego co rzucał niech twoi na razie zamkną z dziewczynami.

– Jak chcecie gadać, nie ma sprawy. Maca bierz Krzyśka i pakujcie Edkia do autokaru. Maniek i Puma walimy nawijać.

– Nogi z dupy by wam powyrywać – wściekał się na powitanie komisarz. – Chcecie takich atrakcji? To w samolot i do arabów.

Moja propozycja krótka: oddajecie przygłupa co rzucał i tych co znieważali; potem wynocha stąd.

– Zaraz, nie tak szybko oficerze. Pierwsze, to drogówka prowokowała. Drugie, to my z miasta portowego, u nas swoich się nie wydaje. Piszcie kogo chcecie i róbcie dochodzenie. Na to pójdziemy – przystopował dowódcę widząc, że facet najwyraźniej wymiękł.

– Nie da rady. Setka gapiów to filmuje. Nie możemy się ośmieszyć. Autorytet służby. Rozumiesz?

– Jakby nie filmowali, to już by ten autorytet targał się w śniegu. Przecież po to tu zjechaliście; chociaż my dzisiaj pokojowo, z dziewczynami.

– Komisarzu, na słówko – zwrócił się do dowódcy drugi aspirant, który właśnie nadbiegł.

Po chwili powrócono do negocjacji.

– Dobra. Ustąp i ja ustąpię. Ostateczna propozycja jest taka: odsyłam kompanię do koszar, a wy, pod eskortą drogówki jedziecie do Poznania. Tam winni sami zgłoszą się do Komendy Wojewódzkiej. Złożą zeznania i wyjdą. Nie będzie zatrzymań. Sprawę zostawimy dochodzeniówce.

– Krótko żyję, czasu nie starczyło na naukę zaufania wam – odpowiedział z sarkazmem Marian.

– To oferta Komendy Głównej. Dalszych targów nie będzie. Bierzecie, albo robimy swoje.

– Chwila – odpowiedział uważnie patrząc mu w oczy, a nie widząc w nich podstęp u podniósł telefon do ucha. – Marek słyszałeś? Co na to twój minister? Nie? To powtarzam. Jest taka propozycja... – po minucie ponownie zwrócił się do komisarza. – W porządku, walimy nach Poznań, ale mam osobistą prośbę.

– Co jeszcze?

– Pan pożycz mi tubę. Wypada podziękować kierowcom.

– No Witek, tak się martwił, a sprawy idą dobrym torem – odezwał się łysy.

– Jest dobrze. Tyle, że kolejne zagrywki mogą nie pójść tak łatwo. Pewnie Główna wysłała już nowe dyrektywy do wojewódzkich – odpowiedział Wysoczek i zamyślił się. – Żeby choć jeszcze ze dwie odpaliły.

– U każdej inny scenariusz. Nie połąpią się. O, – ożywił się spoglądając na zegarek – za kwadrans będzie bardak pod Częstochową, a o Główną to ty się nie martw.

– Kogo tam mieli w Szczecinie? Pojechał po bandzie. Bystry chłopak – dodał z uznaniem.

– Płotka. Zawodowy kierowca. Potrafił po pijaku. Szpital wyżej siedmiu dni. Miał „zawiasy” za stadionowe burdy. Wykręcili go z tego, a teraz wdzięczny. Stara się, jak tylko umie. Oficjalnie to jego na stanie nie znajdziesz. Prywatny zaciąg. Nikt tego nie rozbierze – powiedział z wyraźnym zadowoleniem

– Po dziesiątej, a to pierwsza poważniejsza sprawa – zauważył Andrzej.

– Jesienią o tej porze telefon już parzył w rękach – dodał potwierdzająco Tomek. – Nie było autokaru, którego by nie chesano choć raz. Pamiętacie? Gdynia jechała ponad dziewięć godzin. Cztery razy próbowali ich zawrócić.

– Dziś nawet kolej zgodziła się na dodatkowe wagony. Za tuskowych... za tamtych nie do przeskoczenia – dopowiedział Paweł i po krótkim namyśle zapytał – Skoro nowa ekipa zdjęła blokadę..., skoro zdjęła to skąd taka afera?

– Zmiana rządu to nie czarodziejska różdżka – odpowiedział Andrzej. – Widzisz, układy narastały odkąd Polskę zamieniono w PRL. Teraz w siodle siedzi trzecie pokolenie, a przymierza się czwarte – pokazał rozczapierzoną dłoń ze schowanym kciukiem, jakby nie całkiem wierząc, że do tyłu Paweł potrafi zliczyć. – Niełatwo spruć tak zabetonowaną pajęczynę. Siedemdziesiąt lat rządili. Robili interesy. Żenili się między sobą. To nie układ, to tatarski klan.

– Więcej – wtrącił Marek – to całkiem, jak odrębne plemię. Łączy ich krew i jeden cel, utrzymać władzę. Gdy czas dla nich gorszy, to przynajmniej zachować wpływy. Bez tego rozpląną się.

– Przecież zwinęli kupę majątku, a synalkom na urodziny..., na zwykły urodzinowy prezent, to i stopnie naukowe dawali. Na pokolenia są zabezpieczeni..., całkiem zabezpieczeni. Co może im zagrozić? – dopytywał we właściwym sobie, refleksyjnym stylu Paweł.

– Władza degeneruje Pawełku – tłumaczył Bartek. – Już w drugim pokoleniu, za Gierka, było na nich takie określenie: bananowa młodzież. Łatwe życie, wszystko na wyciągnięcie ręki. To rozmiękcza. Tam, gdzie nie ma hartu ducha, rosną takie szmaciane, podstępne i mściwe kreaturki. Używają ile wlezie; seks, narkotyki, pijaństwo. Z pokolenia na pokolenie coraz to gorzej.

– Majątek, to jak chłopskie gospodarstwo – włączył się Wojtek.

– Nie dbasz, szybko idzie w ruinę. Gdyby nie układy i układziki, żaden z tych, pozał się boże, biznesmenów czy profesorów nie przetrwałby i roku.

Jedyne, co potrafią, to stadnie żerować na innych. To społeczne wampiry. W świecie prawdziwej konkurencji szybko wypadliby z gry. Gdy wróci normalność, będą jak popiół z wczorajszego ogniska i byle wiatr rozgoni to tałatajstwo.

– Jest nowa afera – zaczęła gorączkowo Danką. – Do Ślązaków z Bytomia podpiął się w Siewierzu autokar na rejestracji z Czeladzi. Oflagowany, dziewczynny wesoło machające gdy ich wyprzedzali. Tamci puścili kilka razy światła, dodali gazu i jechali za nimi. Na BP pod Częstochową zrobili postój. Duży parking i tak dalej. Zawsze tam stają ci ze Śląska. Zaczęło się w damskiej toalecie. Te z Czeladzi naskakiwały na Bytomianki, że blokują, że brudzą, itp. Kilku chłopaków poszło do tamtych by uspokoił swoje dziewczyny, a oni od razu do nich z bejsbolami. Przybiegła reszta naszych, łapiąc po drodze, co popadło. Nawet kosze na śmieci i ławeczki. Na szczęście akurat zajeżdżali z Chorzowa. Widzieli już z okien w czym rzecz. Wysypali się i pomogli. Zanim przyjechali przewencyjni z Częstochowy, było po wszystkim. Oddali ich powiązanych, jak baranki. Własnymi paskami! – Parsknęła śmiechem wyobrażając sobie taką scenkę. – Piątka naszych pojechała z policją składać zeznania. Resztę puścili po przejrzeniu kasety z monitoringu. Jakiś oficer chciał protestować, ale dowódca usadził go natychmiast.

– No proszę. Relacja, jak u porucznika na polu bitwy! Jeszcze takiego oficera łączności tu nie było – nagroził ją Andrzej, a ona dumna z pochwały szefostwa takiej megaimprezy, gdzie sam minister dzwoni, odpowiedziała salutując zawadiacko:

– Tak jest, panie Generale!

– Witek, dzwonił śpieszno do redaktorka. Posłali cudne ujęcie z Częstochowy – polecił łysy odstawiając telefon.

– Co złapali? – zapytał z zainteresowaniem.

– Śliczny kadr, przez szybę autobusu. Banda będzie i trzydziestu żuli, goni na autokar. Wprost na kamerę, widzisz to?

A w łapkach u nich śmietniki i sztachety wyrywane z placu zabaw. Hollywood!

– Ekstra robota – pochwalił. – Zaraz dadzą to na telewizyjny bębenek. Kogo tam mieli?

– Dogadali bojowników z Antyfy. Nie trzeba było dużo się trudzić. Takie cywilizowane, europejskie chłopaki nie mogą pozwolić faszystowskim świniom bezkarnie panoszyć się po kraju. Czy nie tak? – wyjaśnił z cynicznym uśmiechem.

Rozległy parking przy Torwarze zappełniał się coraz szczelniej nadjeżdżającymi autokarami. Gnane wiatrem wilgotne zimno mało przyjaźnie witało wysiadających dla „rozprostowania kości”. Chowali się więc szybko na powrót w zaciszne wnętrza pojazdów. Tyko nieliczni znajdowali zwalniane miejsca w kawiarenkach nieopodal Legii.

– Danką? Przekaż, że Torwar już pełny – informował Krzysiek.

– Drogówka grodzi prawą stronę Łazienkowskiej. Robią dodatkowy parking aż do Rozbrat. Z tego, na co się zanoszą i tego

będzie mało. Rozmawiałem z dyżurnym miasta. Straż miejska szykuje się urządzić parkingi na Rozbrat i Szwoleżerów. Filozofowie; myśleli, że na taką pogodę starczy Torwaru.

– Przyjęłam. Jakie nastroje?

– Bojowo. Gdyby nie aura byłby tu niezły piknik. Klubowi trochę dogryzają sobie, ale z umiarem, na wesoło. Jest też wielu nowych. Powiedz, że mapki z trasą zaczynają się kończyć. Może by ktoś dokserował jeszcze z setkę i podrzucił?

– Zrobi się.

– A jak na Centralnym?

– Tomek mówi, że barki w podziemiach pełne. Większość idzie przeczekać do Tarasów. Tłoczno robi się także na peronach Śródmieścia. Z podmiejskich wali kupa wiary. Nie zmarzliście?

– Spoko. Aga przypilnowała. Mam termo. Chłopaki też należycie opatulone.

– Agnieszka, Krzyśkowi ciepło – krzyknęła w stronę blondynki siedzącej nad papierami dwa stoliki obok. Tamta, nie przerywając pracy, w odpowiedzi przesłała ręką całusa. – Masz buziaki, walcz dalej.

– Wkrótce towarzystwo zacznie ruszać. Najwyraźniej ciśnienie już im rośnie. Ja zostanę do wpół do czwartej.

– No to na razie – zakończyła rozmowę.

Danka odwróciła się w stronę „głównego” stolika i relacjonowała:

– Torwar pełny. Miasto zamienia sąsiednie ulice na parkingi. Ale

się tu najeżdża. Warszawa jest nasza! – dodała tryumfalnie. – Kawał roboty taki marsz.

– Dopiero się zaczyna – odpowiedział Paweł. – Zobaczysz dalej!

– Panowie, dochodzi druga. Będziemy się zbierać do wyjścia

– obwieścił Andrzej. – Za kwadrans zajędzie nagłośnienie, lora i dźwig.

Na torowisku już pusto. Zaraz zamkną ruch. Czas unieść zadki. Dziewczyny, zostaje z wami Paweł. Knajpa bez zmian, rezerwacja do czwartej. Agnieszka, obejmujesz komendę. Zwińcie interes na kwadrans przed. ZHR zwozi Niezłomnych na trzecią. Przygotujcie kilka czystych stolików. Paweł, dam znać zanim ruszymy. Kto z żołnierzy będzie czuć się na siłach, przyprowadź. Resztę Tomek zabiera bussem prosto na plac. Będzie tu na wpół do. Wszystko jasne?

– Ogarniemy – odpowiedziała Agnieszka. – Idźcie, już czas.

Wyszli na zewnątrz i przystanęli poruszeni dziwnym wyglądem miejsca, które przemierzali niemal codziennie. Na pierwszy rzut oka wszystko było, jak zawsze. Niemniej, ten centralny punkt ich miasta wydawał się obcym, a nawet nieprzyjaznym. Rozglądali się nieporadnie, chcąc uchwycić przyczynę. Może to niecodzienna tu pustka? A może to ta senna szarość spływająca na koniec dnia z pochmurnego nieba? Żadna z prób rozgryzienia przygnębiającej zagadki nie przynosiła zadowalającej odpowiedzi.

– Dziwnie się tu zrobiło – odezwał się Marek, rozglądając się po równie, jak jego zaskoczonych twarzach.

– Pustka. Szarobure światło. Cisza. Wszystko zdaje się jakieś

inne. Brzydsze – potwierdził Wojtek. Znów pograżyli się w milczeniu.

– Nigdy tak tego nie widziałem – odezwał się zdumiony Bartek i olśniony niespodziewaną myślą zaczął tłumaczyć – To nagość.

Golizna przestrzeni pozbawionej gwaru i słońca odsłania prawdę. Chłopaki, przed nami architektoniczny koszmar!

Nie mylił się. Pastwiły się nad dumnym pięknem Śródmieścia: i niemiecka furia zemsty i sowiecka bezwzględność nowego ładu. Jedni i drudzy, na ile starczyło sił i środków, wymazywali zaklętą w kamieniach hardość tego

miasta. Czego nie zdążyły zniszczyć hitlerowski dynamit i płomień miotaczy ognia, to rozbijały socjalistyczne kilofy. Dzień po dniu znikało secesyjne piękno reprezentacyjnych ulic. W niebyt odchodziły dziesiątki, nawet ocalałych, kwartałów dawnej zabudowy. Harmonię i wyrazistość zastąpiono płataniną stylów i tandetą bylejakości. Wyznaczono nowy środek miasta. Zburzono uliczną zabudowę, a na jej miejscu ustawiono betonową kolumnę zwycięstwa nad Polakami – pałac imieniem Stalina. Kopię jednego z siedmiu jakie stoją w Moskwie. Okryto go socrealistyczną kamieniarką, a fundamenty rozebranych domów przysłonięto parkiem i placem dla 1-majowych wieców. Ten, wiszący nad miastem symbol bolszewickiego panowania, otrzymał towarzystwo równie żałosne, jak on sam. Od północy, szpaler gomulkowski blokowsk. Od wschodu, gierkowski rząd pudeł domów towarowych. Od południa, bierutowskie hale dworca podmiejskiego, którym samotnie przeciwstawiał się przedwojenny fragment pierzei dawnych Alej Jerozolimskich. Kolejne generacje przydupasów Komitetu Centralnego szpeciły Warszawę ile wlezie. Pozostawili po sobie urbanistyczny bajzel i brzydotę, które jak kamień nagrobny, miały wcisnąć w ziemię nienawistny im obraz serca Polski walczonej. Początek lat dziewięćdziesiątych przyniósł nadzieję na powrót normalności, a z nią na przywrócenie Stolicy należnego jej blasku. To architektom powierzono miejskie urzędy: prezydenta i burmistrzów. Wkrótce okazali się pojętnymi naśladowcami swoich poprzedników. Każdy skrawek wolnej przestrzeni zaczęto wypełniać biurami, takimi które równie dobrze mogłyby stać gdziekolwiek na świecie. Wszędzie, ale nie w miejscach, które inne narody otaczają szacunkiem. Tym rodzajem czci, jaka należy do sacrum własnych dzieł.

– Chodźmy. Te ohydy kiedyś rozlecą się, albo ktoś je wyburzy. Za chwilę to miejsce odżyje duchem godnym tych, co przelali za nie krew. Głowa do góry, zdjęcia dawnego piękna Warszawy, doczekają się prawdziwych gospodarzy – dodał Bartek i ruszyli na środek ronda.

Stanęli pomiędzy krzyżówką szyn odwracając się plecami do wiatru.

– Jedzie nagłośnienie. 14:07 – odezwał się Andrzej spoglądając na zegarek.
– Idę ustawić łorę na wysokości Forum. Mały, chodź ze mną. Zgarniasz dźwig z głośnikami i stawiasz przy Rotundzie.

– Ok. Pójdą mocne kawałki to zrobi się rażniej i ludzie zaczną się schodzić – odpowiedział Staszek.

– Pod nami tysiące narodu – informował nadchodzący Darek. – No tak, pochowali się do przejść podziemnych. Trudno i szpilkę wcisnąć.

– Jaka tam atmosfera? – zapytał Marek.

– Kipi życiem. Nie to, co tu. Powiem tak: wesoło i zadziornie.

– Spoko. Jeszcze trochę i zaleją to pustkowia – odezwał się Tadek. – Dzwonił Tomek, Centralny i podziemia już pękają w szwach. Jak się całe to bractwo tutaj zejdzie od razu będzie cieplej.

Z uniesionego na wysokość drugiego piętra wysięgnika, buchnęły kaskady dźwięków. Na setki metrów napęliły wszystko ostrą, rockową muzyką. Rzeczywiście, po chwili, z ukrytego pod rondem podziemia, jakby wabione czarodziejski fletem, wynurzały się pierwsze grupki młodych. Rondo Dmowskiego zaczęło ożywać.

O wpół do trzeciej pojawił się Boguś prowadzący ponad trzystu osobową grupę. Wyróżniali się już z daleka narzuconymi na kurtki pomarańczowymi kubrakami z napisem Straż Marszu.

– Boguś, stawiasz sekcję czołową przy wyjściu na przystanek. Pozostali kierują towarzystwo w głąb Marszałkowskiej – polecił Andrzej i na powitanie zaczął ścisnąć ręce stojących najbliżej.

– Odwód będzie szedł przy lorze. Od razu ich tam pogonię. Poznaj Cześka, u nas „Decha”. Będzie z nami w szpicy. Gdyby padła łączność, jego chłopaki robią za kurierów do szefów sekcji.

– Cześć – wyciągnął rękę Andrzej i poczuł twardy, męski uścisk. – Jak leci?

– Git jest – usłyszał w odpowiedzi odzywkę, która odchodziła w zapomnienie nawet na praskich szmulkach.

Minęła trzecia i okolice ronda, jak okiem sięgnąć ożyły gęstwą mrowiących się ludzi. Rozwijano długie, kolorowe transparenty z nazwami i herbami miast, którym towarzyszyły zawołania przyzywające najdroższe patriotom świętości.

– Popatrz – zawołała do Marka zachwycona niezwykłością scenerii Danka.

– Ten wiatr ożywia napisy. Jakby tylko czekały by zerwać się do lotu i z góry wyrzyczyć to wszystko – mówiła pokazując kolejno palcem – „Bóg, Honor

i Ojczyzna”, „Cześć i Chwała Bohaterom”, „Jeszcze Polska Nie Zginęła, Kiedy My Żyjemy”, „Życie i Śmierć Dla Narodu”.

Wyżej transparentów, niecierpliwie łopotały sztandary, co i raz omiatając na przekór wszystkiemu wesołe twarze. Z każdym podmuchem rozwijały skrzydła dumne orły; i te piastowskie i jagiellońskie; i te dzisiejsze. Pomiędzy nimi wiły się na jedwabiach Szczerbce i Falangi. Wszechobecna, narodowa biel i czerwień mieszała się z zielenią, a rzadziej z czernią.

– A te chorągiewki, co oznaczają? – pytała rozglądając się, z przejęciem.

– To miecz Chrobrego. Koronacyjny miecz królów, a tam, ta zbrojna ręka, to kaperski znak Wazów. Tradycyjne symbole narodowców – tłumaczył zadowolony jej zainteresowaniem. Danką łapczywie rozglądała się wkoło chłonąc nie znane jej dotąd wrażenia. Wszystko, dosłownie wszystko kipiało tu energią i życiem, a ona była wśród najważniejszych. Tuż za rondem, przed lorą zaczęły ustawiać się grupy rekonstrukcyjne. Od rycerstwa po Powstańców Warszawskich i żołnierzy NSZ.

Zapanował ruch i gwar, a z każdą chwilą przybywało go więcej i coraz więcej.

Zbliżała się czwarta. Dotychczasowa muzyka ustąpiła miejsca dawnym pieśniom. Głośniejsze zaczęły przywoływać powstańcze mazurki, polonezy i oberki. Nie zabrakło Pieśni Konfederatów, Roty i Warszawianki. O czwartej Andrzej podniósł do ust krótkofalówkę i wydał komendę:

– Wiesiek, zaczynamy.

Na kilka sekund zamilkło nagłośnienie, a w ślad za tym, ucichły rozmowy i śmiechy. A gdy od ścian budynków zaczęły odbijać się pierwsze takty Mazurka Dąbrowskiego, z dwustu tysięcznego gardła popłynęły słowa hymnu. I mogli słyszeć aż w niebie dawni bohaterowie, polegli i pomordowani, zesłańcy i więzieni, że jeszcze Polska nie zginęła i nie zginie, póki my żyjemy! Zapalono flary, a ich pomarańczowoczerwony blask, osiadł na unoszących się dymach.

– Mega! Jak w bajce! – wołała ściskając jego ramię. – Patrz! To światło nad głowami, ta aura... – zatrzymała się szukając słów – to jak wielka korona. Nie-samowite i piękne – dodała z zachwytem.

– Ruuuszamy! – wykrzyknął przeciągle do mikrofonu gniazdowy.

Jako pierwsze drgnęły transparenty na czele. Po lewej – z napisem „Bóg, Honor i Ojczyzna”, środkowy – z napisem „Chwała Bohaterom”, a po prawej –

„Armia Patriotów”. Rozciągnięte w poprzek obu jezdni Marszałkowskiej, uniosły się niczym tarcze przed piersiami, zdawało się niezliczonej, rzeszy dziewczyn i chłopaków, i całkiem już dojrzałych. Minuta po minucie, cierpliwie płynęła fala tego ożywienia od szeregu do szeregu, aż dotarła do dalekiego końca kolumny.

– Cześć i Chwała – zakrzyknął gniazdowy z wysokości platformy na torze.

– Cześć i Chwała, Bo-ha-terom! – skandowała po wielokroć kolumna, od czoła aż po swoje krańce.

– Naadchooodzi – krzyczał gardłowo gniazdowy.

– Nadchodzi, Nadchodzi, Marsz Wy-klętych! – hardo obwieszczała światu maszerująca armia, sunąc miarowym krokiem po torowisku i jezdniach warszawskiej ulicy.

– Toooo Myy – dobiegło z głośnika – To My, To My, Po-la-cy! To My, To My, Po-la-cy! – wołali dumnie, czując, że w tej chwili, właśnie tu, są prawdziwie we własnym kraju.

– Polskaa to Myy – zaintonował gniazdowy.

– Polska to My, Polska to My, a nie Donald i jego psy – odśpie – wał tłum na pohybel wszystkim tym, którzy poniewierają ich ojczyznę.

– Innnka... – przeciągle podał gniazdowy.

– In-ka, Za-pora, na bo-ha-te-rów pora! – groźnie skandowano święte imiona pomordowanych.

– Niece is-lamskaa... – zawołał dramatycznie gniazdowy.

– Nie is-lamska, nie la-icka, wiel-ka Polska, ka-to-licka – powtórzyli twardo akcentując każde ze słów.

– Niece czer-wona...

– Nie czer-wona, nie tę-czowa, ale na-sza na-ro-dowa.

– Raaaz sierpeem – wzniósł nowy okrzyk gniazdowy.

– Raz sier-pem, raz mło-tem, czer-wo-ną ho-ło-tę – uleciało ponad iglicę wciąż uparcie sterczącego nie wiedzieć po co, pałacu Stalina.

Gdy środek kolumny zbliżał się do Ronda Dmowskiego, czoło pochodu dotarło już do Świętokrzyskiej.

– Stajemy – polecił Andrzej dążąc do większej zwartości szeregów. – Tadek,

wskocz na platformę. Daj znać kiedy zatrzyma się środek. Wtedy ruszamy. Wiesiek, trochę narodowego rapu – zadysponował przez krótkofalówkę. – Wał „Hołd Żołnierzom Wyklętym”. Potem niech leci „Zjednoczony Ursynów” i może coś z Kukiza. Najlepiej „Samokrytyka”. Niech ludziom odpoczną gardła. Niezłego czadu dali.

– Jak tam Panowie, wszystko w porządku? – zwrócił się Wojtek do grupki weteranów.

– W towarzystwie takich ślicznotek, żołnierz choćby nosem się podpierał, nie da znać po sobie – dziarsko odpowiedział jeden z nich.

– Niech podpatrują i uczą się od Was, co to znaczy prawdziwy mężczyzna – odezwała się z filuterną nutą w głosie Agnieszka.

– Oj, żeby tak Bóg choć na chwilę zdjął trochę wiosen, to przetańczylibyśmy kawał nocy – odpowiedział jej z blaskiem w oczach. – Niech Pani nie myśli, że tę wojnę prowadzili ponuracy. Kochaliśmy życie tak, jak i wy. Młodość to zawsze młodość. Niejeden żenił się pod kulami.

– Dziś spokojnie, kule nie świszczą – włączył się do rozmowy Paweł.

– Bądźcie czujni. Kilku nowych ministrów jeszcze wiosny nie czyni – przestrzegł stary mężczyzna z białą-czerwoną opaską, na której czerniły się duże litery NSZ. – Te bolszewickie zbiry nieraz pokazały, że gotowe są na każde draństwo.

– Antek, nie psuj humoru Paniom – skarcił go surowym tonem kolega. – Ta młodzież to kwiat. Rozumu u nich nie mniej niż u nas, a może i więcej.

– Przesada – kurtuazyjnie oponował Marek.

– Nie ma w tym żadnej przesady. Nam łatwiej było kochać Polskę. Od małego, zgodnie uczył nas tego i dom i kościół i szkoła. A dziś? Szkoda gadać – tu aż machnął ze złości ręką.

– Obrzydzają wam patriotyzm i tyle, a i tak jesteście tutaj! Krótkofalówka Andrzeja zatrzeszczała i wznowili pochód. Uniosły się transparenty i zapłonęły świeże flary. Raz po raz, to ludzkie morze odpowiadało skandowanym gromem na kolejne wezwania gniazdowego. Na powrót „ja” roztapiało się w maszerującym tłumie. Tu, byli jednością.

Zbliżali się do Królewskiej.

– Andrzej patrz – krzyknął Boguś pokazując w stronę Ogrodu

Saskiego. – Jednak są. Stary ma rację. Zawsze gotowi! Sekcja czołowa, brać się pod ręce – wydał komendę starając się przekrzyczeć wznoszone hasła. – Lora, alert! – wołał przez krótkofalówkę. – W Saskim roi się od psów. Ktoś może szukać zadymy.

– Tłumaczyłem ministrowi, że to zbędne. Wbijaliśmy mu w łeb, że to tylko niepotrzebnie prowokuje. A on swoje – złościł się Marek.

– Trudno resortowym wyrwać się ze schematów. Pewnie przekonali go, że to niezbędne dla bezpieczeństwa przy takiej masie narodu – Andrzej machnął kciukiem za siebie. – Trzeba uważać. Te hece na dojazdach nie wzięły się znikąd.

Z pomiędzy nagich na przedwiośniu drzew, truchtem zaczął wybiegać policyjny dwuszereg, ustawiając się tuż za skrzyżowaniem w poprzek Marszałkowskiej. Bez tarcz, z uniesionymi przyłbicami kasków, ale w ochronnych „żółwiach” i ze szturmowymi pałkami, zdawali się wspomagać kierowanie olbrzymiej kolumny w Królewską.

– Zachować spokój. Odcinają Marszałkowska i park. Lewa sekcja, ustawić kontr szpaler – komenderował Boguś. – Powtarzam, lewa sekcja...

Gdy czoło kolumny zaczęło skręcać w prawo, na skrzyżowaniu z każdą sekundą robiło się coraz tłoczniej. Dwukrotnie węższa ulica nie mogła gładko przyjąć tak wielkiej liczby ludzi. Zrobił się ścisk i trochę zamieszania. Straż Marszu z trudem powstrzymywała grupki próbujące minąć zator drogą na skróty.

– Wiesiek, zatrzymujemy ruch na wysokości Świętokrzyskiej. U nas się kłopsuje. Będziemy puszczać partiami. Ogłaszaj to.

Niech ludzie nie prą – nadawał Andrzej.

Idący lewą stroną młody mężczyzna znieruchomiał.

– Grupa A. Grupa A. Teraz – usłyszał w małej słuchawce ukrytej pod wełnianą czapką. Momentalnie uniósł ręce, złapał za jej brzegi i ściągnął na twarz zrolowaną dotąd część kominiarki. Na ten znak, trzydzieści par rąk pośpieszenie uczyniło to samo. Bez pardonowo roztrącając ludzi, zaczęli biec skrajem ulicy. Na skrzyżowaniu po stronie Grzybowskiej, niespodziewanie wyskoczyli zza pleców tych, co oczekiwali na wejście w Królewską. Z impetem wbili się klinem w pojedynczą tu nitkę Straży. Przewracając kilku chłopaków przebiegli

jeszcze dwadzieścia metrów i rzucili kamieniami wyciągniętymi z kurtek. Trzasnęły opuszczane szybki policyjnych hełmów, a z parku zaczął wypływać długi wąż uzbrojonych w tarcze.

– Inspektorze, pod M-bankiem rzucają kamieniami – meldował dowódcy podkomisarz.

– Ilu? – zapytał i jednocześnie przekierował joystickiem widok z kamery na miejsce wydarzeń.

– Ponad dwudziestu.

– Widzę, że tam luźno. Wyślij pluton, niech ich odetną od reszty i ładują do „łodówek”. Czekaj, jest i druga wataha. Te skurwysyny rzucają koktajlem! Aspirant, wzmocnić gładkolufowymi Marszałkowską i przesunąć tam jeden wóz z armatką. Ty bierz dwa plutony z odwodu i do roboty.

– Tak jest – krzyknął wyskakujący z wozu dowodzenia podkomisarz.

– Aspirant, przegrodzić Królewską aż do opanowania sytuacji i ściągać posiłki. Ja połączę się z Główną.

– Andrzej patrz na lewo. W stronę Grzybowskiej. Widzisz tą lunę? Coś tam odchodzi. To chyba poszły w ruch butelki z benzyną – krzyknął Boguś przyciskając do ucha brzęczącą krótkofalówkę. – Tak? Dajcie na wsteczny. Zostawcie ile się da miejsca dla kasków. Zaraz wzmocnimy was prawą sekcją.

Słyszysz? Najważniejsze, izolować od nich marsz. Nie. To nie mały. To prowokacja. Za wszelką cenę spychać ludzi w stronę Królewskiej. Wiem. Widzę. Próbuje. Dorzucę część odwodu. Wytrzymajcie. Wkrótce odpuści, Andrzej hamuje naród przy Świętokrzyskiej.

– Główna? Inspektor Warda. Przerzuć na nadinspektora. Stachu, mamy tu niezły kocioł, poszły w ruch koktajle. Będę strzelać.

– Odbiło ci? Trupy mi potrzebne?

– Nie, co ty? Plastyk wystarczy. Będzie ich nie więcej niż czterdziestu.

– Jak zachowuje się kolumna?

– Jeszcze spokojnie, ale jak się połąpią tacy co to lubią zadymę, to mogą doskoczyć i będzie jatka. Za mało nas tu.

– Kryspin, musisz opanować to pokojowo. Inaczej polecą i twoja i moja

głowa. Jeżeli ludzie się wkurwią to gotowi urządzić nam tu jakiś Majdan. Tego nam nowy szef na pewno nie odpuści.

- Staszek, przejdź do centrum, popatrz na ekrany. Za mało nas.
- Tym bardziej. Idź gadać. Negocjuj rozwiązanie marszu, a jak nie uda się, to uzgodnij puszczenie części w Świętokrzyską i na Krakowskie Przedmieście.
- Wtedy utracimy jakąkolwiek kontrolę nad sytuacją.
- Kryspin, srał pies kontrolę. Pojmij to wreszcie, tu o nasze dupy idzie.
- W porządku, będę rozmawiać – odpowiedział niechętnie i rozłączył się.

– Bryza? Durnie zamknęli Królewską – nadawał Boguś. – Za chwilę ta masa eksploduje. Mamy za duże parcie na plecy. Niech Cieńki trzyma Świętokrzyską, a ty zabieraj część i biegnijcie do przodu. Cofnijcie ile się da ludzi. Aha, Andrzej chce by Wiesiek stanął na głowie i wygospodarował im trochę czasu. Niech ostro pracuje nad mikrofonem. Łebski jest. Będzie wiedział co wykombinować. Chcą gadać by psy puściły po dobroci.

Tymczasem, na skraju lewego skrzydła rozgorzała dziwna batalia. Jak w wahadle, grupa postaci w kominiarkach biegła tam i z powrotem – od wlotu Grzybowskiej do tyraliery stojącej w poprzek Marszałkowskiej. Ruszali do przodu niosąc kawałki porozbijanych płyt chodnikowych i podbiegali na odległość rzutu. Rozlegała się palba ze strzelb gładkolufowych i z boku wybiegały dwa plutony usiłujące odciąć im drogę odwrotu. Szturmujący zawracali i uciekali w głąb ulicy. Goniący ich oddział zatrzymywał się po 100 – 200 metrach i powracał do sił głównych. Po kilku minutach atak i kontratak powtarzały się z precyzją zaciętej płyty DVD. Dowodzący tą akcją podkomisarz, znudzony a może i zirytowany przedłużającą się grą w ciuciubabkę, dał rozkaz użycia armatki wodnej. Przy minusowej temperaturze spodziewał się w ten sposób opanować sytuację. Tym razem nadbiegających nie powitały plastikowe kule a długi, koszący z rozmachem strumień wody. Pozornie rozsądna decyzja przyniosła niespodziewany efekt uboczny. Zachodni wiatr porwał krople rozbryzgów i poniósł je w stronę stłoczonych na skrzyżowaniu ludzi.

- Gaz, puszczają gaz! – rozległy się zewsząd okrzyki trących załzawione oczy.

– Odwracać się plecami. Odwracać się plecami! – nawoływała Straż. – Mieszają wodę z pieprzowym.

Coraz bardziej rozsierdzony tłum zaczął skandować:

– Bia-łe kaski, ro-bią laski. Bia-łe kaski...

Groźnie wzbierała chęć odwetu. Brakowało jakiegokolwiek iskry by wściekłą falą zalali umundurowane na czarno pododdziały.

Nadinspektor zakończył rozmowę z dowodzącym w Ogrodzie Saskim i podniósł leżącą przed nim komórkę.

– Grzegorz? Przykro mi, nie wiem czy dojadę na dzisiejszą partyjkę. Na mieście zaczynają się rozruchy – usprawiedliwiał się kładąc dziwny nacisk na słowo „rozruchy”.

– Szkoda. U mnie wszystko gotowe. Wódka w lodówce, a świeża talia na stole – odpowiedział łysy mężczyzna stojący w ciemnym oknie biurowca.

– Odpieczętu talie, postaram się wpaść. Na razie – zakończył rozmowę nadinspektor.

Łysy sięgnął do kieszeni po drugi, szyfrujący telefon i szybkim ruchem palca wybrał połączenie.

– Słyszysz mnie dobrze? – upewnił się. – Daj komendę: grupa B idzie na pozycję. Zrozumiałeś?

– Grupa B rusza – padło potwierdzenie.

Oderwał się od okna, wyłączył komórkę i wszedł do sąsiedniego pokoju.

– No Witeczku, pora kończyć – odezwał się do Wysockiego.

Po chwili młody mężczyzna stojący na rogu Marszałkowskiej przycisnął ręką osłonięte czapką ucho. W milczeniu kiwnął głową na „tak” i zaczął energicznie przedzierać się wzdłuż ściany w głąb Królewskiej. Towarzyszyło mu jeszcze kilka sylwetek. Przed nim, w odległości niespełna osiemdziesięciu metrów, przed szpaler tarcz wysunął się młodziutki oficer z podniesionym do ust megafonem.

– Organizatorzy marszu proszeni są na rozmowę z dowódcą – nadał komunikat – Powtarzam, organizatorzy...

– Marek i Krzysiek, wychodzimy – odezwał się Andrzej.

– Aspirant Motyka – zasalutował funkcjonariusz. – Zapraszam na rozmowę.

– Witam, Kordecki – odpowiedział Andrzej. – Z kim będziemy rozmawiać?
– Inspektor Warda już czeka. Tędy proszę – wskazał ręką na zaplecze policyjnego kordonu.

– Proszę przekazać, że starym obyczajem zaczekamy na pana Inspektora na środku – zakomunikował Andrzej i ruszył kilkanaście kroków do przodu.

Aspirant słysząc ton głosu, który nie pozostawiał miejsca na dyskusję, zasalutował powtórnie i odszedł. Dowodzący nie kazał czekać na siebie długo. Po trzech minutach już się z nimi witał.

– Panowie, musimy podjąć szybką decyzję, zanim to wszystko przybierze zły obrót – rozpoczął poważnym tonem. – Najlepsze wyjście, to rozwiązać marsz.

– A co to da? Myśli Pan, że ludzie jechali z całej Polski, by tak po prostu rozejść się? – zapytał z nutą drwiny Marek.

– Pan grozi? – Warda uważnie spojrzał mu w oczy.

– Nie. Proszę o realizm – odpowiedział twardo Marek.

– Realność jest taka, że zaczęliście od burd na trasach, a teraz rzucacie butelkami zapalającymi – zaperzył się Inspektor.

– Jest Pan doświadczonym policjantem i dobrze wie, że to nie nasze sprawy. Rozmawiamy poważnie. To nie wywiad dla telewizji – ostro zareagował Krzysiek.

– Dlaczego zamknął Pan Królewską? Teraz składalibyśmy wieńce, a nie sterczel na tym wietrze – przycisnął Andrzej.

– Nie mogłem puścić tak agresywnego tłumu pod Grób Nieznanego Żołnierza – bronił się dowodzący.

– Inspektorze, znów ta sama śpiewka. Obaj wiemy, że marsz, póki co, nie wykazuje żadnej agresji – ripostował Krzysiek.

– Teraz i Pan grozi – odgryzł się policjant, który najchętniej solidnie spałoby całe to, stawiające się mu bractwo.

– Nie czas i miejsce na przepychanki – odezwał się Andrzej.

– Najprostsze rozwiązanie to pu... – tu przerwał nagle w pół słowa widząc, jak inspektor bezwładnie osuwa się na ziemię.

Dalsze wydarzenia potoczyły się równie błyskawicznie, co fatalnie. Andrzej momentalnie pochylił się nad leżącym i przycisnął rękawiczkę do krwawiącego

czoła. Czterech policjantów odrzuciło tarcze i w kilku susach podskoczyło do osłupiałego Marka. Dwaj spośród nich wykręcili mu ręce do tyłu. Wycho-
dzący z chwilowego odrętwienia Krzysiek rzucił się na pomoc przyjacielowi
i przewrócił trzymającego go za prawą rękę. W tym czasie, wiedziony ulicznym
instynktem „Decha”, już zbliżał się do walczących. Opuszczając przyłbice, do
przodu ruszają białe kaski. Widzący to Boguś zaczyna biec ze wsparciem pocią-
gając za sobą liczną grupę Straży Marszu. Marek, uwolnioną dzięki Krzyśkowi
ręką, długim łukiem sięga twarzy trzymającego go za lewą. Ten leci do tyłu na
piersi stojącego obok kolegi, a obu powala „na głębę” wpadający na nich „De-
cha”. Czwarty z policjantów zamierza się pałką na Marka, ale na tyle wolno, że
ten uchyla się i uderzeniem „bykiem na klatę” posyła go na ziemię. Po czym,
sam zwala się na niego trafiony szturmową lolką w pochyloną głowę. Celny
cios zadał mu mundurowy z kolejnej grupki nadbiegających. Z nimi to, szcopia
się w boju Straż Marszu wiedziona przez Bogusia.

Mija sześć do siedmiu sekund od uderzenia Inspektora kamieniem. Z tłumy
zaczynają wybiegać pierwsze osoby. Grupa funkcjonariuszy odciąga po ziemi
wciąż nieprzytomnego dowódcę. Powietrze przeszywa ostry dźwięk służbowe-
go gwizdka. Policjanci odrywają się od walczących z nimi. Osłonięci tarczami
zwierają szyki i zamierają w bezruchu.

Pomiędzy wrogie sobie linie wjeżdża na sygnale pogotowie. Przez dźwięki
syreny zaczynają przebijać się, jeszcze nieliczne, głosy śpiewających hymn. Za-
wodzenie syreny ustaje, a pobojuwisko omiatają nerwowe błyski świateł karet-
ki. Teraz nad ulicą niepodzielnie panują dobywające się z tysięcy gardeł, strofy
„Jeszcze Polska nie zginęła...”.

Na komendę Aspiranta ściana tarcz cofa się o piętnaście kroków, co wyraż-
nie hamuje rozhuśtane emocje.

– Brawo, wreszcie ktoś rozumny! – wykrzyknął minister wpatrzony w ekran
telewizora. – Widział Pan to? – zwrócił się do telefonicznego rozmówcy. –
Dzięki Bogu, nie samych idiotów tam wysłaliście! Oczekuję natychmiastowego
wycofania oddziałów na plac Teatralny.

– A co z tymi z Grzybowskiej?

– Mnie się Pan pyta? Byliście tak sprawni, że już śladu po nich nie ma –
warknął minister. – Jeszcze dziś uruchomię służby.

Będzie bardzo wnikliwe dochodzenie – zaakcentował słowo „wnikliwie” – i niech się Pan modli, żeby to była tylko nieudolność. Wtedy zadowolę się dy-misjami. To wszystko. Niech się pan Nadinspektor bierze za posprzątanie tego „sajgonu”. Może choć z tym sobie Pan poradzi – dodał zgryźliwie.

Wysocki po raz kolejny odtwarzał w zwolnionym tempie wydarzenia z Kró-lewskiej.

– Świetnie Grzechu. Piątka z plusem. Nasz heros sam powalił dwóch by-ków. Dobrzy są, nawet eksperci nie doszukają się lipy. Mam nadzieję, że przy-łożenie pałką było precyzyjne. Ta głowa jest teraz dla nas jeszcze bardziej cenna.

– Spokojnie. Naszliby wesz, mogli by jej jajca utracić, a jemu i włos by nie spadł. Oszłomili go. Ot i to wszystko.

– A twój człowiek w Głównej, nie przeczepią mu dupska? – spytał nieco zaniepokojony. – Szkoda by było takiego majstra.

– Za dwa dni specsłużby położą na biurko, tego fanfarona z Racławickiej, raport. I wiesz co? U mnie gotowy zakład o butelkę dobrego koniaku, nic tam na niego nie będzie. Nawet bilingi i nasłuch nie rzucą małego cienia.

– Polityczni mogą rozrabiać. Zaraz podniosą wrzask o komisję nadzwyczajną.

– To fachowiec. Wszystkie rozkazy dał zgodne, z prawidłowo rejestrowa-nymi poleceniami tego pana ministra – odpowiedział z przekąsem akcentując ostatnie słowo. – Co z piarem dla Tareckiego?

– Chłopaki siedzą już na YouTube, Facebooku i Motywatorach. Sława na-szego bohatera idzie w świat. Zasypią go lawiną lajków i ślicznych memów.

– Idzie dobrze – uśmiechnął się z satysfakcją łasy i sięgnął po butelkę whi-sky. – Niezły hard trick – dodał rozlewając złocisty płyn.

– Tak jest towarzyszu pułkowniku – odpowiedział Wysocki sięgając po szklankę. – Smarkacze uwielbią nowego przywódcę to raz. Cymes siata zało-żona ministrowi to dwa. Ostre napięcie w koalicji to trzy. Czego jeszcze chcieć po jednym wieczorze?

– Tak Wiciu. Mocno wracamy do gry! – potwierdził z rozrzewnieniem łysy.
– Za zwycięstwo! – z rozmachem uniósł szklankę do góry.

Poniedziałkowy poranek nie był łaskaw ofiarować Markowi choćby chwili

wytchnienia. Pierwsi odezwali się dziennikarze, którzy w sobie tylko wiadomy sposób zdobyli jego prywatny numer. Posypały się zaproszenia do programów telewizyjnych i prośby o wywiad. Nalegania były wyjątkowo natrętne. Tym bardziej, że Komitet Organizacyjny po zakończeniu marszu ograniczył się do wydania lakonicznego komunikatu.

Po mediach odezwała się Prokuratura Okręgowa i Centralne Biuro Śledcze. Oczekiwano stawienia się jeszcze dziś, celem złożenia wyjaśnień. Choć nie sformalizowano tego pisemnym wezwaniem, nie chciał im odmawiać. Jeszcze wczoraj zobowiązali się przyjść na każde żądanie, gdy za poręczeniem Kancelarii Prezydenta odstąpiono od zatrzymania ich na przesłuchanie. Potem zasypały go już „zwyczajne” telefony od przyjaciół, kolegów i znajomych znajomych. Mniej więcej po godzinie, ostatecznie wiedział, że nie pojedzie na zajęcia. Znużony przestawił iPhone na tryb „spotkanie” i reagował tylko na znane sobie numery. Wreszcie mógł w miarę spokojnie zjeść śniadanie.

– Cześć Marek. Żyjesz jeszcze? – usłyszał głos Andrzeja.

– Cześć. Rzygać się chce. Pierwszy pismak atakował już o siódmej. Żadnego umiaru. Brakuje tylko paparazzich na dachu sąsiadów.

– Takie są koszty sławy – pocieszał go żartobliwie. – Ale do rzeczy. Zbieraj się i przyjeżdżaj na Poznańską. Nasz mecenas wyjaśni nam, co nieco. Potem biegiem do Kancelarii na Krakowskie. Ponoć Prezydent chce nas zaprosić na uroczystą zmianę warty przy Grobie.

– Nie boi się pokazać z takimi przestępcami? – ironizował Marek.

– Widać nie zaglądałeś do internetu. Jak to mówią? „Chłop śpi, a w polu samo mu rośnie”. Ty wałęsałeś w kimono, a naród okrzyknął cię bohaterem. Cały świat podziwia twoje filmiki.

– Co?

– Bohatersko stawiasz czoła zbrojnej hordzie i mimo odniesionych ran, prowadzisz wojsko do zwycięskiego końca. To znaczy, pod Grób Nieznanego Żołnierza.

– Nie wygłupiaj się – odpowiedział z lekką irytacją w głosie.

– Serio. Kwadrans temu miałeś prawie czterysta tysięcy lajków na fejsie. Tego w polityce się nie lekceważy. Nie ociągaj się. Idź do samochodu. Czasu krótko.

– Ok. Jestem prawie gotów do wyjścia. Zaraz wskakuję do bryczki.

– Aha, gdyby ciągnął się za tobą ogon, to nie panikuj. Minister dał ci stróży. Cwaniak. Gdy wszystko zagra, to wykazał się troską. A jakby co, to zadbał o należyty dozór. Przyzwyczajaj się do politycznego błocka. Z taką sławą nie masz wyboru.

– Litości. Na razie – wystękał obolałym tonem i rozłączył się. Rzeczywiście, zanim dojechał pod osiedlowy szlaban, już zobaczył stojącego nieopodal Pas-sata, który bez ceregieli mrugnął światłami i ruszył za nim. Na ekranie iPhone'a wyświetlił się napis: Rysio.

– Słucham, co tam?

– Szaleństwo braciszku. Wszyscy powariowali. Jestem szkolną gwiazdą! Nawet do kibla lecą za mną by uścisnąć rękę Tareckiego. Jeszcze przed wejściem do budy czekało na mnie kilkanaście lasek. Przepychały się, która, jako pierwsza machnie selfika ze mną. Lepiej nie pokazuj się na Wydziale, tam to dopiero będzie się działo. Danka łeb ci obskubie, jak zobaczy w internecie na twojej szyi te setki szprych – dworował sobie z nieukrywany zadowoleniem, nie pozwalając dojść do słowa.

– Halo! Halo, halo, tu ziemia! – próbował przerwać potok jego słów, a gdy wreszcie udało się, odpowiedział – Wytrzymaj oblężenie. Wypatrz najrozsądniejszą i ładną i zarywaj póki czas. Za dzień, dwa, sława zblednie, a ty będziesz paradował z ekstra dziewczyną. Bierz poradę gratis i spadaj bo dzwoni Danko. Trzymaj się – zakończył.

– Ave Cezar! Całusków tysiąc dla bohatera – usłyszał przymilnie tryumfalny szczebiot.

– Całuski Jak dojechałaś? – próbował uciec od nużącego go tematu.

– Wszystko pod kontrolą. Dziewczyny złapały na YouTube, jak maszeruję z tobą pod rękę. Bomba – nie dawała za wygraną. – Mówię ci, heca na całego. Na pewno zbierały szczeki z podłogi. Chłopaki skandują na przerwach – „pierwsza dama”. Jestem z ciebie taka dumna! Mój numer zna już cała Ostrowia. SMS leci za SMS-em.

– Halo, zwolnij tempo. Nie podniecaj się tak. „Łaska pańska na pstrym

koni jeździ”. Za chwilę zapomną o wczorajszej aferze, a tobie będą pamiętać zadzieranie nosa – próbował przyhamować jej euforię.

– Jutro to jutro, a dziś jest dziś! Trzeba umieć cieszyć się życiem – odpowiedziała trochę urażona jego strofowaniem.

– Ciesz się, ale nie wywyższaj. Skromność klejnotem szlachectwa. Zapamiętaj to sobie, a zyskasz przyjaciół i na jutro.

– Co cie ugryzło? – rzuciła nie mogąc zrozumieć jego zachowania.

– Po prostu, dbam o ciebie. Nie chcę za tydzień na tej pięknej buzi widzieć smutnego rozczarowania. W realu, nagle mody odchodzą szybciej niż przyszły. Ten świat tak już ma; im wyższa fala z tym większym hukiem się wali.

– Dobra, nie będę ci dokuczać. Jesteś moim księciem z bajki i to mi wystarczy – odpowiedziała zalotnie, chcąc przerwać jego dalsze nauki. – Mama strasznie denerwowała się patrząc na to wszystko w telewizorni. Musiałam wysłuchać długiego kazania o potrzebie bycia ostrożną. A wiesz co jej odpowiedziałam?

– O tym jeszcze nie było w internecie – rzucił żartobliwie.

– Że marna to dama, której rycerz nie chodzi na wojnę – wyrecytowała z dumą.

– Ładnie to ujęłaś. Taka to już nasza, polska tradycja – pochwalił ją chcąc przyjemnym akcentem zakończyć rozmowę.

– Zaraz będę parkować. Idziemy do mecenasa. Całuski.

– Pa, pa, mój książę – odpowiedziała na pożegnanie i wysoko unosząc głowę wyszła na szkolny korytarz.

Stary mecenas rozpoczął spotkanie od przypomnienia o przysługujących im prawach, co czynił niezmiennie po każdym z marszów. Jednak tym razem był wyraźnie zatroskany. Jeszcze staranniej niż zwykle dobierał słów.

– Panowie, chcę byście zdali sobie sprawę iż wczorajsze wydarzenia mogą być podstawą dla sprawy karnej. W zasadzie to już wdepnęliście i to oboma nogami, na artykuł 222 kodeksu, a może i 224.

– „Kto narusza nietykalność cielesną funkcjonariusza...”? – upewnił się Tomek.

– Tak. Zagrożenie karą od grzywny do trzech lat uwięzienia. Natomiast

zarzut z artykułu 224 może skutkować skazaniem nawet na osiem lat kary więzienia – oznajmił poważnym tonem. – Cała nadzieja w § 2 artykułu 222 lub w skutecznym podważeniu iż stało to się podczas pełnienia obowiązków służbowych. Tyle, że to ostatnie nie w naszej mocy.

– § 2 to czyn wywołany niewłaściwym zachowaniem funkcjonariusza. Sąd może złagodzić lub odstąpić od wymierzenia kary – wyjaśnił kolegom Tomek.

– Tyle iż orzeka się tu o winie. Tak więc, niestety wasze nazwiska zostałyby wprowadzone do rejestru skazańców. Panowie, ta sprawa może potoczyć się na różne sposoby. Doświadczenie podpowiada mi iż zaczną od śledztwa „w sprawie”. Do chwili wszczęcia dochodzenia „przeciwko”, jak to się mówi, ukreślenie łba tej aferze nie jest sprawą nazbyt trudną. O ile? O ile będzie taka wola polityczna. Jeżeli szacowni decydenci zechcą wyciągnąć was z tego, to możemy spodziewać się iż wkrótce zawieszą tamtych policjantów w czynnościach służbowych i rozpocznie się dochodzenie wewnętrzne. Natomiast w naszej mocy jest dowodzić niewłaściwego zachowania funkcjonariuszy.

– Jak mamy zeznawać? – zapytał pragmatycznie Krzysiek.

– Panowie, najzwyczajniej w świecie prawdę. To wy zostaliście zaatakowani bez najmniejszego powodu i to, trzeba to podkreślać, podczas legalnej manifestacji. Należy także podkreślać iż wasze zachowanie było wyłącznie obroną. Niewątpliwie, instynktownie chroniliście swoje i przyjaciół zdrowie. Ja dodałbym iż czuliście wręcz zagrożenie życia.

– To wszystko działo się w świetle kamer telewizyjnych – zauważył Marek.
– Prawdę zna cała Polska.

– To nasz najsilniejszy z atutów. Należy twardo trzymać się niepodważalnych faktów. Krótkie zdania do protokołu. Bez najmniejszych ozdobników. To, co wymknie się Panom dziś, jutro może być interpretowane na niekorzyść. Nasze prawo jest niestety po bolszewicku, nadal nadmiernie elastyczne. Dawniej, ich prokuratorzy mawiali: „dajcie nam świętego, a paragraf znajdziemy”. Obecnie, wcale nie jest lepiej – ostrzegał leciwy prawnik. – Znając metody polityczne, nie byłbym zdumiony, gdyby kto zechciał przechwycić Panów popularność. Uprawnionym jest spodziewać się iż ktoś zachęci prokuraturę do, jak to mówią, gry na czas. Jeżeli politycy nie zdołają pozyskać waszej współpracy, to w kolejnej odsło-

nie może dojść do niecej próby niszczenia Panów za pomocą bezprawia w instytucjach powołanych do służenia prawu. Jak to mówią, zdeptać konkurencję każdym sposobem. Niestety, takie wilcze obyczaje nie są obce wielu politykom.

– Jesteśmy tego świadomi – odpowiedział z powagą Wojtek. – Jeżeli pozwoli Pan, to wrócimy zdać relację.

– Dla was Panowie, zawsze znajdę czas. Oczekuję. Słusznym byłoby przeanalizować do czego zmierzają działania prokuratury. Panowie, minęło dwa kwadransy na jedenastą. Sekretarka zamówiła taksówkę. Tam zawsze kłopoty z parkowaniem – dodał wyciągając rękę na pożegnanie.

Wysiedli na placu przy kościele seminaryjnym, tuż przy bocznym wejściu do Pałacu Namiestnikowskiego. Wartownik sprawdził listę gości i poprowadził ich w głąb budynku.

– Panowie, dotychczasowe ustalenia naprowadzają na groźną hipotezę, że awantura przy Grzybowskiej może mieć związek z zajściami na Królewskiej – odezwała się po chwili namysłu szefowa Kancelarii. – Nie ma wątpliwości, że nie byli to chuligani, a dobrze zorganizowana grupa. Także wstępna analiza zachowań policjantów po ataku na inspektora Wardę, nieodparcie nasuwa szereg znaków zapytania. Być może mamy do czynienia z prowokacją, której celem jest polityczna destabilizacja kraju. Jeżeli ten czarny scenariusz potwierdzi się, to wiele będzie zależeć od waszej dalszej postawy.

– Co ma Pani na myśli? – zapytał Wojtek pamiętając uwagi mecenasa. – Czy mamy to rozumieć, jako elegancką formę nacisku?

– Wyjaśnię to tak. Wczorajsze wydarzenia zaczynają być przedmiotem rozgrywek politycznych. Opozycja, publicznie oskarża nas o atak na legalną manifestację i żąda powołania w Sejmie komisji nadzwyczajnej. Premier Kukiz podejrzliwie spogląda na koalicjantów, którzy mają tekę ministra spraw wewnętrznych. Natomiast wicepremier Szydło już z rana odcięła się od jakiegokolwiek wpływu na ten nieszczęsny bieg spraw i niedwuznacznie przypomniła w mediach, że spec służby podlegają premierowi. Pan Prezydent Duda jest zaniepokojony takim rozwojem sytuacji. Oczekuje współdziałania przy wygaszaniu tych złych emocji. Jako pierwszy krok, pan Prezydent zaprasza do udziału w oficjalnych uroczystościach przy Grobie Nieznanego Żołnierza.

– Pani Minister, jednak powrócę do pytania kolegi. Dziś jeszcze czekają nas przesłuchania. Czy nasza obecność to zadatek? – bezpardonowo „wyłożył kawę na ławę” Marek.

– Nie skupiamy się na tym – zaprotestowała trochę urażonym tonem i nie udzielając odpowiedzi kontynuowała. – W polityce najwyższego szczebla, a weszli Panowie przebojem na ten teren, bardziej wypada mówić o interesie państwa. W obecnej sytuacji, jaką mamy tuż za naszą granicą, niewskazane są oznaki jakichkolwiek rozbieżności w obozie rządzącym. Podkreślę to jeszcze raz, mówimy o racji stanu, a nie o racjach partykularnych. Jeżeli przyjmą Panowie zaproszenie, to na placu czeka wieniec z szarfą: „Młodzież w Hołdzie Najofiarniejszym”

– Zręcznie ujęte – zrewanżował się nie mniej dwuznaczną odpowiedzią Marek i pytając rozejrzał się po twarzach przyjaciół. Widząc ich nieznaczne kiwnięcia głowami „na tak”, zdecydował – Proszę przekazać panu Prezydentowi, że z szacunku dla pomordowanych i dbałości o sprawę Ojczyzny, jeszcze raz oddamy cześć bohaterom.

– To dobra decyzja. Proszę także o przyjęcie zaproszenia kierowanego przez pana Prezydenta, na prywatny podwieczorek w środę o 17-tej, w Belwederze. Będzie to obustronna okazja do spokojnej wymiany poglądów na szereg ważnych kwestii. Aha, przy wyjściu od strony kościoła czeka już na Panów samochód, adiutant poprowadzi – zakończyła rozmowę.

Po uroczystej zmianie warty podszedł do nich Prezydent.

– Dziękuję za obecność i będę oczekiwać w środę – odezwał się Duda.

– Tak jest, i my dziękujemy, za zaproszenie – machinalnie odpowiedział niemal służbową formułką Andrzej i odprowadził wzrokiem Prezydenta przechodzącego do kolejnych gości.

– Mamy jeszcze dobrą godzinę do przesłuchań na Trębackiej. Co robimy? – zapytał Krzysiek.

– Chodźmy na Krakowskie. Przysiadziemy gdzieś obok prokuratury – zaproponował Marek i wyciągnął iPhona by odwołać przyjazd na Domaniewską.

– Dzień dobry, mówi Tarecki. Pani Zosiu proszę przełożyć podpisanie umowy na jutro.

- Dzień dobry panie Prezesie. Oczywiście, a jak się Pan czuje?
- Dziękuję. Trochę zamieszania, ale mam nadzieję, że jutro świat zajmie się swoimi sprawami.
- Obawiam się, że Pan już się stał częścią tych spraw i rzadko będziemy Pana widywać u nas. W każdym razie, gratuluję rozgłosu i będę czekać jutro.
- Do widzenia Pani – zakończył pośpiesznie widząc sforę dziennikarzy nadbiegających od strony prezydenckiej limuzyny, która opuszczała już plac.
- Jak tłumaczy się wasza obecność przy prezydencie?...Co oznacza poręczenie Kancelarii?...Czy wstąpicie do PiS?...Czego spodziewacie się po nowych władzach?... – posypał się grad pytań znad wyciągniętych mikrofonów.
- Jesteśmy niezależni, a od rządzących oczekujemy prawdziwych zmian. Zmian na miarę dramatycznej sytuacji w jakiej Platforma zostawiła Polskę – uciekał od podjęcia dyskusji Andrzej.
- Czy to znaczy, że dążycie do wywrócenia rządu?...Z kim wejdziecie w sojusz?... Jakie najbliższe plany? – przekrzykiwali się dziennikarze.
- Dziękujemy, to wszystko. Dobrego dnia – próbował wydostać się z pod natrętnej lawiny Marek.
- Czy odezwał się do was premier?... Co oferuje prezydent? – nie ustępowali dziennikarze.
- Dziękujemy. Oddaliśmy hołd pomordowanym i na tym koniec komentarza – uciał twardo Krzysiek i odwrócił się plecami do nachalnej zgrai. – Pano wie, idziemy – dał komendę. Bez zbędnej zwłoki ruszyli z miejsca.

- I co? – zawołał Wysocki już w drzwiach gabinetu.
- Wsadziliśmy misiom kij w tyłek i od rana latają po Sejmie z piskiem – odpowiedział wyraźnie zadowolony łysy. – Widziałeś pierwszą stronę „Izwestii”?
- Nie, nie miałem jeszcze czasu.
- Piękne zdjęcie; i ten podpis: „Nastajaszca diemakracja w Polsce”.
- Dobrze, a jakie wieści z nasłuchu? – niecierpliwiał się przybyły.
- Nie można powiedzieć, z sercem zabrali się do roboty. Tej nocy oka nie mrużyli. Przesłuchują do teraz. Nasi przyjaciele mówią, że dostali pomoc z CIA i Mossad.

– Przy takiej „bratniej pomocy” służby prędko nie odpuszczą – skomentował zafrasowany Wysocki.

– Będą kręcić się za własnym ogonem. Nasi zadbają. Jedni będą podejrzewać drugich. A jak najdzie potrzeba, to rzucimy coś na pożarcie i na tym koniec krzyku – uspakajał łysy.

– Ściągnęli Tareckiego na wieńce. Najwyraźniej zaczynają łapać się w sytuacji.

– Tak, ten sikawkowy Dudy to zręczny gracz. No spokojnie, pożaru nie ugasi. Gdyby doszli za daleko, to FSB obiecało zrobić deal z „bratnią pomocą”. Wystawią na tacy głowę nadinspektora.

– To wysoka cena. Szkoda go, sprawny facet.

– Nie nasze zmartwienie Witek. Ukrzywdzony nie będzie. Wielkim korporacjom potrzebni konsultanci. Nasze zadanie, dbać by pod kotłem nie gasło. Nam trzeba hamować tą polską „pierestrojkę” zanim przyjaciele nie uporządkują ukraińskich spraw. Ty pracuj nad Tareckim, a ja zajmę się resztą.

Upewniwszy się, że są wolni od niechcianego towarzystwa, weszli do kawiarenki naprzeciw pomnika Mickiewicza.

– Nie odpuszczą – zagaił Krzysiek.

– Fakt. Nie jesteśmy gotowi na taki obrót spraw – zauważył

Wojtek. – Nie da się długo chować głowy w piasek, a zresztą to nie nasz charakter.

– Co mogę Panom podać? – zapytała młoda dziewczyna ukradkiem przyglądając się Markowi.

– Dla mnie kawa z mlekiem na boku, a ja proszę o przedłużone espresso. Czarną herbatę proszę. No to jeszcze kawę z amaretto – zakończył zamówienie Marek, a kiedy kelnerka odeszła powrócił do tematu.

– Chcieliśmy by coś ruszyło z miejsca, a teraz nie wiemy jak to ugryźć. Potrzeba nam szybkiego pomysłu na ten podarunek

losu – odezwał się Marek.

– Podarunek? Naiwny jesteś – skwitował Andrzej. – Służby już coś zwały. To ma jakiś związek z grą Wysockiego. Za chwilę zajrzą do rejestru firm

i wyskoczysz im obok tego Jurka. Nie jest dobrze. Będą trzymać nas w podwójnym szachu.

– Tak, to niezły materiał na medialne kuku – przyznał Marek, a na jego twarzy pojawił się grymas bezsilnej złości. – Jeszcze i tym mogą złapać nas za jaja – dodał i zaraz zmieszał się zauważywszy damską rękę, która stawiała przed nim filiżankę i talerzyk z sernikiem. Po chwili dziewczyna przesunęła się w bok kładąc kolejną filiżankę i talerzyk.

– Nie zamawialiśmy ciastek – prostował zdziwiony Krzysiek.

– Proszę spróbować, to specjalność zakładu. Pieczemy go na miejscu. Tylko jedną sztukę dziennie. Wyłącznie dla stałych gości – podkreśliła z przyjaznym uśmiechem.

– Jeżeli tak Pani zachęca... – kontynuował Krzysiek – to chętnie, ale zabraknie dla prawdziwych bywalców.

– Proszę cieszyć się naszą gością, a jeżeli będzie smakować, to zapraszamy codziennie. Szefowa wciągnęła Panów na listę VIP – dodała z satysfakcją i oddaliła się.

– Bez paniki. Pamiętajcie grę „w trupa”? Stoi facet z założonymi rękami pośrodku ustawionych w koło kumpli. Na sztywno przewraca się w dowolną stronę. Tam gdzie poleci odpychają go. Nie ma gdzie upaść póki nie pęka i twardo się trzyma – opisywał zabawę Krzysiek. – Oni są podzieleni, każdy rozgrywa własny interes. Jedni będą pilnować drugich by nas konkurencja nie przechwyciła. My, jak „w trupie”, nie mamy gdzie upaść!

– Genialnie to zauważyłeś. Rzeczywiście wszyscy mają interes nas podtrzymać – przytaknął z ulgą Wojtek i widelczykiem odkroił porcję sernika. – Co najwyżej poobijają nas nieco przy takiej zabawie. Ale to nic, tak hartuje się stal – z trudem przepchnął przez usta ostatnie słowa, w których z uznaniem rozdrabniał solidny kawałek ciasta.

– Z tego co mówił mecenas wynika, że jesteśmy między motem a kowadłem. Postawimy na jednego to drugi nam dokopie. Pilnie potrzebujemy dobrego pomysłu. Inaczej sklepią nas na płacek podczas tego hartowania – odmiennie ocenił sytuację Tomek.

– Musimy ekspresowo nauczyć się tego, co inni poznają latami. Teraz, jako pierwsze, zdejmujemy im z celownika Marka. Jakież propozycje? – zapytał wychekując Andrzeja.

– Bez pośpiechu. Spróbujmy użyć ich zabawek. Niedawno mówiliśmy o tym, że w profilu Marka mają dominantę prostolinijności, a Jurek to kolega z liceum. Na razie trzymajmy się tego. Przy pierwszej okazji rozwiążesz firmę i po krzyku – zaproponował Krzysiek spoglądając na wyraźnie strapionego Marka, który na pocieszenie delektował się ulubionym smakiem amaretto.

– Ok. Złożę rezygnację z prezesa i zażądam umorzenia udziałów, a jeżeli będą chcieli i tak tym zagrać, to wycofam się z Komitetu Organizacyjnego.

Zaskoczeni popatrzyli po sobie. Po czym, jak na komendę parsknęli śmiechem.

– Ech, ty nasz błędny rycerzu. Za kogo nas masz? Po tylu latach takie teksty? – westchnął Andrzej i przyjacielsko objął go ramieniem. – Panie Don Kichot, zapomniłeś? Polska to my! Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. Nie podzielą nas.

Tylko w jedności siła!

– Gdyby siedział tu Bartek, nieźle przetrzepałby ci skórę za głupie gadanie – potwierdził Wojtek usiłując zrobić groźną minę. – Rozwiąż firmę, a dalej będziemy łykać to razem.

Spokojnie, my nic nie mamy sobie do zarzucenia. To oni się boją by ktoś nie patrzył im na łapki.

– Wleźliśmy na pole minowe, ale nie ustawiono jeszcze takiego żeby nie było przyjscia. Naszym sprzymierzeńcem jest ich wzajemna podejrzliwość. Idziemy ostrożnie, ale do przodu – próbował przywrócić optymizm Andrzej odstawiając pustą filiżankę.

– Załatwiamy, co mamy jeszcze na dziś, a jutro „u kuternogi” obgadamy taktykę na spotkanie z Prezydentem – zaproponował Wojtek.

– W porządku. Może być 19-ta? – zapytał rozluźnionym już tonem Marek i dał znać kelnerce kreśląc w powietrzu wyimaginowane litery. Dziewczyna zareagowała natychmiast. Prawie podbiegła do stolika.

– Jak smakowało?

– Prawdziwa bajka. Prosimy o rachunek.

- Już mówiłam, Panie Marku – tu spojrzała na niego wymownie
- Panowie są dziś u nas w gościnie.
- To bardzo miłe, ale krępujące – oponował na właściwy sobie, delikatny sposób.
- Jeżeli taka wola, to mogą Panowie odpracować – zaśmiała się serdecznie. – Szefowa i ja prosimy o wspólne zdjęcie. Do galerii – dodała wskazując palcem na ścianę.

Było już dobrze po dziesiątej, kiedy Marek dotarł do domu. Przysiadł na niskiej szafce z butami i zaczął pracowicie odpinać z zaczepów długie sznurowadła. Z rozmachem otworzyły się drzwi do sieni.

– Gdzie się tyle czasu szwendałeś? – zawołał Romek. – Palce mi puchną od tego bębnienia w klawiaturę. Godzinami muszę tłumaczyć na fejsie, że nie ma cię przy kompie, a te hordy swoje – ciągnął z mieszaniną dumy i ekscytacji. – Prawdziwa masakra. 90% to narwane wariatki. Na Allegro już puścili koszulki i kubki z twoim zdjęciem. Takim jak walisz w szczękę tego przewencyjniaka.

– Rzeczywiście, powariowali. Nie marzyłem o karierze Muhammada Ali.

– To nie wszystko braciszku. Olka, ta dwa domy w prawo, odgraża się, że jak nie zaprosisz jej i koleżanek na ciacho, to puści w internet nasz adres. Wyobraź sobie, jak te wszystkie ciumcie się tu zlatują? Katastrofa, gorsze od końca świata!

– Jak zaprosimy, to i tak któraś puści farbę. Wiesz jakie one są. Lubią się asić. Nic nie poradzimy – dla podkreślenia rozłożył bezradnie ręce. – Lepiej sami rozprawmy się z szarlotką mamy.

Albo wiesz co? – zmienił nagle zdanie – Z sąsiadami dobrze jest żyć w zgodzie. Podziel się swoim kawałkiem z tą smarkulą – i puszczając do niego oko dodał – Z tego co zauważyłem, to chyba jestem dla niej tylko pretekstem.

– Marek – zawołała mama – pośpiesz się, pomidorowa stygnie.

– Nie mam siły.

– Zjesz choć talerz gorącej zupy na kolację – odpowiedziała tonem nie pozostawiającym miejsca na sprzeciw.

– Nie narażaj się, chodźmy – pociągnął go za rękę młodszy brat.

Weszli do holu. Za okrągłym filarem, na długim stole jadalnym czekało

sześć talerzy. W szczególnych chwilach nie potrafili choć na krótko, nie być razem.

– Dasz radę? To opowiadaj – zachęciła siostra.

– Pozwól, przy herbacie. Niech trochę odsapnę.

– A ja ledwie powstrzymałem dziewczyny z klasy. Chciały czatować na ciebie pod domem. Musiałem obiecać, że jeszcze w tym tygodniu przyjedziesz po mnie i dasz autografy na koszulki. Nie miałem wyjścia. Słowo honoru, nie ściemniam – dodał usprawiedliwiająco Rysio, widząc jego badawcze spojrzenie.

W odpowiedzi Marek tylko westchnął, a mama litościwie pogłaskała go po czuprynie. Gdy przyszedł czas na domowe misterium, czyli wspólną szarlotkę, to ona uprzedzając innych zapytała pierwsza.

– Mocno przyciskali na przesłuchaniu?

– Nie było źle. Poprzednio więcej dawali popalić. Teraz to raczej podchody. Najwyraźniej jeszcze nie mają wytycznych. Taki wstępniak.

– To znaczy? – spytał ojciec.

– Mecenas uważa, że czekają. Jak będziemy posłuszni to po łbach dostaną ci, co nas zaatakowali. Jeżeli nie, to wniosą oskarżenie do sądu. Żeby było śmieszniej, to nie bardzo wiadomo dla kogo powinniśmy być grzeczni. Jedni zaganiają nas pod opiekę Prezydenta, drudzy ciągną do Premiera.

– Kiedy na studiach zainteresowali się waszym tatą, to najpierw chcieli go kupić. Złote góry do nóg mu rzucali. Potem straszili. Nawet dobraniem się do dziadka. Gdy i to nie pomogło, jak mogli, tak uprzykrzali mu życie. Na koniec te łotry nawet próbowały spowodować wypadek.

– Tata, nic nie mówiłeś! – zawołał zdziwiony Romek.

– Psubraty, podcięli gumę na miedzianej plecionce w przewodzie hamulcowym i naciągnęli przewód za odbój. Przy każdym ruchu kierownicy plecionka przecierała się aż pękła pod ciśnieniem gwałtownego hamowania. Fachowa robota, właśnie wtedy gdy hamulce są najbardziej potrzebne. Na szczęście interweniował Anioł Stróż i przeprowadził Fiata przez skrzyżowanie. Na czerwonym świetle! Wyobraź sobie ten slalom między pędzącymi samochodami – wyjaśniał mu Marek.

– I co? I co? – pytał łapczywie brat.

– Ty siedzisz tu, a obok tata – uśmiechnęła się dobrotliwie mama. – „Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”. Po tylu latach ojciec wciąż zwalnia na długo przed skrzyżowaniem Niepodległości z Nowowiejską. Syneczku, bądź ostrożny. Pewne sprawy nie zmieniają się od wieków – dodała z niepokojem.

– Nie martw się mamo. Wytrzymał ojciec, wytrzymam i ja. Przecież nie jestem podrzutkiem i też mam Anioła Stróża – odpowiedział hardo. – Tato, w środę idziemy do Prezydenta.

Co mi poradzisz?

– Duda rozgrywa trudną batalię. Popatrz na to, jak na pole bitwy. Z jednej strony wzgórze rozłożył się obóz „Okrągłego Stołu” i nie o Camelocie mówię, a o tych co zarządzali Polską z nadania Sowietów. Z tymi nie może paktować, bo „krakowiacy”, ci co wypchnęli go do władzy, działają w układzie z „fildelami”.

– Kim? Fidelami? – zdumiał się Rysio

– To takie umowne pojęcie, od Filadelfii. Bardzo wpływowa grupa, która aktualnie rozbija w Europie oś Berlin-Moskwa. Oś, do której podczepiony jest cały ten „okrągły stolec”, czyli nowa lewica. Mówię o tej, co to schowała się pod hasłkami liberalizmu. Natomiast, po drugiej stronie wzgórza stoją wojska Kukiza. Z tymi może wchodzić w alianse, ale to bardziej umacnia ich niż jego.

– Czemu?

– Dlatego, że na swoich szanach ma PiS. Partię, która będzie słabnąć, choćby z uwagi na naturalną kolej rzeczy. Starzy zużywają się, a młodzi wolą Kukiza niż Kaczyńskiego.

– To dlaczego Kaczyński nie idzie na odświeżenie krwi?

– Może i chciałby, ale nikt go nie kupi. Nie jest trendy – wtrącił Romek.

– Owszem – zgodził się ojciec. – Jego partia bazuje na pierwszej „Solidarności”. Ludziach, którzy zapłacili wysoką cenę za przekonania. Choćby Gwiazda i Walentynowicz. Przypatrz się, jaki los zgotowano tym, co nie szli na układ „magdalenki”. W efekcie młodzi, którzy dorastali w dziesiątkach tysięcy takich „przegranych domów”, nie chcą iść drogą rodziców. Szukają własnych rozwiązań.

– Tak – potwierdziła Kaśka. – Dla nich starzy sknocili sprawę, a do tego świat się zmienił. Oni chcą po swojemu.

– W tej sytuacji, to wy jesteście szansą Dudy na zwycięstwo w batalii, którą toczy. Nowym zaciągiem do umocnienia szanów i wyprowadzenia ataku. Dali mu armaty i proch, a wojska kazali szukać. Dotąd „krakowiacy” nie werbowali was, bo jesteście zbyt narodowi i nieprzewidywalni. Ale teraz, gdy urosliście w siłę, muszą to jakoś przełknąć.

– Głupi byłby Premier gdyby się temu tylko przyglądał – zauważył Rysio.

– Racja – przytaknął ojciec. – To człowiek ambitny, a nawet, jak każdy artysta z domieszką megalomanii. Trzyma Prezydenta w szachu bombowcem.

– Jakim tato? – zaciekał się Rysiek.

– Takim, którym może odfrunąć do opozycji. To znaczy zmienić koalicję synu. Pewnie już główkuje, jak was połknąć, a nie udławić się tak wielkim kęsem.

– Jeżeli nie przyłączycie się do kogoś, to będą was zjadać kawałek po kawałku – zauważyła mama.

– Nie możemy skończyć, jak „Komitety Obywatelskie”, te z lat 90-tych – skrzywił się Marek.

– To była wielka siła, a wypłukali ich w ciągu trzech lat. Wiesz dlaczego? – spytał ojciec.

– Mówiłeś, że nie wyłonili silnego, krajowego przywództwa.

– Właśnie. U was jest inaczej. Od wczoraj już macie takie szefostwo. Powszecznie uznanych liderów.

– Jak mamy to wykorzystać? Sława w internecie nie trwa długo.

– Paktujcie, ale na własnych warunkach. Wtedy utrzymacie suwerenność.

– Co masz na myśli?

– Dogadajcie się i z Prezydentem i z Premierem.

– Grać na dwa fronty? Rozszyfrują to szybciej niż woda spłynie w klozecie – zdziwił się taką propozycją Marek. Ojciec tylko uśmiechnął się i kontynuował.

– Przedstawcie im swoją propozycję. Na przykład: trójporozumienie na rzecz odrodzenia kraju.

– Genialne! I kto bije pierwszy ten bije dwa razy – tym razem Marek zachwyił się, natychmiast doceniając siłę tej sugestii. – Jak uważasz, co powinno być w takim porozumieniu?

– Niech każdy położy na stole własne propozycje, a wy spiszeć część

wspólną i proponujecie, jako formę paktu obywatelskiego. Mam na myśli publiczne zaprzysiężenie przez strony.

– To jak Konfederacja Barska! – zawołał oczarowany Romek.

– Z uwagi na Dudę, politycznie będzie porównać do przysięgi Kościuszki na krakowskim rynku – ironizowała Kaśka.

– Będą musieli to przełknąć. Szach i mat – śmiała się mama. – To na was patrzy dziś cała młodzież.

– Ważne będzie rozegrali to, jak w walcu, na trzy pa – radził dalej ojciec, a widząc pytające spojrzenia wyjaśnił. – Pytacie Prezydenta, co najważniejszego chce zmienić w kraju, nie wprowadzając go w swój zamiar. To samo z Premierem. Na trzecie pa, obu wzywacie publicznie do trójporozumienia z uroczystym zaprzysiężeniem.

– Narzucicie swoje tempo, będą musieli doskoczyć i jakie to mega medialne! – pokiwał z uznaniem głową Rysio.

– Tego się trzymać. Nie oddawać piłki tuż przy bramce. Jestem pewna, że nie dacie zastraszyć się. Ubiegłe lata już was zahartowały. Jesteście gotowi do tego lotu – oceniła poważnym tonem mama.

– Dziękuję tato. Jutro przedstawię kumplom twój plan. Nawet nie wiesz, jak bardzo brakowało nam pomysłu na całą tę sytuację. Teraz wywiniemy się spomiędzy kleszczy i ostro damy po całosci. Dzięki. Wielkie dzięki.

W odpowiedzi ojciec uniósł kciuk do góry, a mama jeszcze raz zmierzwiła synowską czuprynę.

Następnego dnia, Marek obudził się z poczuciem jakby właśnie wrócił z udanych wakacji. Znikło napięcie. Znowu pojawiła się pewność siebie i chęć działania. Spojrzał przez okno na jaśniejące niebo. Uśmiechnął się i zbiegł do kuchni. Ucałował mamę i siadł przy niewielkim, wystającym ze ściany stoliku. Pochwylił starannie dekorowaną kanapkę.

– To było niesamowite. W jednej chwili bach i jest rozwiązanie – powrócił wspomnieniami do wczorajszej rozmowy.

– Dobrze, że umiesz to docenić. Ach, gdyby nie ten stan wojenny. Gdyby wszyscy oni zostali w Polsce – zamyśliła się mama. – Inaczej by to wyglądało w 90-tym. Nie biegałbyś teraz na przesłuchania, a twoi koledzy nie myśleliby

o emigracji. Nie odpuszczajcie. Nie mam złudzeń, lekko nie będzie, ale tak trzeba synku. Dostaliście od Boga właśnie to miejsce na ziemi i tu mają żyć twoje dzieci. Nie wypuszczajcie Ojczyzny z rąk – zakończyła, dostępnym jedynie matkom, prosząco-nakazującym tonem.

– Tak. Tak, jak mówisz. Nikt obcy nie zadba o nasze sprawy – potwierdził i sięgnął po kubek. Upił łyk gorącego kakao. Przez chwilę przyglądał się kubkowi obracając go w dłoniach. Podniósł wzrok i patrząc z wdzięcznością w jej oczy odezwał się – Jak prosto potrafi wyrażać się miłość mamó!

– Dzień dobry pani Zosiu – zawołał już od drzwi.

– Dzień dobry panie Marku – odpowiedziała uprzejmie. – W pańskim biurze czeka na podpis umowa najmu. Prezes Wysocki będzie za pół godziny. Prosi aby zaczekał Pan na niego, jeżeli to możliwe. A oto właśnie Jola, o której mówiłam w piątek. – Trzydziestoletnią kobietą niezwłocznie poderwała się z krzesła pod ścianą. – Czy zechce Pan zapoznać się z referencjami? – wskazała na trzymaną przez nią w ręku teczkę.

– Dziękuję. Nie traćmy czasu. Przejdźmy pani Jolu do nowego biura – za dysponował kierując się do wyjścia.

Przeglądając niewielki stosik kartek, Marek zerkał co chwila na kandydatkę. Sprawiała wrażenie osoby opanowanej.

Potrafiącej zadbać o powierzone sprawy. Jej miła, a nawet, zdawało się delikatna powierzchowność, stanowiły dodatkowy powód jego rozterki. Najchętniej pozbyłby się jej, jak najszybciej. Przecież miał prawo przypuszczać, że podsuwa mu się „specjalistkę z branży”. Nadzorcę od pilnowania brudnych interesów Wysockiego. Z drugiej strony, patrzył na konkretnego człowieka. Osobę o której niewiele wiedział, prawie nic. Czy miał więc prawo tak lekko osądzać? „I tak długo tu nie zabawię” – pomyślał. – „Jest rozwiązanie” – uciekł się po chwili.

– Czy jest skłonna Pani przyjąć okres próbny? Powiedzmy, trzy miesiące.

– Tak panie Prezesie. Jak zapewne Pan zauważył – tu spojrzała

na plik kartek – nie mam zatrudnienia od jedenastu miesięcy. Nie łatwo o szansę w tych czasach.

– W takim razie, zapraszam na pokład.

– Dziękuję. Jestem naprawdę wdzięczna i mam nadzieję nie zawieść Pana oczekiwań. Ciocia Zosia przygotowała projekt angażu, zgodnie z Pana wytycznymi. Proszę nanieść uwagi – podała mu kilka kolejnych kartek wyjętych z teczek. – Jeżeli podpisze Pan umowę, to odniosę do administracji.

Marek wstał, przytrzymał jej dłoń i patrząc jej prosto w oczy, zaczął powoli wyrzucać słowa:

– Chcę wierzyć, że będę mógł mieć do Pani zaufanie.

– Mam nadzieję, że zapracuję na nie panie Prezesie – odpowiedziała bez najmniejszej emocji w głosie.

Na biurku rozjarzyło się czerwone światełko interkomu.

Dotknął migającego przycisku.

– Tak, pani Jolu?

– Przyjechał prezes Wysocki, jest już u siebie.

– Niech Pani zaprosi, czekam.

Po kilku minutach otworzyły się drzwi do gabinetu.

– Proszę siadać. Kawa czy herbata? – zaproponował gestem wskazując kanapę przy mahoniowej ławie.

„Szybko uczysz się zasad gry chłopcze. Już pojąłeś na czym polega pozycjonowanie rozmówcy” – pomyślał Wysocki. – Gratuluję wielkiego sukcesu w mediach – uśmiechnął się szeroko i ucisnął jego dłoń. – Teraz jest Pan osobą publiczną. Jak się Pan czuje panie Marku w nowej roli?

– Dziękuję. To niespodziewane wydarzenie – zaakcentował słowo „niespodziewane”. – Muszę do tego przywyknąć.

– Widzę, że nie pomyliłem się co do Pana talentu. Nie zszedł Pan do mnie, a zaprosił mnie tu. Szybko uczysz się Pan zasad – szczerze pochwalił.

Marek spojrzał na niego badawczo i postanowił wyjaśnić sprawę szturmem.

– W piątek, gdy przedstawiał Pan propozycję wsparcia nas, nie było mowy o tak niezwłocznym działaniu, a tym bardziej o tak radykalnym.

Teraz to Wysocki spojrzał na niego uważnie. „Sam na to wpadłeś? Czy podsunęli ci na rozmowie u prezydenta?” – zastanawiał się, a głośno spytał – Czy to dobra praktyka, limitować owocną współpracę? Proszę to przyjąć, jako poda-

runek bez zobowiązań. Powiedzmy, taką handlową próbkę towaru. Na sprawdzenie jakości tego, co oferujemy – wiedziony zawodową intuicją zdecydował się przyznać do aranżacji niedzielnych zajęć.

– Po zamieszkaniu, jakie nastąpiło, nie miałem jeszcze okazji przedstawić waszej propozycji – rozpoczął Marek i zawiesił głos widząc asystentkę wnoszącą tacę. – Pani Jolu, podpisałem umowę najmu. Leży tam na biurku, proszę odnieść do administracji.

– Dzwonił prezes Jurek. Zamówił na piątek kuriera do Jastrzębia. Przyjedzie po faktury dla kopalni. Prezes prosi o podpisanie ich.

– Niech Pani przekaze, że postaram się wpaść w czwartek. Przejrzę na spokojnie i podpiszę.

– Wstąpię w takim razie do Witexu i przyniosę je do nas – odpowiedziała zabierając papiery. Gdy zamknęły się drzwi, pierwszy odezwał się Wysocki.

– Dokonałiśmy pewnych modyfikacji. Przyspieszyliśmy drugą transzę płatności. Myślę, że w nowych okolicznościach przyda się panom solidny zastrzyk gotówki. Na cele organizacyjne ma się rozumieć – dodał z nutą poufałości w głosie.

– Jeszcze nie jesteśmy „po słowie” panie Prezesie – gwałtownie odciął się Marek od uznania ich oferty za przyjętą.

– Jak Pan uważa. Co będzie to czas pokaże, a pieniądze lepiej żeby czekały na wasze decyzje, niż wy mielibyście czekać na nie – odpowiedział próbując wygasić niebezpieczne błyski w jego oczach. – Proszę nie obawiać się. Nikt nie wykaże związku między niedzielnym obrotem spraw, a pańskim życiem zawodowym. Nawet specsłużby. Utkną na domniemaniach. Wysokość stawki, panie Marku, nakłada na nas obowiązek szczególnej staranności. Przecież mamy pomóc, a nie szkodzić.

– Przyjmę, że nie było w tym groźby.

Powiało chłodem. Tym razem Wysocki nie zamierzał ocieplać atmosfery. „Inaczej byś zaśpiewał gdyby nie pieprzony Tadzio. Mamy sposoby i na takich mądrali. Przyjdzie i twój czas” – pocieszył się w duchu z trudem przełykając jego hardość. Spojrzał mu w oczy, nie kryjąc irytacji:

– Niewprawnemu łatwo spaść z wysokiego konia. Warto mieć asekurację przy tak ekspresowej nauce jazdy. Proszę nie zapomnieć przedstawić kolegom

naszej propozycji. Naprawdę, jest spory kawał drogi, którą możemy przejść razem. Panie Tarecki – dodał wyciągając rękę na pożegnanie.

Marek odprowadził go do drzwi, po czym podszedł do migającego światelka intercomu.

– Tak?

– Czy mogę teraz podać umowę o pracę?

– Proszę, niech Pani wejdzie – odpowiedział sięgając po długopis. Po chwili asystentka wyszła a on wybrał numer telefonu.

– Andrzej? Witaj. Trzeba by jeszcze dziś spotkać się z ferajną.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić. O dwudziestej będzie u Bartka jego znajomy. To specjalista od psychologii

wywierania wpływu. Bartek ściąga go by zrobił nam wykład.

Warto poznać sztuczki jakich mogą użyć w negocjacjach.

– Ok. Powiedz, że będę na mszy o siódmej. Potem przegadamy co nieco we własnym gronie, zanim przyjdzie specjalista.

– W porządku ściągnę chłopaków trochę wcześniej. Trzymaj się.

– Czołem – pożegnał się i sprawdził godzinę. „15:12, zdążę wpaść do domu. Trzeba coś zjeść przed wizytą w studio” – pomyślał i wstał do wyjścia.

– Bingo. Trafiony zatopiony. Brawo. – rozpływał się Andrzej, aż kręcąc z niedowierzaniem głową, że mogło znaleźć się tak proste rozwiązanie. – Panowie, jeżeli to wyjdzie, to tak po prawdzie, to oni zagrają w naszej drużynie! Ekstra wist, odpada dylemat wyboru między mama a tata.

– Zgadzam się. Projekt pana Tareckiego to silny wist – odezwał się Wojtek z nie mniejszym uznaniem. – Artykuł 222 przestaje być straszakiem. Koniec z przepychanką, w której mogli solidnie przetrzepać nasze dupska. Powinni w to wejść. Tak naprawdę to nie będą mieli wyjścia.

– Ale mamy poważnego przeciwnika – zauważył Krzysiek.

– Co masz na myśli? – spytał Paweł zaniepokojony, że jednak coś może zakłócić szczęśliwość ulgi, jakiej dopiero co doznał.

– Czas! Teraz jesteśmy na topie. Emocje opadną i dzisiejsze asy staną się blotkami.

– No, tak. Racja. Powiem w ten sposób: w tym pokerze trzeba mocno trzymać „karty przy orderach”. U Prezydenta chłopaki, ani pary z gęby o pakiecie – przypomniał Darek.

– Ok. Przepytały, co dla niego najważniejsze i sami powiemy, co nas najbardziej boli – podsumował Tomek.

– Na wieczorek zapoznawczy powinno starczyć. Co ty na to Bartek? – odezwał się Andrzej.

– Idźcie i pamiętajcie, że to misja, a nie gra o pozycję. Inaczej będziemy kolejną hałastrą, która wdziera się na boisko. W polityce jest wiele sprawdzonych metod by nad takimi zapanować.

– Jak to? Idźcie? – prawie zakrzyknął z niedowierzaniem Marek.

– Spokojnie, wciąż jestem z wami – uśmiechnął się Bartek. – Tyle, że najpierw jestem „bratem mniejszym”, zakonnikiem.

Śluby posłuszeństwa Panowie. Zgoda przełożonych dotyczy wsparcia duchowego dla przyjaciół, a nie mojej działalności politycznej.

– Rzeczywiście. Twoja obecność tam, oznaczałaby zaangażowanie Kapucynów – przystał na jego wyjaśnienie Marek, choć z wyraźną nutą zawodu.

– Nie inaczej – przytaknął diakon. – Zaparzę świeżej herbaty, zaraz będziemy mieć naszego gościa.

Do refektarza wszedł korpulentny, a wręcz gruby mężczyzna na krótkich nogach.

– Szczęść Boże – podbiegł do niego Bartek i pociągnął go w głąb sali. – Panowie, doktor Karba. Władek, to właśnie ta zgraja, o której tyle hałasu w świecie – z humorem zaprezentował ich sobie.

– Szczęść Boże Panom. Dziękuję, że tak sławne osobistości będą mieć cierpliwość wysłuchiwać mojego marudzenia – przywitał się z właściwą sobie, akademicką przewrotnością.

– Bóg zapłać. Witamy i prosimy o wyrozumiałość dla naszych amatorsko prostackich głów – odpowiedział w podobnym tonie Wojtek.

– O! Wspaniale. Właśnie rozpoczął Pan dzisiejszy wykład – zaśmiał się Karba. – Panowie, zaczniemy od tego, uwaga, iż łatwiej ulegamy wpływom tych, których lubimy! A kogo lubimy?

– Miłych, fajnych, życzliwych, wesołych... – zaczęły padać odpowiedzi.

– Tak. Zbierając to do kupy można powiedzieć, zapamiętajcie to bardzo ważne, lubimy tych co nas lubią i... – zawiesił na chwilę głos – lubimy podobnych do nas. Są i inne powody, ale te to podstawa.

– W jakim sensie podobnych?

– Gestykulacja, mimika, poglądy, osobowość. To może być wszystko, aby tylko wyraźnie zauważalne. Pan – wskazał dłonią na Wojtkę – przywitał mnie dostosowując się do mojej żartobliwej przewrotności. Jaki wysłał sygnał?

– Jestem taki sam – wyrwał się Tomek.

– Oczywiście. Moja podświadomość nie miała wyboru, natychmiast poczułem sympatię do Pana...

– Wojciech Nadkoński – przedstawił się.

– Do pana Nadkońskiego. A jeżeli powiem do pana Wojtkę, to od razu skracam dystans. Przełamuję barierę oficjalności i przechodzę na stopę bliższą koleżeństwu. Ukradkiem przesuwam naszą relację w obszar gdzie, jak każdy wie od dzieciństwa, ludzie się lubią. Bo przecież koledzy się lubią, czyż nie? I czekam tylko okazji by przypieczętować to „przejdziem na ty”.

– Miło mi, Wojtek – poderwał się z wyciągniętą ręką doktorant.

– Władek – odpowiedział Karba ściskając jego dłoń. – I widzicie, jak gładko poszło? Mam nowego kolegę. Zapewne teraz szybciej uwierzy w to, co tu mówię – porozumiewawczo uśmiechnął się pod wąsem. – Czyż kolegom nie jest łatwiej dogadać się?

– Bo jest Pan, przepraszam, jesteś naprawdę miłym facetem.

– Widzicie, warto było tłuc się tu po nocy. Mam kolegę i jeszcze trochę staranności, a będę mieć przyjaciela. A przyjaciele gotowi są zrobić dla siebie wszystko. Podkreślam, zrobić dla siebie, to znaczy, iż relacja musi być wzajemna. On coś dla mnie, ja coś dla niego. Pytania? – usiadł i sięgnął po filiżankę.

– I to wystarczy by manipulować ludźmi? – zdziwił się Darek.

– Nie tak. Przyjacielem nie manipuluje się. Przy manipulacji tylko udajemy przyjaźń. To znaczy sprawiamy wrażenie życzliwych, szczerych, sympatycznych i tak dalej. Chcę zwrócić waszą uwagę na psychologiczną regułę wzajemności. Pomagamy tym, którzy zrobili coś dla nas. Lubimy tych, o których myślimy, że lubią nas. Takich reakcji uczymy się od dziecka. Proszę Państwa! Przepraszam, Panowie! Większość technik manipulacji bazuje właśnie na automatyzmach

naszego postępowania. Cała tajemnica podstępnych technik, to wykorzystanie zakodowanych w psychice automatyzmów. Uczymy się ich na rzecz pewnych sytuacji, a oni wykorzystują je do zgoła odmiennych celów.

– Może jakiś przykład?

– Choćby najczęściej stosowana reguła wzajemności. Od małego uczono nas dziękować. Naturalną więc reakcją na czyjś gest jest nasza wdzięczność. Manipulant daje nam coś mało znaczącego, a oczekuje czegoś cenniejszego. Na przykład, drobny prezent. Potem pojawia się prośba o jakąś formę pomocy. Zazwyczaj trudno będzie nam odmówić. W biznesie służą do tego gratisy.

– Ogólnie, jeżeli lubię kogoś, to łatwo mnie zwiedzie. Czy tak? – zapytał Marek.

– Więcej. Im bardziej lubię, tym bardziej jestem bezkrytyczny i tym łatwiej mnie zwieść. Na szczycie tego mamy zakochanie, a „miłość jest ślepa” i uwierzmy we wszystko. Każda manipulacja zaczyna się od osłabienia naszej czujności; właśnie poprzez wzbudzanie naszej sympatii.

– Sugeruje Pan, że skuteczna obrona to nikogo nie lubić? – odezwał się z wyraźnym sarkazmem Andrzej.

– Wręcz przeciwnie. Miłujcie każdego, ale bądźcie roztropni. Panowie, trwać przy swoich postanowieniach, a jeżeli coś chcecie zmienić, to najpierw pomyślcie i to z dystansem. Nic pochopnie, analizujcie i oceniajcie na spokojnie. Nic pod wpływem chwili. Ta prosta rada zamieni was w „orzech trudny do zgryzienia”.

– Pamiętam, co nieco z wykładów psychologii o ugruntowanych technikach wpływania na ludzi – podsunął temat Wojtek.

– Robi się późno. Miałem zamiar zostawić to na inną okazję. To obszerne zagadnienie – zarzekał się Karpiński spoglądając wymownie na zegarek.

– Może chociaż mały wstęp? Choćby nieduży – kusił Paweł.

– Zróbmy tak, krótkie podsumowanie, potem Wojtkowe „co nieco”, a reszta następnym razem.

– Dziękujemy – odezwali się niemal jednocześnie.

– Manipulator zaczyna swoją robotę zanim stanie przed nami. Gromadzi, jak najwięcej informacji o nas. Stara się wychwycić cechy osobowości i oczekiwania. Następnie, osłabia waszą czujność skracając dystans. Najchętniej aż do

pozyskania sympatii. Potem korzystając z reguł automatyzmu reakcji, próbuje skłonić was do pożądanых przez siebie zachowań. Na przykład, byście mu uwierzyli lub postąpili tak a nie inaczej – tu przerwał pociągając długi łyk herbaty. – A teraz „co nieco” o technikach. Najczęściej używa się tych z grupy sekwencyjnych. Najbardziej popularne to: „stopa w drzwiach” „zatrzaśnięte drzwi” i „niska piłka”. Każda z nich to sekwencja wydarzeń nieubłaganie prowadzących do celu.

– A te wydarzenia, to sprawka manipulatora – upewnił się Boguś.

– Oczywiście. „Stopa w drzwiach”. Tu mamy najpierw małą prośbę, której zapewne nie odmówimy, a potem większą, tę o którą naprawdę chodzi. Uru-chamia się nasza autopercepcja.

To znaczy: skoro tak postąpiłem, to taki jestem. Nie odmówiłem, to znaczy iż nie mam zwyczaju odmawiać. Potem do głosu dochodzi automatyzm zachowań, w tym przypadku konsekwencja i bingo! Oczekiwanie spełnione.

– Jaka powinna być rozpiętość pomiędzy małą a dużą prośbą? – spytał Krzysiek.

– Im mniejsza, tym większa uległość. Ważne by przy mniejszej nie odczuwano żadnej presji. Teraz o „zatrzaśniętych drzwiach”. To odwrotność poprzedniej – sięgnął po pustą już filiżankę i dla podkreślenia odwrócił ją dnem do góry. – Tu sekwencja zdarzeń jest taka: najpierw żądanie bardzo trudne do spełnienia, potem łatwiejsze. Atakują nas oczekiwaniem którego niemal na pewno nie spełnimy, a potem nieco mniejszym i znów bingo!

– Dlaczego tak się dzieje? Przecież autopercepcja powinna uruchomić mechanizm: „odmówiłem taki jestem, odmawiam i teraz” – zapytał Marek.

– Bo tu uruchamia się inna zapadka w mózgu. Psychologowie mówią tu o poczuciu winy. Odmówiłem, a to nie fair, teraz więc nie odmawiam. Mówią także o automatyzmie polegającym na społecznej normie wzajemnych ustępstw. Taki rodzaj wymiany. Ustąpiłeś ty, manipulant nie nalegał, ustępuję i ja, to znaczy spełniam to mniejsze żądanie. Często modyfikuje się te techniki podważając liczbę pozorowanych oczekiwań. To co, kończymy?

– Grajmy uczciwie, były obiecane trzy techniki – zawołał Boguś unosząc wzrok znad zeszytu, w którym pieczołowicie coś notował.

– Najwyraźniej jeszcze was nie uświadziłem. Bez problemu uchwycił Pan rolę

konsekwencji w zachowaniach i brutalnie to wykorzystuje. I to, o czarna niewdzięczności, przeciwko mnie. Co za podstępny typek! – skrzywił się wesołkowato, pozorując utrapienie. – Nie mam wyboru, trzecia to „niska piłka”. Tu puszcza się na wabia bardzo atrakcyjną ofertę. Zero nacisków, a nawet nie zachęcamy zbyt. Gdy haczyk połknięty, pojawiają się nowe okoliczności. Teraz oferta jest już znacznie mniej atrakcyjna, spada do właściwego poziomu. Przy dobrym wykonaniu praktycznie pewniak.

– Czy tu też chodzi o konsekwencję? – zapytał Tomek.

– Jak najbardziej. Dokonałem swobodnego wyboru, a nowe okoliczności wydają się niezależne od oferenta. Choć cena teraz wyższa to i tak kupię. Przecież już wcześniej podjąłem decyzję.

– Może przykład – odezwał się Paweł.

– Widzę ładne pomidory po pięć, a wszędzie po dziesiątaku. Biorę kilo i kładę piąta. Sprzedawca prosi o dychę. „Jak to? Przecież po pięć”. Na to sprzedawca: „Bardzo przepraszam, widocznie kolega zapomniał zdjąć cenę z porannej promocji.” Jak myślicie, ilu odda pomidory?

– A w polityce? – spytał coraz bardziej zamyślony Paweł.

– Bez najmniejszych różnic. Reguły naszych reakcji są zawsze takie same, niezależnie co jest w ofercie. Na zakończenie powtórzę; myślimy samodzielnie, analizujemy i oceniamy, nie ulegamy emocjom chwili. Trzymając się tego, trudno będzie nas podejść. Bartku, chyba już czas na modlitwę przed pożegnaniem.

W środę, Marek mógł wreszcie oderwać się od nużącego go już zamętu i pójść na uczelnię. Po kwadransie niespiesznego spaceru stał przed nowym gmachem przy Pasteura. Spojrzał na przeszklone ściany holu, za którymi widniało kilka sylwetek. Zaledwie cztery dni temu był jedną z nich, a jakby upłynęły miesiące. „Wchodzisz?” – Zdawała się pytać oparta łokciami o kontuar szatniarka. „To twoje miejsce” – wsparły ją rzędy metalowych wieszaków. „Powąchał innego świata, nie wytrzyma i dwóch godzin” – powątpiewał niklowany kosz na śmieci. „Przecież ja to lubię, fizyka to moja pasja” – odpowiedział Marek zdziwiony niklowaną insynuacją. „No to nie ociągaj się. Czekamy” – pisały ławki na drugim piętrze. Aż zachwiał się od nieoczekiwanego klepnięcia w plecy.

– Cześć i chwała. Co tak sterczysz, jak słup soli?

– Czołem – odpowiedział odwracając się do Sebastiana – Wahasz się czy odwiedzić przyjaciół? Chodź, chodź. Towarzystwo już nie może się ciebie doczekać. Na przód – zachęcił i bezceremonialnie popchnął go ku wejściu.

Wkrótce, atmosfera przy pustawej dotąd szatni wyraźnie ożywiła się. Ze wszystkich stron, jakby ściągani magnesem podchodzili kolejni ludzie zbijając się w rosnącą gromadkę.

– Tak trzymać chłopaki...Gratuluje panie Marku...Kto by pomyślał, że z ciebie taki kozak... – dobiegały go słowa uznania. Trochę skrzepowany ścisnął wyciągające się na powitanie ręce. Jeszcze nie potrafił odnaleźć się w nowej roli, człowieka popularnego.

– Dziękuję, to dla mnie wiele znaczy. Nie spodziewałem się takiej życzliwości – wydusił wreszcie z siebie. – Tyle zamieszania z mojego powodu.

– Panie Marku – odezwała się doktor Jastrzębska – wybory to był tylko pierwszy ruch. Teraz czas na porządne zamykanie. W tej augiaszowej stajni potrzeba nowych, mocnych mioteł.

– Racja pani Doktor – przytaknęła szatniarka. – Inaczej będzie, jak zwykle. Dużo krzyku i wszystko wróci na swoje miejsce.

– Jeżeli młodzi tego nie przypilnują to na pewno wróci – poparł ją profesor Wydra. – Tak było i w 56-tym i 70-tym i w 90-tym.

„Trzeba zmieniać wiele, by nic się nie zmieniło”, takie mają hasło. Ot co!

– Potrzebne każde ręce na pokładzie, panie Profesorze. Szczególnie takie, które mają blisko do mądrej głowy – nie zmarnował okazji do podlizania się Weronika z grupy II-giej.

– E tam – energicznie machnął ręką. – My już się nie liczymy. Połowa to zdziecinniali głupcy, a połowa to sił już nie znajdzie.

Tu trzeba czynu, a nie gadaniny. Moje pokolenie to tylko popierać zdoła.

– Jak się do was zapisać? – spytał nieznany mu student.

– Właśnie, jak? Szukałam w sieci i nie znalazłam żadnych formularzy – przyłączyła się do pytania Patrycja.

– Jesteśmy komitetem organizacyjnym marszów, ale chyba czas na nową formułę.

– Byleby nie była nadto demokratyczna. Naślą wam śmieci i ugrzęźnienie – przestrzegł Wydra.

– Jak to Profesorze? Bolszewię mają budować? – zaproponował jakiś student.

– W Atenach, kolebce demokracji, na czas wojny obierano despotę. Nic po sejmikowaniu gdy „Hannibal ante portas”.

Niech Pan częściej zagląda do klasyków. Wiele można się tam nauczyć – ripostował zniecierpliwionym tonem Wydra.

– I nie ma w tym przesady, Hannibal naprawdę u wrót – zgodziła się doktor Jastrzębska. – Świat staje w ogniu. Ślepy kto nie widzi. „Belle epoque” Europy minęła bezpowrotnie.

– Panie Marku, co portki nosi brać urlopy dziekańskie i do czynu! – zagrzynał Profesor.

– Jeszcze tylko trzy miesiące do sesji i rok zaliczony. Szkoda by było – uważał chudy doktorant.

– No to przysiądź fałdów i zaliczać w zerówce. Mogę postawić na Radzie Wydziału żeby zerówki urządzić powiedzmy... – zamyślił się – powiedzmy w połowie kwietnia. Dla ochotników mogę zrobić konwersatoria... – zamyślił się ponownie – nawet dwa razy w tygodniu.

– Brawo. Pan wcale nie żartował z tym poparciem – przyklasnęła Weronika.

Stary profesor, zadowolony z siebie, potoczył wzrokiem dokoła a widząc malujące się na twarzach uznanie, zakomenderował:

– Jak w połowie kwietnia, to do roboty. Biegnijcie już na zajęcia. No, sio, sio – ponaglał ociągających się.

Marek wraz z resztą grupy III-ciej prawie pobiegł ku schodom.

Z wesołym hałasem weszli do sali.

– O! Pan Tarecki, jak przystało na aspiranta nauk przyrodniczych, własną osobą demonstrowa nam dualną naturę materii.

Wieczorem bywalec studiów telewizyjnych, a za dnia student.

Czy na sesji spotkamy się z doktorem Jekyll czy mister Hyde?

– powitał ich z nieskrywaną złośliwością asystent. – Spóźnili się Państwo 25 minut. Ciekawe, co powie na to prodziekan do spraw studenckich?

– Może będzie bardziej wyrozumiały od Pana – odburknęła poirytowana Patrycja.

– Wątpię. To człowiek nauki, a nie miłośnik ulicznych festynów – odciął się zgryźliwie. – Proszę wyjąć kartki i wyjaśnić dylemat Schrödingera. Potem proszę rozwiązać zadanie z tablicy. Macie na to piętnaście minut.

– Co? Obyczajem jest pół godziny – zaprotestował Sebastian.

– Państwo wykorzystali już część czasu przeznaczanego na sprawdzian. Wasz wybór – cynicznie zauważył asystent.

Po zajęciach, Marek wrócił do domu. Zjadł obiad. Odświeżył się i ruszył do Belwederu.

Poprowadzono ich długim korytarzem, na ścianach którego wisiały architektoniczne plany z czasów budowy pałacu. Przywitał ich szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Usiedli na białych krzesłach, tapicerowanych materiałem w szerokie pasy. Po chwili do sali wszedł Prezydent. Z uśmiechem, raźnie podszedł do wstających z miejsc.

– Witam Panów. Cieszę się, że przyjęliście zaproszenie. Jest tyle pilnych spraw w naszej Ojczyźnie, a żniwiarzy niewiele!

– Pan Andrzej Kordecki – rozpoczął prezentację sekretarz stanu.

– To zaszczyt panie Prezydencie – Andrzej energicznie, na sposób wojskowy skinął głową i odruchowo wyprężył się przed zwierzchnikiem sił zbrojnych.

– Jesteśmy imiennikami, to dobry początek – odezwał się Prezydent ściskając jego dłoń. – Kordecki, takie nazwisko zobowiązuje panie Andrzeju.

– Tak jest panie Prezydencie.

– Pan Wojciech Nadkoński.

– Chirurg, nieprawdaż? To powinno oznaczać szybkie decyzje – ni to stwierdził, ni to zapytał ściskając kolejną dłoń.

– Tak jest panie Prezydencie – odpowiedział Wojtek, również przyjmując pozycję „na baczność”.

– Pan Marek Tarecki.

– Fizyk, ale nie flegmatyczny mol – żartobliwie nawiązał do niedzielnych zajęć, a poważniejszym tonem dodał – Wiele mówiono mi o patriotycznych tradycjach Pana rodziny.

- Pan Krzysztof Zawieja.
- Widziałem w telewizji, przyjaciele zawsze mogą na Pana liczyć – spojrzał na niego wymownie.
- Pan Tomasz Szymański.
- Czuwaj druhu Tomku. „Świty się bielą, otwórzmy bramy” – zacytował z przedwojennego hymnu harcerstwa i zapytał retorycznie – To jak, otworzycie?
- Pan Bogumił Bemben.
- We Francji inicjały BB to wciąż narodowy symbol seksapilu, a w Warszawie, chyba staną się synonimem sarmackiej krzepy – uśmiechnął się próbując odwzajemnić żelazny uścisk dłoni. – Panowie zapraszam.

Gdy usiedli wznowił rozmowę.

- Liczę, że na tym naszym, nieoficjalnym spotkaniu zapanuje koleżeńska atmosfera. W końcu nie jestem od was tak dużo starszy, a Panom oficerom zalecam w pełni korzystać z tego że nie jesteście na służbie a w gościnie.

Do salonu wszedł kamerdyner. Za nim podążało pięciu kelnerów niosących tace z ciastkami. Ustawili się w szeregu pod ścianą i zamarli w bezruchu. Kamerdyner dał znak gestem ręki i każdy z nich podeszedł do jednego z gości. Kolejny gest odwołał ich z powrotem pod ścianę. Po chwili rzędem opuścili pomieszczenie.

- Dziękujemy za zaproszenie i prosimy o słowo wstępne – odezwał się Marek rozmyślając nad sprawnością prezydenckiego „skracania dystansu”.

Ponownie weszli kelnerzy. Tym razem nieśli dzbanki z herbatą. Ceremoniał powtórzył się i zniknęli za drzwiami, a na straży pozostał kamerdyner. Duda spojrzał w jego stronę i prawie niezauważalnie skinął głową. Znikł i kamerdyner.

- Panowie, zacznę od tego iż sytuacja międzynarodowa jest znacznie trudniejsza niż przedstawiają to media. Agresja na Ukrainę, rzezie na Bliskim Wschodzie i parcie arabów na Europę, to tylko wycinek coraz bardziej skomplikowanej rzeczywistości.

- Czy ma Pan na myśli niepokój w dalekiej Azji? – zapytał Marek

– Nie tylko – na prawie niezauważalny moment zawiesił głos, zdumiony widokiem szóstej łyżki cukru sypanej przez Pawła. – Owszem, Chiny zdynamizowały ofensywę dyplomatyczną i w zasadzie już powstała alternatywa dla

bloku euroatlantyckiego. Pojawił się jednak nowy problem, znacznie nam bliższy, Niemcy. Najwyraźniej Berlin nie może pogodzić się z wizją przetasowań w Unii.

– Mówiąc o niepokoju myślałem o dalszej koncentracji wojsk w Mandżurii.

– Tak. Każdy krok Rosjan w głąb Ukrainy to kolejne dywizje chińskie nad Amurem. To napięcie, to bardzo dla nas niekorzystna okoliczność. Nadal wiele obiecuję sobie po zacieśnieniu polsko-chińskich kontaktów.

– Trudno im się dziwić – włączył się Wojtek odstawiając filiżankę. – Od ponad dwustu lat Rosja sięga coraz głębiej w Azję.

Jeżeli odzyska kontrolę nad Ukrainą to powróci do rangi mocarstwa globalnego. Dla Chińczyków nie wróży to nic dobrego. Już raz udało się Moskwie okrążyć ich gdy sowietci podporządkowali sobie Mongolię i Wietnam.

– Tam dobrze pamiętają wiek XIX-ty. Nazywają go „wiekiem hańby”. Dla nich to, można by powiedzieć..., można powiedzieć wciąż żywa rana – dokończył pośpiesznie zgromiony surowym spojrzeniem Krzyśka. – Rosjanie nadal zajmują terytoria oderwane wtedy od Państwa Środka.

– Gdyby nie Stany Zjednoczone pewnie dawno połałaby się krew – zgodził się Prezydent.

– Na dobrą sprawę cicha wojna nad Ussuri trwa nieprzerwanie od pięćdziesięciu lat – dołączył Andrzej. – W niektórych okresach ścierały się całe dywizje.

– I nic nie zapowiada żeby sytuacja miała się tam uspokoić. A jak Panowie już zauważyli, Pekin ma coraz więcej obaw.

– Czy zechce Pan rzucić nieco więcej światła na sprawę niemiecką? – odezwał się Tomek, który po przełknięciu kremówki czatował na okazję zabrania głosu.

– Ich czas dominacji za pomocą euro kończy się – wyjaśniał Prezydent.

– Stany nie będą kolejny raz reanimować tej waluty. W nowym pomysle na Europę nie ma miejsca na IV Rzeszę.

Berlin na gwałt szuka więc jakiejś formuły, takiej która pozwoli mu utrzymać hegemonię.

– Zgoda. Euro to wyrafinowana forma haraczu. Bez tego ich gospodarka mocno oklapnie – potwierdził Andrzej. – Zaczną się napięcia. Bogate landy niechętniełożą na resztę. Już skłócili się wobec kwestii emigrantów.

– Realnym stanie się rozpad. Powrócą do stanu sprzed Bismarcka. Pierwsza odskoczy Bawaria – zawyrokował Marek.

– Biuro Bezpieczeństwa Narodowego rozważa ewentualność starcia się na Ukrainie interesów niemieckich z rosyjskimi. Gdyby Berlinowi udało się włączyć Kijów do Unii, to spróbują oprzeć na nim nowy most dominujący Europę. Być może to jedyna szansa dla nich – dorzucił sięgając po widelczyk.

– Dla nas stworzyłoby to fatalną sytuację – zaniepokoił się Marek. – Ich urwanie się spod amerykańskiej kurateli prędzej czy później doprowadzi do próby rewizji granic.

– To prawdopodobne, Panowie. Tym bardziej, iż Kijów bez ociągania pozbyłby się kłopotliwej dla nich części terenów Ukrainy Zachodniej. Oczywiście za stosowną gratyfikacją.

– Tak, to możliwe. Berlin chętnie rozważyłby odstępnę za Łuck, Lwów i Stanisławów. Jeżeli w zamian mógłby sięgnąć po Szczecin i Wrocław – zgodził się Andrzej.

– Kto wie czy takiej operacji nie chcieliby sfinansować Chińczycy. Dla nich wypchnięcie Rosjan z Ukrainy to sprawa zasadniczej wagi – zauważył Krzysiek.

– Zaledwie dotknęliśmy tematu – odezwał się prezydent, który pośpiesznie przełknął wreszcie pierwszy kawałek ciasta, co o mało nie wywołało wybuchu śmiechu u Marka – a już widać iż w każdej chwili może otworzyć się najprawdziwsza „puszka Pandory”. Sytuacja, jak zaznaczyłem na wstępie, staje się coraz poważniejsza. Dotąd mieliśmy względny spokój na naszym kontynencie. Oś Berlin-Moskwa pozwalała jakoś równoważyć interesy. Ale ten spokój okazał się bardzo kosztowny. Europa zmarginalizowała się i politycznie i gospodarczo. Życie nie cierpi próżni, na świecie pojawiły się nowe potęgi. Chiny, Indie, Brazylia, ich siła wywraca do „góry nogami” dotychczasowy porządek. Stany Zjednoczone potrzebują mocnej Europy przy nowej układance. W przeciwnym razie utopią się wraz z nami – dokończył i niezwłocznie sięgnął widelczykiem w stronę talerza.

– Polska staje się więc jedną z ważniejszych kart w nowym rozdaniu, czy tak panie Prezydencie? – natychmiast, chyba trochę z przekory, ponownie wywołał go do tablicy Marek.

– Brawo. Nie wiedziałem, że na Fizyce wykłada się dyplomację. Zgrabnie

przerzuca Pan dyskusję na nowy tor – pochwalił go szef BBN-u wspierając przełożonego w próbie pochwycenia kolejnego kęsa. – Rzeczywiście. To nakłada na nas jeszcze większą odpowiedzialność – dodał sugerując tym samym Prezydentowi przejście do spraw bieżących.

– W takim razie skoncentrujmy się na naszym podwórku – prezydent powolnym ruchem zaczął sięgać po filiżankę. – Panowie nie mam wątpliwości – cofnął dłoń czując potrzebę nieco dłuższej wypowiedzi – nie mam wątpliwości, że ktoś zechciał starannie wyreżyserować niedzielne zajścia. Specjaliści wykluczyli wasz świadomy udział w tej grze. Pozwala mi to zwrócić się do Panów z pełną otwartością. Otóż, wasza popularność może być wielce użyteczna przy zmianach, jakie muszą dokonać się w Polsce. Powtarzam, muszą; a z tego co dotychczas sobie powiedzieliśmy, zasadnym jest dodać, że muszą pilnie.

– Do czego Pan zmierza? – zapytał, uważnie przyglądając się mu Krzysiek.

– Prezes Kaczyński proponuje wam miejsca w Radzie Politycznej i funkcję wiceprezesa. Moim zdaniem, odmłodzenie tej formacji to szansa na nowy rozmach po prawej stronie.

– To dziwna propozycja – odpowiedział przeciągle Krzysiek, a widząc pytający wzrok ministra wyjaśnił – Nie mamy aspiracji partyjnych, to raz. A dwa, to nasze wmontowanie się w tą strukturę równałoby się politycznemu harakiri. Dlaczego to Pan składa tę propozycję?

– Byłbym gwarantem waszej, mocnej pozycji w PiS. Zależy mi na usprawnieniu tej, jak to Pan nazwał, struktury. Regulacje konstytucyjne nie dają mi zbyt wielu kompetencji. W Polsce prezydent bardziej oddziałuje niż działa. Moja skuteczność zależy więc od siły bieżącego poparcia w społeczeństwie.

– Ta propozycja całkowicie rozmija się z oczekiwaniami ludzi, których reprezentujemy – wsparł zdanie przyjaciela Marek. – Krzysztof ma rację. Gdybyśmy stali się częścią PiS to niewielu by za nami poszło. Poza wszystkim, ta partia po prostu nam nie odpowiada.

– Wydawać by się mogło, że pierwsza część rozmowy poprowadzi nas ku bardziej niestandardowym rozwiązaniom – spróbował przełamać impas Wojtek.

– A co Panowie proponują?

– Jeszcze kilka dni temu nie przyszłoby nam do głowy, że wkrótce odbę-

dziemy taką rozmowę – zauważył Tomek i dodał – Nie jesteśmy w tej chwili gotowi na przedkładanie propozycji.

– W takim razie pozwólcie, ponownie przejmę inicjatywę i przedstawię alternatywną ofertę. Zbudujcie własną strukturę. Ruch albo stowarzyszenie. Ja udzielię temu pełnego wsparcia. Jeżeli w sondażach sięgniemy 30%, to wspólnie zaczniemy przygotowywać się do przedterminowych wyborów.

„Oho, zatrzęsnięte drzwi. Nieładnie w ten sposób Prezydencie. Przygotowano nas wczoraj na taki myk” – zamyślił się Marek upijając głębszy łyk z filiżanki by po chwili odezwać się, nie skrywając za nadto przygany. – Panie Prezydencie, z ufnością przyjęliśmy pańską deklarację otwartości. Chcę więc wierzyć, że ta specyficzna sekwencja ofert to tylko przypadek. Zostawmy na razie pomysły organizacyjne na boku. Zaczniemy od wymiany poglądów na katalog najpilniejszych spraw do załatwienia.

– Zgoda. Na poparcie szczerości mojej deklaracji, informuję Panów, że wiem iż otoczenie Premiera właśnie pracuje nad atrakcyjnym pakietem dla was. Mimo tego, jak widzicie, nie próbuję przebijać stawki. Nie wezmę udziału w takiej licytacji na cele doraźnych gier partyjnych. W zamian, proponuję partnerskie współdziałanie. Wspólną drogę w sytuacji narastania poważnych zagrożeń dla kraju. Pan minister, najdalej do poniedziałku – tu zwrócił oczy w stronę sekretarza stanu – przekaze Panom mój katalog spraw zasadniczych. Prawdopodobnie będziecie już po spotkaniu z Premierem. Jeżeli zdecydujecie się na ponowne przyjęcie mojego zaproszenia, to Pan minister wynajdzie stosowny termin w przyszłym tygodniu.

– To dla nas wyróżnienie, że zechce Pan jeszcze raz poświęcić nam czas – odpowiedział kurtuazyjnie Marek podnosząc się z miejsca.

Poprawnie wyczuł, że rozmowa dobiegła końca.

W czwartkowy wieczór Paweł nacisnął klamkę, na której uderzana wiatrem, kołysała się tabliczka z napisem „Impreza Zamknięta”. Drzwi w masywnej bramie fortu z cicha skrzypnęły i wszedł do środka. Pomimo rozsunięcia ław pod ściany, zaczynało robić się tłoczno. W zasadzie planowano skromniejszą imprezę, tylko dla Straży Marszu, ale wieść rozniosła się i zaczęło schodzić się

bractwo z zaprzyjaźnionych organizacji. Zbliżała się 18-ta. Z zaplecza wyszedł właściciel pubu, taszcząc przed sobą masywny stołek. Nawet bywalcy nie wiedzieli dłaczego wołano na niego Alojz, nigdy Alojzy. Za nim toczyło metalową beczkę dwóch barmanów. Z trudem torując sobie drogę, dotarli na środek sali. Alojz wyciągnął z za pasa mikrofon, przesunął włącznik i dmuchnął na próbę w sitko. Wlaźł nastołek obok beczki.

– Panowie Bracia – zakrzyknął teatralnie. – Pierwszą kolejkę stawia „kuter-noga” – tu spojrzał w stronę kukły jedno nogiego pirata, posadowionej na końcu długiego szynkwasu. Rozległy się okrzyki i brawa. – Warszawo moja kochana, – krzyczał dalej, najwyraźniej podniecony widokiem mrowiących się gości – pradawna wieść niesie, że ten zamorski kizior stracił kulasa, bo miał paskudny obyczaj pić tylko „na jedną nogę”! – Zamilkł przeczekując śmiech mieszający się z gwizdami. – Drugą bekę stawia Komitet Organizacyjny Marszu – znów umilkł czekając na koniec braw i okrzyków, ale nie danym było mu powiedzieć nic więcej, bo salę wypełniło głośnie skandowanie:

– Ma-rek, Ma-rek...

Zażenowany takim obrotem sytuacji Marek, chwycił jedną ręką dłoń stojącego po lewej Andrzeja, a drugą, dłoń stojącego nieco z przodu Krzyska i uniósł obie w górę. Ci nie dali trwać zaskoczeniu zbyt długo. Złapali kolejne, najbliższe dłonie. Po chwili, ponad trzysta par złączonych rąk uniosło się w tryumfalnym geście zwycięstwa. Rozpromieniony Alojz wciągnął na zaimprovizowane podium Marka i podsunął mu mikrofon; a on bez zbędnych ceregieli zaintonował:

– „Mam tak samo...”

– „jak ty,” – natychmiast podchwyciła sala – „moje miasto, a w nim...” – grzmiał chóralnie „Sen o Warszawie”, którym zwykło się rozpoczynać każdy mecz Legii. Kiedy dobiegały ostatnie takty, barmani już rozlewali piwo do plastikowych kubków.

– Ekstra tu być razem z wami! – wołał Marek. – Najpierw podziękujmy chłopakom ze Straży, napracowali się trochę – końcówkę zagłuszyły brawa. – Boguś, łap za mikrofon.

– Czołem ferajna – przywitał wszystkich. – Żyleto uwielbiam to. Mega sprawa tak drzeć z wami ryja... – przerwał czekając aż przycichnie wrzawa. – Zaszło wam w przełyku? No to za Legię!

– Za Legię... – przetoczyło się po sali.

– A że Alojz nie łże, to na drugą nogę; na pohybel wszystkim zasrańcom! – Dorwał się do mikrofonu Krzysiek i uniósł kubek w górę.

– Brawa dla naszych Pań. Dzięki, że jesteście! – zawołał Andrzej.

Kiedy uwijający się bez wytchnienia barmani, opróżnili pierwszą beczkę, na salę wtoczono następną.

– Hej narodzie. Zanim da czadu kapela, mam pytanie. – Marek zamilkł, a kiedy hałas przycichł, kontynuował – Na fejsie lawina pytań, jak się do nas zapisać. Co z tym robimy? – W odpowie – dzi rozległ się śmiech. – Kupa ludu się garnie. Puścimy to bokiem? – zapytał retorycznie i dodał – Mamy pomysł na referendum w tej sprawie.

– Spoko, może być, w porządku... – odezwało się kilka głosów.

– Chcemy by szefowie klubów puścili w naród ankietę. Ale tylko do tych, którzy na marszu byli przynajmniej raz. Zadamy jedno pytanie: „czy jesteś za zmajstrowaniem naszej, własnej organizacji?” Co wy na to?

Najwyraźniej zaskoczyło to zebranych, bo z sali dobiegały tylko pojedyncze i to niemrawe głosy. Impas przerwała jakaś grupka stojąca pod ścianą.

– Czas na zmiany. Czas na zmiany!... – zaczęli skandować, porywając za sobą coraz więcej osób. Kiedy wszyscy podchwycili wezwanie, towarzystwo spod ściany nie pozwoliło ucichnąć wrzawie rzucając nowy okrzyk. – To my, to my...

– To my, to my. Po-la-cy!... – długo wibrowało powietrze nad lasem wyciągniętych rąk z palcami ułożonymi w znak victorii. Boguś jeszcze raz złapał za mikrofon i zakrzyknął – Maaarek!

– Ma-rek, Ma-rek... – odpowiedziała mu ferajna.

Nad sceną zapaliły się fioletowe i zielone reflektorki. Dalsze okrzyki ugrzęzły w mocnej synkopie gitarowego rytmu. Wtoczono trzecią beczkę. Tym razem od nieznanego fundatora.

W ten piątek zajęcia nie ciągnęły się już tak długo. Po dwóch wykładach Marek był wolny. Ponieważ marcowe Słońce zachęcało do spaceru, postanowił przejść część trasy na Domaniewską. Chciał choć trochę wydłużyć chwilę, ostatnio rzadkiej, samotności. Jego natura skłaniająca się bardziej ku refleksji niż ciągłej pogoni, coraz uporczywiej domagała się wytchnienia. Po prostu, cały ten zgiełk wokół jego osoby zaczynał mu ciążyć. Gdyby nie koleżeństwo, gdyby nie latami wpajane poczucie obowiązku, to najchętniej spakowałby plecak i prysnął choćby na dwa dni. „Może by tak do stryja w Bielsku. Beskidy... – rozmarzył się. – Góry jeszcze w śniegu. Narty! Gogle na oczy i Avanti.” Wszedł na schody przejścia podziemnego przy GUSie. Znikło Słońce. Znikł iskrzący milionami refleksów śnieg Czantorii. Wsiadł do tramwaju. Pomyślał o biurze, do którego najchętniej nigdy by już nie jechał.

– Dzień dobry pani Jolu.

– Dzień dobry panie Prezesie. Jakąś godzinę temu, prosił o kontakt prezes Wysocki. W brązowej teczce czekają faktury dla Jastrzębia. Może by tak podwójna kawa i wyskoczę po sernik do bufetu? Wygląda Pan na zmęczonego.

– Chętnie, ale kawa zwykła i z mleczkiem proszę.

Wszedł do gabinetu. Usiadł na sofie i zaczął tępym wzrokiem przyglądać się skórzanej teczce na biurku. Z odrętwienia wyrwał go szmer otwieranych drzwi. Asystentka z powolną starannością położyła przed nim serwetkę, filiżankę, talerzyk i dzbanuszek. Stała oburącz przyciskając do piersi srebrzystą tacę.

– Czy jeszcze jakieś życzenie?

– To wszystko, dziękuję.

– Proszę nie zapomnieć o fakturach. W Witeksie czeka kurier – poinformowała i ruszyła ku drzwiom.

Marek spojrzał w ślad za nią. „Zgrabny tyłek – pomyślał patrząc na czarną spódniczkę jej kostiumu”. Sięgnął po mleko.

– Pani Jolu, proszę zwolnić kuriera – polecił przez intercom. – W fakturach jest pomyłka. Niech Pani je odniesie do księgowości i poprosi o wystawienie na poniedziałek poprawnych.

– Faktury były sprawdzane przez wiceprezesa Jurka. Raczej nie ma błędu. Proszę spojrzeć, na odwrocie mają jego aprobatę.

To sprawa pilna panie Prezesie.

– Tak? Może myślę się. Niech Pani przyniesie faktury wystawione nam przez hutę i polecenia przelewów.

– Już schodzę do księgowości.

Po dziesięciu minutach asystentka stanęła w drzwiach.

– Mam faktury. W sekretariacie jest prezes Wysocki. Prosi o rozmowę.

– Zapraszam – zawołał Marek. Jego zmysły wystrzyły się pobudzone uderzeniem adrenaliny. Było jasne, że to nagłe pojawienie się Wysockiego musi mieć związek z zatrzymaniem faktur.

– Witam panie Marku – odezwał się już w drzwiach. – Dowiedziałem się o problemie. W czym kłopot?

– Dzień dobry. Proszę siadać. – Gdy zostali sami powiedział –

To nie kłopot, to próba oszustwa.

– Mocne słowa. Czy warto od nich zaczynać rozmowę?

– Panie Prezesie, wystawiono faktury półtora razy większe niż faktyczna dostawa. To nie jest drobny błąd. To gruba przeważa – twardo odpowiedział Marek.

– Przeważa? Nie, to życie Prezesie. Takie są realia. Proszę być spokojnym. Mamy z kopalni potwierdzenie odbioru właśnie takiej ilości.

– Nie przejdzie. Nie ze mną – wyakcentował dobitnie, wrogo unosząc górną wargę.

– Proszę pomyśleć bez emocji, panie Marku. Różnica to pieniądze, które jak olej pozwalają sprawnie kręcić się tej maszynerii. Bez nich tryby szybko pozacierająby się. Zarząd kopalni, CarboStal i my, wszystko by stanęło. Takie są realia ekonomii po polsku.

– To nie moja Polska. Wybraliście nie tego człowieka. Podam się do dymisji i zarządzam umorzenia moich udziałów – odparował zadowolony, że wreszcie nadarzyła się okazja.

– Spokojnie. Po co te nerwy? Poszukajmy kompromisu. Ja i Pan możemy zrezygnować z naszego zysku. Oznaczałoby to zmianę

dokumentów na jakieś...zamyślił się na chwilę – na mniej więcej 10% powyżej dostawy. Nic Pan nie będzie z tego mieć i sumienie pozostanie czyste.

– Dość specyficzne to pańskie wyobrażenie o sumieniu. Dla mnie poświadczanie nieprawdy to udział w przekręcie.

– Jak mówiłem, to tylko biznes – próbował dalej Wysocki. – Te 10% nie wzbudzi podejrzeń. Zawsze są odpady. Wybrakowane egzemplarze, uszkodzenia w transporcie i przy montażu. W poniedziałek, na Pana biurku może wylądować kopia protokołu z kopalni o złomowaniu tych 10%. Czy to Pana zadowala?

– Panie Prezesie, ponoć lubi Pan grać w otwarte karty – zaatakował Marek. – Powiem krótko. Specjaliści nazywają to techniką „zatrzaśniętych drzwi”.

– Nie rozumiem? – udał naiwność rozmówca.

– Duża potem mniejsza. Mówi to Panu coś? Ustąpiłem, teraz ustąp ty. Panu nie chodzi o forszę z tych 10%. Tu idzie o haka na mnie. A to właśnie oznacza moją dymisję.

– Panie Tarecki – zmienił ton – dziecinada. Jeżeli chce Pan rezygnować, to drzwi otwarte. Jeżeli jednak zdecyduje się Pan dalej prowadzić tę firmę, to Pan w niej rządzi. Faktury wystawi Pan według własnego uznania.

„Podwójna sekwencja i nowe oczekiwanie; czy też ustąpił bo ważniejsze bym tu został?” – zastanawiał się Marek, a Wysocki badawczo patrzył mu w oczy.

– Nie zostawię po sobie bałaganu. Polecę przygotować poprawne faktury – odezwał się po dłuższym milczeniu.

– Proszę nie działać pochopnie. Uczciwe pieniądze będą mniejsze, ale także przydadzą się naszej sprawie.

– Naszej sprawie? – Marek znów podniósł głos.

– No, naszej w sensie ogólnym – uciekł od doprecyzowania Wysocki. – Myślę o waszej organizacji.

– Wieści rozchodzą się szybko – rzucił niechętnie.

– Taki zawód panie Prezesie. Jak mamy pomagać nie wiedząc co się dzieje?

– Jeszcze nie umawialiśmy się, co do pomocy.

– To nic. My jesteśmy cierpliwi. Czekamy, a profesjonaliści czekając nie marnują czasu. Myślę, że na dziś wystarczy. Niech Pan spokojnie to przemyśli. Do widzenia – zegnał się wyciągając rękę.

– Do widzenia – odpowiedział ściskając jego dłoń jedynie z wrodzonej grzeczności.

Usiadł by dopić wystygłą już kawę. Nim zdążył sięgnąć po filiżankę odezwał się dobrze mu znany sygnał.

- Hej, hej, Lancelocie – usłyszał wesołe powitanie.
- Nareszcie coś miłego. Witaj Ginewro – odpowiedział ucieszony jej głosem.
- Mam ekstra propozycję. W sobotę organizujemy szkolny bal przebierańców. Przyjeżdżaj!
- Przebierańców? Jedziecie na prawosławnym kalendarzu? Już po karnawale.
- E tam, kalendarz. Liczy się fajna imprezka – ripostowała podniecona myślą, że będą mogli pokazać się razem.
- Widzisz, tu w Warszawie mamy już czas Wielkiego Postu – delikatnie próbował nakierować ją na właściwe tory.
- No co ty? Ty na poważnie? – odezwała się zaskoczona.
- Danusiu, w tym okresie nie urządza się hucznych zabaw.
- Nie ma sprawy, odwołamy fajerwerki i nie będzie huków – żartobliwie próbowała ominąć rafę.
- Danusiu. Wiara to nie zabawka, którą odkładamy na półkę gdy ochota na co innego – cierpliwie tłumaczył łagodnym tonem.
- Ale ja obieca... – ugryzła się w język, zła na siebie, że wychlapała się tak głupio.
- Aha, teraz to ty chcesz rządzić w mojej szafie – przyszpilił ją, jej własnymi słowami sprzed tygodnia.
- To co ja mam teraz zrobić? – zapytała bezradnie. – Będzie wtopa. Zaczną gadać, że olewasz mnie.
- Danusiu, najlepsze wyjście to prawda. Powiedz, że zapomniałaś jaki to czas.
- Ty mnie już nie lubisz. Teraz możesz sobie przebierać do woli – wyrzuciła z goryczą, wyobrażając sobie tysiące zdjęć, jakie te podłe baby wysyłają do niego.
- Głuptasek. Nie potrafisz nawet spojrzeć w inne oczy niż twoje. Wiesz co? Przyjadę...
- Wiedziałam, wiedziałam – zawołała tryumfalnie.
- Przyjadę, ale nie na zabawę. Umowa jest taka: ty odwołujesz bal, ja przyjeżdżam na kawę. Możesz zaprosić kilka koleżanek. Zjemy razem ciacha i zobaczą, że należę tylko do ciebie. Potem już sami wyskoczmy do kina.

- Nie dasz się namówić...
- Nie – zdecydowanie przeciął próbę wznowienia nalegań. – To jak? Umowa stoi?
- No trudno, takie czasy. Teraz ty rządysz – westchnęła z rezygnacją. – Ale film to ja wybiorę – dodała pośpiesznie.

Wysocki zjechał na pierwsze piętro. Wszedł do gabinetu prezesa.

- Rybka zaczyna się szarpać. Straszy wycofaniem ze spółki.
- A umowa z tą jego watahą?
- Przeciaga. Najwyraźniej zamierza raczkami dać na wsteczny.
- Wróćmy do tego. Mała szkoda. Teraz trzeba nam koncentrować się na pryncypiach. A samo główne, to wywołać ferment.

Ile się tylko da. Nam trzeba destabilizować koalicję. Witek chaos to najlepszy sojusznik naszych ludzi, w tych ich partyjkach.

- Wiesz? Tak przyszło mi do głowy, może warto by pchnąć prokuraturę na 224? Taki wyrok narobiłby sporo hałasu.

Łysy popatrzył na niego badawczo:

- Widzę, że koniecznie chcesz dobrać się mu do skóry. Co, na starość wylazł polski pan? Znaczący, duma podrażniona.

Witek, ty zawodowiec, nasz człowiek. Ty na służbie – skarcił go upominająco. – Już mówiłem, ten Tadek nie nasza liga. Nie nam wchodzić mu w paradę. On nam dał jasny sygnał, Tarecki jego zabawka. Pozwolił nim zagrać, widać tak mu pasowało. Korzystamy co się da i kropka. Jasne?

Wysocki przełknął ślinę i bez entuzjazmu pożegnał się z planem zemsty. Powrócił do spraw bieżących:

- Wczoraj na fortach, grupa N musiała trochę popracować nad sytuacją. Niewiele, a rozeszli by się z niczym. Ten chłopak jeszcze nie umie narzucić swojej woli.

– I dobrze. Łatwiej kierować zdarzeniami – cynicznie zauważył Łysy. – Nie przejmuj się. Urwie się, to i tak jest jak chcemy. Ty Witja pamiętaj o pryncypiach. Przyjaciele z Berlina, dwoją się itroją. Między Niemcem a Warszawą mur coraz wyższy. Nasze zadanie, to bajzel tu. Gdy przyjdzie czas, a to niedługo, polaczki same pobiegą do Wielkiego Brata o pomoc, a jak nie, to przecież

jest u nas i plan rezerwowy. Moskwa, Kijów, Warszawa razem – aż cmoknął z przejęcia. – Zamiast nerwów, pamiętaj: wkrótce cała Europa padnie przed słowiańskim mocarzem na kolana.

– A Amerykanie? Już raz zatrzymali nas na Łabie.

– Jankesom potrzebna siła, a nie euroburdel. Bez Wielkiej Rosji zjedzą ich Chiny. Zagryzą na spółkę z resztą wszelkiego barachła.

– Umocnią się budując linię Londyn-Warszawa-Kijów.

– Może być, że tak chcieli. Tyle, że czasu im braknie. Widzisz, pakt mogą pisać i dziś, choćby przy kolacji, ale dobyć z tego siłę... – zacisnął pięść uniesionej ręki, zamyślił się po czym rozluźniając dłoń dokończył – droga daleka, może i pięć lat nie starczyć. Tyle czasu u nich nie ma, a nasze wojska niedługo pod Kijowem.

– Twarde fakty najlepiej przemawiają do wyobraźni – zgodził się Wysocki.

Marek dopił kawę i wstał z zamiarem wyjścia. To popołudnie chciał spędzić w swoim pokoju. Wizja egzaminów „w zerówce” i to już za miesiąc, skłaniała do bardziej wytężonej nauki. Leżący na ławie iPhone rozświetlił się i zaczął rytmicznie podskakiwać.

– Czołem Andrzej. Co słychać?

– Trzeba by się spotkać, jeszcze dziś.

– A co się urodziło? – zapytał z westchnieniem widząc, jak „zerówka” nieubłagane zaczyna odpływać w siną dal.

– Mamy zaproszenie. Premier proponuje lunch w sobotę. Powinniśmy przegadać to.

– Ok. Niech będzie – odpowiedział z wyraźną rezygnacją w głosie.

– Co tobie? Słyszę, jak powietrze z ciebie uchodzi.

– Miałem nadzieję sięść nad książkami, a w sobotę obiecałem Dance przyjazd.

– Taki czas. Głowa do góry. Przetrwamy to – pocieszał go przyjaciel. – Teraz nie możemy odpuścić. To nasze pięć minut.

– Wiem. Służba nie drużba. Szkoda, że nie jesteśmy zawodowymi rewolu-

cjonistami. U nas jedni pracują, a drudzy uczą się, a im kasa leci za to, co my robimy w nadgodzinach. Mogą spokojnie kombinować 7/24. A my co?

– Gdyby to tak mierzyć, to zderzamy się jak mysz ze słoniem. Patrz na to inaczej. To oni wyciągają ręce po to, co my mamy.

Nasza siła to dwieście tysięcy na marszu.

– Fakt i to z kieszonkowego albo śmieciowych umów.

– Dlatego musimy podyktować własne warunki. Jeżeli damy się wkręcić w ich tryby, to padniemy. Zjedzą nas sprawnością dobrze opłaconego aparatu. Na naszym boisku, to oni będą myszą a my słoniem. Wytrzymamy jeszcze tydzień tego kołowrotu, potem narzucimy własne tempo. To jedyna metoda na długich dystansach.

– Ok. Wiesz przecież, nie cofnę się.

– Nie ma wątpliwości. Tak zwyczajnie, nie umiałbyś. Przyzwoitość to ty.

– Pośród was, nie trudno o nią. Tyle, że dookoła tyle bagna. Zastanawiam się, jak długo wytrzymam zanim zacznę mnie wsysać.

– Tyle ile trzeba.

– Łatwo się mówi.

– Marek, widzę, że sam siebie nie doceniasz. Ty się chłopie urodziłeś z twardymi jajami. Już zasłużyłeś na szacunek.

Ludzie to widzą. Przyciągasz ich. Bóg dał ci talent.

– Bredzisz. Gdyby nie zagrywka ubecji, nikt by o mnie nie usłyszał. Jadę na sztucznej popularności, to tylko chwilowe – odpowiedział z przekonaniem.

– To ty bredzisz – odparował z nutą zniecierpliwienia Andrzej. – Jak myślisz, dlaczego wybrali ciebie?

– Bo mieli łatwe dojsie. Byłem w klasie z Jurkiem.

– Darek też był, a wytrychy mają do każdego z nas. Wybrali ciebie, bo masz „to coś”.

– Co?

– O jej! Przynudzasz. Chłopie, to nazywa się charyzma. Rzadki dar. Nie jesteś tanim celebrytą. Gdy przemawiasz to każdy wie że to z serca, a nie teatrzyk?

- Bo my niczego nie udajemy – zdziwił się, że można by inaczej.
- Właśnie o to idzie. Ty jesteś prawdziwy. Wczoraj gdy skandowali Marek, zamiast walenia primadonny uniosłeś nasze ręce i ferajna wiedziała, że wszyscy jesteśmy jedno.
- To się widuje w telewizji, nic szczególnego – dalej nie rozumiał go.
- Ale u ciebie to jest spontaniczne. Popatrz, Alojz podsuwa ci mikrofon, a ty z klepki walisz „Sen o Warszawie”. Odruchowo robisz to, co łączy. Co rozgrzewa przed każdym meczem. Proś Boga byś tego nie zmarnował. Urodziłeś się na przywódcę.
- Nie rozpędzaj się. Już raz musiałem brać nauki o próżności – przystopował go z wyraźną nutką autoironii.
- No, słyszę, że wracasz do formy. Jedź na obiad. Widzimy się o szóstej. U „kuternogi” oczywiście.
- Dzięki przyjacielu – pożegnał go z werwą, bo zrobiło mu się jakoś tak, przyjemniej na duszy.
- Rozłączył się i kciukiem odszukał numer Danki.
- Kotku, proszę o małą korektę.
- Nie i nie. Nawet nie myśl. Przyjeżdżasz i już. Bał odwołany – dosięgła go seria z karabinu maszynowego, zanim cokolwiek wyjaśnił.
- Hej, halo. Tu ziemia, jak mnie słyszysz? – powstrzymał kolejną serię gdy nabierała oddechu. – Mówię ko-re-cta, a nie zmiana planu.
- No, już myślałam...
- Będę, ale w niedzielę – na wszelki wypadek przerwał jej w pół słowa.
- A dlaczego? – spytała nieco spokojniejsza.
- W sobotę idziemy do Premiera.
- Aha. Do Premiera. To ważniejsze – przytaknęła nie wiadomo czy ze zrozumieniem, czy z sarkazmem.
- Ty jesteś dla mnie najważniejsza. Premier to obowiązek – rzucił pojednawczo.

- Trele morele. Nie picuj. Idź bo tak trzeba – odpowiedziała dumna, że to jej chłopak i dodała – Ktoś przecież musi przemówić im do rozsądku.
- Dzięki, że chcesz to rozumieć. Bardzo kręciły nosem koleżanki?

– Trochę jęczały, ale powiedziałam im, że nic a nic nie znają się na tych sprawach. Zresztą co tam? Jakoś wytrzymam z nimi do wakacji. Masz poważniejsze sprawy na głowie. Mój obowiązek to wspierać ciebie, a nie przeszkadzać – zakończyła z emfazą.

– Już to słyszałem, ale w innych okolicznościach.

– To znaczy? – zaniepokoiła się.

– W dużo mniej przyjaznych. Zdecydowanie wolę słyszeć to z twoich ust – wyjaśnił z czułością.

– No myślę! Takie słowa masz prawo słyszeć tylko ode mnie.

– Tak jest pani generałowo. Wedle rozkazu – mówiąc to, uśmiechnął się dobrotliwie. – Dobrego wieczoru. Muszę spadać z biura, bo nie zdążę na obiad.

– Pa, pa, mój obłędny rycerzu – pożegnała go zalotnie z właściwą sobie przekorą.

– Za Legię – uniósł kufel Krzysiek

– Za Legię, za Legię... – odpowiedzieli wznosząc swoje.

– Wojtek, jak to widzisz? – spytał Andrzej po spełnieniu toastu.

– Myślę, że niczym nas nie zaskoczy. Trochę pogadamy o bagnie, jakie trzeba osuszyć. Potem padną propozycje i to wszystko.

– Pierwszy ruch należał do prezydenta. Jeżeli premier nie ma informacji o czym było konkretnie, to na wszelki wypadek sięgnie po zabawki z górnej półki – włączył się Tomek. – Nie dziwiłbym się gdyby na stole położył jakieś funkcje rządowe.

– To możliwe. Dał się wyprzedzić. Teraz gra pod impasem. Raport z wczorajszej imprezy pewnie już na biurku – tu Andrzej, z rozmachem klepnął o blat ławy. – Wie, że zaczynamy budować swoje. To w polityce podbija stawkę.

– No, tak. Ja zakładam, że będzie i kij i marchewka. Da nam do zrozumienia, że służby już łapią kto pisał scenariusz na niedzielę, a potem otworzy się róg obfitości – zawyrokował Darek.

– Panowie, czy powinniśmy... – Paweł wymownie rozejrzał się po sali – czy powinniśmy tak otwarcie, tutaj?

– Spoko. Widzisz ten plecak? – gasił jego obawy Andrzej.

– Aha, widzę.

– W środku jest skaner. Jeżeli na zadanych częstotliwościach zaczniesz pracować jakikolwiek nadajnik, to będzie alarm. Taki detoks na pluskwy.

– A mikrofony..., te kierunkowe? – najwyraźniej nie zadowolił się odpowiedzią.

– Alojz to swój chłop. Służył w łączności. Sala jest na pewno czysta. To gwarantują moi kumple.

– Mają takich, co czytają z ust..., z ruchów ust – nie ustępował Paweł.

– Jest i drugi skaner – Andrzej skierował dwa rozwidlone palce ku swoim oczom.

– Nie graj w durnia – oburzył się Paweł.

– Powaga. Jeden z barmanów monitoruje czy ktoś nie przygląda się nam za długo. To nie knajpa anonimowych kelnerów – dodał ironicznie na wspomnienie „taśm prawdy”.

– Ekstra. Mamy pełną konspirę. Fachowa robota – wreszcie zadowolony pokiwał głową z uznaniem i dodał – Możemy nawijać dalej. Fachowa robota – powtórzył jeszcze raz.

– Chłopaki, szkoda czasu – upomniął Marek. – U Kukiza zjemy. Pogadamy. Zgodnie z planem zapytamy, co dla niego najważniejsze. Tak, jak u Dudy. Wiemy o co nam chodzi i nie damy się w nic ubrać. Bardziej męczy mnie, że nasz program, co tu ściemniać, jest mglisty.

– Fakt. Przegadaliśmy furę kufla o tym, co w ojczyźnie do dupy. Tyle, że nigdy tego nie uporządkowaliśmy – zgodził się Krzysiek.

– Dałoby się z tego ułożyć sporą listę. Nawet i na książkę by starczyło – zauważył Wojtek.

– I bardzo dobrze, będzie w czym przebierać – skomentował Tomek. – Jak znam życie, urzędnicy nie wysilą się. Zrobią wyciąg z niedawnych haseł wyborczych i fajrant. Nawet nie będziemy musieli szukać części wspólnej, zapisali ją w koalicyjnej umowie.

– Od razu brać ten kwit. Podkreśli się to, co nam pasi i pakt gotowy – zaproponował Boguś.

– Tak byłoby najprościej, ale czy o to nam chodzi? – spojrzał na nich badawczo Bartek. – Ich umowa to lista spraw na dziś. Zapewne ważnych i potrzebnych, ale na dziś.

– Co proponujesz? – zaniepokoił się Andrzej.

– Dobry dowódca to ten, który zna drogę na górski szczyt. Na ten czas, to dobry dowódca. Tyle, że naród potrzebuje także przywódców... – tajemniczo zawiesił głos, chwilę przyglądał się każdej z twarzy, po czym odezwał się ponownie.

– Natomiast przywódcą, prawdziwym przywódcą – podkreślił – zostaje ten, który wie co za tą górą będzie!

Zapadła cisza, w której starali się przełożyć, nie słyszaną dotąd myśl na konkret. Pierwszy odezwał się Marek.

– Wysoko stawiasz poprzeczkę. Ale, jeżeli to za trudne, to po co pchać się tam gdzie nie nasze miejsce? Twoje słowa rozumiem tak: dom się wali, oni myślą o remoncie, my powinniśmy zaproponować budowę nowego. Czy tak?

– Mów dalej – zachęcił Wojtek.

– Oni robią zmiany nie ruszając podstaw, na których stoi państwo. Nawet nie myślą dotykać tego, co od czasów Oświecenia spychało Europę na mieliżnę. Nie widzą, że ich naprawianie to droga na szczyt tyle że pagórka, który zasłania prawdziwą górę. Taką, na którą naprawdę warto się wspinać. Bartek pokiwał potwierdzająco głową i odezwał się:

– Właśnie tak. Możemy ukazać ludziom inny świat, a właściwie drogę do świata, który gdzieś tam w nich siedzi. Powiem więcej; nie tylko możemy, ale wręcz musimy. Oczywiście, jeżeli chcemy sięgnąć po przywództwo. Z tej perspektywy, dzisiejsze rządy to tylko etap na znacznie dłuższej drodze. Nie ma konieczności nadmiernie na tym się skupiać.

– No, niby tak. Tyle, że kilka dni to niewiele by zbudować nową wizję. Czy nie porywamy się z motyką na Słońce? – podzielił się wątpliwościami Darek.

– Zbyt dosłownie to rozumiesz – sprostował Wojtek. – Nikt nie oczekuje byśmy jutro wyłożyli na stół techniczny projekt nowego gmachu. Nasza rola, to określić czy będzie stał nad morzem czy w górach. Ile będzie miał pokoi i w jakim stylu będziemy go budować. Rozumiesz? My mamy wskazać piękną górę. Do tego wystarczy szkic terenu.

– O to chodzi – przytaknął Marek. – Diagnozę tego co niszczy Polskę mamy. Teraz pora na propozycje, co w zamian. Na przykład ekonomia. Dziś

opiera się na uznaniu zysku finansowego za korzyść nadrzędną. To redukuje sens pracy do jednego z komponentów wytwarzania. Więcej, praca jest już tylko kosztem, który należy obniżyć. W tej chorej logice roboty przemysłowe zamiast dobrodziejstwa stają się przekleństwem. To znaczy, nie są dla nas źródłem tanich towarów, a technologią zamieniającą miliony ludzi w zbędny element. Kłopotliwy nadmiar, który trzeba usunąć. Ustawienie zysku finansowego w centrum struktury społeczeństw, doprowadziło także do tego, że pieniądź przestał być pośrednikiem przy wymianie dóbr a stał się towarem. A tak naprawdę, narzędziem do koncentrowania własności w rękach nielicznych.

– Nie rozumiem – przyznał się Janek.

– Jeżeli pieniądź jest towarem, to można go sprzedać i kupić. To podstawa dzisiejszej bankowości i giełd finansowych.

W efekcie mamy lichwę i tak zwane pochodne instrumenty finansowe. Skutek tego jest taki, że 93% ziemskiej własności i zasobów skoncentrowano w rękach mniej niż 1% ludzi. Nowe państwo, obywatele a nie wielkich korporacji, może ustanowić regulacje, w których pieniądź powróci do dawnej roli, a zysk finansowy ustąpi przed korzyścią społeczną. Jako pierwsze znikną wtedy oprocentowanie i bezrobocie.

– Jak wyobrazić sobie funkcjonowanie gospodarki bez kredytu?

– zapytał Andrzej unosząc w geście zdziwienia ramiona. – Dajmy na to, Edison. Właśnie wynalazł żarówkę. Za co zbuduje fabrykę? Gdy pieniądź nie jest towarem, to pożyczki na procent są zakazane i...

– i nie ma banku gdzie mógłby pójść po kredyt – wtrącił Paweł.

– Mylicie się – zaprzeczył Bartek. – W świecie funkcjonuje całkiem potężny sektor bankowości bezodsetkowej. Poza tym, w naszych realiach Edison musiałby dać solidny zastaw lub mieć poręczycieli. Ta inna bankowość nie udziela kredytów, a wchodzi w interes jako partner biznesowy; na określony czas. Wspólna fabryka zaczyna zarabiać, bank powoli odbiera co włożył i jakąś tam nawiązkę.

– Co za różnica? To tak, jakby brał odsetki – zakwestionował Andrzej.

– Różnica jest podstawowa. Gdy Edison bankrutuje, to bank zgarnia zastaw i wychodzi na swoje. Nota bene, dzięki instrumentom pochodnym bank cały czas obracał na giełdzie jego zastawem, a więc dodatkowo zarabiał – tu-

maczył Marek. – W modelu alternatywnym, bank musi dbać o sukces fabryki, bo inaczej też ma w plecy. Co więcej, Edisonowi wystarczy dobry pomysł. Nie potrzebuje zastawu ani poręczeń, czego większość ludzi nie ma.

– To rzeczywiście gdzieś funkcjonuje? – nie dowierzał Janek.

– Sporo tego po świecie. Najwięcej w krajach muzułmańskich i w Izraelu. Tam religia zabrania lichwy względem bliźniego – uśmiechnął się Bartek.

– A żydowskie banki? – dopytywał Paweł.

– Nie każdy Żyd jest religijny, a dla religijnego ty nie jesteś bliźnim – odpowiedział mu z przekąsem Krzysiek.

– Czas leci – dyscyplinował Andrzej. – Pierwsze zasady mamy; pieniądź nie jest towarem i zakaz odsetek. Lećmy dalej. Państwo to także stosunek do rodziny, sądownictwo, administracja, zdrowie, oświata, itd. Co tu powiemy?

– Jak widać, nie wszędzie trzeba wymyślać proch – zauważył Wojtek. – Czasem warto sięgnąć po rozwiązania, które już się sprawdziły. Dziś oświata to tylko wiedza i to na marnym poziomie. Natomiast przez wieki szkoła kształciła! Do tego trzeba wrócić.

– Chyba niewiele łapię z twojej nawijki? – upomniał się o wyjaśnienie zaciekawiony Boguś.

– Widzisz, kształcić to tyle co nadawać kształt. Jakie inne znasz na to słowo?

– Kształcić, kształtować... – zastanawiał się głośno. – Formować? Mogłoby być?

– Ekstra, o to właśnie chodzi. W prawdziwej szkole formuje się młodego człowieka do dorosłości. Czyli uczy i wychowuje. Jeszcze innymi słowami, wpaja wiedzę i cnoty moralne.

– Cnota to trwałe uzdolnienie do czynienia dobra, czy tak Bartek? – upewnił się Boguś, a widząc potwierdzające kiwnięcie głową, z dumą kontynuował.

– Idzie o roztropność, sprawiedliwość, męstwo i umiarkowanie.

– A pamiętasz jeszcze czemu one służą? – uśmiechnął się zadowolony diakon.

– Sie rozumie – odpowiedział, teraz już tonem zdecydowanie pyszałkowskim – Roztropność pozwala odkryć prawdziwe dobro i wykombinować, jak je

osiągnąć. Sprawiedliwość umożliwia oddanie tego, co się komu słusznie należy. Męstwo to wytrwałość i stałość w dążeniach. Umiarkowanie to panowanie nad zachciankami i popędami.

– Aleś się wykuł, na blachę – zaśmiał się Janek.

– Nie weźmiesz w ucho, choć domaga się tego sprawiedliwość, bo moja roztropność nakazuje mi umiarkowanie – skwitował drwinę Boguś. Po czym wstał, przyłożył rękę do pasa i teatralnie się skłonił. Nagrodzono go oklaskami i wzniesieniem kufli. Po solidnym łyku piwa, Wojtek odezwał się ponownie:

– Musimy powrócić do funkcji wychowawczych szkoły. Dawniej, dyplom był świadectwem profesjonalnych umiejętności i dojrzałości osobowej, a nie potwierdzeniem zaliczenia głupawych testów. Zakończę przewrotnie, nową zasadą powinien być powrót do starych zasad. Naprawa szkolnictwa musi więc zacząć się od przywrócenia oświacie prawdziwych pedagogów.

– Nasze sądownictwo to formalizm paragrafów. – odezwał się Tomek. – Już w antycznej Grecji uznano, że prawodawstwo ma służyć wychowaniu społecznemu. Dziś to tylko jedno z narzędzi dla wdrażania gównianych ideologii. Popatrzcie, przez wieki do sądów chodziło się po sprawiedliwość, a semantycznie sprawiedliwe to to, co pochodzi z prawdy, a więc jest słuszne. Tymczasem XIX wieczna, pozytywistyczna wizja prawa zafundowała nam w kodeksach dwie prawdy: formalną i materialną. Co z tego wyszło, każdy widzi. Naszym postulatem powinno być ograniczenie formalizmu do procedur. Do słuszności potrzeba prawdy materialnej. Brzmi to niewinnie, ale wierzcie mi, jedna z druga nie ma nic wspólnego. Formalizm zabija prawdę. Rodzi walkę na prawnicze kruczki i wyroki wołające o pomstę do nieba. Natomiast ustalenie prawdy materialnej otwiera drogę do słusznego rozsądzenia sprawy. Nie daj Boże, by na Sądzie Ostatecznym zatryumfowała prawda formalna, szatan znalazłby dość kruczków by wszystkich nas odesłać do piekła. Wniosek końcowy – gdy do sądów i urzędów powróci prawda materialna, to będziemy żyć w innym kraju.

– Chłopaki, gdzie by się nie dotknąć to syf. Pod to wszystko bombę by podłożyć. Najlepiej atomową i niech leci to gówno w kosmos. Teraz rozumiem, Bartek. Nam naprawdę trzeba drapać się na całkiem nową górę. Czemu rząd pudruje tego trupa? Te ich zmiany to plaster na dupie nieboszczyka! To takie kółki, że nic nie łapia? – coraz bardziej nakręcał się Boguś.

– Przystopuj – zaczął uspakajającym tonem Bartek. – To, co robią jest potrzebne. Może mają za małe pole manewru a może nie wszystko jeszcze zrozumieli? Jedno pewne, system trzyma ich na grubym łańcuchu.

– W kampanii Kukiz wykrzykiwał, że jest przeciw systemowi. Powinien..., a jeżeli uczciwy to musi, lyknać naszą ofertę – zauważył Paweł.

– Teraz jest szefem rządu. Miał już niejedną okazję poznać siłę pajęczyny, którą opleciono spory kawał świata – wyjaśniał zakonnik. – Gdyby uderzył w fundamenty, to zmietliby go w tydzień. Nie zapominajcie czym skończyła się dla klanu Kennedych próba walki z systemem. Wystarczyło, że prezydent podpisał jeden dekret, ten o srebrnym dolarze i było po nim. Na tym etapie warto rząd wspierać. Inna sprawa to to, że ktoś musi przygotować naród do zmian u samych podstaw.

– Mamy usunąć się w cień i zacząć pracę organiczną? – zapytał Wojtek.

– To nie na nasz charakter – skrzywił się Krzysiek. – Mnie w mysiej dziurze za ciasno. Beze mnie.

– Złap oddech i rozejrzyj się – próbował tonować go Wojtek.

– Na świecie niespokojnie. Coś w powietrzu wisi. Może czekają nas poważne zmiany? Walcząc z Bogiem i jego prawami rozchwiali łajbę, na której i oni płyną. System gotów runąć szybciej niż ktokolwiek się spodziewa.

– Ko wie? Może już niedługo poprowadzimy ludzi na nową, wspaniałą górę – dopowiedział Bartek dziwnym, jakby nieobecnym głosem.

– A rodzina? Tyle o niej mówiliśmy – upomniał się Paweł.

– No, tak. Oczywiście rodzina, ale jest jeszcze i kwestia surowców. Mamy tyle bogactw, że Ural to pikuś. Może i o tym warto by jutro pogadać – zaproponował Darek.

– Dziś wszystkiego nie przerobimy. Zaraz pora zbierać się – przypomniał Andrzej. – Musimy zostawić to na przyszły tydzień.

– O surowcach to chyba jeszcze nie gadaliśmy? – wtrącił Tomek. – Powiedz coś więcej.

– Powiem tak, dziewczyna mojego brata robiła z tego doktorat. Chłopaki, aż trudno uwierzyć, no tego, na czym my siedzimy.

Jak chcecie zrobimy pogadankę.

– Warto wiedzieć. Może to też sposób na gospodarkę. Ustal termin – zachęcił Bartek. – Panowie, czas leci nieubłaganie.

– No to podsumujmy. To, co się zbliża, choć niepokoi, może być szansą. Szansą na ustawienie nowego porządku spraw. Nasze zadanie, to wizja odrodzonego państwa. Dziś naszkicowaliśmy na mapie trzy elementy. Trzeba będzie ich jeszcze sporo dołożyć. Najważniejszą sprawę tylko musnęliśmy. Mówię o zworniku, który zepnie wszystko w całość. Bez tego będziemy mieć pudełko puzzli a nie widok na „cudowną górę” – Marek zamilkł i ustępując pola zapraszająco kiwnął brodą w stronę Bartka.

– Masz rację. Bez spoiwa to tylko zbiór pobożnych życzeń – potwierdził zakonnik.

– O czym mówicie? Jaśniej – zażądał Paweł.

– O tym, co zasygnalizował Wojtek, o moralności. To ona jest klamrą. Niezbędnym spoiwem, a przede wszystkim siłą napędową. Nic tak nie psuje społeczności, jak względność prawdy i dobra. Relatywizm zasad i ocen doprowadził Europę, kiedyś łacińską, na skraj przepaści. Może i już ją tam zepchnął. Moralność jednostek, moralność zbiorowości, bez obu państwo gnije. Bez nich najmyślniejsza konstrukcja nic nie warta – stwierdził diakon, jakby z napomnieniem.

– Tego nie da się zadekretować – westchnął Tomek.

– Zgoda, nie da się – potwierdził niedbale Marek najwyraźniej nie przejmując się jego rozterką. – Tyle, że Polacy albo na powrót odnajdą w sobie tę siłę, albo znikną, jak wiele narodów przed nami. Moralności nie zadekretujemy, natomiast możemy i powinniśmy modlić się o ten przymiot. Modlić dla wszystkich.

– Amen – zakończył Bartek.

O dwunastej Słońce wdrapało się na najwyższy punkt wyznaczonej na ten dzień trasy i zaczęło nieźle przypiekać.

– Mamy jeszcze dobre pół godziny. Może by tak spacerkiem przez Łazienki? – zaproponował Wojtek.

– Aż się prosi – przytaknął Krzysiek rozpinając kurtkę.

– Czołem Panowie. Po byku Słoneczko! – przywitał się Marek. – Mamy

jeszcze pół... – urwał ściskając dłoń Tomka, który podobnie, jak pozostali parsknął śmiechem.

– Może spacerkiem przez park? – dokończył za niego Krzysiek.

– Gdyby był tu Karba już słyszelibyśmy – tu zmienił głos parodiując psychologa – O, widzę iż nie uśpiłem was. Zapamiętaliście, że lubimy podobnych. Teraz zaśmiał się i Marek.

– A ja widzę Bogusia. Jasny gwint, o mało nie daliśmy plamy. Na szczęście przynajmniej on pomyślał o kwiatkach dla pani domu.

Stanęli przed arkadami piętrowej willi.

– Za pięć pierwsza – odezwał się Andrzej spoglądając na zegarek. – Czekamy czy wchodzimy?

– Walimy, przecież nie będziemy tak sterczeć – wydał komendę Boguś i ruszył ku drzwiom.

Odebrano od nich okrycia i przeprowadzono marmurową posadzką holu do bawialni. Idąc rozglądali się z zainteresowaniem wyłapując szczegóły dystyngowanego wystroju. Popatrzyli po sobie. Ich schludne, ale w wyrazie swobodne koszule i marynarki, zdecydowanie kontrastowały z wyszukaną elegancją tych wnętrz. Zatrzymali się za żółtokremową sofą.

– Ładny widok – rzucił Krzysiek patrząc na zielen chojaków rosnących nieopodal tarasu.

– Czołem Panowie. Cieszę się, że poznamy się bliżej – zawołał premier wchodząc bocznymi drzwiami. Po czym, wyciągając rękę zaczął kolejno witać się. – Piękne kwiaty. Żona ucieszy się, gdy przyjedzie od teściowej – wybawił z kłopotu Bogusia który nie wiedział co począć z trzymanym bukietem. – Siadajmy. Proponuję na początek aperitif. Jakies specjalne życzenia?

– Z chęcią, sok jabłkowy – pierwszy odezwał się Wojtek.

– No to może z zębóweczką? A dla Panów? – zwrócił się ku pozostałym.

– Burbon z Colą, a ja podobnie do kolegi, szarlotka z trawką... – posypały się kolejne zamówienia.

– Dla mnie też burbon z colą – zaordynował premier patrząc na kamerdynera. – Panowie pałacy?

Na te słowa drugi z pokojowych podszedł otwierając drewniane pudełko, w którym leżały dwa rodzaje papierosów. Jeden z ciemnym, a drugi z jasnym

tytoniem. „Ciekawe. Wziąłeś to co ja, bo tak lubisz, czy budujesz relacje zasadą podobieństw?” – zastanawiał się Marek sięgając po ustawioną przed nim szklankę, a Boguś wpatrzony w błyszczącą mozaikę parkietu rozmyślał nad tym czy lądująca mucha dałaby radę wyhamować?

– Daliście niezłego czadu – bez zbędnych ceregieli otworzył dyskusję Kukiz.

– W Stanach gazety już następnego dnia wydałyby wyrok śmierci na takich policjantów – zaczepnie odniósł się do jego słów Tomek.

– Widzę, że Prezydent poszedł na skróty i puścił farbę, co na ten temat myślą służby. Chyba się nie mylę? – próbował wysondować przebieg spotkania.

– A jaka jest Pana ocena sytuacji? – wykręcił się od kłopotliwego pytania Marek.

– Ktoś wrzucił granat do szamba. Tak się złożyło, że wylądował pod waszymi nogami.

– Chce Pan powiedzieć, że może urwać nasze dupska? – nieco przeholował Boguś, najwyraźniej rozluźniony swobodną tonacją wstępu.

Trochę zaskoczony premier bacznie zlustrował go, po czym z uśmiechem skwitował:

– Lubię i doceniam szczerość. Męczy mnie polityczna dyplomacja. Możecie wskoczyć na mój pokład i zamknijemy tamtą sprawę. Pasuje?

– Krótko i treściwie. Można by powiedzieć, po żołniersku – skomentował Andrzej wypuczając kłęb dymu. – Kłopot w tym panie Premierze, że już poszła w kraj wiadomość o nowej organizacji.

– Panowie, nie warto targować się. Wasze towarzystwo z marszów to praktycznie mój elektorat. 80% tej grupy wiekowej głosowało na mnie. Jeżeli wpadniecie w prawdziwe tarapaty, to wasza gwiazdka szybko zacznie blednąć i z czasem zapomną o was. Zęby zjadłem na estradzie, wiem jak to jest.

– Czy to ultimatum? – zapytał Marek twardo patrząc mu w oczy. – W show biznesie zgoda, ale nie w życiu społecznym.

Na tym polu męczennicy są zwiastunami rewolucji.

– Nazwijmy to, poradą bardziej doświadczonego kolegi – odparował premier.

Zapadła wymowna cisza, którą dopiero przerwał stukot odkładanej przez Wojtkę szklanki.

– Panie Premierze. Mieliśmy nadzieję, że to spotkanie będzie okazją do porozmawiania o najważniejszych dla kraju sprawach. W świetle tego, co zaczyna się dzieć w świecie, nasze osoby mają drugorzędne znaczenie.

– Sprytnie – odezwał się z nieskrywanym uznaniem Kukiz i wstając wskazał szerokim gestem przeszkłone drzwi. – Panowie, zapraszam na poczęstunek. Zostawmy to do waszych przemyśleń. Przy stole możemy zająć się tymi, pierwszoplanowymi sprawami. Jeżeli nasze myśli spotkają się, to na pewno znajdziemy sposób by zostać przyjaciółmi.

Oczekujący w jadalni kamerdyner, widząc przez matowe szybki zbliżające się sylwetki, pośpiesznie rozchylił środkową parę czteroskrzydłowych drzwi. Zobaczyli duży, okrągły stół nakryty białym obrusem. Po kilku krokach stanęli pod dziewięcioramiennymi żyrandolami. „Co za chawira” – westchnął w myślach Boguś.

Wracali wspinając się w górę Belwederskiej.

– No więc powiem krótko, dużo kija mało marchewki. Zbyt optymistycznie to widziałem – podsumował swoje wrażenia Darek.

– Wrzuć na luz, przy stole nawijał całkiem do rzeczy – odezwał się Boguś.

– Fakt. Wyraźnie budował most. Chyba szuka nowego otwarcia – zauważył Marek.

– Myślisz, że jak prezydent, kombinuje nad nowym wistem? – upewniał się Andrzej.

– Wygląda na to, że chciałby stanąć na mocniejszych nogach.

Dziś jest silny strachem PiS-u, że może odfrunąć do Platformy. Szuka świeżych pomysłów... – tu Marek przerwał sięgając do kieszeni po komórkę. – Tak, słucham... Dziękuję, ale to za poważny temat na improwizację. Warto starannie przygotować się do tego... Rozumiem... Proszę Pani, nie opowiadajmy sobie bajek. Chcecie wziąć nas z marszu bo ułatwi to waszym ekspertom... Ok, oddzwonię w ciągu kwadransa. Do usłyszenia – rozłączył się i spoglądając na przyjaciół, z wyraźną niechęcią rozpoczął relację. – Odezwała się telewizorna „mętne nurtu”. Chcą jeszcze dziś, wpół do szóstej, puścić na żywo dyskusję o polityce prorodzinnej. Będzie dwóch mądrali, socjolog i europoseł.

– Bierzemy. Co tu się zastanawiać – bez wahania rzucił Andrzej.

– Takie gierki przez zaskoczenie, śmierdzą na kilometr – zauważył Boguś.

– Nie ma co pękać. Wpadną we własne sidła. Po tylu konferencjach i wykładach możemy ich speców wciągnąć przez dziurkę od nosa, i to nie przerywając snu. Spoko – poparł Andrzeja Krzysiek.

– Kto ma jechać? – zapytał Marek.

– Ty, Tomek i Krzysiek – zdecydował Wojtek i dodał dla wyjaśnienia – w tej telewizji trzeba ostrych fajterów. Oni nie grają czysto.

– Dobra – przystał Tomek. – Mamy jeszcze dwie godziny. Na Powsińską niedaleko. Siądźmy gdzieś to zrobicie nam rozgrzewkę.

– Witamy w studio naszych gości. W ławach po lewej zasiedli: profesor Kieraj z Uniwersytetu Warszawskiego, doktor Pindel z warszawskiej SGH i euro-deputowany, poseł Barto. Nasi eksperci zgodzili się wysłuchać propozycji, jakie w sprawach rodziny wysuwają młodzi politycy. W ławach po prawej gościmy panów: Tareckiego, Szymańskiego i Zawieję. Panowie, z czym przychodzicie?

„Suka, pozycjonuje nas przed widzami na chłoptasiów” – zirytował się Krzysiek, a na głos powiedział – Dziękujemy za to nagłe zaproszenie do programu. Na szczęście zdążyliśmy dojechać – przeniósł spojrzenie na kamerę i z uśmiechem skinął głową. – Dziękujemy Państwu, że chcecie gościć nas w swoich domach. Zaczniemy może od słów noblisty, profesora Georga Beckera, który w monumentalnej pracy: „Trakt o rodzinie”, stwierdził: „niezależnie od posiadanej technologii, trzeba wyjść od rodziny, jest ona fundamentem dobrego społeczeństwa i ekonomicznego sukcesu.”

– Ten noblista wyliczył, że w USA nieodpłatna praca wykonywana w rodzinach przynosi aż 30% dochodu narodowego – uzupełnił Marek. – Tak więc zdrowa rodzina, to nie tylko aspekt moralny, to także fundament dobrobytu w państwie.

– Warto dodać iż profesor Alfred Sauvay wykazał iż w historii świata nie było kraju, który osiągnąłby trwały rozwój ekonomiczny podczas stagnacji demograficznej – dołączył Tomek.

Eksperci, zaskoczeni takim wistem na otwarciu w milczeniu patrzyli po sobie.

„Sukinsyny, przykryli naszych mocnymi nazwiskami – usłyszała w słuchawce prowadząca – wypuść Kieraja zanim się rozkręca. Mów:..”

– Panie Profesorze, a jak to widzimy tu w kraju, a nie za oceanem? – wyrecytowała zdanie ze słuchawki.

– Jak najbardziej – rozpoczął nabierając oddechu. – Niestety wciąż mamy spory margines patologii, którą trzeba się zająć w bardziej zdecydowany sposób. Alkoholizm, przemoc domowa, wykorzystanie seksualne. Państwo musi postawić temu skuteczną tamę.

– Pan mówi nie na temat – ostro zaatakował Tomek. – Mamy rozmawiać o polityce rodzinnej, a nie o socjalnej.

– Nie rozumiem. Co chce Pan przez to powiedzieć? – zapytał wyraźnie zdezorientowany Pindel.

– Polityka prorodzinna to wspieranie tego, co korzystne. Natomiast socjalna odwrotnie, zajmuje się usuwaniem tego, co złe. Przykrywanie ważnych spraw rodziny zagadnieniami patologii to stara sztuczka lewicy. My nie damy się na to złapać.

– Panowie kwestionujecie pomoc dla biednych rodzin? To nieludzkie – powtórzyła za suflerem prowadząca.

– Szanowna pani Redaktor, niczego nie kwestionujemy – odpowiedział ironicznie dobrotliwym tonem Krzysiek. – Następnym razem możemy podyskutować o ważnym obszarze spraw socjalnych. Dziś grzeczność nakazuje nam podporządkować się tematowi, jaki określiła Pani w zaproszeniu. Czy mieszanie grochu z kapustą będzie podobać się naszym telewidzom? – dodał podstępnie.

„Nie doceniłszy fiuta – sapnął ze złości głos z inspicjentki. – Wpuść ich w paplaninę. Znudzą gawiedź, albo ich na czymś przyłapiemy. Mów:...”

– No to do konkretów. Becikowe, praca i mieszkania. Czy tak Panowie? – zasugerowała prowadząca.

– Bynajmniej. O tym było po wielokroć. Może zainteresujemy widzów czymś nowym? – zaproponował z miną niewiniątka Marek.

– Jeszcze jeden worek prezentów? Będziecie przebijać „500+” – wtrącił szyderczo europoseł.

– Jeżeli celem państwa ma być stworzenie dobrych warunków do rozwoju i stabilizacji naszych rodzin – ciągnął niezrażony Marek – to mówimy o trzech zadaniach polityki prorodzinnej. Pierwsze, to kształtowanie społecznego wizerunku rodziny.

Drugie, to wsparcie rodzin w wypełnianych przez nie funkcjach. Trzecie, to ekonomiczna kompensata kosztów wychowania dzieci.

– Gadanina, przejdźmy do konkretów. Co... – usiłował przerwać mu Barto.

– Cierpliwości, zaraz będzie Pan mówić, ale najpierw ja dokończę, jeżeli Pan pozwoli – nie dał się przekrzyczeć Marek. – Realizacja tych zadań powinna być rozpisana na wiele programów działań. Od zmian ducha naszego prawodawstwa, poprzez takie szczegóły, jak rodzinny czas pracy, czy emerytury dla matek zajmujących się wychowywaniem dzieci. Po wyrzucenie na śmietnik dzisiejszego systemu podatkowego. Wyliczanka jest bardzo długa, co pokazuje jak zabagniono tę podstawową dla bytu państwa sferę.

„Wpuść ekonomistę bo narzucają swoje zasady gry – padło polecenie. – Mów:..”

– Panie doktorze. Nasi goście proponują rewolucję. Co na to budżet państwa? – posłusznie powtórzyła za słuchawką.

– „Teatr mój widzę ogromny” – ironizował Pindel. – Takie postulaty to populizm czystej wody. Komu mamy zabrać, żeby znaleźć na takie wymysły pieniądze?

– To Pan uprawia demagogię – zrewanżował się Tomek. – Większość programów nie wymaga ani złotówki, a jedynie zmian w sposobie działania. Natomiast tam, gdzie trzeba wyłożyć pieniądze mówimy o inwestycji, a nie o wydatkach! I to o najlepszej inwestycji, bo w kapitał ludzki, a ten szybko się zwraca. Poproszę o pańskiego maila, to chętnie wyślę wykaz literatury. Warto poczytać doktorze – zakończył z sarkazmem.

„Cholera, tracimy nad tym kontrolę” – usłyszała nerwowy głos suflera. „Prowokuj agresję, atak na kobietę to pewniak – odezwał się kolejny głos w słuchawce.

„Zgoda, to ustawi przeciw nim widzów – potwierdził sufler. – Mów:...”

– Dość odważnie zarzucił Pan nieuctwo dydaktykowi z SGH a jakim tytułem może się Pan poszczycić? Czy takie zachowanie wynosi się z podwórkowego uniwersytetu?

– Jestem studentem czwartego roku prawa. Dużo czytam, a wymagają od nas czytania ze zrozumieniem. Natomiast warszawski uniwersytet podwórko-

wy nauczył mnie, że ludziom winni jesteśmy należny szacunek. Powtarzam, należny a nie nadmierny.

„Mów:...”

– To jakich macie Panowie idoli skoro to szkoła podwórkowego uniwersytetu? W III Rzeszy też stawiano rodzinę na piedestale.

– Pani Redaktor, chcieliśmy rozmawiać o podatkowym ilorazie rodzinnym i bonie edukacyjnym. Także o zasadzie pomocniczości, która zapobiega naruszaniu suwerennych praw rodziny i wielu innych kwestiach. Teraz pozostało nam jedynie... – tu Marek urwał i zwrócił się ku kamerze. – Zapraszamy wszystkich zainteresowanych polityką prorodzinną do programu w telewizji Trwam, w piątek o 18-tej. Tam będziecie...

– Zaraz, zaraz... – zaczęła przekrzykiwać go redaktor.

– Tam będziecie mogli Państwo uczestniczyć w debacie nad sprawami kluczowymi dla naszej przyszłości, a nie w farsie z jaką tu mamy do czynienia – nie dał sobie zamknąć ust.

– Te impertynencje potwierdzają... – rozpoczęła prowadząca program powtarzanie za słuchawką.

– Proszę Pani – po chwili wahania zdobył się na odwagę profesor. – Z zażenowaniem przysłuchiwałem się niektórym wypowiedziom. Nie wiem do czego ma prowadzić ten sztuczny chaos. Nie będę dalej tego firmować. Dla mnie, ten program dobiegł końca. Szkoda. Panowie, jak słyszę, mieli wiele ciekawego do powiedzenia.

– Ależ panie Profesorze... – próbowała wołać za odchodzącym dziennikarka.

– Na nas też już czas – odezwał się Tomek wypinając mikrofon z klapy.

Na dobrą sprawę, wszystko odbyło się w sposób zwyczajny, a nawet można by rzec, dość poprawny. Tyle, że atmosfera wspólnego posiłku była mu jakaś taka, całkiem obcą. Mdła, bezbarwna. Nie tego się spodziewał. Był za-wiedziony. Jakże dalekie zdały mu się usłyszane słowa, a nawet przypadkiem rzucone spojrzenia, od tych do jakich przywykł w domu. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że nie było tu miejsca na tą swoiście szlachetną życzliwość, jakiej

można doświadczać ze strony nawet najbardziej prostych Polek. Żegnając się, jeszcze raz uważnie przyjrzał się kobiecie, która także była matką, ale całkiem odmienną od tego wszystkiego, co w jego rozumieniu niesło to słowo. Z ulgą stwierdził, że nie widzi w niej nic, co byłoby podobne do Danusi. Jego Danusi! To na niego uspokajająco. Mógł wypchnąć na peryferia świadomości te wszystkie, niespokojne myśli, jakie naszły go podczas obiadu. Ponownie podziękował za zaproszenie, powiedział do widzenia i wyszedł za drzwi.

– Mamy godzinkę na kawę, a potem do kina. Śpieszmy się – zawołała Danika zbiegając po schodach czynszówki.

– Ok, ale spacerkiem – zastrzegł sobie Marek.

Szli przytuleni. Marek z zaciekawieniem rozglądał się po okolicznych domach, chcąc wychwycić klimat tego niewielkiego miasta.

– To tak wyglądają miejsca, gdzie rodzą się takie cuda, jak ty – odezwał się przyciskając ją mocniej ramieniem.

– Urodziłam się w Warszawie, ale po rozwodzie mama przeprowadziła się tu. Do drugiego męża.

– To twoja matka także z Warszawy?

– Nie, z gór. Ojciec poznał ją podczas wakacji. Zakochał się. Potem ona zakochała się w kimś innym. Jak to w życiu.

– W złym życiu, Danusiu. To nie jest normalność – powiedział z naciskiem.

– Wiem – odpowiedziała pośpiesznie i jakby chcąc uprzedzić jego myśli dodała – Ja marzę o prawdziwym domu.

W milczeniu przechylił głowę i odnalazł jej usta. Delikatne ciepło jej warg miało tę czarodziejską moc rozpraszania nawet najpoważniejszych wątpliwości. Szli dalej, a on nie myślał już o niczym. Wystarczała mu szczęśliwość tej chwili. Chwili gdy ona była tak blisko przy nim. Weszli do pustawego, jak na sobotni wieczór, pubu. Przyciszona muzyka i stonowane światło leniwie błąkały się pomiędzy cegłami i drewnem wystroju. Pomógł jej zdjąć kurtkę i przeszli ku dziewczynom, które już wesoło wymachiwały w ich stronę.

– No, no. Witaj Ostrowio! – uśmiechnął się Marek do trzech sympatycznych blondynek.

– Woow! Jesteś jeszcze fajniejszy niż na YouTube – usłyszał na powitanie.

– No to poznajcie mojego Marka – niezwłocznie przechwyciła inicjatywę Danka. – To Kryśka, to Wanda, a to Paulina.

– Selfik na dzień dobry – zawołała Paulina wyciągając z kieszeni smartphona i przytuliła się do Marka.

– My też – zawołały pozostałe obiegając stół.

– Hola, hola, a o zgodę pytać, to nie łaska? – próbowała przystopować je Danka.

– Nie panikuj, nie zjemy ci go – odparowała Kryśka przystawiając głowę do twarzy Marka i parokrotnie stuknęła kciukiem w komórkę. – Ciacho! – pisnęła, z zadowolenia spoglądając na zdjęcia i ustąpiła miejsca Wandzie.

Danka usiadła z rezygnacją i patrząc kosym okiem na koleżanki, pomyślała ze złośliwą satysfakcją – „nie dla psa kielbasa.”

Całej tej, jakże spontanicznej scenie, przyglądał się z wesołością nie zauważony przez nikogo młodzieniec. „O ileż tu przyjemniej niż na tym obiedzie – rozmyślał. – A ty, po co się dąszasz? Przecież nie mają złych zamiarów. Zwyczajnie, cieszą się. Popatrz, jakie prawdziwe i takie prostolinijne. Możesz wiele się od nich nauczyć.” Rozejrzał się po sali, a widząc potwierdzające skinienia głów, innych nie zauważanych przez nikogo gości, wzniósł oczy do nieba.

Nie pozostawiające wątpliwości zachowanie Marka, pozwoliło Dance szybko odzyskać rezon. Nawet więcej, wspaniałomyślnie ograniczyła własną paplaninę na rzecz koleżanek. Nie umknęło to jego uwagi i tym czulej głaskał jej dłoń, a nawet kilkukrotnie sprezentował całusa w ten ukochany, śliczny policzek.

– Dziewczyny, za kwadrans siódma. Spadajcie. My zaraz idziemy do kina – wesoło zakomenderowała Danka.

– Miło było was poznać. Przypilnujcie mojego skarbu, jak mnie tu nie będzie – rzucił na pożegnanie pomagając im założyć kurtki.

– Sympatyczne te twoje koleżanki. Z twoich opowieści inaczej je sobie wyobrażałem – odezwał się gdy pozostali sami.

– Małomiasteczkowe gęsi. Łasiły się, bo powiało im w tej dziurze wielkim światem – odpowiedziała lekceważąco.

– Nie myślę. Na mnie zrobiły wrażenie szczerych i spontanicznych.

– No właśnie, małomiasteczkowe gęsi.

– Czy ty nie potrafisz, czy nie chcesz widzieć tego, co w innych dobre? – zapytał patrząc na nią jakby z odrobina smutku.

– Tak ogólnie, to są fajne – ratowała się zaniepokojona tym spojrzeniem.

– Daleko mamy? – zmienił temat.

– Nie. 11-tego listopada to dwie ulice stąd. Zbierajmy się, bo... – urwała o mało nie powiedziawszy za dużo.

– Bo?

– Bo możemy spóźnić się – dodała z uśmiechem.

Weszli do holu niepozornego budynku.

– Na widowni będzie lepiej. Po remoncie trzyma klasę – zachęciła go widząc, że niespokojnie rozgląda się na boki.

– Nie o to idzie. Pusto tu i kasa zamknięta.

– To kino należy do Domu Kultury. Czasami wstęp wolny – wyjaśniła. – Za cztery siódma. Wchodzimy, zaraz się zacznie. Otworzył drzwi i pogрузyli się w półmrok ożywiany ekranem, na którym husaria szarżowała pod Chocimiem.

„Końcówka Potopu?” – zastanawiał się stając za plecami siedzących w przejściu ludzi. Po chwili, gdy oczy przywykły do ciemności, zdał sobie sprawę, że szczelnie wypełnione aż po ekran przejście, nie pozostawia nawet cienia szansy na znalezienie wolnego miejsca. Nachylił się do jej ucha i przekrzykując bitewny tętent kopyt, zawołał: – Zawracamy. Za wielu chętnych na darmoche.

– Poczekaj, ładna scenka – odpowiedziała, również prawie krzycząc.

Jakiś chłopak, czując ruch za plecami, odwrócił w ich stronę głowę i uważnie przyjrzał się Dance. Wstał. Wyciągnął z kieszeni komórkę. Z wolna, buchający z głośników zgiełk zaczął cichnąć, a ze ścian wysączyła się biała poświata bocznych kinkietów. Zajaśniał sceniczny reflektor i drapieżnym skokiem pochwycił ich w jasny krąg światła. Zaskoczony Marek, przez zmrużone oczy zaczął dostrzegać, jak dobre dwie setki sylwetek dźwigają się z miejsc. Wszystkie spojrzenia skoncentrowały się na nich.

– Ma-rek, Ma-rek... – dobiegło go coraz głośniejsze skandowanie.

Siedzący dotąd w przejściu, wtoczyli się pomiędzy rzędy czerwonych foteli torując im drogę ku scenie. Rozpromieniona Danką pociągnęła go za rękę, a czując opór, zawołała:

– No choć głuptasie. Nie ociągaj się.

Początkowa irytacja, z każdym krokiem ustępowała fali sympatii, jaka coraz mocniej wzbierała w nim na myśl, że całe to towarzystwo zechciało poświęcić sobotni wieczór by znaleźć się właśnie tutaj. Teraz to on ciągnął za sobą Dankę, żwawo idąc ku podwyższeniu. Uśmiechnął się do trzech blondynek czekających już na estradzie. Gestem poprosił o mikrofon.

– Pool-ska! – wydarł się co sił w płucach.

– Pool-ska, Pool-ska, Pool-ska... – złączyły się z nim wszystkie gardła.

– Witajcie. Mega niespodzianka – rozpoczął gdy przycichły okrzyki.

– Ma-rek, Ma-rek – odpowiedziała mu sala.

– Wpadłem z dziewczyną do kina, ale na takim filmie jeszcze nie byłem. To komedia czy thriller?

Rozległy się śmiechy, które szybko przeszły w skandowanie:

– Tu jest Pol-ska, Tu jest Pol-ska!....

– W porządku. Widzę, że nie zablądziłem – roześmiał się wraz z widownią.

– To co dziś obejrzymy?

– Na ten wieczór burmistrz, z myślą o tobie, zafundował pokaz specjalny, ale to tajemnica – odezwała się do mikrofonu Wanda. – Powiem tylko, że będzie w 3D – zamachała nad głową plastikowymi okularami.

– Marek, zanim usiądziecie mam pytanie od dziewczyn – zabrała głos Kryśka.

– Słucham, o ile moja zwierzchność zezwoli – spojrzał niby pytająco na Dankę, a ta z upominającą wesołością pogroziła mu palcem.

– Jeżeli Danka będzie miała cię dość, to wpadniesz do Ostrowi?

– jeeee... – wsparło ją dziesiątki altów i sopranów.

– Kiedyś myślałem nad tym, co by było gdyby... – zaczął odpowiadać „z klepki” – i wiecie na co wpadłem? Mógłbym zostać mnichem!...

– uuuu... – dały jasny sygnał zawodu.

– ...ale teraz będę musiał jeszcze raz to przemyśleć! – dokończył przewrotnie.

– jeeee... – nagrodziły go soprany i alty.

– Dziewczyny, spoko. Po filmie będzie czas na selfiki i podpisy na koszulkach. Jak zawsze niezawodna Patrycja ściągnęła kilka pudełek – informowała

Wanda bijąc jej brawo. – Teraz poprosimy Marka o kilka słów. Oklaski dla bohaterów z Królewskiej!

– Oho, zanim zacząłem już mnie wyklaskujecie ze sceny. Mamy zawsze mają rację. Moja ciągle mi powtarza: „jak nie potrafisz to nie pchaj się na afisz” – zawiesił głos by przebrzmiały śmiechy. – Będę więc mówić krótko. Nie zajmę wam dużo więcej niż proboszcz na sumie – znów wybuchnęli śmiechem.

– Koniec – podkreślił to słowo wyciągając dłoń do przodu w geście „stop” – Koniec wypędzania nas z własnego kraju.

Koniec wmawiania nam, że jesteśmy bandą nieudaczników.

Koniec plucia na wszystko, co było święte dla naszych ojców.

– Ko-niec, ko-niec... – podchwyciła sala.

– Zbudujemy Polskę marzeń wieszczów. Polskę godną nowego, odrodzonego plemienia Polaków. Odrodzimy ten skrawek planety, odrodzimy ojczysty dom, bo żaden inny nie będzie naszym.

– Od-ro-dzimy, od-ro-dzimy!....

– Odrodzimy na prawdzie i miłości. Prawdzie o naszej przyrodzonej godności i wolności. Na braterskiej miłości jeden do drugiego. Bo co warte życie bez prawdy i miłości? – zawołał twardo, niemal z furią.

– Niiic... odkrzyknęli nie mniej stanowczo.

– To was się boją – pociągnął palcem po widowni. – Boją, ale tylko gdy trzymacie się razem. Razem to siła! Razem to my! Bądźmy dumni. Jesteśmy Polakami. Nie dla nas zmywaki Londynu. Nie zdradzimy swoich matek. Panowie i Panie – zmienił ton na bardziej poważny, wręcz surowy – idą trudne, cholernie trudne czasy, ale z Bożą pomocą damy radę. Tu, a nie na poniewierce, będą rodzić się nasze dzieci! – powrócił do bardziej wiecowego stylu.

– Duma, duma. Naro-dowa duma! – rozległo się żywiołowe skandowanie.

– Jesteście mega. Zaszczyt, że mogłem was poznać! – zawołał ostatni raz. Ucałował w podziękowaniu trzy blondynki i wśród braw zszedł ze sceny.

– Brawo Marek! A teraz, od Ostrowi dla chłopaków z Marszu, Gwiezdne Wojny epizod siódmy! – zapowiedziała z emfazą Wanda, którą tak jak wszystkich ogarnął nastrój radosnego uniesienia.

Wjechał na obwodnicę pozostawiając za sobą uliczki, po których codziennie przechadzała się ta, o której nie umiał i nie chciał przestać myśleć. „Sympatyczne miasteczko, ekstra towarzyscho...” – przerwał rozważania sięgając do przycisku iPhone.

– Słucham.

– Nic draniu nie wspomniałeś, że wybierasz się na wiec – odezwał się Andrzej z żartobliwą wymówką.

– Coś ty, słowo honoru. Nie miałem pojęcia. Wciągnęli mnie w zasadzkę.

– W porządku, żartuję. Ekstra, że im się udało.

– A skąd wiesz? Dopiero co ruszyłem w drogę powrotną.

– Od godziny wisi w sieci twój występ.

– Wzięli mnie z zaskoczenia. Mam nadzieję, że nie dałem za dużej plamy.

– Już ci mówiłem, masz talent. Na fejsie sypnęło nową lawiną lajków – odpowiedział z wyraźnym zadowoleniem. – Czas pomyśleć o większym tourne. Aż dziw, że wcześniej na to nie wpadliśmy.

– Nie rozpędzaj się. „Zerówki” nie odpuszczę.

– Wyluzuj. Wszyscy narobiliśmy sobie zaległości. Bez obaw. Zwalniamy tempo. Na spokojnie przygotujemy pakt. Zaliczysz III-ci rok. Ożenimy Wojtka. Potem możemy ruszyć na majówkę. Uwiniemy się w sam raz przed przyjazdem Papieża.

– Dzięki za wyrozumiałość. Wiesz co mi przyszło do głowy?

– Mów, na YouTube tego jeszcze nie ma – zaśmiał się przyjaźnie.

– Taka rundka po kraju, to okazja by zbudować struktury.

– Celną uwagę. Siadaj do książek. Ja poproszę Krzyśka i Pawła by przegadali sprawę w klubach i z parafialnymi. Wyjdzie z tego mocna trasa.

– Wymyśliłeś już nazwę? – zapytał z ciekawością.

– Zgodnie z obietnicą trochę główkowałem, ale każda była cosik za długaśna.

– No to nie obijaj się. Popracuj solidniej – zachęcił kpiarskim tonem.

– Już nie muszę. Odwaliłeś to za mnie – odparował tajemniczo.

– Nie rób jaj, bierz się do roboty. Ludziom potrzebne symbole, a pierwszy to własna nazwa.

– Nie żartuję. Powaga. Usłyszałem na YouTube twoje, takie małe zdanko i olśniło mnie.

– Nie przeciągaj. Wal bo pęknę z ciekawości.

– Krótko i treściwie, Ruch Odrodzenia.

– Genialne. To był najlepszy czas w naszej historii – zachwycił się Marek.
– Jesteś genialny.

– Tak, wiem. Wmawiała mi to od małego moja ciotka. Odrodzić ojczyznę. To wyzwanie. Pozwól, że cię zacytuję: „godne nowego, już odradzającego się plemienia”. Chyba, mniej więcej tak to szło.

– Masz rację, to prawdziwe wyzwanie. Weźmiemy to szarżą jakiej jeszcze świat nie widział! – wykrzyknął z zapalem.

– To też wiem. Znam ja was huncwoty, lepiej niż własną kieszeń; i dla tego na emblemat damy husarię.

– Ucałuj ode mnie swoją ciotkę. To bardzo mądra kobieta!

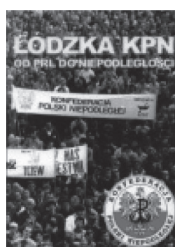
POZYCJE
WYDANE PRZEZ WYDAWNICTWO POLSKIE IHOO
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO NN IM. ANDRZEJA OSTOJA OWSIANEGO:



JAK Z PIERWSZEJ BRYGADY
Biografia Andrzeja Ostoja - Owsianego
autorstwa Łukasza Perzyny



POETA NA URZĘDZIE
Biografia Tomasza Merty
autorstwa Łukasza Perzyny i Beaty Mikluszeki



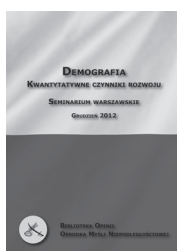
ŁÓDZKA KPN. OD PRL DO NIEPODLEGŁOŚCI
Historia łódzkiej KPN
autorstwa Karola Chylaka i Marka Michalika



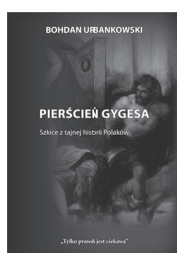
SKRZYPEK. JEDEN Z POKOLENIA NIEPOKORNYCH
Biografia polityczna Sławomira Skrzypka
autorstwa Sebastiana Reńcy

Szczegóły na stronie www.ihoo.pl

POZYCJE
WYDANE PRZEZ WYDAWNICTWO POLSKIE IHOO
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO NN IM. ANDRZEJA OSTOJA OWSIANEGO:



DEMOGRAFIA
KWANTYTATYWNE CZYNNIKI ROZWOJU
seminarium warszawskie



PIERŚCIEŃ GYGESA
autorstwa Bohdana Urbankowskiego



NZS NA ATK
autorstwa Andrzeja Anuszczyka i Łukasza Perzyny



OPINIA
kwartalnik Ośrodka Myśli Niepodległościowej

Szczegóły na stronie www.ihoo.pl